

SZCZĘŚLIWA ZIEMIA



ŁUKASZ ORBITOWSKI



SZCZĘŚLIWA ZIEMIA

ŁUKASZ ORBITOWSKI

KRAKÓW 2013

*To jest książka dla moich najstarszych druhów: Jarka, Leszka,
Łukasza, Mikołaja, Pawła, Piotra, Przemka i Tomka.
Dziękuję, że jesteście.*

Rozdział pierwszy

1

Moja matka nazywała się Wściekłość. Mieszkaliśmy razem, gdy zacząłem słyszeć.

Długo prosiłem, żeby zabrała mnie do lekarza. Sama zanurzyła palec w małżowinach. Powiedziała, że wszystko jest w porządku i muszę być dzielny. Mały mężczyzna ciągle jest mężczyzną. Potem wykręciła mi ucho.

– Lekarz wsadzi ci tam igłę – usłyszałem. – To dopiero zaboli.

2

Powiadają, że prawda i szanse są tylko w wielkich miastach, ale ja bardzo długo nie wyobrażałem sobie życia gdzie indziej niż w Rykusmyku. Mama toby chciała wyjechać. W Legnicy przerażały mnie długie rzędy potężnych kamienic. Będąc tam, wypatrywałem olbrzymów żyjących w ich wnętrzach. Wrocław – gdzie bywaliśmy rzadko – składał się z ZOO, okazjonalnego lunaparku, lodów przy Rynku Głównym i kina ze starymi kreskówkami Disneya. Po seansie wsiadałem w autobus i cieszyłem się, że wracam do domu. Z tego też powodu nie jeździłem na wakacje. Rykusmyku dawało wszystko, czego potrzebowałem. Prócz ciszy.

Na Placu Zamkowym, za przystankiem, mieścił się targ, gdzie każdego dnia sprzedawano coś innego. W poniedziałek kwiaty, we wtorek zwierzęta, w środę ubrania, w czwartek samochody, i tak aż do niedzieli, kiedy upłynniano szmelc: kolorowe zapalniczki z Niemiec, rosyjskie gry elektroniczne o wilku lub łodzi podwodnej, koszule dla robotników i T-shirty z Sandrą. Najbardziej na świecie chciałem mieć kalkulator, okrągły i biało-czerwony, taki jak piłka do nogi. Mama dała mi nawet pieniądze, które niezwłocznie

przepuściłem na automatach. Kalkulatorerek narysowałem sobie sam, w zeszycie do matematyki.

Rynek był wtedy bardzo zniszczony, a najgorzej wyglądał budynek rady miejskiej, wzniesiony po wojnie. Zdawał się rozpadać z żalu nad losem kamienic, poobijanych jak te łotry balujące od rana do nocy w Ratuszowej. Wysoko nad łysiejącymi dachami sterczała Baszta Strzegomska, przy której stał nasz dom. Obok biegła Staromiejska z fryzjerem i sklepem z zabawkami, jej wylot zamykało nieczynne kino i dom kultury, miejsce pracy mamy. Maszerując prosto, wkrótce dotarłbym na pola, poza Rykusmyku, i miałbym przed sobą leśną czapę skrywającą zalany kamieniołom. Na prawo żwirowa droga z topolami po obu stronach wiodła do Zakładów Kuzienniczych, skręt w stronę przeciwną prowadził do parku ze stawem pełnym kaczek o benzynowych główkach. Był tam też niewielki plac zabaw. Huśtawki zrobiono z bali i opon połączonych łańcuchami. Nieco dalej biegł strumień, a przed nim, na niewielkim wzniesieniu, stał szkielet betonowego bunkra, zapraszający do zabawy w wojnę. Po drugiej stronie rzeczki rozrastały się nowe osiedla. Ludzie, którzy tam mieszkali, zdawali się obcy, jak barbarzyńcy wkręcający sobie kości przeciwników głęboko w wytatuowane twarze.

Podobno zgwałcono tam kiedyś kobietę, przyjezdną. Zjawiła się u nas z niewiadomego powodu, wynajęła pokój na prywatnej kwaterze i kręciła się całe dni przy zamku. Ktoś ją dopadł zaraz za rzeką. Zgłosiła się na policję, lecz zaraz wycofała zeznania, tłumacząc, że wszystko stało się za jej zgodą. Potem wyjechała. Byłem bardzo mały, gdy przypadkiem usłyszałem tę opowieść, a dorośli odmówili mi wyjaśnienia tego, czego nie rozumiałem.

Po drugiej stronie miasteczka znajdował się jeszcze jeden park, większy i bardziej zaniedbany. Stał tam Kościół Pokoju, duma całego Rykusmyku, zbudowany po wojnie trzydziestoletniej bez użycia jednego gwoźdźdza, znak zgody pomiędzy katolikami a protestantami. Wystarczyło pójść do domu obok, poprosić pastora, a pastor otwierał kościół i puszczał z taśmy głos, opowiadający historię tego miejsca, Boga i Rykusmyku. Za plac zabaw służył nam zrujnowany budynek, w którym przed wojną mieściła się kawiarnia. Za płotem i ulicą znajdowały się już tylko tereny kolejowe i spółdzielnia inwalidów Inprodus. Wyobrażałem sobie, że produkują tam ludzi bez rąk i nóg, a następnie wysyłają ich pociągami do miejsc, w których są potrzebni.

Mieliśmy też zamek. Zamek był najważniejszy, osadzony między Rynkiem a Placem Zamkowym, na skorodowanym wzgórzu, zamek piaskowej barwy, tak że kojarzył się z Piastem, który niewątpliwie kiedyś tam mieszkał. Wzniósł go książę Radosław z Czech. Bywali tu królowie i Marysieńka. W dziewiętnastym wieku zamek stał się więzieniem, sto lat później obozem pracy przymusowej, co niektórzy u nas jeszcze pamiętają. Może ze względu na tę pamięć zamurowano wszystkie wejścia i zabito okna na niższych piętrach. A jednak widywałem światła na wieży.

Nocą z trzewi zamczyska dochodziły wrzaski, śmiechy oraz odgłosy innego rodzaju, których, ze względu na wiek, nie mogłem zrozumieć.

3

Matka była bardzo piękna. Pewnego dnia przejrzałem się nagi w lustrze. Miałem wklęsły brzuch z płytkim pępkiem i małe oczy przedzielone długim nosem. Poszedłem do mamy i zapytałem,

dlaczego mi nie powiedziała, że nie jest moją mamą. Piękna kobieta nie wyda brzydkiego potomstwa, chciałem dodać, ale dostałem w pysk.

4

Nasza pierwsza zabawa wiąże się z zamkiem. Trudno powiedzieć, ile mieliśmy lat, może osiem, może nawet mniej. Dorośli mówili, że jest tam niebezpiecznie i można zlecieć; słyszałem o labiryncie bez wyjścia i chłopcu, który dostał się tam dawno temu i błądzi do teraz, choć jest już dorosły. My jednak wiedzieliśmy lepiej.

To chyba Trombek znalazł wejście – drzewo i konar pod samo okno na piętrze. Chodziliśmy tam całą piątką przynajmniej raz w miesiącu. Latem częściej. Ześlizgiwałem się z gałęzi prosto w chłód, na gruz i szkło. Opadający korytarz dusił wszelkie światło. Opieraliśmy się o kamienny parapet. Każdy żartował, usiłując dodać otuchy sobie i pozostałym. Próba zawsze wyglądała tak samo i kończyła się w ten sam sposób. Kto dalej pójdzie w ciemność? Czy ktoś dotrze do końca zamkowego korytarza? Sikorka utrzymywał, że tam na dole jest podziemne jezioro, ale nie umiał wyjaśnić, skąd to wie.

Zapalniczkę trzymałem przez szmatkę lub rękawiczkę, żeby nie poparzyć dłoni. Szedłem blisko ściany. Zerkalem za siebie, na malejący jasny prostokąt i cztery zaaferowane cienie. Liczyłem, i oni też liczyli. Jedna liczba, jeden krok. Stopę stawiałem ostrożnie, rozgarniając gruz czubkiem buta. Robiło się coraz ciemniej i coraz chłodniej. Myślałem o chłopcu żyjącym w podziemiach, o jeziorze pełnym potworów i bandytach, mających tam swoją kryjówkę. Okno stawało się coraz mniejsze, ja szedłem coraz wolniej, aż wreszcie zawracałem i gnałem najszybciej jak mogłem, głośno przy

tym krzycząc. Nie było wstydu, bo każdy tak robił. Jeśli przeszedłem więcej kroków niż ktokolwiek przede mną, DJ Krzywda wydrapywał rekord na murze. Jeśli nie, to nie wydrapywał.

Potem szliśmy na opustoszałe już targowisko i siadaliśmy na długich stołach. Opowiadaliśmy sobie, czego to jeszcze nie zrobimy, jak będzie wspaniale, gdy wreszcie dotrzemy na dół, i przypominaliśmy sobie różne historie związane z zamkiem. Coś żyje, coś czeka. Zamek był naszą pierwszą zabawą. Okazał się też ostatnią.

5

Zajmowaliśmy mieszkanie przy Środkowej, blisko ryneczku. Wchodziło się od podwórka, gdzie trzepak rozkładał rdzawe ramiona, a w oknach, pod którymi zalegały sterty gruzu, wisiały wypłowiałe zasłony.

Miałem swój kąt, lecz prawdziwym źródłem radości był pokój mamy. Zabroniła mi tam wchodzić, ale od małego zostawałem sam na całe dni i mogłem robić, co tylko chciałem. Skakałem po ogromnym łóżku i przeglądałem „Przyjaciółkę”. Wierzyłem, że matczyna toaletka rozrasta się sama z siebie na podobieństwo kościoła rozbudowywanego przez wieki. Wtedy nie użyłbym takiego porównania. Miałem inne, związane z lustrem, zakurzonym poza środkową częścią, w której przeglądała się mama. Wyobrażałem sobie, że patrzę na świat przez okno obsypane czarnym śniegiem.

Obok leżały skarby: misa pełna klipsów, broszki w kształcie owadów i kawałki skorupy żółwia nawleczone na sznurek. Kredką malowałem twarz w wojenne barwy. Obwieszałem się koralami.

Szminki zlepione taśmą udawały pas z nabojami. Mierzyłem suszarką w lustro i mówiłem: „Zdychaj”.

6

Buchary pasowały do Sikorki jak mało co. Nie wiem, czy znałem go wcześniej, czy pierwszy raz zobaczyliśmy się na wysypisku. Pamiętam, że zatrzymywał się przy każdym śmietniku i w nim grzebał. Często zachodził na tyły sklepu Społem przy Szkolnej i tam też szukał. Tornister miał pełen wyprztykanych aerozoli. Utrzymywał, że na wysypisku różnie może być, przezorny zawsze ubezpieczony.

Pewnego razu poszliśmy na wysypisko, a on tam już był, król pośród kolorowych wydm. Podpalił górę śmiecia i stał z rękami w kieszeniach, jakby spoglądał na pożar miasta, które właśnie pokonał. Miał poważną twarz. Podeszliśmy i Trombek zapytał Sikorkę, co właściwie robi. Sikorka poradził, żebyśmy spokojnie czekali, więc patrzyliśmy w ogień. Śmieci płoną inaczej niż cokolwiek innego – zduszony płomień pełza, nie osiąga pełni i tylko wystawia co chwilę niebieski język ponad poczerwiałe kształty.

Było warto czekać na wybuchy. Aerozole trzaskały raz za razem, podrywając szmelc, a twarz Sikorki jaśniała z zachwytu. Zazwyczaj rzadko się uśmiechał. Natychmiast rozbiegliśmy się w poszukiwaniu kolejnych puszek. Sikorka miał rację i trudno było je znaleźć. Nurkowałem w śmieciach. Usiłowałem przynieść więcej od innych. Nikt nie chciał, żeby ten wieczór się skończył, i wszyscy gratulowali Sikorce niezwykłego pomysłu. Długo rozpalaliśmy ogień, oczekując w napięciu na huk i niezwykły widok płonących papierów opadających powoli na tle ciemniejącego nieba.

Zaczęliśmy tam wracać, ku rozpaczycy Sikorki, który już wtedy cenił sobie samotność. Układaliśmy buchary w przemysłnych

konfiguracjach i starannie podkładaliśmy ogień, tak żeby sekwencja wybuchów była możliwie najbardziej efektowna. Kilkakrotnie straciliśmy kontrolę. Ogień stawał się grzebieniem, wysokim na metr i widocznym z daleka. Raz zorientowałem się, że płomienie pełzają wszędzie wokół nas. Rzuciliśmy się do ucieczki, a buchary strzelały wokoło, jakbyśmy przedzierali się przez pole minowe.

Mieliśmy najprawdziwszego wroga. Pan Herman poszukiwał na wysypisku zużytych skarbów, które ładował na wózek i ciągnął do chaty za miastem. Wytropił nas i zaczął prześladować. Przyczajał się i wyskakiwał z ukrycia. Liczył, że nas zaskoczy, ale jego obecność zdradzał wózek ustawiony za siatką. Rozbiegaliśmy się ze śmiechem, każdy w innym kierunku, a pan Herman rzucał się jak pies na krótkim łańcuchu.

7

Po roku, może dwóch matka zabrała mnie do przychodni rejonowej przy Moniuszki. Trzymała mnie mocno za rękę i cały czas powtarzała, że nikt nie zrobi mi krzywdy, no a jeśli nawet, mam to na własne życzenie. Martwiła się po swojemu i zaaferowana ciągnęła mnie przez Rykusmyku.

Przychodnia mieściła się w długim parterowym budynku, zapach wewnątrz obezwładniał. Usiedliśmy w zielonkawym korytarzu. Z plakatów spoglądał na mnie smutny berbeć zagrożony krzywicą, jego starszy kolega pił mleko i maszerował do przedszkola, a Trombek, czekający wraz z ojcem, był dziwnym połączeniem ich obojga. Siedział naprzeciwko mnie, przygnieciony czerwoną ręką taty, i machał nogami. Zniknął w gabinecie, na nazbyt krótko. Nadeszła moja kolej.

Bardzo się bałem, że lekarz włoży mi do ucha igłę. Nic takiego nie nastąpiło. Tylko pogmerał wacikiem, zaświecił, wyjął czarny aparacik i przez chwilę majstrował z jego pomocą przy uchu.

– Słuch przeciętny – rzekł. – Dawno nie widziałem tak czystych uszu. Jeśli chce pani szczerzej opinii, radziłbym pójść do innego lekarza – dodał, stukając się znacząco po łysinie.

8

Na cmentarzu, pod wieczór, bawiliśmy się w chowanego. Dzieci z innego miasteczka zapewne nie mogłyby tego zrozumieć. My jednak baliśmy się zamkowego korytarza i na groby nie starczyło nam strachu.

Cmentarz zamykano o dwudziestej. Niedługo później przechodziliśmy przez mur. Ciągnęliśmy zapaliki i ten, który wylosował najkrótszą – dziwnym trafem najczęściej był to Blekota – stawał twarzą do drzwi kaplicy, zaś pozostała czwórka gnała ku upatrzonym kryjówkom. Wchodziłem na klony i kasztanowce, tak wysoko, jak się dało, a potem przywierałem brzuchem do gałęzi, jakbym chciał stać się jej częścią.

DJ Krzywda nauczył mnie też, jak włamywać się do okazałych grobowców. Zamykałem wtedy za sobą kratowane drzwi i kuciałem w rogu z ręką na ustach. Biegłem jak najdalej, żeby skulić się za jakąś niepozorną attyką. Nastawała cisza. Szukaliśmy się i byliśmy szukani.

Nigdy nie starczyło mi odwagi, żeby wpęznąć do grobu. Trombek to zrobił, los chciał, że akurat na mojej zmianie. Ściągnąłem DJ-a Krzywdę z dachu kapliczki, zdemaskowałem Blekotę w wielkiej dziupli i strzeliłem w ucho Sikorkę, przysypiającego za kamiennym aniołem. Tylko Trombka nie mogłem znaleźć. Ruszyłem w górę, do końca alejki, gdzie rosła

wysoka trawa i gdzie pękały opuszczone groby. Szedłem nerwowo, bo miałem już tego dosyć i chciałem wracać do domu. Nagle kawałek płyty nagrobnej ruszył w moim kierunku. Darłem się, aż zobaczyłem, że w jamie łypią wesołe oczy Trombka. Przestał się śmiać dopiero, kiedy mu przysoliłem i potoczyliśmy się, zwarci w walce, z powrotem w kierunku kapliczki.

Raz byliśmy świadkami czegoś niezwykłego. Dobiegły nas jęki, jakie mogą wydawać tylko potępieni. Zza ukruszonego nagrobka wystrzeliła czarna czupryna. Mężczyzna nas spostrzegł i umknął, podciągając dzinsy. Na grobie leżała dziewczyna ze spodniami spuszczoneymi do kolan i potarganą bluzką. Płakała, ale gdy spytaliśmy, czy pomóc, odszukała swoje buty w trawie i uciekła.

Lubiłem przyglądać się zdjęciom i domyślałem historie umarłych. Rozumiałem, że ci strzeżeni przez krzyż trafili do nieba, a łyse attyki skrywały potępionych. Odejmowałem datę narodzin od daty śmierci. W ten sposób zauważyłem, jak wiele młodych kobiet umarło w Rykusmyku.

9

Jak przekleństwa ciskane przez człowieka z poderżniętym gardłem. Odgłos twarzy roztrzaskiwanej o mur. Skowyt bitego psa. Jęk jucznego zwierzęcia, które zaraz runie na ziemię. Coś takiego.

Najpierw myślałem, że wołają mnie zmarli, ale mama powiedziała, że zmarłych nie ma. Wściekły głos, początkowo ledwo słyszalny, nasilał się z roku na rok. Skoro nie zmarli, pomyślałem, wołają mnie zatem żywi pozostający w potrzebie. Obszedłem kamienicę przy Środkowej – szary budynek o poobijanych rynnach – i zakradłem się na poddasze. Wędrowałem wśród krzeseł wywróconych do góry nogami w nieczynnej części przedszkola. Na

próżno. Każdy dźwięk narasta w miarę zbliżania się do jego źródła – tu inaczej. Wszędzie było tak samo straszno i głościcho.

Zabrałem chleb, stuzłotówkę z Waryńskim i uciekłem. Zatrzymałem się dopiero na polach przy drodze na Myślibórz. Dźwięk brzmiał czysto i głośniejsz niż przedtem. Przycisnąłem ręce do uszu. Uderzyłem się kamieniem w głowę. Mogłem przysiąc, że za mną stoi wrzeszczący tłum, chociaż nikogo tam nie było. Gdzie jesteście? Czemu to robicie?, pytałem. Teraz już wiem, że świat nigdy nie odpowiada. Ma swoje pieśni. Jedną usłyszałem.

Jak łoskot ciał upadających do mokrej jamy. Jak czołg jadący po kościach. Skowyt matki, której dzieci rozpruto. Coś takiego.

10

Rowery oznaczały wolność. Matka pozwalała mi jeździć tylko po parku, ale nie dopytywała, gdzie znikam na długie godziny. Zbieraliśmy się więc w parku, pod szkieletem bunkra, i wyruszaliśmy na wyprawy. Wszyscy mieli wigry 3, ja jeden kremowego jubilat z trzema przerzutkami, tak jak tylko ja słyszałem to, co słyszałem.

Latem jechaliśmy na zalany kamieniołom, przenosiliśmy rowery wąską ścieżką na wapiennych skałach, wysoko nad twardym lustrem wody. Nadzy braliśmy kąpiel. Potem wściekałem się na słońce, bo chciałem jak najszybciej wyschnąć. DJ Krzywda miał wędkę schowaną w krzakach, ale nigdy nic nie złowił. Może dlatego, że łapał tylko na chleb?

Wybieraliśmy się na coraz dłuższe wyprawy, określane przez znaki drogowe – tyle a tyle do najbliższej miejscowości. Myślibórz, Wałbrzych, Bolków. Rozpędzone samochody mijały nas, trąbiąc wściekle. Obieraliśmy skróty przez las i wspieraliśmy się na duchu, kiedy droga okazywała się zbyt ciężka lub gdy traciliśmy

poczucie kierunku. Raz dotarliśmy aż do Legnicy i każdy zamówił porcję lodów z bitą śmietaną. Blekota zostawił pieniądze w domu, więc za niego zapłaciliśmy. Jedliśmy powoli, upojeni zwycięstwem i tajemnicą. Nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy i co robimy. Te chwile były tylko nasze.

Rozochoceni Legnicą postanowiliśmy zdobyć Wrocław. No bo jak daleko to może być? Wyruszyliśmy po śniadaniu, wszystko szło dobrze, aż dotarliśmy do poniemieckiej autostrady, gdzie na szarych płytach podskakiwał samochód za samochodem. Patrzyliśmy smętnie jak na drugi brzeg, który okazał się zbyt odległy. Trombek powiedział, że to nie szkodzi, bo on i tak kiedyś pojedzie, do Wrocławia i dalej. Pozna cały świat, byleby tylko nie wracać do Rykusmyku. Domyślaliśmy się, o co chodzi. Do domu wróciliśmy w milczeniu.

11

Matka miała wielu mężczyzn. Żaden nie został na dłużej. Niektórzy mylili się w ocenie. Sądziли, że samotna kobieta z dzieckiem potrzebuje nowej rodziny. Mama jednak pragnęła wielkomiejskości, śniła o kawiarniach i hotelach; w Rykusmyku się dusiła. Przesiadywała w Ratuszowej, łowiąc wzrokiem niektórych przyjezdnych. Raz w tygodniu jechała do Legnicy i nie wracała na noc. Ale mężczyźni umykali przerażeni jej wściekłością i słodyczą zlanymi w jedną podziemną rzekę.

Potrafiła być miła przez długie tygodnie. Potem wybuchała gniewem z błahego powodu. Raz, gdy grymasiłem przy stole, wepchała w siebie mój obiad, swój obiad i wszystko, co znalazła w lodówce. Stało się to w okamgnieniu. Zupa ściekała jej po brodzie. Powiedziała, że nie jest głodna, tylko nieszczęśliwa.

Pamiętam mleczną szybę w drzwiach od jej pokoju, rozświetloną przez świece. Rozstawiała je na podłodze. Raz któryś kochanek pacnął w płomyk gołym cielskiem. Łąłem mu potem zimną wodę na zad.

Kiedy miałem dziesięć lat, pojawił się polonus. Urodził się w Wałbrzychu, dorastał w Rykusmyku, szczęśliwa ręka losu cisnęła go za ocean, gdzie obrósł w zielone. Kursował między Polską i Nowym Jorkiem, poznał matkę i zakochali się na zabój. Wypiękniała jeszcze bardziej. Rozpalała świece i czekała na gościa. Zapisła się na kurs prawa jazdy i obiecała, że pokaże mi Amerykę. W prospektach wskazywała, co będę miał, gdy tam zamieszkamy. Pistolety w skórzanych kaburach. Statki kosmiczne z *Gwiezdnych wojen*. Transformersy. Komputer Commodore i kasety z gramami. Nawet DJ Krzywda nie miał takich, choć jego ojciec cały czas jeździł do Niemiec.

Pewnego wieczoru mama rozpałała świece, ale polonus nie przyszedł. Usłyszałem dźwięk korka wyskakującego z butelki. Zaglądnąłem do pokoju. Matka leżała na podłodze. Z rozpiętej bluzki wystawał rąbek sutka. Śpiewała:

Zabijemy wszystkich ludzi, wszystkich ludzi, wszystkich ludzi,

Chociaż trzeba się natrudzić, zabijemy ich.

Sprowokujmy Pana Boga, Pana Boga, Pana Boga,

Niech nastanie strach i trwoga, sprowokujmy go!

Uszy odetkały mi się niemal jednocześnie. Skrzek, wcześniej dalekie wołanie, zabrzmiał wyraźniej. Rozróżniałem poszczególne głosy. Na dachach zalegał śnieg.

Miałem wiele skarbów: zegarek znaleziony na śmietniku, kamień ze śladem muszli podobnym do brodatej twarzy, kulki do łożysk wynoszone z Zakładów Kuzienniczych. Gwoźdź z Kościoła Pokoju był z nich wszystkich najcenniejszy. Kościół Pokoju, który powstał bez jednego gwoźdza, potrzebował jednak stali, aby przetrwać przez wieki. Trombek ukradł ojcu młotek, śrubokręt i dłuto. Poszliśmy do parku. Był sobotni poranek.

Wybraliśmy ścianę po przeciwległej stronie niż dom pastora. Nikt tam nie chodził. Sprawdziliśmy dokładnie: w zasięgu ręki nie było żadnego gwoźdza. DJ Krzywda powiedział, że nic w tym dziwnego, bo tę zabawę znali już nasi pradziadowie. Gwoździe znajdziemy wyżej. Tak rzekł i niczym małpa zaczął wspinać się po grubych belkach. Znalazł się jakieś trzy metry nad ziemią. Rzuciliśmy mu dłuto, potem młotek. Zeskoczył, a w zębach trzymał potężny, zardzewiały gwoźdź, który dał nam wszystkim do potrzymania. Za nim wspiął się Sikorka i pozostali. Blekota przykleił się do kościelnej ściany niczym niezdarny pająk, któremu wyrwano cztery nogi. Podwahał metal dłutem, robił z młotka dźwignię, poleciało dłuto, poleciał młotek, poleciał i Blekota. Ale miał swój gwoźdź.

Przyszła kolej na mnie. Nie patrzyłem w dół. Zacząłem dłubać przy rdzawym łebku. Powoli wyrywałem stal drewnu i wiedziałem, że to jeszcze kwestia minut, gdy DJ Krzywda syknął, że mam się spieszyć, bo pastor idzie w naszym kierunku. Przyjaciele nerwowo zerkali w stronę zarośli. Szarpnąłem jeszcze kilka razy i zeskoczyłem bez gwoźdza. Umknęliśmy wszyscy, ja jeden ścigany przez wstyd.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Zabrałem nóż do chleba i cicho wymknąłem się z domu. Mama spała pijana, a park puchnął

dźwiękami nocy. Ożyły duchy. Cienie kucały w krzakach, krzyżując szpony na chudych kolanach. Wówczas Kościół Pokoju nie był jeszcze iluminowany. Wspiąłem się po omacku i znalazłem swój gwóźdź. Drewno długo nie chciało mi go oddać i ukruszyłem nóż. Wreszcie był mój – ciepły, jak kiel potężnego zwierzęcia, które zabiłem własnymi rękami.

Wracając do domu, unikałem alejek. W krzakach zastałem bandytę, szesnastoletniego Wilczura, zaambarasowanego rozpinaniem stanika jakiejś pijanej dziewczynie. Dostrzegł mnie, krzyknął, sięgnął po kamień, ale zanim rzucił, już byłem daleko.

13

Pod koniec podstawówki zapytałem o ojca. Musiałem pytać i wcześniej, ale nie pamiętam. Raz w miesiącu przychodziły przekazy na pocztowych blankietach, wypełnione kwadratowym pismem. Matka porywała je pierwsza, nie chcąc, abym wypatrzył adres i nazwisko. W Rykusmyku wszyscy się znali.

– Zdarzyła mi się przygoda, dawno temu – odpowiedziała jak mężczyźnie. – Przelotna, na pewno straszna, a może zabawna. Dobra, bo jej owocem jesteś ty. Cieszę się, że jesteś, i cieszę się, że zostaliśmy we dwoje.

Nie dałem się zbyć i powtórzyłem pytanie. Dym z papierosa owiał mi twarz.

– Wyjdź z domu – usłyszałem. – Popatrz na mur, na naciek na murze, na człowieka pod tym murem. Masz swojego ojca. Nie szukaj.

14

Ojciec DJ-a Krzywdy jeździł do Niemiec i przywoził płyty dla swojego syna. W tamtych czasach płyta sprowadzona z Zachodu była czymś niezwykłym. Mieliśmy swój perkal i swoje paciorki.

DJ Krzywda mieszkał na dwóch pokojach tuż koło mnie. Nie lubił tego miejsca i często zapowiadał, że przeniesie się do jakiejś ciotki, do Krakowa, jak tylko zda na studia. Trudno było go zrozumieć. Matka nie chciała, żebym wieszał plakaty, nawet u siebie, a on mógł. Miał taki z muskularnym barbarzyńcą, toczącym zwycięski bój na górze szkieletów, i drugi, z księdzem w łańcuchach prześladowanym przez rogatego olbrzymia. Gdy do niego przychodziliśmy, paliła się tylko jedna lampka, na oknie stał jeden kwiat. Siadaliśmy na podłodze. DJ Krzywda włączał adapter. Słuchaliśmy w skupieniu, okładka krążyła z rąk do rąk, rozpalając wyobraźnię. Odziani na czarno muzycy przypominali bogów podziemi. Trupy i zamki, ludzie i potwory były jak bramy do lepszego świata.

Hałas porywał nas wszystkich, nawet Sikorkę, który siedział w pewnym oddaleniu i kiwał głową, jakby uderzał w niewidzialną ścianę i cieszył się tą czynnością. Ryki wokalistów ściągały nas w głąb samych siebie i jeszcze gdzieś, gitary szalały jak ogień w drewnianym kościele, łomot perkusji wiązał jedne części ciała, a rozwiązywał drugie. Wierzyliśmy wszyscy, że w tej muzyce kryje się coś więcej niż tylko serce i dźwięki. Metal był większy niż Rykusmyku, a nawet niż Legnica.

Potem każdy wyjmował czystą kasetę kupioną w piątek na Placu Zamkowym. DJ Krzywda udawał złość. Mówił, że to dla niego kłopot, bo będzie musiał słuchać tego samego jeszcze cztery razy. W końcu się zgadzał. Zaczynaliśmy rozmawiać o tym, co kto ostatnio usłyszał, która płyta jest lepsza, a która gorsza, jaki gardłowy najlepiej się drze. Sikorka dopominał się, żeby nie mówić „piosenki”, ale „utwory”.

W domu siadałem przy biurku, włączałem walkmana, rysowałem najpierw logo, a potem okładkę zespołu, w którym będę kiedyś występował. Układałem listę utworów i wpisywałem nazwę wytwórni, największej, jaką znałem. Jestem pewien, że wszyscy poza Sikorką robili podobnie.

15

Pewnego razu zobaczyłem mamę bardziej wstawioną niż zwykle. Wieczór był ciepły i zamarudziliśmy na wysypisku, wpatrzeni w niebieskawy płomień, pełzający pod górami śmieci ku przemyślnie zagrzebanym bucharom. Wracalem, pachnąc siarką i szczęściem, drzwi zastałem zamknięte i musiałem poczekać. Złościłem się trochę. Nie wiedziałem, co zrobić. Mama wtoczyła się na podwórko z butem w ręce.

Groziła niebu pięścią i upadła na maskę samochodu. Zaprowadziłem ją do domu. Zawstydzony myślałem, że wszyscy sąsiedzi patrzą na nas przez dziurki od klucza. W kuchni mama wyjęła butelkę i napełniła dwa kieliszki. Usiedliśmy naprzeciw siebie. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić, i czułem, że jeśli się napiję, będę żałował. Mama wytrzeźwieje i pożali się, że jej nie powstrzymałem. Po prostu milczałem, czekając, co będzie.

– Jest przekłete miejsce. Tak złe, że nawet Bóg tam nie zagląda – powiedziała. – Ciemno, smutno i źle. Tylko ludzie o tym nie wiedzą. Myślą, że znajdą nie wiadomo co, słoneczko jakieś. Gównno, synusiu kochany. Jeden chciałby kobiet. Drugi pieniędzy. Trzeci coś tam jeszcze, a każdy hop przez rogi, rogi są ostre i nawet jak się uda, dopadną, dojadą. Będiesz je zawsze czuł za sobą. Każą ci wrócić. O tak, każdy wraca. Po jeszcze albo po śmierć.

Moje myśli krążyły wokół czegoś innego. Zapytałem, czemu to mówi.

– Jesteś moim synem. Świat to dla ciebie za mało. Będiesz chodził. Ale tam nie idź. Nie szukaj. Błagaj Boga, żebyś nie został znaleziony. – Ściszyła głos. – On cię chce.

Położyłem ją spać i wróciłem do kuchni, gdzie stała butelka wódki i pełne kieliszki. Obróciłem swój w rękach i wylałem zawartość. Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Wróciłem i wylałem także butelkę. Myślałem o tym, co usłyszałem, a mama śpiewała przez sen.

16

Postanowiłem poszukać ojca. Ponieważ mama całe życie pracowała w domu kultury, zacząłem właśnie tam. Chodziłem na zajęcia rysunku i tańca, przyglądając się prowadzącym. Który to? Obserwowałem technicznego, pana Gablociarza, próbując odnaleźć swoje rysy w jego łagodnej, bezmyślnej twarzy.

Włamałem się do kadr i spędziłem popołudnie wśród fiszek. Sprawdzalem, kto i w jakim czasie został zatrudniony, a kiedy musiał odejść. Zakreśliłem parę nazwisk. Pogrzebałem, żadne nie pasowało. Natrafiłem za to na kilka fotografii mojej mamy, zrobionych dawno temu, na tyłach koncertów, wystaw i przedstawień teatralnych. Zawsze uśmiechnięta, z papierosem w lufce i resztką wina na dnie kieliszka. Przypominała kapitana okrętu głupców, szykującego się właśnie na podbój wysp szczęśliwości. Nie dopłynęła. Inni potonęli.

Dom kultury nie przyniósł odpowiedzi. Zwróciłem uwagę na milicjanta Krończaka, który, jak mówiono, miał więcej kobiet niż ktokolwiek w Rykusmyku. Co niedzielę spacerował w garniturze z nową zdobyczą u boku, a w dni powszednie wlepiął wysokie mandaty wszystkim, którym nie wiodło się w miłości. Kręciłem się w pobliżu komendy. Wypatrywałem jego poloneza, aż wreszcie

Krończak załapał, w czym rzecz, zatrzymał mnie i zapytał, czy przypadkiem nie szukam guza. Przestraszony powiedziałem prawdę. Spochmurniał, odparł, że to bzdura, zaczął na mnie krzyczeć i przepędził. Uwierzyłem mu, bo był szary, trząsł się, a w oczach zawisły mu dwie ciężkie łzy. Milicjant Krończak nie był moim ojcem. Z jakichś powodów żałował, że nie jest.

Szalona Tekla również szukała swojego taty i uznałem, że mogłaby pomóc. Kto cię robił, żyłasta dziewczynko, powiedz mi. A jak powiesz, dodaj, proszę, dlaczego mu nie wyszło. Tekla była o dziesięć lat starsza i włóczyła się bez celu po całym miasteczku. Siadywała na murku pod zamkiem, gadała do siebie, jej palce, ozdobione przez tanie pierścionki, toczyły ze sobą skomplikowane zmagania. Gdy była młodsza, tarzała się po ziemi. Mówili, że plecy znaczą jej blizny po tłuczonym szkłe. Ale twarz miała ładną, piegowatą.

Zastałem ją na podwórku przy Kościelnej, gdzie montowała pułapkę na kunę. Powiedziała, że zwierzę przychodzi nocą i dusi pisklęta, więc trzeba coś z tym zrobić. Na pułapkę składał się rzemyk zawiązany w pętlę, pustak służący za przeciwwagę i przynęta z kawałka twarogu. Wyznałem, co mnie trapi. W śmiechu Szalonej Tekli brzmiała życzliwość. Poradziła, żebym schował się razem z nią i czekał. Może w pułapkę, zamiast kuny, złapie się mój tatuś? Nim podjąłem decyzję, na podwórku zameldowała się matka Tekli, bogata Władysława, i zabrała córkę do domu.

Po tym spotkaniu zrozumiałem, że nigdy nie poznam ojca. Szwendałem się jeszcze trochę. Zachodziłem do Ratuszowej albo do baru przy Klasztornej, gdzie wieczorami dorabiał młody bandyta Wilczur. Przyglądałem się twarzom mężczyzn tak długo, aż mnie

przepędzali. Siadałem na przystanku, jakbym liczył, że tato kiedyś wróci.

Co by się stało, gdybym go znalazł? Nic szczególnego. Tak to sobie wyobrażałem: podchodzę do faceta, pytam po prostu: „Czy ty jesteś moim tatą?” i nim zdąży się odezwać, znajduję odpowiedź w jego przestraszonych oczach. Mówię wówczas, że nie ma powodu do niepokoju, że zaraz sobie pójdę i nigdy więcej nie wrócę. Powiedz mi tylko jedno, tatusiu. Dlaczego słyszę to, co słyszę? Czemu tak straszliwie skrzeczy i nawet sen nie daje wytchnienia? A jak mi to powiesz, chętnie też usłyszę, jak sobie z tym poradzić. Daj mi lekarstwo. Jeśli to zrobisz, nie zobaczysz mnie więcej.

Nikomu tak nie powiedziałem. Miałem swój rozum i zacząłem podejrzewać, że mój ojciec jest kimś odległym, kto w Rykusmyku pojawił się tylko przez przypadek.

17

W liceum była taka Nika. Włóczyła się za chłopakami i jak ją znam, uważała, że jest brzydka. Lubiła workowate spodnie i flanelowe bluzy. W uchu nosiła metalowe kółeczko. Nie mogłem oderwać oczu od spienionego bąbelka śliny pulsującego w rogu jej ust. Wszyscy próbowaliśmy z nią kręcić, najbardziej Blekota, który się zakochał. Ją interesowali ci obojętni.

Bujaliśmy się trochę, bez nadziei na przyszłość. Parę razy wsadziłem jej rękę pod bluzkę. Kiedy nakłamałem o dziewczynach, z którymi spałem wcześniej, poradziła, żebym nie pieprzył od rzeczy, bo i tak nie zrobię wrażenia.

– Jesteś zbyt uroczy i niepotrzebnie się starasz – powiedziała. – Jeśli chcesz, pokażę ci parę rzeczy, które przydadzą ci się na przyszłość.

Nika dawała ciało, ja miejsce. Upewniłem się, że matka utknęła w teatrze, i poszliśmy na Środkową. Rozebraliśmy się. Szukałem wilgoci wyżej, niż powinienem.

– Nie tutaj, głupku. – Roześmiała się. – Nie denerwuj się tak. Może na początek jakoś inaczej? Żebyś się odprężył.

Odmówiłem. Chciałem już mieć to za sobą. Bałem się, że zawiodę, że pęknie mi wędzidełko i zaleję krwią jej wnętrze. Nika bardzo pomogła. Znalazłem się w niej, położyła mi rękę na karku. Wykonywałem powolne ruchy, żeby jej nie zawieść. Więc o to chodzi w życiu, pomyślałem, i głowa mi pękła.

Skowyt mordowanych. Wycie człowieka wściekłego na śmierć. To usłyszałem. Oślepiłem. Stał rozpruła mi podbrzusze. Chyba krzyczałem. Nie pamiętam.

Ocknąłem się pod ścianą. Skrzek stał się głośniejszy. Nika trzęsła się po przeciwnej stronie pokoju. Wyjęczałem prośbę o pomoc, a ona porwała ubranie i jednym susem znalazła się przy drzwiach. Słyszałem, jak upada na schodach i krzyczy. Powinienem był jej pomóc. Ale nie mogłem. Nic mnie wtedy nie obchodziło.

18

Blekota nie zapraszał nas do siebie, za to dużo opowiadał o kolekcji horrorów na kasetach i o amerykańskim magnetowidzie. Często pożyczał od nas drobne kwoty i zapominał oddać, co było irytujące, bo nikomu się nie przelewało. W końcu poznaliśmy prawdę.

Blekota mieszkał z rodzicami na dwudziestu metrach, toaleta była na korytarzu, za pokój służyło mu łóżko oddzielone przepierzeniem od reszty, półeczka na książki i stołek, na którym odrabiał lekcje. Matka sprzątała w Zakładach Kuzienniczych,

ojciec pojawiał się i znikał. Blekota był bardzo zawstydzony i wyznał, że po kryjomu uczy się jeździć samochodem i doskonale sobie radzi. Że wkrótce stąd odjedzie. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Sikorka, który – rozsierdzony kłamstwami – zaczął go podpuszczać, żeby pokazał nam, jak to niby prowadzi, a najlepiej zabrał na jakąś wycieczkę. Wszyscyśmy się włączyli do tego namawiania. Blekota wstał i powiedział po prostu, że skoro tak, to nie ma innej rady i zaprasza do trabanta.

Myślę, że każdy – poza Sikorką – chciał powstrzymać Blekotę. Trabant stał zaparkowany w cieniu kasztanowca na Szkolnej. Worki z ubraniami, zgromadzone na tylnym siedzeniu, z trudem wepchaliśmy do bagażnika. Blekota przysunął sobie fotel, przekręcił kluczyk i samochód pojechał przez Rykusmyku, prowadzony, zdawałoby się, pewną ręką. Cieszyłem się, że siedzę w środku, bo nikt mnie nie mógł zobaczyć, i namawiałem Blekotę, żeby kierował się najkrótszą drogą za miasto. Tak zrobił. Czernica już spała. Za wsią asfaltowa droga rozwidlała się na Wałbrzych i w stronę lasu. Blekota wybrał drugi kierunek. Rozpierała go duma. Opuścił szybę i wystawił łokieć za okno.

Droga opłatała leśne wzgórze,śmy tańczyły w świetle reflektorów. Zatrzymaliśmy się na szczycie, stanęliśmy oparci o trabanta i spoglądaliśmy na ciche Rykusmyku w dole. Autobus wtaczał się na plac, komenda mrużyła jarzeniowe oczy, gasły okienka. Trombek wykrzyknął, że w zamku, na dolnym piętrze, palą się światła, co było przecież niemożliwe, gdyż okna tam zabito dawno temu. Ale miał rację. Błyskało, jakby ktoś podłożył ogień w podziemiach. Staliśmy tak długo, zauroczeni, aż Blekota ogłosił powrót do domu.

Wsiedliśmy. Blekota spróbował zawrócić. Nie wiadomo, czy zbyt mocno wcisnął gaz, czy nie zapanował nad kierownicą. Trabant runął w rów i zatrzymał się na drzewie. Trzasnął pękający duroplast. Deska rozdzielcza wylądowała na kolanach Blekoty i Trombka, zgasły światła i nastała cisza.

Wysiedliśmy wszyscy. Tylne koła samochodu kręciły się ospale nad asfaltem. Blekota próbował otworzyć maskę, ale nikt nie miał latarki ani zapalek, żeby ocenić rozmiar strat. Trząsł się i rozpaczał, że nie ma już po co wracać do domu i byłoby lepiej, gdyby zginął. Zaczęliśmy go pocieszać i bezskutecznie próbowaliśmy wyciągnąć pojazd z powrotem na drogę. Blekota usiadł z ramionami skrzyżowanymi na głowie.

DJ Krzywda uklęknął naprzeciw niego i powiedział, co należy zrobić. Zostawimy auto i wrócimy do Rykusmyku przez las, na przełaj, żeby nikt nas nie widział, tak szybko, jak się dało. Kluczyki trafią na swoje miejsce i zapomnimy o sprawie. Ktoś ukradł samochód, ktoś go kiedyś znajdzie. Tak powiedział i pomógł Blekocie wstać.

19

Droga wiodła ostro w dół. Szliśmy gęsiego. Gałęzie biły nas po twarzach, a księżyc świecił jasno, posrebrzając chropowate pnie i zdradzieckie jary otwierające się pod naszymi stopami. Nocne ptaki wzbijały się do lotu. Jakieś duże zwierzę wystrzeliło z krzaków parę metrów przede mną i pognało na oślep, gubiąc po drodze sen. Wkrótce straciliśmy z oczu Rykusmyku. Próbowałem obliczyć, ile kilometrów zrobiliśmy trabantem. Bałem się, że nie wrócimy przed świtem.

Las się skończył, przebiegliśmy przez pola i zanurzyliśmy się w zagajniku po drugiej stronie. Było płasko. Blekota trząsł się i

płakał. Nikt nie wiedział, która jest godzina, i na widok światełka mrugającego zza drzew jak na komendę zerwaliśmy się do biegu. Parterową chałupę otaczał szczerbaty płot. Na podwórku powitało nas ujadanie psa – na łańcuchu rzucał się muskularny kundel. W drzwiach domu stanął pan Herman, urżnięty w pestkę i ze strzelbą. Od razu nas spostrzegł. Zapytał, co tu robimy, i ostrzegł, że zaraz nas pozabija. Krokiem kraba podszedł do budy. Przełożył strzelbę do lewej ręki, w prawą chwycił łańcuch. Krzyknął:

– Bierz ich, Guciu!

Rzuciliśmy się do ucieczki, odprowadzani przez ujadanie i przekleństwa. Herman miał wycucie chwili i spuścił Gucia, kiedy już dopadaliśmy płotu. Wściekły pysk szukał drogi między sztachetami. Pamiętam długi bieg i światła na drodze. Blekota osunął się na kolana i nie było siły, żeby go podnieść.

Samochód zmienił światła na krótkie i się zatrzymał. W środku pojazdu siedział młody bandyta Wilczur. Zapytał, co tutaj robimy, ale nie doczekał się odpowiedzi. Spoglądaliśmy na niego hardo i nawet Blekota otarł łzy. Młody bandyta Wilczur pokiwał głową i rzekł, że skoro tak, to tajemnica powinna ludzi łączyć, a nie dzielić, i żebyśmy wsiadali. Bez słowa zawiózł nas do Rykusmyku, wysadził przy ryneczku i unosząc brudną rękę, podreptał do Ratuszowej.

Blekota odniósł klucze na właściwe miejsce i tak to się skończyło. Jego ojciec szalał, lecz nigdy nie poznał prawdy. Dużo później dowiedziałem się, że milicja zgarnęła młodego bandytę Wilczura i długo przesłuchiwała w sprawie trabanta. Nie powiedział ani słowa.

Ojca poznałem, kiedy podał mnie do sądu. Wyrachował sobie, że skoro jestem pełnoletni, to może oszczędzić na alimentach.

Mama wzięła to na siebie. Wkrótce zameldowała się z papierami od adwokata, podpisałem i nie wiem nawet, kiedy odbyła się rozprawa. Potem sąd rozpatrzył nasz wniosek i alimenty zostały podniesione. Mama triumfowała, ja tonąłem w niewesołych myślach. Ojciec, wcześniej cień schowany za kropelką spermy, zmienił się w człowieka i adres. Mieszkał przy Stalowej, blok siedem, mieszkanie czterdzieści.

Poszedłem dopiero po maturze. Ledwo zdałem, jednak zdałem i wydawało mi się, że ojciec to doceni. Pod blokiem stały trzy identyczne niebieskie škody o rejestracjach różniących się jedną tylko cyfrą. Czułem, że to jego samochody. Otworzył w koszulce na ramiączkach i spodniach od garnituru. Natychmiast poznał, kim jestem. Zaprosił do środka.

Miał wąsy, ziemistą gębę i żalobę za paznokciami. Inaczej go sobie wyobrażałem.

– Wybacz tę aferę z sądem. – Rozmowa sprawiała mu widoczną trudność. – Z twoją mamą mamy niezłatwione sprawy. Zdarła ze mnie potworne pieniądze. Dała ci coś w ogóle?

Odpowiedziałem, że jakoś sobie radzimy. Zadawał idiotyczne pytania w stylu czy mam dziewczynę, jak mi idzie w szkole i co planuję robić w życiu. Gdy usłyszał, że wybieram się na studia, oczy zwęziły mu się do szparek.

– Chciałem pójść do pracy, ale jak mam maturę, to może by też studia? – Podsunąłem świadectwo. Nałożył okulary. Czytanie trochę mu zajęło. Wstał, wyjął portfel ze sztucznej skóry, podał mi kilka banknotów, a potem rękę, na pożegnanie.

– Wolałbym, żebyś tu nie przychodził – rzekł. – Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował pieniędzy. Każdy ma swoje życie i tego się trzymajmy. Przepraszam, ale tak chyba jest najlepiej.

Schodziłem po stopniach, jakbym z wolna osuwał się w przepaść. Pochłonęła mnie ciemność. Ocknąłem się na przystanku autobusowym. Palce zaciskałem na zerwanym lusterku od škody.

21

Próbowałem otrząsnąć się po spotkaniu z ojcem, a Trombek zawędrował w podziemiach zamku dalej niż ktokolwiek wcześniej. Gałąź trzeszczała pod moim ciężarem, za to chłód wnętrza był bardzo przyjemny. Cienie korytarza układały się w wąsate oblicze mojego taty. Banknoty rozgrzewały kieszeń.

Trombek poszedł pierwszy i jak się okazało, ostatni. Ciąg cyfr, wydrapany na ścianie, kończył się na czterdziestu ośmiu. Zaczęliśmy liczyć. Trombek stał się tylko światełkiem zapalniczki. Doszliśmy do czterdziestu i stało się jasne, że dzieje się coś niezwykłego. Przy pięćdziesięciu krokach zaczęliśmy klaskać, a dziesięć kroków później zaparło nam dech w piersiach. Byliśmy w wieku, kiedy nie wypada się bać lochów i ciemności, a jednak każdy miał duszę na ramieniu.

Przy sześćdziesiątym siódmym kroku Trombek wydał z siebie zduszony krzyk. Zapalniczka zgasła. Nawoływaliśmy go, pytaliśmy, czy wszystko w porządku. Z głębi powiało lodowate powietrze i w poświatę z okna wszedł Trombek. Był cały mokry i przyciskał do piersi jakiś niewielki przedmiot. Nic nie mówił, dopóki nie opuściliśmy terenu zamku. Wtedy ciężko usiadł na stole w najciemniejszej części placu handlowego, poprosił o picie i pokazał, co znalazł w korytarzu.

Był to kawałek rogu jakiegoś dużego zwierzęcia, brzydko ułamany, długości palca wskazującego i bardzo stary, naznaczony śladami krwi.

22

Tamtego popołudnia przestałem wierzyć w przypadki. Znaleźliśmy róg. Poznałem ojca i znalazłem mamę, już zimną. Głowę złożyła na kosmetykach przed lustrem. Obok stała ledwo nadpita butelka luksusowej. Lekarz powiedział, że umarła trzeźwa, i jako przyczynę zgonu wskazał tętniaka. Nie wierzę w to, bo tętniak pęka, kiedy ma na to ochotę, i na nic nie czeka, tak jak mama czekała, aż stanę się dorosły i będę mógł poradzić sobie bez niej.

Rozdział drugi

1

To był ostatni tydzień lata; wszyscy poza mną wyjeżdżali i nikt nie zamierzał wracać.

W Rykusmyku upadła pierwsza z trzech wypożyczalni kaset wideo, ta, w której nie było porno, tylko miękkie erotyki. Właściciel, pan Gablociarz, sprzedał wszystkie taśmy, które konkurencja chciała kupić, a resztę wystawił na placu w rzędach kartonów. Przemalował wnętrze, zamontował kraty i zasiadł za szeroką ladą lombardu. Za jego plecami gromadziły się żelazka, discmany, telewizory i wieżowce magnetowidów, jak artefakty mające przypominać o jego niepowodzeniu. Nigdy o nic nie pytał, a gdy Krończak przychodził z nakazem, po prostu wpuszczał go do środka. Sam palił przed wejściem i zupełnie rozluźniony czekał, co będzie dalej. W sklepie muzycznym przy Staromiejskiej pojawił się dział z prasą kolorową i kosmetykami.

Kosmetyki sprzedawano również ze stołów pod arkadkami przy rynku. Były to głównie podróbki znanych marek, strzeżone przez mrukliwe staruszki i wyszczekane siksy o palcach stworzonych do przeliczania drobnych. Papierosy dopalały się w pogardliwie wydętych wargach. W witrynach, jeszcze niedawno ciemnych, pojawiły się ciucholandy, rano pustoszone przez kobiety, a wieczorami przez mężczyzn poszukujących tanich ubrań do pracy za Odrą. Pieczarki wędły na tłustych zapiekankach, kilkuletnie szkraby dumnie pałaszowały naleśniki z truskawkami i rysowały palcem wzory na szybie baru mlecznego.

Na rynku tego lata występowali starzy artyści – Połomski, Hulewicz i Cwynar – gromadząc przypadkową publiczność. Młodzi słuchali Massive Attack i Marilyn Mansona. Gromadzili się na

piętrze baru Lewiatan, blisko rzeki, wlewali w siebie piasta i krążyli między stolikami, prosząc o papierosy. Przedsiębiorczy Wilczur lał piwo niedaleko zamku. Słyszałem, że można tam kupić różne rzeczy, pod warunkiem że zada się odpowiednie pytanie. Dziewczyny jeździły do Wrocławia, żeby sprzedać ręcznie robioną biżuterię. Chłopcy wynajęli pomieszczenie gospodarcze przy garażach na Rapackiego, nazwozili sztang, hantelek i przyjmowali każdego, kto miał parę groszy, dzięki czemu Sikorka nabrał krzepy.

Po miasteczku krążyły aktywistki z organizacji walczącej o prawa kobiet; ściągnęły je, podobno, opowieści o gwałtach będących ulubionym zajęciem mężczyzn z Rykusmyku. Krończak utrzymywał, że nic mu o tym nie wiadomo, aktywistki odpowiadały, że takie sprawy nie są zgłaszane, zorganizowały wykłady w budynku liceum dla dorosłych, rozdały mnóstwo ulotek i pojechały dalej, gdyż, jak wiadomo, gwałty zdarzają się na całym świecie.

Policjant Krończak kupił sobie porsche we wrocławskim salonie i jeździł nim nawet z komendy do Ratuszowej, parkując przed samą knajpą, ku oburzeniu wszystkich. Potem szedł pod arkadki, po kosmetyki, i długo rozmawiał z dziewczynami. Tego lata prowadzał się z drobną pięknoscią, podobno doktorantką chemii na politechnice. Widziałem, jak w niedzielne popołudnia odprowadza ją do busa, jak się obejmują, a on nerwowo zerka na kierowcę i odchodzi, żeby zastygnąć nad pięćdziesiątką.

Rada miasta, z inicjatywy bogatej Władysławy, próbowała pokonać Krończaka. Pomysł ogrodzenia rynku betonowymi donicami spalił na panewce, udało się za to coś innego – przez lipiec wzniesiono wokół zamku ogrodzenie, z drutem kolczastym

na szczycie i budką strażnika przy wejściu. Lokalny dziennikarz pytał, po co to wszystko, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Bóg we wszystkich formach nawiedził Rykusmyku. Ku rozpacz pastora pojawili się zielonoświątkowcy ze swoim zbozem. Mówili językami i kładli ludziom ręce na głowach. Krysznowcy trzęśli się nad swoimi paciorkami, wyznawcy jakiegoś koreańskiego szaleńca wydzierżawili piętro w domu kultury i tam nauczali właściwego porządku świata. W każdą sobotę kosze na osiedlach były pełne numerów „Strażnicy”. Na cmentarnym murze pojawiły się napisy chwalcące diabła, naniesione w wielkim pośpiechu.

Była końcówka sierpnia i dzień trzeszczał od słońca. Na rynku trwał festiwal chleba, ściągając ptaszyska z całego powiatu, skręcone w głodny wir. Przyglądałem się, jak wzlatują w niebo. Skrzeczały w mojej głowie, a park był kolorowy od rowerów, wiatraków i balonów.

2

Ostatniej soboty lata dziwność zaczęła się wczesnym popołudniem. Wracalem z zakupami na ognisko. Skrzek zgniótł mi głowę i z upuszczonej siatki wysypały się kiełbaski i trzy puszki piasta. Usiadłem przed Ratuszową, na słońcu. Kelnerka zapytała, czy dobrze się czuję. Skłamałem i zamówiłem kawę. Po wielu białych nocach sen dopadał mnie gdzie bądź.

Kuliłem się na krześle, prosząc skrzek, żeby ucichł. Podniosłem głowę. Z Chrobrego, a więc od strony zamku, wyłonił się pan Gablociarz w kolorowej koszuli nieprzepuszczającej powietrza. Palił papierosa i spoglądał na Rykusmyku jak na swoją własność. Za nim w odległości dwudziestu metrów szła Szalona Tekla. Pan Gablociarz unosił papierosa pod wąsa, a ona robiła dokładnie to samo, choć nie miała ani papierosa, ani wąsów. Zaciągała się

letnim powietrzem i powtarzała jego kroki. Wolny kciuk wsadziła za szlufkę od spodni, dokładnie tak jak on. Obląkany cień.

Gablociarz nie widział Szalonej Tekli, chyba nikogo innego też. Po prostu maszerował wzdłuż ściany ryneczku i zapewne kierował się do swojego lombardu. Szalona Tekla złapała jego rytm. Ruszała się wściekle, wbijając nogi w ziemię, aż ptaki podrywały się do lotu.

Gdy pan Gablociarz dotarł do Kościelnej, Szalona Tekla stanęła na baczność. Pan Gablociarz runął, jakby otrzymał cios w środek pleców. Jęknął. Obrócił się, szukając wzrokiem przeciwnika, ale zobaczył tylko mnie przy stoliku, pijaków pod arkadkami i Szaloną Teklę, która zaśmiała się i pobiegła w przeciwnym kierunku. Wstał i także odszedł, kręcąc głową.

3

Myślałem, że tego wieczoru zrobimy coś innego niż zwykle, i zdziwiłem się na widok Sikorki targającego komputer z monitorem. Kable plątały mu się między nogami. Natychmiast zaczął się rozkładać, skonfigurował połączenie. W tamtych czasach nie było sieci bezprzewodowej i żeby pograć w *Quake'a*, musieliśmy się tak męczyć. Zapytałem Sikorki, czemu właściwie to robi, skoro mamy jechać na ognisko i tak dalej. Odpowiedział, że jedno nie wyklucza drugiego, a jeśli mam zamiar odstawiać jakąś imprezę pożegnalną, to on sobie tego nie życzy.

– Wiesz, co powiedział mi ojciec? – mruknął. – Da mi robotę! Na budowie. Zatrudnia pięćdziesięciu frajerów, a dla mnie ma właśnie to.

Sikorka nie dostał się na prawo i musiał coś zrobić z nadchodzącym rokiem. Jego ojciec budował Warszawę, czy coś takiego. Zagadnąłem, że to nie musi być takie złe i przynajmniej

zobaczy inne miasto, coś odłoży, a rok nie wyrok. Sikorka tylko machnął ręką, burknął, że w Anglii zarobiłby więcej i chyba tam się wybierze. Chciał, żebym pomógł mu z kablami i skonfigurował połączenie. Monitor ustawiliśmy na książkach. Sikorka zamarł przed ekranem. Tak było zawsze. Przynosił swój komputer i graliśmy w *Quake'a* przez długie godziny. Potem szedłem do dawnego pokoju mamy, który był teraz moim pokojem, kładłem się, a pod powiekami korytarze i pękające głowy wrogów zlewały się z szarówką świtu.

Zaproponowałem partyjkę dla rozgrzania, nim zaczniemy turniej. W drzwiach zameldował się Blekota, ciągnąc za sobą zmaltretowanego DJ-a Krzywda. DJ Krzywda miał mokry uścisk dłoni. Usiadł w rogu i powiedział, żebyśmy na razie grali bez niego. Przyciągnął do siebie plecak pełen piwa i wyglądało na to, że chce jak najszybciej się upić, co było do niego niepodobne. Zapytałem, czy coś się stało. Wzruszył ramionami, odparł, że nic szczególnego i po prostu zastanawia się, co będzie dalej, skoro wyjeżdżamy z Rykusmyku. Roześmiałem się, bo zamierzałem zostać, zdałem na politechnikę i planowałem dojeżdżać do Wrocławia dzień w dzień, żeby oszczędzić na mieszkaniu. Jazda też kosztuje, rzekł Blekota.

Zaczęliśmy grać. Pchałem się do tego, żeby nabić na początku jak najwięcej punktów. Rozwaliłem Sikorkę, rozstrzelałem Blekotę, DJ Krzywda gniótł puszkę w kącie. Opowiedziałem o Szalonej Tekli i o tym, co zrobiła biednemu Gablociarzowi.

– Słyszałem, że ta cała Władka jest jej babką, nie matką – rzekł Sikorka. – Przecież to pudło ma z siedem dych jak nic.

– Ja nawet nie wiem, ile lat ma sama Tekla – odparł Blekota. – Mówię wam, panowie, trzeba wiać jak najdalej stąd. Żadnej

Szalonej Tekli, żadnej Władysławy i Gablociarza. Odrobinę normalności poproszę.

DJ Krzywda chciał mu coś na to odpowiedzieć, ale zrezygnował. Trombek wszedł bez pukania i bez słowa podał każdemu rękę. Pod okiem miał siniejące limo. Zapytałem go, w jaką kabałę się władował. Pokręcił głową i rzekł, że w taką jak zwykle. Poczułem wstyd. Trombek przegonił mnie sprzed komputera i dodał spokojnie:

– A może jednak nie?

4

Blekota, podejrzliwy z natury, utrzymywał, że wielki świat tylko czeka, żeby zmiażdżyć takich żuczków jak my. Opowiadał o starszych znajomych oszukanych na stacjach, którzy jak by się nie starali, kończyli z jakąś brzydką dziewczyną w norze na rogatkach i nie mieli z czego zapłacić za powtarzanie roku.

– Muszę uważać na te sprawy. Bzykasz i bzykasz, a potem budzisz się z ręką w nocniku. Na dziewczyny trzeba uważać. Każda chce tylko złapać faceta i go przygwoździć.

Chciałem zapytać, skąd Blekota może to wiedzieć. Myślałem o tym, że w przyszłym tygodniu Sikorka nie przyjdzie już z komputerem i będę musiał radzić sobie sam. Sikorka szarpał myszką i walił w klawisze, jakby chciał je zmiażdżyć. Nie mógł nic zrobić, Trombek był lepszy. DJ Krzywda zmiażdżył puszkę i powiedział, że nadeszła jego kolej. Sikorka nie pozwolił, chciał się odegrać.

– Jak sobie chcesz – mruknął DJ Krzywda. – Nie ma co się nastawiać, wszędzie chyba jest tak samo. Podobne kłopoty.

– No nie – odparł Blekota. – Gdzie indziej nie ma takiej Tekli na przykład. Ginie w tłumie. Na Zachodzie każdy chce ci pomóc, tu

każdy pilnuje, żebyś nie wybił się ponad innych. Nawet baby patrzą tylko na portfel. Macie swoje Rykusmyku.

– Wszędzie patrzą.

– Otóż nie. Normalna dziewczyna. Tego mi trzeba.

Sikorka zaciskał wargi, wałnął myszką o podłogę i wszystko byłoby dobrze, gdyby Trombek nie zaczął się śmiać. Nim zrozumiałem, co się dzieje, już stali naprzeciw siebie i obrzucali wyzwiskami. Wściekły Sikorka wyrzaskiwał kodeks gry w *Quake'a*, który właśnie wymyślił, Trombek rechotał i przeklinał. Już mieli się na siebie rzucić, lecz DJ Krzywda wstał i rzekł spokojnie, że jak mamy tak grać, to lepiej sobie odpuścić. Nie jesteśmy dziećmi, panowie. Sikorka odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem. Rozsiedli się, byle dalej od siebie.

5

To DJ Krzywda powiedział, że chciałby dziś wieczorem pójść do zamku i jeszcze raz powędrować w głąb korytarza. Było mu wszystko jedno, przed ogniskiem czy po.

– Jak tego nie zrobimy teraz, to już nigdy – dodał, a Blekota wychylił się zza komputera z pytaniem, o jakie ognisko właściwie chodzi. Sikorka miał swoje zdanie.

– Słyszałem ostatnio różne rzeczy. Podobno mają zalewać podziemia betonem, przez tego chłopca, który tam przepadł. Nie całe, tylko wejścia. A znów Tekla chodzi po mieście i rozpowiada, że zamek spełnia życzenia każdemu, kto zejdzie na sam dół. Wychodzisz z pełnymi kieszeniami, choć wcześniej nie miałeś grosza. Tylko musisz poświęcić kogoś. Albo siebie. Wtedy dostaniesz to, co chcesz.

– A co ty byś chciał? Pieniądze? – zagadnął Trombek.

I tak to się zaczęło. Przez chwilę kłóciliśmy się, kto czego w życiu potrzebuje i czy pieniądze rozwiążą wszystkie trudności, część czy może żadnej. Blekota znów rozmarzył się o laskach i tylko DJ Krzywda upierał się, żeby pójść w podziemia, choć tam nikt nie spełnia żadnych marzeń.

– Jeśli tam siedziałaby jakaś dobra wróżka, to Rykusmyku wyglądałoby inaczej, dobrze mówię? Byłby tu choć jeden człowiek, który nie miałby pod górkę. Nie żebym narzekał, po prostu mówię, że Rykusmyku to raczej nie Vegas.

– A moim zdaniem Szalona Tekla ma rację. Każdy, kto zszedł na dół, miał jedno życzenie. Spieprzać stąd i nie wracać. Obiecuję wam, że jeśli tam zejdziemy, powiem właśnie coś takiego i wam radzę to samo – rzekł Sikorka, a jego śmiech przypominał dźwięk wydawany przez puszki podskakujące w dół kamiennych schodów. Nie było na to rady, więc czekaliśmy, aż skończy.

6

DJ Krzywda kontynuował maraton ku nieprzytomności. Pochłaniał puszkę w trzech potężnych łykach, gniótł ją i odkładał starannie, jakby była z cienkiego szkła. Podczas przerw między partiami *Qua-*

ke'a opierał brodę na przedramieniu i przeglądał się w pogiętym denku. Z plecaka wyjmował kolejnego piasta, otwierał, a piwo ciekło mu po rękach, na co nie zwracał uwagi.

– Czego mi będzie brakowało? No niczego. Co to w ogóle za pytanie? Przecież zostaję tutaj – zastanawiałem się głośno. – Może na trzecim, czwartym roku przeniosę się do Wrocławia. Po co dom ma stać pusty. Ktoś musi zostać, co nie?

DJ Krzywda osiągnął swój cel. Oczy zrobiły mu się szkliste. Zaczął grać i rozwałił każdego, nawet Trombka. Brał głębokie

wdech, a wciągnięte powietrze zdawało się pozostawać w jego wnętrzu. Szarpał się z kącikami własnych ust. Podrywał je, a one i tak opadały.

– Zawsze wiedziałem, co będzie. – Zdjął palce z myszy. – A teraz nie wiem. Zadowoleni?

– Ja też. I wiem nadal. Będę zapieprzał w pył z bandą ćwoków – rzekł Sikorka. – Dzięki piękne za taką zabawę.

– Gadasz, jakby życie ci się skończyło.

– Gadam, jakbym miał kłopot.

– W Rykusmyku zawsze fajne baby były – oświadczył Blekota i dał do zrozumienia, że chętnie zagra raz jeszcze. Zmierzchało się i musieliśmy zasłonić okna, żeby czerwone słońce nie odbijało się w komputerze. Trombek dotykał opuchniętego oka.

– Wiecie, co wam powiem? Wszyscy pieprzycie od rzeczy. Ruszamy tam, gdzie lepiej, bez dwóch zdań. Rozumiecie? Tu jest taki syf, że od bździny nos urywa, czy wyście, kurwa, oślepli? Zawijam się stąd i cześć, do widzenia państwu, choćbym miał zapieprzać na budowie razem z tym tutaj.

– Dzięki piękne – odparł Sikorka.

– Nie dzięki. Tak właśnie jest. Zobaczycie. Za pięć, dziesięć lat będzie się wam chciało rzygać na myśl o tej dziurze i zapewniam was, że rzeczywiście wyrzycie się na każdej Wigilii, Wielkanocy czy czymś tam, kiedy będziecie musieli tu wrócić. Jedzenie od starych stanie wam w gardle. Naprawdę tego nie rozumiecie?

– Zastanawiam się, co z nami będzie – powiedział Blekota. – Z nami, w sensie: z nami. Nadążasz, Trombek?

– A co ma być, świat jest mały. Czemu, u diabła, mielibyśmy odpuścić taką przyjaźń? Bo mamy dopiero parę latek? Bo nikogo innego nie znamy? Trzymaliśmy się przez tyle czasu razem jak

najdalej od tego gnoju. Przecież przyjaźnie są, kurwa, na wieki. Nie słyszeliście o tym?

Nie wiedziałem, czy Trombek kpi, czy mówi poważnie. Posrebrzony monitorem DJ Krzywda zapytał go, co przez to rozumie.

– Nic – huknął Trombek. – Mówię, jak się sprawy mają. I chciałbym jeszcze, tak żebyście mieli małą jasność, powiedzieć, że...

DJ Krzywda odłożył myszkę.

– Jesteś wkurwiony i bredzisz.

– Możliwe, możliwe, tak najłatwiej powiedzieć. Uważam, że nie należy się na nic nastawiać, poza tym...

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co tak bardzo chciał powiedzieć. Zabrzmiało pukanie i Trombek zamilkł. Przerażony spoglądał na drzwi.

7

Zaprowadziłem Trombka do dawnego pokoju mamy. Miałem tam spanie i książki pod lampką na stoliku, jej zdjęcie, a w szafce stała butelka wódki, przy której umarła. Położył się za łóżkiem i szepnął, żebym zgasił światło. Na korytarzu stał policjant Krończak w skórzanej kurtce i błyszczących butach z czubami. Czyste buty to było coś w Rykusmyku.

Nie przekroczył progu, ale filował w głąb mieszkania. Przeprosił za najście i zaraz zapytał, czy nie ma u mnie Trombka, gdyż musi go znaleźć i jak najszybciej zaprowadzić na komendę. Odpowiedziałem, że nie, i zagadnąłem, co się właściwie stało. Krończak wyraźnie na to czekał. Zapytał, czy może wejść, i natychmiast znalazł się w środku. Wodził wzrokiem po moich przyjaciołach i szarej kanapie, na której siedzieli, biurku, z którego

odchodził lakier, wylewce na podłodze w łazience, widocznej przez otwarte drzwi, i po asteroidach puszek otaczających DJ-a Krzywdę. Powiedział:

– Sobota była taka spokojna, aż przyszedł wasz kolega i narobił kłopotu nam wszystkim. – Wsadził nos do łazienki, popatrzył po nas, wybrał Blekotę. – Na pewno go nie widziałeś? Przysięgłbym, że cały czas wólczy się razem.

Nikt nic nie powiedział. Blekota usiłował nie spuszczać głowy, wymamrotał, że nie wie, co się stało i nie ma z tym nic wspólnego. Krończak zaczął go pocieszać, położył mu nawet rękę na ramieniu. Zerknął w oba monitory. DJ Krzywda nie spuszczał wzroku z policjanta i pił małymi łykami.

– Też bym skoczył na parę głębszych, ale niestety muszę szukać waszego przyjaciela. Zazdroszczę wam młodości i braku trosk.

Dłoń Krończaka zamknęła się na klamce drzwi do drugiego pokoju. Zacząłem tłumaczyć, że tam są jeszcze rzeczy mojej mamy i sam tam nie mam odwagi wejść, a co dopiero z wpuszczaniem kolegów. Mama zmarła niedawno.

– A mi się wydawało, że kawał czasu temu. Rozumiem cię doskonale, bo sam kogoś utraciłem. No, nie maż się – mówił coraz głośniejszym głosem w kierunku drzwi. – W gruncie rzeczy dam sobie na dzisiaj spokój, ale jeśli jakimś cudem spotkacie swojego kolegę, powiedzcie mu, że czekam jutro rano i byłoby dla niego dobrze, gdyby jednak przyszedł. Też miałem ojca i wiem, jak to w życiu bywa.

Odszedł, patrząc przed siebie. Stał jeszcze przez chwilę pod oknem i zadzierał głowę. Poczekaliśmy w milczeniu, aż zniknie. Z drugiego pokoju wysunęła się głowa Trombka z mokrymi włosami przylepionymi do białych policzków.

Wiedzieliśmy trochę o ojcu Trombka i nikt nie miał odwagi zapytać o to, co się stało. W letnie dni ten niski, żylasty mężczyzna robił szpagaty w parku, opierając łydki o dwie równoległe ustawione ławki. Gdy byliśmy młodszy, zabierał nas nad rzekę i pokazywał chwyty. Lubił zachodzić do Dyzia i Ratuszowej, a potem siadał na ławce i wpatrzony w niebo czekał na trzeźwość. Z biblioteki wypożyczał mnóstwo książek sensacyjnych. Zaginał rogi stron, do których chciał wrócić. Raz w miesiącu krzyki z domu Trombków rozchodziły się na całe osiedle Trzydziestolecia, a czasem docierały nawet pod Basztę Piastowską.

Trombek wziął piwo od DJ-a Krzywdy, napił się i więcej go nie ruszył. Chciał się zmywać, bo był pewien, że Krończak zaraz wróci i tym razem zajrzy do drugiego pokoju. Blekota przypominał, że wszystko jest w porządku, jeśli odjąć poranną wyprawę na komisariat.

– Krończak to gnój i kawał tchórza – odpowiedział Trombek. – Z moim starym wypili morze wody, więc doskonale wiem, jak będzie. Myślicie, że skąd on ma tego porszaka? I kasę na dziewczynki? Z psiej miski wytargał? Wolne żarty.

– Może nic strasznego się nie stało?

– Stało się.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem i koniec pieśni. Błagam was, stawiajmy żagle.

Rzeczy na ognisko zmieściły się do dwóch plecaków. Trombek powiedział, że ani myśli iść do kamieniołomu i żebyśmy pojechali samochodem. Tak naprawdę bał się spotkania z Krończakiem, który według niego czatował w każdym ciemnym kącie Rykusmyku. DJ Krzywda ucieszył się tą perspektywą i rzekł, że

nie ma problemu, on poprowadzi. Zgniótł kolejną puszkę, zgasił monitor. Czekał. Naciskałem, żeby pójść na piechotę, a DJ Krzywda paplał o punto, które po maturze dostał od ciotki i które sobie stoi i tylko czeka na jazdę.

– Prześcigniemy noc! Pojedziemy sobie tak po prostu, jak kiedyś się jeździło! – nawoływał, a Trombek oświadczył, że skoro jedyny facet z prawem jazdy uderza w trupa, to on chętnie poprowadzi, bo przecież umie.

Kto wie, może i umiał? Dawniej mały Trombek siadał w obitej škodzie na kolanach swojego taty i chwycił kierownicę. Ojciec wrzucał dwójkę i tak toczyli się przez Rykusmyku. Trombek naciskał klakson, ludzie odwracali się, a na ich wściekłych twarzach nagle pojawiał się uśmiech.

9

Wiemy, co było, przyszłość nie jest tajemnicą. Umyka jedynie moment przejścia.

Wyobraźmy to sobie. Odwiedzam przyjaciela. Najpierw muszę rozpoznać budynek, w którym mieszka, i już wiem, jaki jest. Blok, kamienica, dom. Dzwonię. On otwiera. Witam się, zdejmuję kurtkę i buty. Widzę wieszak, szafkę w przedpokoju, gniazdko elektryczne z czarną otoczką po brudnych dłoniach. Zdjęcia. Światło wlewające się od strony kuchni. Mojego przyjaciela. To zapamiętam.

Jaka była framuga w drzwiach pomiędzy klatką schodową a mieszkaniem? Nowa, popękana, biała czy jakaś inna? Są rzeczy, które nam umykają. Prawda na twarzach bliskich. Szczere intencje kobiet. Moment przejścia.

10

Patrzyłem w noc z przedniego siedzenia. Za mną kukła DJ-a Krzywdy obijała głowę o szybę fiata punto, Sikorka mrużył oczy, a

Blekota jakby zniknął, wciśnięty w kąt i przykryty plecakami. Minęliśmy ciecia, siedzącego smętnie na schodach przedszkola Prymusek, i cukiernię z kopą ciastek schnących na wystawie. Trombek prowadził ostrożnie, kuląc się za każdym razem, gdy kogoś mijaliśmy. Chciał rozmawiać tylko ze mną.

– Musimy tam dzisiaj pójść – rzekł. – Po prostu musimy.

– Wierzysz w życzenie?

– A skąd. Chciałbym mieć to odpajkowane. Ten tamten ma rację, jeśli nie teraz, to kiedy?

Wpadliśmy w plamę latarni. Trombek zaciskał palce na kierownicy. Dopiero wówczas zwróciłem uwagę, że ma świeże strupy na kłykciach.

– W końcu trzeba to zrobić – powtórzył.

Blekota zaczął mówić o prostych rzeczach, na które czeka. Dostał pokój w akademiku i wyraził nadzieję, że współlokator będzie cichy. We Wrocławiu piętra są naprzemienne, raz dziewczyny, raz chłopcy, a on będzie mógł w sobotę wstawać, o której zechce. Zabije każdego, kto zacznie się tłuc przed dwunastą. DJ Krzywda burknął, że akademik rządzi się swoimi prawami. Blekota zapytał go, czy ma już pokój w Krakowie.

– Pierwszy rok przesiedzę u ciotki, potem się zobaczy.

Blekota odparł:

– Ja za rok wyjadę jeszcze dalej. Nie szarpniesz się na własny kwadrat, czy ciocia cię przymusiła?

– Zaraz tam ciocia. Po prostu mam mniej forsy, niż sądziłem.

– Boże drogi, gadacie od rzeczy – do rozmowy włączył się Trombek. – Nie liczy się, co tam będzie, tylko to, co weźmiesz ze sobą. Jeśli spakujesz całe Rykusmyku, ta dziura cię dopadnie,

choćbyś pruć bladzie w Honolulu, wiesz, o co chodzi. Właśnie, Sedes? Co tak siedzisz, jakby ci coś pod nosem śmierdziało?

Nabrałem ochoty, żeby powiedzieć im prawdę: milczę, bo wyje mi w głowie, od czego żołądek zmienia się w pięść wysuszoną na wiór. Mruknąłem, że jeszcze się zobaczy, i uznałem, że popatrzę na drogę, skoro Trombek ma lepsze rzeczy do roboty.

Minęliśmy Czernicę i garb kamieniołomu był na wyciągnięcie ręki. Na równinach Dolnego Śląska księżyc jest inny, większy i bardziej matowy. W jego świetle masywny kształt o bladych oczach skoczył nam prosto na maskę, przetoczył się i spadł pod koła.

11

Zwierzę leżało pod fiatem i zdechło, nim znaleźliśmy w sobie odwagę, aby się do niego zbliżyć. Trombek, który panikował w takich sytuacjach, tym razem zachował spokój. Uważał, że po prostu powinniśmy pojechać dalej, ale jednak pomógł mi wyciągnąć ciało na pobocze. Miałem wrażenie, że pies stygnie mi w rękach. To był Gucio.

Chwyciliśmy z Trombkiem za mokre łapy. Rozhuściliśmy nieszczęsnego Gucia, żeby cisnąć go jak najdalej w chaszcze. Tak zastał nas pan Herman. Wyłonił się z lasu po drugiej stronie drogi. Nie jestem pewien, ale chyba wydobył z siebie płaczliwe „Och nie”. Zaczął na nas krzyczeć i wyzywać od najgorszych. Wołał, że mamy oddać mu psa takiego, jakim był, nie innego, a jak to zrobimy, nasza sprawa, ale musimy, bo inaczej dopiero nam pokaże. Tym razem nie miał ze sobą myśliwskiej strzelby. W płaszczu, z rozwichrzoną fryzurą, maszerujący w naszym kierunku, przypominał oszalałego arystokratę błądzącego wśród ruin zwęglonej posiadłości.

Puściliśmy Gucia i stanęliśmy w pięciu naprzeciw pana Hermana. Zamilkł, zwolnił, uklęknął przy psie i chwycił go za łeb. Chwilę to trwało. Wstał, jakby podjął jakąś ważną decyzję. Znów wrzeszczał, tym razem bez ładu i składu. Uważał, że zrobiliśmy to specjalnie i jesteśmy bydlakami, bo co nam zawinił biedny Gucio? Zacisnął pięści i łypał przekrwionymi oczami. Włosy miał srebrne w świetle księżyca.

– Pozabijam was, jednego po drugim, jak mi Bóg miły.

Trombek wysunął się przed szereg i poradził panu Hermanowi, żeby zaczął od niego. Otwartymi dłońmi uderzył go w klatkę piersiową. Starzec się zatoczył. Na jego twarzy pojawił się strach, a Trombek popychał go raz za razem w kierunku pobocza. Pan Herman próbował się bronić. Trombek chwycił go za nadgarstki i szarpał.

– Weźże mu wyjeb! – wołał Sikorka, zawsze prędkie w rękach.

DJ Krzywda mruknął pod nosem coś, czego nie zdołaliśmy usłyszeć. Sekundy wlokły się nieznośnie. Pan Herman giął się przed Trombkiem, zezując raz na niego, raz na Gucia. Pewno zastanawiał się, jakim cudem doszło do tego wszystkiego. Zawisł już nad rowem. Sikorka skakał obok, a DJ Krzywda złapał się za głowę i jęknął, tym razem głośno:

– Zrobiłem dziecko. Zrobiłem dziecko, chłopaki.

12

Lusterko fiata punto odbijało pana Hermana, szukającego sposobu na zabranie ciała psa z drogi. Maleli w oczach. Wjechaliśmy na polną drogę z wyraźnymi śladami opon, między czarne badyle i kępy pokrzyw rozrzucone po skałkach obrośniętych rzadką trawą. Naprzeciwko rosła wapienna ściana z szaloną czapką drzew o gałęziach poskręcanych od wiatru. DJ Krzywda

obiecał, że opowie nam wszystko, ale przy ognisku, bo musi dojść do siebie. Sikorka odparł, że raczej nie dojdzie, ale DJ Krzywda chciał jednak spróbować.

Ponieśliśmy plecaki ścieżynką wijącą się stromo w górę. Nietoperze ślizgały się na łagodnym wietrze. Wkrótce pod nogami otworzyła się nam czarna tafla zalanego kamieniołomu. Odbijała gwiazdy i dwa inne ogniska, czerwone wstęgi rozwinięte na wodzie. Musiałem uważać, żeby nie spaść, i martwiłem się o DJ-a Krzywdę, wlokącego się na końcu, z puszką w dłoni. Cały czas spoglądałem za siebie, żeby sprawdzić, czy ciągle jest z nami.

Przy palenisku znaleźliśmy kijki do pieczenia kiełbasek i odrobinę drewna. Zanurzyliśmy się w lesie. Drzewa rosły tutaj małe i mocne, upadały rzadko i minęło sporo czasu, nim nazbierałem suchych gałęzi. Słyszałem nawołujących się przyjaciół i sapanie Sikorki, który usiłował wyrwać ziemi młody pień. Gdy wróciłem, z kupki chrustu unosił się dym, a Blekota leżał na trawie i dmuchał w żar.

Usiadłem na pniu. Na dnie kamieniołomu zmieściłby się rynek Rykusmyku razem z przyległymi uliczkami. Podobno pięćdziesiąt metrów niżej, na dnie, rdzewiały maszyny pozostawione przez robotników przerażonych dawną katastrofą. Z sąsiedniego ogniska dochodziły głosy dziewczyn. Cieszyłem się, że nie siedzi tam Wilczur z kolegami.

Wkrótce Blekota odniósł sukces. Dołożyliśmy gałęzi, a ogień strzelił wysoko i radośnie. Zniknęły tamte ogniska, gwiazdy i kamieniołom, byliśmy tylko my przykryci kopułą światła.

– No co mam wam powiedzieć? Co tu w ogóle jest do gadania? Powinienem sobie małego na supeł zawiązać albo od razu palnąć w

łeb, czemu nie? Mógłbym udzielać rad, jak najprościej spieprzyć sobie życie. Wracam, dureń skończony, pociągiem z Krakowa i widzę Nikę, jak ładuje się do przedziału, Nika też wraca. Zaczynamy gadać, w Katowicach wsiada facet z piwem, to kupuję, ciepłe, wstrętne. Z jednej paki ona gada mi o swoim chłopaku, z drugiej widzę, że coś się święci, słyszę, że fajnie, że razem będziemy w jednym miejscu i takie tam, w końcu wysiadamy i pędzimy na bus. Mam trochę w czubie, siadamy obok siebie, jest ciemno, żadnej znajomej twarzy. Ledwośmy ruszyli, a Nika mi głowę na ramię, rękę na udo, kolano na kolano, normalnie nic nie musiałem robić, choć może i chciałem. Odczepiła się dopiero w Ryku. U mnie rodzice, namawiam, żebyśmy skoczyli do Dyzia i pomyśleli, co dalej, w gruncie rzeczy nie chciało mi się wierzyć, że sprawy obrały taki akurat bieg, a ona zaraz, że nie ma mowy, bo Wilczur, który tam polewa, nie umie trzymać języka za zębami. Powiedziałem, że sądzę inaczej, a ona zaraz w śmiech i przyznaje mi się, że wie o tej historii z trabantem właśnie od niego. Cóż, myślę sobie, Wilczur ją pruć jak nic, innego wyjścia nie ma. No i wylądowaliśmy pod zamkiem. Nie mówię, że w samym zamku, no w życiu, ale za drzewem jest placyk, za placikiem murek, no i my za tym murkiem, wiecie, aż biało się zaczęło robić. Powiedziała, że musi wracać, zanim matka wstanie, a jak wstanie, to zaraz się domyśli. Bo co innego można robić w Ryku o czwartej rano, jak tylko się dupczyć? I wiecie, że o tym zapomniałem? Może nie całkiem. Mignęła mi parę razy, cześć-cześć, nic więcej. Podobno puściła w trąbę tego swojego fraglesa, pomyślałem, że czyści sobie kartotekę przed Krakowem, gdzie w końcu chuje jak smoki, uwierzycie? Przepraszam. Naprawdę nie mogę. No już, to w końcu nic takiego, świat będzie się dalej kręcił. W każdym razie wczoraj

dzwoni do mnie, że musimy pogadać, pieszczę się myślą o powtórce z rozrywki, laska przychodzi strzelona na żurnal i wyszczerzona tak, że jej się usta za uszami schodzą. I mówi: „Wiesz, że będzie nas trójka?”. Trochę minęło, zanim zrozumiałem, o co naprawdę jej chodzi. Tak lekko, jakby było to coś oczywistego. Nie pytajcie, jak się czułem. Myślę o grozie słów. Najgorsza nie była nawet „trójka”, ale to nieszczęsne „nas”.

14

Mieliśmy ze sobą ziemniaki, ale na razie nikt nie był głodny. Zgromadziliśmy się wokół DJ-a Krzywdy, dołożyłem drewna i płomienie otworzyły czerwone dłonie przed jego moką twarzą. Cały czas coś musiał trzymać w rękach: puszkę, kijek, garść trawy. Wodził wzrokiem, szukając ratunku. Żaden z nas nie mógł mu pomóc, żaden o tym nie wiedział. Sikorka rzekł:

– Powiedzmy sobie jasno. Panna ma chrapkę na ciebie. Widziałeś tego cymbała, z którym się prowadziła wcześniej? Capnęła cię i jest. Rzecz do wygrania. Dowiedz się, czy to twoje dziecko. Kto wie, może jest aż tak głupia?

– Nie wiem, czy jest. Mówiła jak zwyczajna dziewczyna.

– Zobaczysz, jak będzie. Laska się do ciebie przyklei, uwijecie sobie gniazdko, a ona tak chyłkiem poroni i wszystko wróci do normy. I mówię w ogóle, może ono tego gościa, a nie twoje?

– Jakie nie moje? Jezu...

– Skoro przy Jezusie, może ona to rozgoni? Dojścia się znajdzie, skołujemy kasę. Tylko w Polsce to jakiś zgrzyt. W Londynie matki kupują córkom skrobanę na osiemnaste urodziny, a u nas trzy lata za samo namawianie. Żebyś wiedział. Nie żartuję.

Próbowałem im przerwać i myślałem o sobie. Nigdy nie chciałem mieć dzieci, ale zazdrościłem DJ-owi Krzywdzie, że zrobił

z Niką to, czego ja nie potrafiłem. Fajna dziewczyna z niej. Czy powiedziała o moim niepowodzeniu? Jeśli zostaną razem, prędzej czy później powie.

– Wyrastałem bez ojca i nie było źle. – Nadeszła moja kolej na udzielanie rad. – Płać uczciwie, ale się nie żeń, jeśli Nika ci nie pasuje. Jesteś porządnym facetem. Ciotka ci pomoże, zresztą dziecko nie kosztuje znowu tak wiele. Na początku będzie przejebane, Nika stanie na uszach, żeby cię zatrzymać. A my z kolei staniemy za tobą murem. Twoja ciotka z Krakowa też. Nikt nie będzie miał prawa nazwać cię draniem, a ty nie waz się tak o sobie pomyśleć.

Dziewczęce śmiechy z najbliższego ogniska brzmiały coraz głośniejsze. Trudno, żebyśmy uznali je za coś innego niż nawoływanie. Szkło stuknęło o kamienie. DJ Krzywda zerkał tam jak na dom, do którego odmówiono mu wstępu. Blekocie świeciły się oczy.

– Dzieci są najważniejsze – rzekł ten ostatni. – Powinniśmy szanować naszych rodziców i wychowywać własne dzieci tak, żeby one nas szanowały.

– Chyba cię cyce rwą – odparł DJ Krzywda, ale słuchał.

– Weź małego do siebie. Jesteś mądry facet. Inaczej Nika odda je dziadkom albo komuś innemu, znajdzie jakiegoś śmiecia, zrobi sobie z nim drugie dziecko, a twoje pójdzie w odstawkę. Nika na to pójdzie. Chce skończyć studia przecież.

– Też chcę.

– Skończysz. Ciotka się nim zajmie. Samotnej matki wszyscy chcą się pozbyć. Samotnemu ojcu każdy nieba przychyli. Wykładowcy pójda ci na rękę. Dostaniesz robotę za więcej, a pracować będziesz mniej. Wiesz co jeszcze? Laski uwielbiają takich

tatusiów. Czeka cię dekada jebania jak nic. Mówię. Dzieci są najważniejsze.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – zagadnął milczący dotąd Trombek i Blekota spuścił głowę. Trombek siedział nieruchomo z dłońmi spuszczoneymi między kolana i patrzył spokojnie w ogień. – Źle o tym myślicie, wszyscy. DJ Krzywda robi to, co mu los podsunie. To, co mu każą. Tak właśnie mają się sprawy. Więc ja bym sobie tym głowy nie zawracał. Ważne, żebyś zrozumiał, że to nie koniec świata. Za dwadzieścia lat dziecko dorośnie, a ty ciągle będziesz młody i nic ci nie umknie. A teraz zastanów się lepiej, co jest dla ciebie ważne, co cię cieszy i co musisz ocalić. Odpowiedzialność to jedno. Musisz być odpowiedzialny. Druga rzecz to ocalenie siebie, bo wszyscy są ważni. Ty, ona, dziecko. Nikt najważniejszy. Ocal siebie, mówię.

Jego obojętny głos mógł należeć do kogoś dużo starszego. Trombek był chyba zaskoczony własnymi słowami; nie spodziewał się, że może je wypowiedzieć. W oddali zabrzmiał plusk. Jedna z dziewczyn skoczyła w wodę, mącąc odbicie ognisk. Wyłynęła, rozpędzając fale. Włosy ułożyły się na czarnej tafli. Zawołała koleżanki, żeby poszły jej śladem.

15

Blekota palił się do kąpieli, na którą nikt inny nie miał ochoty. Rozebrał się, odsłaniając tatuaż na szczupłym ramieniu. Dwa smoki splatały się ze sobą, czarny zaciskał paszczę na białym jajku, a biały na czarnym. Poprosił, żebyśmy na niego poczekali, złączył dłonie nad głową i skoczył z głośnym pluskiem. Wołał, że woda jest wspaniała i że robimy głupstwo, zostając na brzegu. DJ Krzywda mruknął, że jest urżnięty i mógłby się utopić, mieszanina zimna i

ciepła zatrzymałaby mu serce. Podkurczył nogi pod brodę i powtarzał: „Może to i lepiej, może to i lepiej”.

Sięgnąłem po grubą, krótką gałąź, rozgarnąłem ognisko i ułożyłem ziemniaki. Skojarzyły mi się z jajami w gnieździe salamandry. Zasypałem je starannie, dołożyłem drewna. Trombek przysiadł się do DJ-a Krzywdy i szeptali coś, czego nie mogliśmy usłyszeć. Przypuszczam, że żalili się, jakie to życie jest ciężkie, pewno uważali się za starszych, niż rzeczywiście byli. Mieli rację, bo nikt nie jest starszy od osiemnastolatka, który pobił własnego ojca albo właśnie zrobił dziecko.

Blekota zatoczył parę okręgów, zebrał się na odwagę i ruszył w stronę dziewczyny. Płynął motylkiem, wzbijając wodę wysoko ponad siebie. Jak na ironię, dziewczyna zdawała się nic nie dostrzegać, ale gdy wreszcie spojrzała w jego kierunku, nie okazała zdziwienia. Dalej unosiła się na wodzie i wołała coś ku koleżankom, a Blekota zaczął ją okrążyć, zmieniając styl: obrócił się na plecy, tak że klatka piersiowa – chuda i mokra – zaślniła pod ślepym księżycem.

– A, wloką się do nas – powiedział Sikorka zza ognia.

Rzeczywiście, choć nie do końca: jedna z dziewczyn odłączyła się od pozostałych, żeby zniknąć za kręgiem światła. Słyszeliśmy, jak przedziera się przez krzaki i trąca gałęzie. Szła nad samą krawędzią i Trombek zaczął się zastanawiać, czy nie wyjść jej na spotkanie. Odpowiedziałem, że tylko ją przestraszymy, i zerknąłem, jak radzi sobie Blekota. Zaprzestał godowego tańca. On i dziewczyna unosili się naprzeciwko siebie, rozmawiali. Jednocześnie popłynęli w kierunku brzegu, żeby zawisnąć w wodzie przy wapiennej półce. Z długimi, rozpuszczonymi włosami

przypominali podwodne stworzenia uradowane ostatnim ciepłym dniem; niedługo jesień przegna tych oboje z powrotem w głębinę.

Ta druga dziewczyna opuściła ścieżkę nad wodą i stanęła przy nas w świetle. To była Nika. Spodziewała się zastać kogoś innego. Wiedziałem, że DJ Krzywda mówił prawdę. Nika też poznała, że już wiemy. DJ Krzywda wyglądał, jakby zobaczył ducha. Spróbował wstać, ale runął tyłkiem z powrotem na trawę. Nika po prostu odeszła. W jednej chwili stała z nami, w drugiej już jej nie było. Usłyszeliśmy cichy płacz, który zaraz się urwał. DJ Krzywda spróbował pójść za nią, lecz zaraz zawrócił i sięgnął po kolejne piwo.

Blekota, przyczepiony do skały, jeszcze bardziej przypominał gnoma. Runął w wodę, podkurczając nogi. Dziewczyna poszła za jego przykładem. Śmiali się. Zarzuciła mu ręce na szyję. Nika wróciła do swoich, cisnęła parę szczap w ognisko, stanęła na brzegu i zaczęła coś krzyczeć. Nie wiem, co takiego, ale dziewczyna w wodzie odepchnęła od siebie Blekotę i zostawiła go samego, wracając na brzeg.

16

Myślałem, że Blekota dygocze z zimna. Wytarł się w koszulkę, włożył bluzę i dalej dygotał. Łapał łzy w usta. DJ Krzywda siedział ze zwieszoną głową. Blekota wykrztusił:

– Co jest ze mną nie tak? Nie mam dwóch rąk i nóg, z gębą coś nie w porządku czy coś w ogóle nie tak? Przecież byle gość z zawodówki sobie radzi, wy sobie radzicie, tylko ja sobie w ogóle nie radzę. Nie macie pojęcia, jakie to trudne. Czasem myślę, że już nie wytrzymam. A potem jakoś wytrzymuję, do następnego razu. Nawet z tobą bym się zamienił. – Wskazał na zobojętniałego DJ-a Krzywdę. – Teraz, natychmiast. Ja nigdy jeszcze... Kurwa, nie

wierzę, że to mówię. Nigdy, po prostu. I tego cholernego lata chciałem to mieć za sobą. Przecież nie chodzi tylko o rach-ciach, o rupu-tupu, tylko żeby jakoś było we dwoje, no nie? Ja bym takiej wszystko, słyszycie? Świat by mi przysłoniła. O co chodzi, jak nie o to? O co innego? Słuchacie mnie w ogóle? Stało się tutaj coś znowu?

Nie doczekał się odpowiedzi. Zamilkł z twarzą w dłoniach. Po chwili chyba zrobiło mu się lepiej. Dziewczyny pozostawiły dymiące palenisko i poszły drugą stroną kamieniołomu, nadkładając drogi. Gwiazda odpalała się od gwiazdy, a gałęzie z wolna przemieniały się w grudki pulsującego żaru, nad którym dym splatał się w czarny warkocz.

Trombek pojawił się w czerwonym kręgu, rozgrzebał ognisko i kijkiem przetoczył ziemniaki pod kamienie. Następnie przeniósł je na kawałek folii, przekroił wszystkie i zaczął nam podawać na wyciągniętej dłoni, jakby przestał odczuwać ich dotkliwe gorąco. Patrzył, a my jedliśmy łączywie, bez słowa, wgryzając się w spaloną skórę, aż nasze policzki pociemniały od węglowych uśmiechów.

17

Trombek nie chciał już prowadzić, za kółkiem siadł Blekota i zawiózł nas z powrotem do Rykusmyku. Zaparkowaliśmy pod wielkim kasztanowcem, niedaleko Zakładów Kuzienniczych i daleko od ciekawskich spojrzeń. Musieliśmy pójść, rozgorzał jednak spór – dokąd. Sikorka zaproponował, żebyśmy wrócili do mnie, ale Trombek z DJ-em Krzywdą uparli się na kolejkę u Dyzia. Zdziwiłem się i zapytałem, co będzie, jeśli do knajpy zajrzy Krończak. Trombek odrzekł, że jest mu wszystko jedno i być może nawet poczeka tam do świtu.

Poszliśmy Topolową w kierunku stacji benzynowej, gdzie zatrzymała nas bogata Władysława. Wyskoczyła ze srebrnego renault megane i zapytała, czy nie widzieliśmy gdzieś Tekli, bo szuka jej już dziesiątą godzinę. Przyglądała się nam bacznie spod futrzanej czapy. Odpowiedziałem, że owszem, widzieliśmy na rynku, ale koło południa, a Sikorka rzucił, że z Teklą nigdy nie było nam po drodze.

– Tyle szczęścia w nieszczęściu – odparła bogata Władysława, odpaliła silnik i wolno odjechała w głąb Rykusmyku. Trombek warknął na Sikorkę, żeby trzymał język za zębami. Sikorka odparł, że po prostu powiedział prawdę, a miejsce Tekli jest w kaftanie. Inaczej coś sobie robi.

Cisza zaległa nad Rykusmyku. Okna domów były ciemne. Zobaczyłem dwie drobne dłonie przeciągające sznurek z pakunkiem między zakratowanymi framugami domu poprawczego. Z bram na Staromiejskiej dochodziły szmery. Przeszliśmy pod Basztą Piastowską i znaleźliśmy się na rynku, gdzie pod arkadkami jakiś człowiek walił bankomat, niedawno wszczepiony ścianie. Koło teatru miejskiego, na ławce pod latarnią, siedział Gablociarz i oglądał stłuczone kolano.

Pod arkadkami ciągnęły się opustoszałe sklepy czekające na nowych właścicieli. Dwaj mężczyźni sterczeli potulnie przed kratą monopolowego. Potykałem się o sterczące płyty chodnikowe. Kosz na śmieci wiał spalenizną. Skręciliśmy i zalało nas delikatne światło ulicy Chrobrego, przy której mieściła się spelunka tak siwa od dymu, jakby trawił ją ogień. Cienie gromadziły się w otwartych bramach, mały chłopiec z trudem podążał za bandą wyrostków. Światło spadało na bruk przez otwarte drzwi całodobowego.

Nad tym wszystkim wznosił się zamek, wycięty z ciemności, i można by pomyśleć, że to on, nic innego, skupia w sobie ostatnią noc lata.

18

U Dyzia było pusto, jeśli nie liczyć Wilczura ćmiącego szluga za barem. Zapytałem, czy możemy złapać tutaj oddech, a on gestem zaprosił nas do środka. Okulary dodawały mu łagodności, tatuaże i blizny na przedramieniu jej ujmowały. Usiedliśmy. Wszyscy zamówili piwo, tylko ja colę. Pachniało starym olejem i chciałem wrócić do domu.

Długo siedzieliśmy w milczeniu. Sikorka wisiał na poręczy krzesła i spoglądał lekceważąco na proste stoły i portret Ojca Świętego zawieszony ponad barem. Wymruczał, że budowa w Warszawie nie jest mu tak straszna, jak była. I znów zapadła cisza. Wilczurowi znudziło się buszowanie na zapleczu, przysiadł się do nas i zapytał, czy może pomóc.

– Krończak za tobą łązi – zwrócił się do Trombka. – Każdy tutaj mówił tylko o tobie. Jak na mnie, miałeś rację i dawno należało to zrobić. Mam nadzieję, że Krończak uważa podobnie. Człowieku, nie łam się.

– Ani mi to w głowie.

– Nic z tego nie będzie, uwierz mi. Jeśli dostaniesz sanki, niech któryś od was wali do mnie jak w dym, mam kumpli, nikt cię nie ruszy w oranżerii. Mój poeta wyciągał ludzi nie z takich kłopotów.

– O czym ty w ogóle gadasz?

– Tak tylko mówię, jakby co. Areszt to gówno, po wyroku jest w porządku.

Wilczur ucichł. Siedzieliśmy w sześciu przy jednym stole. Czekałem, aż wszyscy dopiją, w radiu grało Varius Manx. Wilczur

powiedział spokojnie:

– Też będę stąd ruszał. Tylko dureń zostaje w Rykusmyku. Szmal leży na ulicach, ale ta dziura jest na mnie za mała. Zobaczycie jeszcze. Za dziesięć lat będziemy pili jacka w Nowym Jorku albo gdzieś. Pozdawaliście na studia? – Z naszego milczenia wyczytał odpowiedź. – Jak tak, to się jeszcze zastanówcie. Każdy dureń teraz studiuje, a kto mądry, kombinuje inaczej. Nie żebym miał się za nie wiadomo kogo, ale znamy się trochę, to wam powiem. Nie warto po prostu. Trzeba chwytąć życie.

Sikorka odpowiedział:

– Znam takich. Dziś chwytają życie, jutro grosze pod kościołem.

– Coś powiedział?

– Prawdę, a co? Ty gadasz swoją, a ja swoją.

– W porządku. Niech będzie i tak.

Każdy wiedział, do czego to zmierza, i zaczęliśmy powstrzymywać Sikorkę, ale na próżno. Siedział prosto, gotów się zerwać, i napinał mięśnie napompowane na siłowni. Powiedział, że cieszy się z wyjazdu, bo nie będzie spotykał takich mądrali jak Wilczur, a jeśli nawet wróci, to dobrze, że już się nie spotkają. Syknął:

– Rykusmyku to gówno. Ty jesteś Rykusmyku.

Wilczur wstał i poprosił, żebyśmy zabrali kolegę i wyszli. Dodał, że do pozostałych nic nie ma. Zostawiłem colę na stoliku i wzięliśmy Sikorkę między siebie. Zamknąłem za nami drzwi. Noc zrobiła się chłodna. Sikorka stanął w połowie schodów prowadzących do Dyzia i obsikał stopnie, odginając głowę do tyłu. Nim skończył, Wilczur chwycił go za kudły i pociągnął w głąb baru. Sikorka miotał się i nie mógł nawet dopiąć spodni. Żaden z nas nie wiedział, co robić.

Nim podjęliśmy decyzję, Sikorka wyleciał jak z procy przed knajpę, zaciskał ręce na plastikowym mopie. Wilczur stanął w progu, krzyżując ramiona na piersi. Czekał, aż Sikorka posprząta, a w jego wzroku nie było wrogości. Rzekł:

– Po prostu go weźcie.

19

Sikorka osadzony na przystanku autobusowym miotał się i mówił, że wróci i go zabije. Potem zaczął płakać. Zapytałem go, czemu właściwie to robi. Odparł, że nie wie, i poprosił, byśmy nie szukali drugiego dna. Zawsze chciał to zrobić i robi pewnego dnia. Uwierzyłem mu. Trombek krążył wokół przystanku. Przed nami ciągnął się pusty plac handlowy, za którym, na kształt szczerbatych schodów do samego nieba, wspinały się dachy kamienic. Obok, w stróżówce przed zamkiem, zapaliło się światło telewizora. Trombek wymierzył palec w Sikorkę.

– Kiedyś wpakujesz nas w prawdziwe gówno.

– Naprawdę? Myślałem, że akurat ciebie już w gorsze się nie da

– odparł Sikorka i wstał. Zwarli się ze sobą, trzasnęła szyba na przystanku.

Trombek – którego pięść jakoś nie mogła znaleźć drogi do twarzy albo brzucha Sikorki – syczał, że świetnie go rozumie, bo też zawsze chciał zrobić to, co teraz robi. Zabije go właśnie dziś, bo przecież wszystko stracone. Rozwieraliśmy ich jak szczęki wściekłego zwierzęcia. Po chwili Sikorka zbierał się z ziemi, a Trombek rzucał się ku niemu, przytrzymywany przez pozostałą trójkę, i puchnął z wściekłości.

Sikorka wstał. Starannie otrzepał spodnie i sprawdził rozdarcie na koszuli.

– Jeśli jesteś taki twardy, to chodź ze mną – powiedział i skierował się w stronę ogrodzenia broniącego dostępu do zamku. Mokry Trombek wysliznął mi się z rąk jak ogromna ryba. Dołączył do Sikorki.

Bez słowa ruszyliśmy za nimi.

20

Zapytałem DJ-a Krzywdę, w jaki sposób dostał się pod zamek razem z Niką. Odpowiedział ponuro, że wtedy jeszcze nic tutaj nie stało. Tymczasem teraz ogrodzenie było wysokie, z koroną drutu kolczastego. Dawno nas tu nie było. Znalazłem miejsce niewidoczne z placu ani od strony rzeki. Wskoczyłem na plecy Trombka, obwinąłem drut bluzą i spróbowałem unieść. Szpara okazała się zbyt mała, no i ktoś z nas musiałby pozostać na dole.

Bar U Dyzia przylegał bezpośrednio do zamkowego muru, ale nie było jak przeskoczyć, okno znajdowało się zbyt wysoko. Trombek powiedział Sikorce, że gdyby nie narozrabiał, weszlibyśmy do podziemi przez zaplecze, i zapuścił się w górę Chrobrego, żeby sprawdzić podwórka. Zastanawialiśmy się, czy ktoś zna stróża i czy nie ma sposobu, aby go zbałamucić. Trombek wrócił z niczym i zaciągnął nas z powrotem na plac handlowy.

Musieliśmy chwilę poczekać, gdyż na placu pojawiła się kobieta w sukience i z butem w ręku. Nie umiałem powiedzieć, ile miała lat, gdyż w naszym wieku wszystkie prawdziwe kobiety wydawały się stare. Łkała i trwożnie oglądała się za siebie. Torebka leciała jej z rąk, a wewnętrzną stroną ud spływała stróżka krwi. Popatrzyła na zamek, przyspieszyła i wkrótce jej nie było. Sikorka powiedział, że tak powinien wyglądać herb Rykusmyku: zmiętoszona baba trzymająca but.

Za stróżówkę służył barak z blachy falistej, o jednym oknie zwróconym w stronę Rykusmyku i drzwiach – jak się domyślaliśmy – wychodzącymi na zamek. DJ Krzywda przyglądał się przez chwilę konstrukcji i ocenił, że powinno się udać. Musieliśmy tylko pójść w drugą stronę niż on i czekać. Zapytał, czy ktoś ma scyzoryk, więc Blekota dał swój i obojętnym tonem zwrócił uwagę, że DJ Krzywda ledwo trzyma się na nogach. Ten wzruszył ramionami, dobił do ogrodzenia i zaczął się skradać w stronę stróżówki. Skryliśmy się za nyską. Głowa stróża, widoczna w okienku, kiwała się przed telewizorem.

Na próżno wypatrywałem DJ-a Krzywdy. Trombek powiedział, że cymbał pewno polazł przed siebie i prędko nie wróci. Telewizor zgasł. Po chwili na placu pojawił się stróż i powędrował w tę samą stronę co DJ Krzywda. Przebiegliśmy za jego plecami obok stróżówki i wskoczyliśmy na skały, kryjąc się między drzewami. Mogłem już dotknąć zamkowego muru.

Zza ogrodzenia wypadł DJ Krzywda i pocwałował w naszym kierunku. Nogi mu się splątały i po chwili upadł na żwir. Podnosił się niezdarnie, a zza ogrodzenia wyłonił się zziajany stróż. Właściwie tylko sylwetka na tle latarni. Miał przed sobą DJ-a Krzywdę w plamie światła, ale zdawał się go nie dostrzegać. Patrzył po drzewach i plandekach. Pokręcił głową, jakby stał się świadkiem cudu, którego sensu nie mógł przejrzeć. Otworzył drzwi do stróżówki i wszedł w śnieżycę Polsatu.

21

Drzewo zrobiło się potężne, gałąź grubości uda zdawała się wrastać w mur pod oknem. Trombek zbadał guzy na pniu i stwierdził, że spokojnie damy radę się wspiać. Rykusmyku

widziane z wysokości zmieniło się w labirynt ciemnych, ociosanych skał przedzielonych kanionami pomarańczowego światła.

– Chciałbym, żeby to wszystko się skończyło – powiedział Trombek. – Po prostu. Mam dosyć.

– Niech znikną. Nie wiem jak, ale w końcu nie muszę się tym martwić. Nika i ten bachor. Niech ich nie będzie – dyszał DJ Krzywda. – Znaczy, nie życzę jej źle, niech sobie kogoś ma, niech będzie szczęśliwa. Nie chcę jej oglądać tylko...

Przerwał mu śmiech. Sikorka nie mógł uwierzyć, że naprawdę to słyszy, że Krzywda tak mówi. Trombek ponaglił, że teraz jego kolej na życzenie. Sikorka stwierdził, że to idiotyczne, bo tam na dole niczego nie ma, ale w końcu rzekł:

– Kasa, w porządku? Kasa cię zadowala? Więc furę szmalu poproszę.

– Tylko miłość – szepnął zawstydzony Blekota. Trombek otoczył go ramieniem i powiedział, że to piękne życzenie. Nadeszła moja kolej.

Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Skrzek rozrywał mi głowę i wzbijał żołądek do gardła. Miałem wymamrotać, że niczego nie chcę, ale nikt by mi nie uwierzył i poznaliby się na kłamstwie, nie o kłamstwo też chodziło tej nocy.

– Chciałbym przestać słyszeć – powiedziałem po prostu. – Nie ciągnijmy tego, dobrze?

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Trombek pierwszy stanął na gałęzi. Wspólnymi siłami wciągnęliśmy DJ-a Krzywdę, a ja przepchałem go przez okno w zamkowy chłód i skoczyłem za nim.

Szkło zachrząściło pod butem, zabrzmiał krzyk i mokra ręka spadła mi na twarz.

To była Szalona Tekla o paznokciach obgryzionych do krwi. Kuliła się pod oknem, w długiej koszuli i tanich adidasach. Wstała. Sikorka umknął przed jej dłonią. Reszta pozwoliła pogłaskać się po twarzach. Przy mnie zatrzymała się na dłużej, jakby wyczuła coś pod skórą. Powiedziałem, że matka jej szuka. Zagłębiliśmy się w korytarzu, odprowadzani przez zawrodożenie Szalonej Tekli:

– Nie! Nie!

Na tle okna przypominała szmatę targaną przez wiatr. Trzymałem się z tyłu. Przyjaciele unosili płomyki zapalniczek, ja swojej nie miałem. Nie mogłem uwierzyć, że to robimy. Napięcie, znane z poprzednich wędrówek, zniknęło. Szukałem odpowiedzi w chropowatej ścianie. Badałem gruz, gładziłem kamienie. Znajdowałem części większych całości. Trącałem niedopałki i liczyłem kroki. Przy sześćdziesiątym siódmym Trombek przyklęknął, gmerał chwilę przy ziemi, ale niczego nie znalazł. Robiło się coraz chłodniej. Szalona Tekla skoczyła mi na plecy, obaliła i przycisnęła kolanami do podłogi. Chwyciła mnie za skronie i dalej powtarzała swoje: nie, nie, nie. Jej skrzek przypominał mój własny.

Przyjaciele szarpali ją za ramiona. Byli słabi, ona silna. Nagle zmiękła.

– Oni tak, ty nie. Nie idź, proszę, proszę. – Wodziła mi po policzku połamanym paznokciem. Całowała w brodę i usta. Wydała mi się inna, bardziej ludzka.

Sikorka z Trombkiem odrzucili ją daleko, w ciemność i płacz. Wstałem i powiedziałem, że ma się przejmować nie mną, ale sobą. Słyszałem, jak odpełza. Ruszyłem w głąb tunelu i zaraz zapomniałem o Szalonej Tekli. Skrzek, mój nieodłączny towarzysz, przyjaciel, wróg i nieobecny ojciec, nikł z każdym krokiem.

Chciałem biec. Chciałem tańczyć, choć nie wiedziałem, czym właściwie jest taniec.

23

Korytarz kończył się ścianą. W szparach między cegłami tkwiły woskowe ogryzki o krótkich, czarnych knotach. Zapaliliśmy kilka. Ściana była po prostu ścianą i oznaczała koniec naszej wędrówki.

DJ Krzywda cofnął się trochę, badał mur i naciskał te cegły, które wydawały mu się inne od pozostałych. Nie mógł uwierzyć. Usiadł i załamał dłonie. Sikorka obwieścił, że wiedział od początku, że tak będzie. Zapytany, czy był tu wcześniej, odparł, że nie jest idiotą. Czego się spodziewaliśmy? Blekota chciał wracać, Trombek chodził w kółko. Trochę to trwało. Rozkoszowałem się milczeniem i wyobrażałem sobie, że mógłbym tutaj zostać.

DJ Krzywda podniósł z podłogi kawałek wosku. Poświecił. Wszędzie leżały okruszki świec. Podeszedł do ściany i ponownie przyjrzał się cegłom. Wyjął pierwszą lepszą świeczkę, włożył palce w powstały otwór. Zajął się kolejną. Nie odpowiadał na pytania, co robi, tylko podniósł płomień nad głowę. Płomyk zgasł, ale to wystarczyło.

DJ Krzywda wszedł na ramiona Trombka. Zapalniczka rzuciła światło na otwór pod sufitem, wysoki na metr, dość wąski. DJ Krzywda zostawił zapaloną świeczkę u jego wylotu, zeskoczył i zaczął nas zapewniać, że czuł powiew powietrza z drugiej strony. Dodał, że korytarz jest długi, ale przecież musi się czymś kończyć.

Nikt nie słuchał protestów Blekoty. Usunęliśmy resztę świeczek, odkrywając miejsca oparcia dla palców. DJ Krzywda poszedł pierwszy. Zobaczyłem jego nogi niknące w ceglanych ustach. Zawołał, że jest bezpiecznie, i chyba widzi koniec tunelu. Poszliśmy za nim wszyscy.

Po bokach piętrzyły się kawałki cegieł, spomiędzy których sterczały rękawy kurtek, czuby butów i róg telefonu komórkowego. Środek ścieżki był gładki i czysty. Szybko zacząłem tracić oddech, a gdy się zatrzymaliśmy, uderzyłem w Blekotę. Usłyszałem DJ-a Krzywdę, jego przepełnione zdziwieniem westchnienie, a potem ciszę.

24

Po drugiej stronie otłuczona ściana wyglądała tak, jakby próbował na nią wjechać czołg. Ktoś musiał szturmować ten mur w próżnej nadziei przebicia się na zewnątrz. Sikorka powiedział, że to musi być stare i że na pewno użyto tarana. Cegłę zdobiły rdzawe cętki.

Robiło się coraz chłodniej, zapalniczki dawały mniej światła. Dotarliśmy do rozwidlenia, potem do następnego. Skręcaliśmy byle jak, za ciepłem, zimnem, urojonym pędem powietrza.

Coś chrupnęło pod nogą Trombka i kazało mu się schylić. Zgarbiliśmy się nad kośćmi dziecka otulonymi przez resztki jasnej bluzy i krótkich spodenek. Małe stopy wciąż były w sandałach. Obok leżał zegarek elektroniczny. DJ Krzywda błagał, żebyśmy zawracali, ale już nikt nie wiedział, jak to zrobić. Jakbyś szedł przez sen. Skręciliśmy w kolejną odnogę. Tam ciał było więcej.

Widzieliśmy je przez moment w świetle zapalniczek – młodzi i starzy, o pociemniałej skórze opinającej czaszki i wyciągniętych przed siebie ramionach, jakby zmarli w ostatniej chwili zapragnęli odrzucić je jak najdalej od ciał. Mężczyźni w mundurach, resztkach garniturów i swetrów. Kobiety w rozpiętych bluzkach odsłaniających kraterę w miejscu piersi.

Otoczający nas zapach nie pozwalał oddychać. Trombek zgasił zapalniczkę. Inni poszli za jego przykładem i poszliśmy ostrożnie

dalej, zostawiając umarłych za sobą.

25

Sikorka uderzał pięściami o pobielane ściany i krzyczał. Przystawaliśmy co chwilę i w świetle zapalniczek przyglądaliśmy się własnym przerażonym twarzom. Na ścianach widzieliśmy ośmiornice, kaczki, zebry i delfiny namalowane dawno temu. Wpadaliśmy w płytkie jamy pachnące winem.

Na próżno próbowaliśmy ocenić kierunek po płomieniu zapalniczki. DJ Krzywda przez jakiś czas chciał skręcać tylko w prawo, aż odpuścił. Wędrowaliśmy na oślep, odpoczywając w rozwidleniach, gdzie mogliśmy usiąść w kręgu. Zapominałem o wszystkim, co wydarzyło się tej nocy. Przyjaciele byli przejęci i przerażeni; szeptali, że nigdy już nie wyjdziemy na słońce.

Ja rozkoszowałem się ciszą. Aż do tej pory nie wiedziałem, że cisza istnieje.

Położyłem się i chciałem usnąć. Podnieśli mnie. Trombek posłyszał dudnienie z korytarza. Powiedział, że musimy iść w stronę tego dźwięku. Nikt nie pytał dlaczego. Szedłem w środku, za mną Blekota powłóczył nogami i szeptał, że nie chce jeszcze umierać.

Dźwięk wkrótce umilkł i znaleźliśmy się w ciszy. Zapalniczki przygasały. Moje ciało było brudne od środka, jakby wszystkie trucizny podeszły pod skórę. Korytarze robiły się coraz krótsze, rozgałęzienia zdarzały się częściej, szorowałem głową o sufit. Zrobiło się ciepło i duszno. Niespodziewanie Trombek zerwał się do biegu. Pognaliśmy za nim, objając się o ściany. Myślałem, że oszalał. Nawoływaliśmy, aby zwolnił. Nie odpowiadał.

Aż wreszcie zobaczyliśmy jego potężną sylwetkę na tle księżycowego promienia.

Nóż zwisający z sufitu odkrajał światło od ciemności. Przez świetlik wpadał słabnący blask księżyca. Na ścianach baraszkowały gryfy, miały ciała kotów i groźne, ptasie łby. Kąty pomieszczenia ginęły w mroku. Krew zbrązowiała na piasku, a podłoga pulsowała ogłuszającym łoskotem bębnow.

Przypominaliśmy zmarłych poderwanych z grobów w dniu sądu. Pył pobieliał czarne ubranie Blekoty, a jego długie włosy skręciły się w zakurzone strąki. Sikorka był czerwony na twarzy, rozchyłał usta, jakby właśnie wypułł tłusty kęs. Pot lśnił na DJ-u Krzywdzie. Trombek stał w rozkroku. Spod mokrej koszuli wylewał się biały brzuch.

Jeśli nie byliśmy jeszcze martwi, to miałem pewność, że za moment umrzemy. Runiemy w piach bez życia, wszyscy w tej samej chwili, jak przystało na prawdziwych przyjaciół. Ale zaczęliśmy tańczyć.

Tańczyliśmy pod księżycem, otoczeni ogniem. Nie widziałem siebie. Moje nogi stąpały same i nie wiedziałem, że są zdolne do takiego wysiłku. Mocne i pewne, jakby ubijały ziemię przed jakimś ważnym wydarzeniem. Bębny wibrowały mi w brzuchu, biegły ku górze, wprawiając głowę w drżenie.

Widziałem tylko ich cienie. Sikorkę taniec podzielił – jego mocny tors kołysał się miękko, do rytmu, ramiona wiły się jakby pozbawione kości, palce wspinały wysoko, ku świetlikowi, chwyciły księżyc, jego srebro – bogactwo, którego tak potrzebował. Ale jego nogi tupały w miejscu, mocno i wściekle. Ktokolwiek znajdzie się w ich zasięgu, zostanie rozdeptany. Przysięgłbym, że Sikorka się śmieje.

DJ Krzywda tańczył niczym łyżwiarz rzucony na za małe lodowisko. Balansował biodrami i klaskał, co chwilę ocierając pot z czoła. Nogi unosił wysoko i powoli, opuszczał gwałtownie. Odpychał się od ziemi. Schylał się po piasek i ciskał nim jak najdalej od siebie, jakby go parzył w dłonie. Wreszcie oplótł ramionami głowę i zaczął się kołysać.

Trombek kręcił piruety, unosząc piach przemieniony w wir poczerwieniały od ognia. Rozkrzyżował ramiona. Czułem wzbudzany przez niego podmuch. Wydawało się, że uleci pod świetlik, może nawet wyżej, ale Trombek tylko stracił kontury. Stał się smugą bez głowy, z czarną, blaknącą plamą w miejscu brzucha. Jako jedyny z nas wydobył z siebie dźwięk, coś pomiędzy jękiem a okrzykiem zachwyty.

Blekota robił drobne kroki i przyciskał do piersi niewidzialny kształt. Głaskał go i pieścił, zaczął się z nim szarpać, wypuścił i schwycił ponownie. Na tym polegał jego taniec – podrzucał niewidzialną postać, przyciągał ją i odpychał. W pewnej chwili zwolnił, ramiona mu zesztynniały i tylko stopy roztrącały piasek. Obracał głowę ku mnie i ku innym, jakby chciał zapytać, czy dobrze tańczy, czy o to w tańcu chodzi.

Z brzucha, serca i głowy, tak jak pozostałym, odchodziły mi ciemne cienie. Na próżno próbowałem je rozgonić – odbiegały w kąty pomieszczenia, ale zaraz wracały. Niech sobie będą, pomyślałem, co mogą mnie obchodzić. Warto tańczyć tu, w podziemiach. Za każdą nieprzespaną noc i połamany dzień. Za lodowate miesiące rozgrzewane tylko gniewem. Za drogi pełne spalonych domów i łunę na horyzoncie. Za popsute ciało i jego gniew kaleki. Za rzeczy niedokończone. Za kobiety o głodnych łonach i moje własne wysuszenie. Za świt witany w kuchni. Za

Rykusmyku. Za rękę, co nie słucha głowy. Za ciemne ulice zionące grozą i złem. Za dziewczyny, które zawsze odejdą z lepszym. Za ponure baby, które zawsze zostają. Za wściekłość i Wściekłość. Za wyrwę po ojcu, nie do zasklepienia.

Za dziecko uschłe w przypadkowej matce. Za miłość. Za pieniądze. Za to, żeby wreszcie nastał koniec. Za ciszę, żeby trwała.

28

W tańcu patrzyłem na siebie jak na kogoś obcego. Z brzucha, krocza i głowy ciekły czarne nitki, szukały się nawzajem na piasku, jak ślepe kocięta. Złączone w ciemną chmurę sunęły ku kamiennym ławom, żeby tam zgęstnieć i zlać się w jedno. Inni także je widzieli. Blekota unosił nogi jeszcze wyżej, żeby ich nie rozdeptać.

Czułem ulgę. Stawałem się lekki. Zawieszone ostrze zaczęło lśnić, a bębny grały jeszcze głośniej.

29

Byk, ogromny, o połamanych rogach sterczących z mokrego łąba, stał między nami. Żar pełzał w owianych parą nozdrzach, muskularne ciało nosiło ślady wielu ran. W miejscu przednich kopyt ogromne dłonie wpijały się w piach. Przez grzbiet biegł pas łysej, czerwonej skóry.

Rozkleił powieki i przejechał po nas zimnym spojrzeniem. Zakołysał ciałem na znak, że jest gotów. Przestępował z pięści na pięść. Nie mógł podnieść głowy zbyt wysoko.

Nie przestawaliśmy tańczyć. Bębny zsylały uderzenia gorącego powietrza i przez moment byłem pewien, że to ja skoczę. Naprawdę. Inni mieli jeszcze coś do stracenia. Pięść potwora rytmicznie biła w piach. Sapał. Na miękkich nogach ruszyłem mu

naprzeciw, ale znalazł się ktoś, kogo noc złamała bardziej niż mnie.

30

Trombek pożegnał skinieniem głowy każdego z osobna. W wyrazie jego twarzy było coś przepraszającego. Nic nie powiedział, ale wszyscy wiedzieli, że naprawdę tego chce.

Przestępując z nogi na nogę, wyszedł naprzeciw byka. Jego potężna sylwetka zmalala przy tamtej potędze. Wydawał się kruchy, potwór przyglądał mu się uważnie, wykonał krok do tyłu, oddając pola. Kropla ciemnej śliny z sykiem upadła na piasek. Trombek wzruszył ramionami, jakby cokolwiek przestało go obchodzić. Zerknął ostatni raz na naszą czwórkę. Uśmiechnął się. Zdjął koszulę, pochylił tułów i rzucił się do przodu.

Wybił się i próbował schwycić rogi jak poręcze, ale byk machnął głową i Trombek runął z rozprutym brzuchem. Żył jeszcze przez chwilę. Cofał się na łokciach. Byk przycisnął go do ziemi i zagłębił gorący nos we wnętrzościach. Zamilkły bębny, a my pobiegliśmy korytarzem na oślep, przed siebie.

Być może tak właśnie się zdarzyło.

31

Pomarańczowy samochód jechał od strony Legnicy i zaczął wspinać się w kierunku rynku. Miejscowi, w kurtkach i czapkach, ładowali się do porannego autobusu, a szare strugi mgły wolno unosiły się ponad dachy kamienic. Pod plac podjeżdżały samochody dostawcze, handlarze wykładali towar na stołach. Zatrzymaliśmy się na moście. Zwiesiłem dłonie nad sennym nurtem Brzanki. Rykusmyku pachniało papierosem i tanim proszkiem do prania.

Nie potrafię powiedzieć, kto odezwał się pierwszy. Głowa zaczęła mi się kurczyć i chciałem mieć tę rozmowę jak najszybciej

za sobą. Więc ustaliliśmy. Czterech umorusanych chłopców zwisających przez poręcz mostu nad rzeczką w Rykusmyku.

Wszyscy poza mną wyjadą, żeby nigdy nie wrócić. Pozostaną głusi na błagania rodzin, święta, chrzty, pogrzeby. Ja zostanę, bo jednemu wolno.

Nie zobaczymy się nigdy więcej. Nie będziemy do siebie dzwonić, pisać, a żaden nie śmie odwiedzić pozostałych. Każdy ma swoje miasto i powinien się go trzymać, jeśli tylko zdoła.

Wytańczyliśmy swoje życia i tylko głupiec by tego nie wykorzystał. Inaczej śmierć Trombka pójdzie na marne.

Nigdy nikomu nie zdradzimy, co stało się w podziemiach.

Nikt się nie dowie, dlaczego tak naprawdę Trombek nie wrócił.

Rozstaliśmy się bez słowa i uścisków dłoni. Z Blekotą przeszedłem jeszcze kawałek. W pewnej chwili usiadł na chodniku i zapłakał. Pomogłem mu wstać i pocieszyłem, choć miałem swoje problemy. Skrzek, wbrew życzeniu, powrócił. Odprowadzałem wzrokiem Blekotę, wlokącego się w stronę swojego małego mieszkania, i zastanawiałem się, co zrobiłem źle.

Wściekły pojąłem, że życzenia potrzebują czasu.

32

Pod Basztą Piastowską czekała Szalona Tekla. Pozwoliłem ująć się za dłonie i usiadłem przy niej. Nagle wydała się najnormalniejszym człowiekiem w Rykusmyku. W jej ręce pojawiła się plastikowa butelka. Długo i starannie ocierała moją twarz mokrym rękawem. Popatrzyła mi w oczy i powiedziała:

– Ja też to słyszę, Szymek.

Rozdział trzeci

1

Noga mojej żony zaczęła tańczyć na początku lata 2012 roku, kiedy na dachu wieży ciśnię grzały się ptaki. Remont rynku został zakończony, a na rogu Lipowej i Staromiejskiej wbudowano rdzawy monument, żeby upamiętnić to wydarzenie. Kamienice zyskały nowe barwy – naprzemiennie błękitną i pomarańczową – rozdziawione usta arkad nadal skrywały bar mleczny, spożywczak, całodobowy, sklep Amadeo pełen podróbek włoskich butów, dewocjonia i kiosk, w którym można było kupić wszystko. Między nimi pozostały bramy o znajomo zniszczonych drzwiach wiodących w półmrok, ku drewnianym schodom. W oknach stały donice.

Wystawa w ratuszu upamiętniała siedemsetną rocznicę założenia miasta. Ludzie odwiedzali ją w poszukiwaniu darmowego chłodu. Przyglądali się kopiom rycin i strzępom dokumentów, zbroi, muszkietowi i zadbanym Niemcom na przedwojennych fotografiach. Dzieci wołały o breloczki z rysunkiem zamku zatopionym w plastiku. Teatr miejski, od wielu lat przeżywający kłopoty finansowe, ogłosił przerwę do końca roku. Jego drugie piętro wynajęto fundacji Nowoczesna Prowincja, która na razie nie zatrudniała nikogo, więc piętro było zamknięte na głucho. Krążyły plotki, kto może być jej właścicielem i czego szuka w Rykusmyku. Podinspektor Krończak znalazł o poranku kolejny płód porzucony w śmieciach. Wokół rynku parkowało jakby więcej nowych samochodów. Busiki wciąż przyjeżdżały i odjeżdżały z placu handlowego. Na wakacje obcięto kursy. Panował tłok.

Lombardy znikwały niezauważenie, a po tym prowadzonym przez Gablociarza nie pozostał nawet ślad. Sam Gablociarz spędzał dnie w ukryciu, zaś co drugą noc przesiadywał w stróżówce obok

ogrodzonego zamku. Nie on jeden. Sklep z dopalaczami, zamknięty od ponad roku, teraz odżył. Sprzedawano w nim też elektroniczne papierosy i odtąd w kawiarniach i na murkach natykałem się na ludzi z czarnymi różdżkami w ustach owianych parą.

Mieliśmy dwa markety wielkopodłogowe – Tesco i Lidl – więc pogłoski o budowie trzeciego elektryzowały miejscowych podobnie jak istnieje fundacji, która niczego nie funduje. Tego lata każdego tygodnia wybuchały plotki odnośnie do nowej lokalizacji. Duży kompleks sportowy umiejscowiony na obrzeżach Rykusmyku zyskał konkurenta w postaci mniejszej siłowni zbudowanej w miejscu dawnego centrum interwencji kryzysowej, gdzie wielokrotnie bywała Tekla. Na parterze otwarto pokoje dla gości i barek z drinkami dla sportowców. Stary Herman coraz rzadziej pojawiał się w miasteczku. Tego lata widziałem go tylko raz, w środku nocy, jak stoi pośrodku placu handlowego i rozgląda się, jakby poszukiwał drogi.

Zielonoświątkowcy zniknęli, satanistyczne napisy przestały pojawiać się na murach i jeśli dobrze pamiętam, na rynku odbył się tylko jeden koncert bezimiennego gwiazdora śpiewającego nikomu nieznane przeboje. Dzieci nie wyrywały już gwoździ z Kościoła Pokoju, ale sam kościół stał, ani trochę nie zmieniony. W parku zrobiono kawiarnię w odrestaurowanym, drewnianym pawilonie. Pastor z rodziną przychodził tam w słoneczne dni. Dzieci jadły lody, pastor z żoną pili kawę mrożoną, a inni goście pili co innego.

Pojawiło się nowe pośrednictwo nieruchomości, a szkoła językowa ogłosiła zniżkę na wakacyjny kurs. Za drugim parkiem, tam gdzie płynęła Brzanka i był staw z kaczkami, pojawiło się małe nowoczesne osiedle. Rozrastało się niepokojąco szybko.

Kolorowe domy wgrzyzały się w zielen. Jeden z nich należał do matki Tekli. Upiększono też czteropiętrowe budynki z lat siedemdziesiątych i fala kolorów powoli, lecz uparcie przykrywała sobą szarość. Letni wiatr porywał płachty z rusztowań i niósł ponad miastem.

Tego lata – kiedy noga mojej żony zaczęła tańczyć – jeden z busików przeleciał przez barierkę i stoczył się do Brzanki, tuż koło mostu. Nikomu nic się nie stało i nim nadeszła pomoc, pasażerowie zdolali wydostać się na brzeg albo brodzili w płytkiej wodzie, szukając plecaków, torebek i portmonetek. Busa nie dało się wyciągnąć. Nocą nad rzeką błyskały latarki – to dzieci wypatrywały skarbów. Nad nimi wznosił się zamek, od dawna ciemny i cichy, jakby to, co żyło w podziemiach, znudziło się nami wszystkimi.

2

Noga mojej żony zaczęła tańczyć o zmroku. Wystrzeliła spod koca i zaczęła kiwać się rytmicznie, jakby w takt muzyki, której nie mogłem usłyszeć. Zapytałem Teklę, co się dzieje, ale nie potrafiła odpowiedzieć. Pantofel poleciał w powietrze i naga, żyłasta stopa trzepotała mi w rękach. Zdziwienie na twarzy Tekli przeszło w uśmiech. Była przerażona. Poprosiłem, żeby wstała z fotela. Tak zrobiła, z moją pomocą. Stopa, dociśnięta do podłogi, znieruchomiała. Objęliśmy się, dotykając czołem o czoło. Umiałem udawać, że to pomaga.

Usadziłem ją z powrotem na fotelu, pomiędzy rzeczami niedokończonymi lub zapomnianymi: książkami, których nigdy nie doczytaliśmy, i zafoliowanymi filmami, kłębkami włóczki, matą do jogi, ciężarkami, kurzącym się komputerem i telewizorem, w którym nigdy nie zmienialiśmy kanałów. Był tam też zakurzony

sprzęt grający od Władysławy i stłuczony talerz – także od niej. Bogowie wszystkich religii zatrzaśnięci w książkach na dnie skrzyni pod oknem. Powiedziałem Tekli, że moglibyśmy razem zrobić tu porządek, Tekla kiwnęła siwiejącą głową, na której pulsowały żyły. Wbiliśmy wzrok w stopę. Tak mijały minuty. W ciszy, bo niewiele mówimy.

Zrobiłem płatki, zapadł zmrok. Tekla szepnęła, że gdy noga zaczęła tańczyć, ona poczuła niewielką ulgę. Przynajmniej tak jej się zdaje. Tekla co jakiś czas czuje się lepiej, co zawsze kończy się tak samo. Ma bladą twarz i dłonie staruszki, drżące zawsze, kiedy nie mają czego chwycić.

Tej nocy szedłem do pracy, ale położyliśmy się razem. Tekla wzięła prysznic za zamkniętymi drzwiami. Otarłem jej czoło mokrym bandażem. Myślałem o niej i o sobie. Za dziesięć lat będę słyszał to, co ona. Gdzie za dziesięć lat będzie Tekla? Położyłem się obok. Dyszała mi w usta. Trzymałem dłonie na jej skroniach tak długo, aż zapadła w sen. Zabrałem termos i saszetkę z zupą. Zajrzałem do sypialni.

Tekla spała na wznak, a stopa ruszała się pod kołdrą.

3

Rozrost Rykusmyku przyniósł zmierzch Gablociarzowi, który jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych był królem ciemnych interesów miasteczka. Odkrył biedę, otwierał lombard za lombardem, założył agencję pożyczek krótkoterminowych i kilka sklepów z tanią odzieżą. Widywałem go, jak stoi półnagi w oknie i spogląda na swoje kieszonkowe imperium. Potem zakładał dwurzędową marynarkę, łańcuch z białego złota i wyruszał na obchód. Pracowałem u niego w ciucholandzie, ale mnie zwolnił. Powiedział, że jestem w porządku, choć mam dwie lewe ręce, i

poradził, żebym coś ze sobą zrobił, bo inaczej zostanę niewolnikiem, jak wszyscy tutaj. I będzie wstyd.

Dotarły do nas banki i rejestr długów; było trudniej o pożyczkę, w zamian zmniejszeniu uległ jej procent. Telewizory, komputery, żelazka i zestawy kina domowego gwałtownie potaniały i już nikt nie zanosił ich do przepełnionych lombardów. Mało kto ze mną rozmawia, jestem obcy we własnym mieście, lecz słyszałem, że ten sam bank kręcił interes z lichwą, w końcu zlicytował wszystko, co było do zlicytowania i Gablociarz został z niczym. Wtedy wystarał się o posadę stróża i dbał, żeby nikt nie dostrzegł jego nędzy. Wciąż nosił dwurzędową marynarkę i łańcuch z białego złota. Nie pił alkoholu, jadał zdrowo. Zaczął przesiadywać w bibliotece i pożyczał książki. Zastawałem go w stróżówce, między grubymi tomami sprzed wojny, jak dziobie słowa w zeszycie. Zbierał materiały do historii Rykusmyku, której jeszcze nikt nie napisał.

Powiedział mi, że stróż jest nikim, historyk to jednak ktoś. Powinienem o tym pamiętać, tak mi rzekł. Zapytałem, dla kogo pisze tę książkę, i odpowiedział, że dla Niemców. Niemcy kochają historię, a kiedyś wrócą po swoje, to pewne. Tak powiedział i poszedł. Z tego, co wiem, skończył zawodówkę elektryczną w Wałbrzychu.

4

Lubiłem letnie noce w Rykusmyku. Stałem oparty plecami o stróżówkę, tak aby nie spoglądać na zamek. Między budkami na placu handlowym migały cienie nastolatków, brzęczało szkło i błyskał zakazany ogień. Bywało, że potrafiłem go wyłonić z ciemniejącej masy, a człowiek lub przedmiot zyskiwał wyraźny kontur.

Dobiegały mnie odgłosy krótkich bójek. Przemykały koty. Widywałem lisy i kuny. Samochody śmigały szosą przy rzece. Pijacy od Dyzia próbowali sikać pod płotem i musiałem ich przeganiać. Pytałem, czemu nie mogli się wyszczać przed wyjściem. Ludzie się mnie boją. Ptaki spały na łagodnym kopczyku kamienic. Niżej telewizor szedł za głośno, mąż bił żonę, młodzi kochali się na strychu. Niekiedy dźwięki dochodziły selektywnie i umiałem rozróżnić jęk od krzyku.

Cieszyły te minuty rozciągnięte w godziny i wydawało mi się, że znów mam dwadzieścia lat. Czasem zapominałem o Tekli.

W stróżówce zwałem się na obrotowy stołek, a potem na wersalkę, której nie mogłem tu mieć, a jednak zawsze była. Udałem, że drzemię z ręką przerzuconą przez oczy. Telewizorek śnieżył. Przerzuciłem kolorową gazetę, odczytałem imię i nazwisko. Przeglądałem książki Gablociarza i jego zeszyt wypełniony pismem dziecka. Otworzyłem puszkę i prawie poczułem zapach fasoli. Zazwyczaj nie czuję zapachów. Podgrzałem zupę, szorowałem językiem po podniebieniu, polując na pieprz. Ścigałem się z małą wskazówką zegarka. Przed trzecią zawył alarm samochodowy zwiastujący spokój. Rykusmyku wpadło w mrok i ciszę. Byłem jedynym stróżem, który nie sypiał.

Skrzek nasilał się z roku na rok. Cierpienie z wczoraj dziś było miłym wspomnieniem. Nigdy nie wierzyłem, że może się jeszcze pogorszyć, i zawsze byłem w błędzie. Stróżówka przynosiła ulgę. Do zamku ponad nią nie śmiałem wejść. Proponowałem Tekli, żeby spędzała noce ze mną, ja na krześle, ona na kanapie. Powiedziała, że nigdy mi tego nie robi, choć boi się, że kiedyś nie wrócę. Zamek cię weźmie, mówiła. Zawsze, gdy wychodziła z domu, nadkładała drogi, byle iść dalej od tego budynku. „Jesteś jak abstynent

spędzający wieczór nad pełnym kieliszkiem”, powiedziała. I jeszcze: „Przypominasz palacza z zimnym papierosem w ustach”. Masz rację, biała żonko, pomyślałem, ale nie ma nazwy dla mojej choroby i brakuje terapeutów.

Z porannej mgły wyłonił się Gablociarz z torbą przerzuconą przez ramię. Przekazałem mu klucze. Tak z nim się pracowało. Zapytał mnie, czy słyszałem nowiny, i rzekł, że nie kto inny jak Wilczur wrócił do Rykusmyku. Wyraził pewność, że wszyscy wrócą. Na coś czekał. Po prostu poszedłem do domu. Spokojny głos Gablociarza zlał się z szumem silnika porannego busa. Gablociarz rzekł:

– Muszę ci powiedzieć, że fundacja w teatrze należy właśnie do Wilczura. Jak myślisz, czego on tu szuka?

5

Złośliwa Władysława przypominała Basztę Piastowską: sterczała w Rykusmyku niezależnie od zmian. Nasze stosunki dryfowały od nienawiści do niezdarnie markowanej niechęci. Kiedy dowiedziała się, że zamierzam poślubić Teklę, nasyłała Krończaka, żeby zrobił ze mną porządek. W końcu – tak słyszałem – Krończak kazał jej się cieszyć, że ktoś wziął jej postrzeloną córeczkę, i tak to się skończyło.

Była w radzie miasta, a gdy Rykusmyku odmówiło jej swych głosów, wywarła zemstę, działając w różnych stowarzyszeniach. Popierała inwestycje, które jej się podobały, nie zważając na koszt. Przepędzona, poszerzała przestrzeń swoich działań. Przeprowadziła się do nowego domu i kupiła ogród, w którym zawsze było coś do zrobienia, a miejscowi mogli zarobić sto złotych za pracę od świtu do zmierzchu. Opowiadała mi, gdzie jest najlepsza wołowina, kto ma przednie ziemniaczki i gdzie warto

kupować owoce. Gdy się postarzała, wędrowałem za nią, ciągnąc siatki. Namawiała nas, żebyśmy zdecydowali się na remont, i chyba dlatego nigdy go nie zrobiliśmy. Albo z jakiegoś innego powodu.

Starzy ludzie nie mają innej przyszłości niż tylko cudzą. Władysława uwielbiała mówić, jak to przez całe życie ciężko pracowała. Wstawała o piątej nad ranem i przez cały dzień nie kładła się spać. Nie wiem, jak to możliwe. Była dumna z tego, że zapewniła sobie dostatnią starość.

Niektórzy lubią czekać godzinami w państwowej przychodni, lecz ona nie lubi. Pytała, co z nami będzie, jeśli nie weźmiemy się do życia. Mówiła, że powinienem zadbać o emeryturę żony i swoją, otwierała portfel i dawała stużłotówkę. Nigdy żadnej nie wydałem. W szufladzie mam plik setek grubości Biblii.

6

Władysława uważała, że nie umiemy jeść, i co niedzielę zapraszała nas na obiad do restauracji Ratuszowej. Ludzie patrzyli na mnie i na Teklę, jakbym prowadził własną matkę.

Tym razem spóźniliśmy się dziesięć minut, co nie spodobało się Władysławie. Powiedziałem, że przecież jest niedziela i kwadrans w jedną czy w drugą stronę nie robi różnicy. Zgodziła się ze mną i zapytała, dlaczego w takim razie nigdy nie przyszliśmy kwadrans wcześniej. Zawiesiłem kurtkę na oparciu. Na ten widok nozdrza Władysławy zaczęły się ruszać.

– Czy ten łoś jest świeży? – pytała kelnera. – Miły panie, wiem, że ryby przyjeżdżają w czwartek, i dlatego muszę wiedzieć. Oczywiście, że nie podalibyście zepsutej ryby, tak, to jasne, ale ja rozumiem pana, a pan rozumie mnie. No to w takim razie proszę coś innego, najlepszego. Butelkę wina. I dwa kieliszki. Szymek,

chcesz pić? A nie idziesz do pracy? Zresztą, jaka tam praca ta twoja praca. Martwię się, bo tylu stróżów się zapiło. Z dobrego serca. Widziałam, to wiem. Miałam takiego jednego, który...

Nie piję. Alkohol przynosił ulgę, lecz kac wzmacniał skrzek. W Ratuszowej gromadzili się ludzie. Pięcioletni blondynek miał chyba urodziny. Zbierał prezenty i ciskał papierkami. Zjawił się mężczyzna w starej skórzanej kurtce i z torbą podróżną. Chyba ojciec. Nieczęsto bywa. Chłopiec obejmował go jak krzak jałowca. Kolejni goście składali łokcie na czerwonych obrusach, jakby na coś czekali. Stolik pośrodku był pusty i zarezerwowany.

Zaczęliśmy jeść. Wziąłem kieliszek wina, tak na złość. Władysława wróciła do tematu remontu i chciała wiedzieć, czemu tak się upieramy. W latach osiemdziesiątych bez problemu załatwiłaby mi robotę urzędową, no ale teraz jest jak jest. Na jej szyi kołysał się czerwonawy łańcuch. Wypaliłem, że Tekla ma skromną rentę, więc zarabiam na dwoje.

– Renta jest renta. – Władysława kroїła mięso na drobne kawałki. – Zarabiasz na dwoje, ale nie jak dwoje, a ja nie po to wychowałam córkę, żeby pracowała. No już, nie złość się tak. Wiesz, że się martwię, prawda? Nie umiem inaczej. Czasem nie wytrzymuję.

Zobaczyłem, co się święci, ale było już za późno. Tekla powtarzała ruchy matki. Bezgłośnie ruszała wargami i podnosiła widelec dokładnie wtedy i w ten sam sposób co ona. Tak samo wyprostowana, z wolną dłonią ułożoną na brzegu stołu. Trwało to kilka minut. Władysława powiedziała, że powinniśmy częściej jeździć na wakacje, że świat jest wielki i piękny i że podziwiał wszystkich przebojowych ludzi z wielkich miast, takich jak Staszek albo Karol. Co u nich słychać?

Włożyła widelec do ust, a Tekla gwałtownie opuściła swój. Władysława wybałuszyła oczy, poczerwieniała, nie mogła złapać powietrza. Wyrósł za nią kelner. Biła się w piersi. W końcu wypłuła kawałek i natychmiast zakryła dłonią. Uniosła wzrok, ale nie śmiała spojrzeć w oczy córki.

7

Młody bandyta Wilczur pozostał w Rykusmyku jeszcze kilka miesięcy po pamiętnych wakacjach. I zniknął. Jednego dnia pracował u Dyzia, drugiego już go nie było. Jedni widzieli, jak w pośpiechu pakuje samochód i wyjeżdża na pełnym gazie, inni przysięgali, że spokojnie wsiadł do autobusu. Stary Herman miał oglądać w lesie jego grób.

Podobno Wilczur wyjechał do Niemiec i próbował tam tego samego, co w Rykusmyku. Podobno szybko wskazano mu jego miejsce. Z bandą podobnych sobie zbierał pieniądze od ulicznych handlarzy crackiem, postrzelił policjanta i poszedł siedzieć na długie lata. Ktoś wyjął mu oko śrubokrętem.

Mówiono, że z Rykusmyku pojechał prosto na lotnisko we Wrocławiu i odleciał do Tajlandii. Tam się zaszył, bawił bogate turystki z Europy, aż jedna, starsza, wzięła go ze sobą do Belgii. Wilczur zarządza teraz przedsiębiorstwem transportowym i ma kilka kutrów kursujących przez Bałtyk. Utył, ale folder ze zdjęciem nie pozostawia wątpliwości – ten sam facet, tylko grubszy. Przyjął nazwisko żony.

Słyszałem też, że Wilczur zakotwiczył się w Londynie, jak miliony innych. Najpierw pracował w agencji ochrony. Powoli awansował i teraz trzyma na smyczy ze trzydziestu zbirów strzegących imprez masowych. Ożenił się z Czeszką, razem pojechali do Ameryki Południowej i nakręcili aparatem

fotograficznym kilka filmów, które można oglądać w sieci. Małpy, krokodyle. Wilczurowi urodziło się troje dzieci. Jedno choruje.

Kiedy średnie pokolenie odkryło YouTube'a, o Wilczurze zaczęły krążyć nowe legendy. Widziano go na filmikach z jedenastego września na ulicach Nowego Jorku, całego pokrytego pyłem. Objął go podmuch walącej się wieży. Biegł z karabinem, gdy w Libii obalano Kadafigo. Tańczył wraz z setką mężczyzn na koncercie plenerowym Shakiry. Mignął w reportażu o bezdomnych z Toronto, siedział na moskiewskim procesie oligarchy w okularach i robił hajhitla pod greckim słońcem. Na innym nagraniu muskularny Wilczur obracał dwie Murzynki między basenem a białą kalifornijską willą i mrużył oczy przy każdym pchnięciu.

8

Wilczur zajął zarezerwowany stolik i coś zamówił. W ciemnoniebieskiej marynarce, z apaszką i butami z jasnej skóry, przypominał rajskiego ptaka wśród mokrych gołębi. Oczy wszystkich obróciły się ku niemu, nawet Władysława wykręcała głowę. Wilczur patrzył ponad nami wszystkimi. Zaległa cisza.

Dostał wino. Jeden z mężczyzn podszedł do niego, skłonił się i uzyskawszy zgodę, usiadł na skraju krzesła. Mówił coś przez chwilę, a Wilczur słuchał. Powiedział parę słów, przyjął karteczkę z jakąś notatką i odesłał mężczyznę gestem dłoni. Natychmiast podszedł następny. Sytuacja powtórzyła się z tą różnicą, że Wilczur westchnął i pchnął banknot w jego kierunku. Kobieta nawet nie usiadła, szeptała mu coś w ucho, a on położył dłoń na jej ramieniu i odpowiadał.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Nawijał makaron na widelec, obcinał końcówkę łyżką i dalej słuchał, patrząc wprost na rozmówcę. Milczał, aż nie skończył jeść. Wtedy zapisał coś w

zeszycie. Zadzwonił mu telefon. Wilczur popatrzył w ekran i odrzucił połączenie. Zamówił espresso. Skończyliśmy jeść. Władysława oświadczyła, że powrót Wilczura nie oznacza niczego dobrego.

Podszedłem do niego z wyciągniętą ręką. Rozmawiał z jakąś starszą zaniedbaną kobietą, której wcześniej nie widziałem w Ratuszowej. Podniósł wzrok, ale nie odwzajemnił uścisku. Powiedział, że ma tutaj swoje sprawy i jeśli chcę pogadać, muszę poczekać na swoją kolej, więc opuściłem dłonie.

– To nie koncert życzeń. Muszą być jakieś zasady. Kim bylibyśmy bez nich? – zastanawiał się głośno były bandyta Wilczur.

Tekla odciągnęła mnie od niego, a do Ratuszowej wparował Krończak. Dostrzegł Wilczura, zaklął pod nosem, skłonił się Władysławie i trzasnął drzwiami.

9

Najlepiej wspominam Teklę z pierwszego okresu naszego małżeństwa, kiedy ufarbowała włosy, zaczęła się malować i kupiła trochę markowych ubrań, za pieniądze, które zebraliśmy na weselu. Wydawało się nam, że wspólnie to przewalczymy, przestaniemy słyszeć. Minus i minus da plus. Ocieraliśmy się o siebie, nic więcej. Nastąpiło pogorszenie i Tekla zgięła się jak drzewo w czasie burzy.

Zaciskałem zęby i chciałem pożyc jeszcze trochę. Tekla wybrała inaczej i pociągnęła mnie za sobą. Byliśmy u psychiatry i egzorcysty, ale nie trawił nas diabeł czy choroba. Nikt nam nie wierzył. Jeździliśmy po uzdrowiskach za pieniądze Władki. Tekla próbowała marihuany i leków psychotropowych. Recytowała mantrę. Zielonoświątkowcy kładli jej ręce na głowie, a ona mówiła

językami. Odciałem ją z lampy. Opatrzyłem płytkie rany na nadgarstkach.

Przestała włóczyć się po Rykusmyku, ale nie potrafiła znaleźć pracy albo utrzymać tej znalezionej. Władka wyżebrała dla niej rentę. Jeszcze kilka lat temu Tekla próbowała pisać wiersze i rozwiązywała sudoku w grubych brulionach. Czasem notowała coś na marginesach. O świcie, wyrwana ze snu, przeklinała swojego tajemniczego ojca, który odszedł, lecz zostawił jej skrzek. Odpowiadałem, że też nie mam ojca, ale to nie przynosiło pocieszenia.

Z roku na rok było z nią coraz gorzej, podobnie jak ze mną. Tekla była starsza i cierpiała bardziej. Widziałem w niej swoją własną przyszłość – kiedyś także po prostu siądę i będę się trząsł. Ledwo dojdę do Ratuszowej. Patrząc na nią, choć uświadamiałem sobie, co mnie czeka, jednocześnie zapominałem o własnym cierpieniu. Tekla powiedziała kiedyś, że musieliśmy kogoś skrzywdzić w poprzednim życiu. Moim zdaniem nie mieliśmy przeszłego życia. Zastanowiła się nad tym i oznajmiła, że to wielka szkoda, bo byłoby dobrze, gdybyśmy mogli spotkać się raz jeszcze, na nowo, bez bólu.

Tak, szepnęła, to byłoby coś, dla czego warto żyć.

10

Tekla rozbierała się przede mną. Leżałem w łóżku, a ona kręciła się po sypialni, uginając prawą stopę. Rozpięła bluzkę, ukazując białe, kościste ramiona. Stanik uwolnił trójkątne piersi o suchych sutkach. Zsunęła spodnie. Nad rozciągnięte majtki wypłynął półksiężyc włosów łonowych. Błyszczały księżycowe kolana. Naga Tekla bardzo powoli usiadła na krześle i zaczęła nacierać swoje ciało kremem, jakby chciała zerwać z siebie skórę.

Prawa stopa kołysała się w rytm nieistniejącej melodii. Tekla w sekwencji szarpnięć wstała i założyła koszulę nocną. Nie mogła postawić kroku przez tę nogę i do łóżka dotarła, podpierając się ściany. Jej chude ciało przypominało kamień. Układała się długo i gryzła wargi.

– Chciałabym kiedyś poprowadzić samochód – szepnęła. – Myślisz, że moja noga da radę? Ona się chyba rwie do takich rzeczy. To strasznie zabawne, co?

Leżeliśmy chwilę obok siebie. Głowa dotknęła głowy. Powiedziałem parę słów, Tekla przytaknęła, gryząc wargi. Te bzdury o tym, że warto wytrzymać. Pomogłem jej przekręcić się na bok, otarłem skronie mokrą gazą. Nie przytuliliśmy się, bo się nie przytulamy. Skrzek położył deskę między nami.

11

Najpierw myślałem, że to stary Herman kręci się przy zamku. Wyszedłem z budki, żeby go przegonić, i zobaczyłem Wilczura, jak zadziera głowę. Zamiast garnituru miał dżinsy i bluzę od dresu. Powiedziałem, że to teren prywatny. Wilczur podleciał do mnie z wyciągniętą ręką. Ja swoje trzymałem w kieszeniach.

– Przepraszam za tamto – rzekł. – W pierwszej chwili cię nie poznałem, potem nie wiedziałem, jak mam się zachować. Głupio tak wracać do Rykusmyku. No dobrze, święta racja. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Można?

Usiadł w stróżówce na brzegu łóżka. Wyjął butelkę czerwonego jasia i zapytał o szklanki. Dostał jedną. Zapytał, czy pijam w pracy.

– Na zdrowie – powiedziałem. Miałem wrażenie, że Wilczur chce mieć to spotkanie już za sobą.

– Myślałem, że wyjechałeś.

– A widzisz, niespodzianka.

– Wszyscy zastanawiali się, dokąd zawędrujesz. Kto by pomyślał, że skończysz w stróżówce. Tak jak mówiłem, nie poznałem cię.

– No to mamy dwie niespodzianki w jednej. Noc jeszcze młoda, więc uważaj.

– Słuchaj, przecież przyszedłem pomóc.

– Caritas jest za rogiem. Sam trafisz.

– Jesienią uruchamiamy parę projektów dla Rykusmyku. Przydałbyś mi się, no. Nie musiałbyś tu siedzieć.

– Tobym siedział gdzie indziej. Co za różnica, stróż tam czy siam?

– Myślałem o czymś bardziej odpowiedzialnym. Przecież bystry z ciebie facet i w gruncie rzeczy to nie pomoc, ale prośba. Przydałbyś się.

– Wolałem, jak stałeś U Dyzia.

– Też wolałem. Przecież wiesz.

Rozmowa się urwała. Wilczur próbował pytać o parę rzeczy i chyba był ciekaw, dlaczego związałem się z Teklą. Zagadywał o chłopaków. Chłopcy już mnie nie obchodzą, powiedziałem.

Postawił butelkę na stole, powiedział, że jeśli zmienię zdanie, zawsze mogę go znaleźć w Ratuszowej, i wyszedł. Przez okienko widziałem, jak próbuje zapalić papierosa, osłaniając się od wiatru. Śmiesznie unosił dłonie. Zrezygnował i odszedł, wiatr rozdymał mu bluzę.

12

Tekla nie spała całą noc. Poznałem po oczach. Wyciąłowała mnie na przywitanie w oba policzki i zaczęła krążyć po mieszkaniu, ubrana w szorty i bluzkę na ramiączkach. Spryskiwała meble i starannie wycierała je szmatką. Zacząłem opowiadać o spotkaniu z

Wilczurem, a ona otworzyła szafę, wyjęła inną bluzkę, oglądnęła ją pod światło i wyrzuciła do czarnego worka. Sweterek wrócił na wieszak. I tak dalej. Mówiłem.

– Niczym się nie przejmuj. – Tekla mrużyła oczy, patrząc na zakiet. – Możesz przyjąć tę robotę i możesz jej nie przyjąć. Ważne, żebyś czuł się z tym w porządku. Hej, co tak patrzysz, wszystko będzie dobrze.

– Bo Władka się wścieknie, gdy się dowie.

– A co ty się tak nagle zacząłeś przejmować Władką?

Przyszła kolej na moje ubrania. Pytała, w czym będę chodził, a w czym nie. Z półek zniknęła większość rzeczy, kufer stał otwarty, pusty i nabłyszczony. Naczynia schły na ociekaczu. W rogu pokoju piętrzyły się czarne worki. Zapytałem, co się właściwie dzieje i czy z Teklą wszystko w porządku. Prawa noga pchała ją do przodu.

– Za długo żyliśmy w syfie. To było strasznie przygnębiające.

– Zaraz poweseleję, no, no.

– Nie bądźże taki. Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Jest mi lepiej, rozumiesz? To cichnie. Znaczy, nie cichnie, ale jest inne. Mniej złe.

– Nie rozumiem.

– Co tu do rozumienia? Niedawno myślałam, że umrę. A teraz? Nawet nie wiem, jak to nazwać, bo dalej skrzeczy i wyje, bo, bo... Ale z drugiej strony to już nie jest głośniejsze tylko ciszej, robi się miejsce dla piosenki. Jakby ktoś gwizdał mi w oboje uszu. Fiu! Nie mogę spać i nie jestem zmęczona. W ogóle nie jestem zmęczona, Szymciu mój.

Zdrowego przeraża chory, a chorego zdrowy. Zastanawiałem się, co powinienem jej odpowiedzieć, ale Tekla chyba na to nie czekała, zajęta wywracaniem szuflad do góry dnem. Poczułem spaleniznę.

Kuchnię wypełniał ciemnoszary dym. Huknąłem, Tekla wykrzyknęła „O rety!” i śmiejąc się, pacnęła dłonią w środek własnego czoła. Razem uklękliśmy przy piekarniku. Gdyby nie ja, Tekla chwyciłaby gołymi rękami poczerńiałe naczynie żaroodporne.

– Ojej, ale plama. Zapomniałam o kurczaku! Teraz to nic z tego, co? Głupia ja, głupia ja. Przepraszam.

– Tekla...

– Tekla-lala...

Poderwała się z podłogi. Wytrzeszczałem oczy. Tekla ujęła mnie za rękę.

– Wiem, że się martwisz. Sama jestem troszeczkę sobą przerażona. Pamiętasz, ile razy rozmawialiśmy, co zrobimy, jeśli to umilknie? Ja nie wierzyłam, a jednak proszę. Boję się, Szymek, tylko co mam zrobić? Jeśli to wróci, jeśli tylko mi się zdaje, że odeszło, chciałabym mieć ten dzień i się nim cieszyć. Nie zabieraj mi tego. Przecież w najgorszym razie będę miała co wspominać. Hej, rozchmurz się, proszę. Ty mi zazdrościsz, prawda? Boisz się, że zostaniesz sam? Ej, głupku mój, no co ty.

Zalała kurczaka zimną wodą. Zabrałem się do otwierania okien, a ona zaczęła ustawiać książki od najmniejszej do największej.

13

Krończak dawno przestał budzić grozę i przypominał jaskiniowca zamrożonego w lodowej bryle. Kilka lat wcześniej zrezygnował z funkcji komendanta, ale nie odszedł z policji. Miał niewiele obowiązków i spędzał czas, grając w pasjansa na służbowym komputerze. Przerzucił się na elektroniczne papierosy

i nosił ze sobą mnóstwo chusteczek, którymi wycierał usta, gdy zalała je nikotyna w płynie.

Miał figurę trzydziestolatka i łysą czaszkę, która we własnym mniemaniu upodabniała go do Bruce'a Willisa. Nosił jasne garnitury, prowadził srebrnego mercedesa i każdemu, kto chciał słuchać, powtarzał, że bez gwiazdy nie ma jazdy. Zaczął się interesować muzyką, chętnie rozmawiał o wideoklipach Lady Gagi i miał własne zdanie na temat Chrisa Browna. Założona przez niego strona komendy od dawna nie była aktualizowana.

Wciąż widywano go w towarzystwie kobiet. Po długim, bo półrocznym związku ze studentką kulturoznawstwa wrócił do starego trybu życia, tyle tylko że jego dziewczyny były teraz coraz młodsze i zostawały na krócej. Zorientował się, że coraz mniej osób mu zazdrości, i przestał zabierać kochanki na słoneczne spacerunki po Rykusmyku. Jeździł z nimi do jaskini solnej i grał w kręgle, zabierał na narty i co roku fundował jakiejś tydzień nad Adriatykiem.

Widywano go u Dyzia. Zamawiał kieliszek zmrożonej finlandii, natychmiast wypijał i chwalił wódkę, że jest wyśmienita. Zasiadał, otwierał teczkę i z wielką uwagą studiował papiery pozbawione znaczenia. Kupował kolejne kieliszki, wydawał z siebie dobrotliwe mruknięcie i prosił, żeby postawić mu pół litra w wiadrze z lodem.

Nikt do niego nie podchodził. Pił, odrywał wzrok od papierów i patrzył przed siebie. Powtarzał: wyśmienita wódka, wyśmienita wódka.

Z samego rana Władysława zadzwoniła z informacją, że Krończak wybiera się do nas z wizytą i zapewne już jest w drodze.

Pytała, czy mamy posprzątane i prosiła, żebyśmy przyjęli go jak należy.

Krończak skłonił się, przechodząc przez próg. Tekla zaproponowała mu herbatę. Odmówił ze zdziwieniem w głosie. Przycupnął na krześle i do czegoś się zbierał. Zapytałem w końcu, co mu leży na wątrobie. Tekla myła podłogę w kuchni.

– Fajnie sobie żyjecie. Słyszałem, że miałeś gościa – rzekł Krończak.

Nie odpowiedziałem, a Krończak zagadnął, czy nie uważam tego za trochę dziwne. Wilczur chodzi po ludziach i czegoś chce.

– Wrócił i próbuje się zaczepić. Myśli, że wciąż ma kumpli.

– A ty jesteś jego kumplem?

– Da pan spokój. On przecież wyjechał.

– A jednak pamiętam, że byliście blisko. Przyjaźń to ważna rzecz, ja bym jej tak stanowczo nie przekreślał.

– Widzi pan, ja mam swoje życie, on ma swoje. Nie mam nic przeciwko temu, żeby tak zostało.

– Aha, aha. Ale co by szkodziło porozmawiać z nim drugi raz? Wydaje się życzliwie do ciebie nastawiony.

– Pogadam, jak będzie o czym.

– No więc jest. Chyba nie chcesz być stróżem do końca życia? Po prostu wysłuchaj, co ma ci do zaproponowania. Mógłbyś pracować w dzień, a nie w nocy, i jeszcze przysłużyłbyś się nam wszystkim.

W takich chwilach chciałem zestarzeć się i umrzeć jako stróż. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a Krończak ciągnął, mrużąc oczy:

– Porządny z ciebie chłopak i jestem pewien, że kto jak kto, ale ty nie potrafisz przejść obok pewnych spraw obojętnie. Jak ktoś upadnie, pomożesz mu wstać. Gdy widzisz złodzieja, dzwonisz po mnie. I dalej, w ten deseń.

– Wilczur doskonale poradzi sobie beze mnie.

– Otóż to! Ale czy Rykusmyku bez ciebie poradzi sobie z Wilczurem? Miej oczy otwarte, mój chłopcze, a jak pieniądze leżą na ulicy, tylko głupiec się nie schyli.

Tak powiedział, wstał i uściśnął mi rękę. Tekla tanecznym krokiem podeszła do niego, żeby się pożegnać. Krończak zachwiał się i zbladł trochę, jakby właśnie zobaczył ducha.

15

W ciągu następnych dni Tekla wyczyściła podłogi tak, że wyglądały, jakby nigdy nie były używane. Zniknęły worki ze śmieciami, na półkach pojawił się ład, wyprasowane ubrania trafiły na pachnące półki i nowe wieszaki. Tekla zdjęła część zdjęć i obrazków ze ścian, wyrwała gwoździe, a dziurki zalepiła kitem. Mówiła, że przyda nam się nowa lampa i może jeszcze szafka na buty, której nigdy nie udało się nam kupić. Zniknęły nieobejrzane filmy i gry planszowe, bogowie wszystkich religii razem z opisującymi je książkami solidarnie pomaszerowali pod Basztę Piastowską, ułożeni w rzędzie tak, aby stary Herman zwrócił na nich uwagę. Tekla próbowała myć klatkę schodową. Powiedziałem, że nie jest cieciami i przegoniłem ją do środka. Sam jestem cieciami, pomyślałem potem.

Wtedy nie zastanawiałem się, jak jej jest. Przejmowało mnie moje własne cierpienie i nigdy nie wierzyłem, że może być gorzej. Zawsze było. Dla Tekli moje jutro oznaczało dziś. Co czuła? Stalowe pazury rozdrapujące czaszkę od środka. Nie jeden skrzek, lecz kilka, jak przegadywały się nawzajem, prowadziły skrzekowe rozmowy i kłótnie. Skrzek nie milknie ani nie zasypia. Boli nawet podnoszenie powiek, a w ustach żarzy się węgiel. Wreszcie skrzek staje się czymś nowym, czego jeszcze nie zdołałem poznać. Podobno

torturowani śmieją się o zmierzchu. Tak było z Teklą. Nie śmiała się, lecz tańczyła.

Na obiad były kopytka z sosem mięsnym. Jadłem powoli, Tekla prawie w ogóle. Powiedziała, że napchała się dosyć podczas gotowania. Zapytała, co robimy w sobotę, na co zareagowałem wzruszeniem ramion. Marzyły się jej tańce. Przypomniałem, że nie ma już czegoś takiego, tylko sobotnia dyskoteka w kręgielni, gdzie jest huczno, parno, a młodzi są piękni, nie to co my. Tekla odparła, że czuje się piękna i musiałem się z tym zgodzić. Poprosiłem, żeby zjadła jeszcze trochę, na moich oczach. Starannie kroić kopytka. Potem zamknęła się w łazience.

Wieczory spędzaliśmy przed telewizorem. Tekla przerzucała kanały i interesowała się każdą bzdurą. Ludzie w samej bieliźnie gromadzili się przed kolorowym jury. Ręka Tekli uderzała o kolana i oparcie fotela, nogi bębniły miarowo.

Budziłem się kilkakrotnie w środku nocy. Tekla z otwartymi oczyma leżała na plecach. Mięła pościel i ruszała ustami, a gdy zorientowała się, że ją obserwuję, uśmiechnęła się przepraszająco. Głaskała moje czoło i kark. Byłem zły na nią, bo przestała cierpieć.

– Chciałabym dać ci to, co mam – powiedziała.

16

Stary Herman wciąż zajmował chałupę pod lasem za granicami Rykusmyku. Nie kupił sobie nowego psa, ale zatrzymał strzelbę, z której pruć do dzików ryjących pod płotem. Czasem słyszałem dalekie grzmoty wystrzałów. Ludzie bali się, że kogoś zabije, ale ja byłem spokojny. Herman nie zrobiłby nikomu krzywdy. Tak myślałem.

Przychodził do miasteczka kilka razy w tygodniu, pchając przed sobą wózek. Skrzypienie kół dało się słyszeć długo przed

nastaniem świtu. Herman miał kilkadziesiąt życzliwych mu progów, obchodził wszystkie, wypełniał wózek i ruszał na przegląd śmietników. Butelki i stal zanosił do punktu skupu, a gdy punkt zamknięto, gromadził je pod wiatą nieczynnego dworca kolejowego. Mówił, że kiedyś zabierze wszystkie. Potem rozkładał swój kramik pod arkadami i sprzedawał to, co znalazł: żelazka, świeczniki, książki i zabawki. Ludzie kupowali te rzeczy i ponownie kładli je na progach swoich domów. Młodszy policjanci przeganiłi Hermana, do czasu aż Krończak wytłumaczył im, że tak nie można.

Przed zmrokiem Herman wracał do siebie albo kupował w Żabce małąkę wódki, kilka karpackich mocnych i zaczynał pić. Przeganiał każdego, kto chciał mu towarzyszyć. Siadał na brzegu donicy przy rynku i mamrotał, że wszyscy umrzemy za to, co zrobiliśmy. Rykusmyku strawi wielki ogień i tylko on jeden jest mądry, bo mieszka poza miastem.

Po zapadnięciu zmroku chodził po starówce i mówił mniej więcej to samo. Tłukł się na klatkach schodowych, bębnił w szyby, by wreszcie stanąć na środku jakiejś ulicy i wybuchnąć płaczem. Pytał o swój wózek. Nie wiedział, gdzie go zostawił. Zaczynał szukać. Wówczas Krończak odrywał się od swoich kochanek i tajemnic, szukał Hermana i pokazywał drogę do domu. Jeśli Herman nie mógł dojść, prowadził go do noclegowni przy kościele.

Każdy pijak upada z wysoka. Każdy pijak, nim chwycił za butelkę, wygrywał rajdy terenowe albo zabijał smoki. Herman, podobno, był wychowawcą w internacie. Wszyscy się go bali. Chodził z czarnym, stalowym prętem wciśniętym za pasek. Ale coś się wydarzyło i Herman zrezygnował ze wszystkiego poza gołym życiem.

Od zamku dobiegł łomot, jakby coś ciężkiego runęło z baszty na skałę. Wyszedłem przed stróżówkę, poświeciłem po placu i drzewach. Coś buszowało w ciemnościach. Zawołałem, że to teren prywatny i że nie można wchodzić. Odpowiedziała cisza. Zrobiłem kilka kroków. Światło latarki spadło na piaskowy mur pokryty starymi napisami. Przejechałem po pniu drzewa i opuściłem drżącą rękę.

Zacząłem rzucać kamieniami w ciemność i dalej krzyczałem, że to teren prywatny. Kamienie odbijały się od skał i muru. Zebrałem się na odwagę i poszedłem jeszcze kawałek, do stóp wzniesienia. Dalej – nie było mowy. Księżyc mrugał zza baszty. Wziąłem jeszcze jeden kamień. Zabrzmiało głuche uderzenie, za nim jęk. Żałowałem, że nie wziąłem kija. Albo czarnego pręta ze stali. Z chaszczy wypruł znajomy kształt.

Herman dotarłby do bramy, gdyby nie alkohol, który spletał mu nogi. Obaliłem go już ja. Wyrывał się, gdy wepchałem mu twarz w pył.

Wykręciłem mu rękę, nie za mocno, tylko tak, żeby zaskomlał i przeprosił. Potem pomogłem wstać. Kulił się i trząsł. Powiedział, że kto jak kto, ale ja powinienem zachowywać się inaczej niż wszyscy. Zapytałem, czego, u diabła, szukał pod zamkiem. Zakaszłał. Wycofał się na plac i odparł, że niczego nie szuka, ale są tacy, co szukali i znaleźli. Pytał, po co im, tym ludziom, to było, i rozmasowywał guz na czole.

Rozdział czwarty

1

Kręgielnia w krótkim czasie stała się ulubionym miejscem całego Rykusmyku. Długa jak lodowisko, dzieliła się na dwie części. W pierwszej stały stoliki i fotele, podawano lody, alkohole i jedzenie z mikrofalówki. Drugą przeznaczono na tory. W rogu stał jeszcze mały stół bilardowy. Każdej soboty obsługa wynosiła część stolików, resztę przepychała pod ścianę, a przy torach, odgradzony łańcuchem, instalował się DJ z konsolą.

Tekla przygotowywała się całe popołudnie. Gdy skończyła, powiedziałem jej, że wygląda jak podstarzała nastolatka. Zareagowała śmiechem. Miała spódnicę za kolana, koszulę zawiązaną nad białym pępkiem, dzinsową kurteczkę i mocny makijaż. Odjęło jej to trochę lat. Prosiłem, żeby zjadła coś, choćby na siłę. Przed lustrem zorientowałem się, że wyglądam starszej od niej.

Kiedy przyszedliśmy, kręgielnia pulsowała światłem i muzyką, której nie mogłem usłyszeć. Tylko łoskot wielu nóg, zamazany bit i skrzek unoszący się nad tym wszystkim. Wszyscy tańczący byli od nas młodszy, a przynajmniej tak wyglądali – chłopcy w fabrycznie pobrudzonych spodniach i czarnych koszulkach bez rękawów, odsłaniających opalone tatuaże. Dziewczęce grzywki biły o niskie czoła.

Barman zdziwił się, gdy poprosiłem o dwa soki pomidorowe. Tekla zmieniła zamówienie i dostała drinka. Szepnąłem, czy wie, ile to kosztuje, a ona szarpnęła mnie za ramię, wskazując falujący tłum. Zawołała:

– Zobacz, jak oni pięknie żyją!

Jeden chłopak unosił koszulkę, pokazując mięśnie brzucha wyrzeźbione w brązie. Dziewczyny udawały zachwyt, przykładając dłonie do ust. Biodra biły o siebie, a z toalety wylaniał się tłum o nieprzytomnych oczach. Młodzieńcy krążyli wokół podlotka z biustem podniesionym pod gardło, a mnie wyło w głowie. Nad tłumem górował DJ o nastroszonych włosach i w ciemnych okularach. Co chwilę unosił kciuk.

Chodź, powiedziała Tekla i pociągnęła mnie między tańczących. Ci patrzyli na nas z mieszaniną zdziwienia i uznania. Nie mogę się ruszać zbyt gwałtownie. Zacząłem przestępować z nogi na nogę, jakbym ubijał kapustę, a szczęśliwa Tekla krążyła wokół mnie, unosząc wysoko dłonie. Próbowałem załapać rytm, patrząc na nią i na innych. Twarze tańczących gasły i się rozpalały. Tekla. Tekla-lala.

Chwyciła moje dłonie i pociągnęła za sobą. Śmiała się, mnie ciemniało w oczach. Skrzek przepędził wszystko. Skuliłem się na moment, co ona odebrała za kolejną figurę taneczną. Trzęsła biodrami i miętosiła bluzkę. Inni wzięli nas w półokrąg, klaskali i filmowali telefonami komórkowymi. Wyprostowałem się i znów zacząłem kołysać. Tekla zapytała, czy może, i poszła w tan z chłopcem w białej koszuli. Potem z innym. Cykał czas.

Poszedłem do łazienki, tylko na chwilę. Kolejka była długa, mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, a kobiety delikatnie poganiały się nawzajem. Jeden facet powiedział, że gdyby zabrać lustro, każdy siedziałby w klopie o połowę krócej. Ale w męskim nie było lustro, tylko wielka reklama środka na potencję. Stojąc nad pisuarem, przed twarzą miałem krocze wbite w obcisłe dżinsy, pasek z klamrą w kształcie rogów i czerwony napis „JEST BYCZO”.

Wracając, musiałem przebić się przez radosny wir, którego centrum była moja żona. Chciałem chwycić ją za włosy i zawlec do domu. Tłum zrobił się gęsty i bardzo pijany. Najpierw mignął mi Blekota, wysoki i poważny jak zwykle. Potem inni. Radośnie bezmyślny Trombek, niezgrabny Sikorka, DJ Krzywda cały roztrzęsiony. Wyłaniali się z ciemności, żeby w niej zniknąć. Ich twarze stawały się twarzami obcych. Powoli okrążali roześmianą Teklę, przed którą podrygiwał jakiś grubas.

Wybiegłem na zewnątrz, gdzie młodzi palili papierosy i stukali w ekrany dotykowe. Ktoś zapytał, czy wszystko w porządku. Usiadłem pod murem z twarzą schowaną w dłoniach. Ktoś stał nade mną i zastanawiał się, czy nie pomóc, ktoś inny radził, żeby zostawić pijaka w spokoju. Wokół mnie spadały niedopałki.

Szarpnięto mnie i postawiono. Usłyszałem, że powinienem ją zabrać, nim pożałuję. Niebo zaczynało jaśnieć nad horyzontem. W kręgielni zastałem Teklę wirującą samotnie na parkiecie, z butelką desperadosa w mokrej ręce, przed umęczonym DJ-em. Pijane pary przyglądały się jej ze stolików przy ścianach.

Kręciła się jak maszyna. Nie wiedziałem, jak podejść. W końcu barman pomógł mi wyprowadzić ją na zewnątrz. Butelka trzasnęła o mur. Zacząłem krzyczeć, co ona sobie myśli, co wyprawia, a Tekla cisnęła buty w krzaki i ciągle tańcząc, ruszyła w stronę domu.

2

Gdy tylko wszedłem do Ratuszowej, Wilczur dał do zrozumienia, że przyjmie mnie poza kolejnością, ale wolałem poczekać. Znow miał ten swój garnitur, pił espresso, notował w zeszycie i otwierał portfel pełen kart kredytowych. Tym razem żaden z nas nie wyciągnął dłoni na przywitanie. Wilczur

powiedział, że słyszał, jak to wczoraj dałem czadu z żonką. Udawałem idiotę.

– Cieszę się, że zmieniłeś zdanie. – Podsunął mi menu, żebym coś zamówił. Wybrałem tonik i wyjaśniłem, że na razie jeszcze się zastanawiam i chciałbym dowiedzieć się więcej, nim podejmę decyzję. Co to za projekty? Wilczur wyłożył teczkę na stół.

– Mam tego trochę. Chciałbym, żeby Rykusmyku stało się miastem z prawdziwego zdarzenia. Popatrz. Ma potencjał, jest tu starówka, piękne okolice, pieniądze w kamieniołomach, zamek i nikt z tym nic nie robi. Rykusmyku to kura znosząca złote jaja. Trzeba ją tylko ścisnąć za uszy.

Mówiłem co bądź, chciałem, żeby się nagadał.

– Weźmy takie kino. Stoi puste, odkąd pamiętam. Już podpisałem papiery. Wyremontujemy je na tip-top, zobaczysz. Będą dwie sale. Jedna normalna, na amerykańskie przeboje, a druga mała, gdzie polecą, wiesz, prawdziwe filmy. Dobre kino. W Niemczech każda dziura ma coś takiego. No i zamek, Szymku, zamek jest najważniejszy. Tam już pracujesz. Nie zmieniamy tego, co działa. Tylko gęba na kłódkę, dobrze? Przez wzgląd na starą przyjaźń.

Rozłożył przede mną papiery i wyjaśnił, w czym rzecz. Dogadał się z władzami miasta. Fundacja Nowoczesna Prowincja wyremontuje elewację zamku, naprawi dach i okna, a w zamian Wilczur otworzy tam restaurację z hotelem i salą konferencyjną. Podpalony paplał, ile taka inwestycja znaczy dla Rykusmyku, jak wiele pieniędzy trafi do kieszeni mieszkańców, no i mojej oraz jego. Zmroziło mnie.

– No i co sądzisz? – dopytywał.

– No nie wiem. Nie chcę łązić po zamku. To rudera. Nie wiesz, co się tam z ludźmi działo?

– Banialuki. Ale nie ma sprawy, po jaką cholere masz się tam pchać? Szymek, ile ty jesteś tym stróżem? Dziesięć lat. – Skurczybyk wiedział wszystko. – Przecież każdy tylko patrzy, żeby mnie oskubać. Mam inne interesy. Potrzebuję kogoś, kto będzie miał oko na wszystko.

– Co z podziemiami?

– I dlatego właśnie cię potrzebuję.

– Tylko zapytałem.

– Więc właśnie. Od jutra po zamku zacznie się włóczyć cała jedna banda i potrzebuję, żebyś miał na nich oko. Najchętniej wlałbym beton w niższe kondygnacje, bo jeszcze jakiś klient się urźnie i spadnie na durny łeb. Zamurujemy drzwi, a ty powiesz mi które. – Wskazał plan. – Pamiętam, że się tam włóczyliście, ale teraz koniec. Jeden wypadek i cała nasza praca idzie w pizdu, do widzenia ślepa Gienia. Dlatego cię potrzebuję. Jesteś stąd, jesteś uczciwy, znasz zamek i chcesz lepszego życia. Powiem ci więcej. Jak skończymy, zatrudnię was oboje.

Zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem. Brzmiało sensownie. Wilczur nie znał tajemnicy podziemi. Był biznesmenem, a ja powinienem dopilnować, żeby tak zostało. Ale też pracowałem jako stróż od dawna. Po co zmieniać to, co dobre? Zapytałem Wilczura, dlaczego wrócił i czemu robi to, co robi.

– Wróciłem, bo zarobiłem dosyć. Kiedy wyjeżdżałem, przysięgałem, że moja noga nigdy nie postanie znów w tym kurwidołku. Potem, cóż, człowiek się zmienia. Zwłaszcza jak żyje za granicą i myśli o domu. A ja nie mam innego domu poza

Rykusmyku, choć oczywiście chciałbym mieć. Mówię ci, wystarczy wyjechać. To zmienia wszystko.

Gdy wychodziłem, położył mi rękę na ramieniu, powiedział, że mam czas, ale liczy, że się zdecyduję i że jeszcze napijemy się wódki. Ludzie w kolejce do Wilczura patrzyli na mnie z zazdrością.

3

Władysława długo przebierała w pomidorach i stukała ostrym paznokciem w czerwoną skórkę, jakby próbowała sprawdzić, czy zdoła ją przebić. Powiedziała sprzedawcy, że kiedyś to były warzywa, a ten mechanicznie przytaknął. Władysława złożyła pomidory w siatce. Poszliśmy dalej, przez plac. Dzieci wyciągały ręce ku zabawkom za pięć złotych.

– Powinieneś nauczyć się tego wszystkiego – powiedziała. – Kiedyś mnie zabraknie, a wtedy jak sobie poradzicie? Będziecie jedli byle co, byle gdzie. Skąd potem na lekarza? Myślisz, że Wilczur cię poratuje?

Milczałem, a Władysława nie oczekiwała odpowiedzi. Warzywa leżały w brudnych drewnianych skrzyniach. Oszkloną budkę wypełniały tanie ubrania – krzykliwe koszulki, podróbki levisów i czapki z tekturowym daszkiem. Okrążyliśmy plac raz jeszcze i Władysława poprowadziła nas stromymi schodami w stronę rynku i dalej, na ulicę Moniuszki, gdzie był najlepszy mięsny. Grupki młodych podpierały mury.

– Ja was naprawdę nie rozumiem. Wszystko wiecie lepiej i po swojemu. Nie mogę tego wytrzymać, jak nie powiem, to będę się dusić. Przecież mnie znasz. Próbuję wam nieba przychylić, a ty ciągle swoje. Na co ci Wilczur? Czemu się z nim spotykasz? On nie jest kolegą dla ciebie ani dla nikogo. Pamiętasz, kim był, co wyrabiał? Ludzie się nie zmieniają.

Na rynku stary Herman rozłożył stoisko. Miał srebrne, pociemniałe talerze, naczynie do gotowania na parze i kilka starych książek. Między nimi stała figurka byka. Zwierzę ryło kopytem w drewnianej podstawie. Zatrzymałem się. Herman wybełkotał, że tylko piętnaście złotych. Władysława szarpnęła mnie za rękę. Odprowadzał nas śmiech, a gdy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że to nie byk, lecz koń bez jeźdźcy.

Minęliśmy bank spółdzielczy. W mięsnym były dwie kolejki, do wędlin jedna, druga do wszystkiego innego. Ciężyła mi siatka, wyło.

– Ktoś powinien go zamknąć – szeptała Władysława. – Tego Wilczura, znaczy. Jesteś odpowiedzialny za kogoś jeszcze, więc bądź, do ciężkiej cholery. Ja wam zawsze pomogę. Chcesz dobrą pracę, będzie dobra praca. Tylko mów prawdę, do jasnej Anielki. Czemu ty zawsze musisz kłamać? Dlaczego o Wilczurze dowiaduję się od innych? Bądźże wreszcie, Szymek, mężczyzną, jeśli nie dla mnie, to dla Tekli.

Sprzedawca wcześniej odłożył dla niej kurczaka. Długo wybierała karkówkę. Wyszliśmy. W świetle słońca zobaczyłem, że czas nie jest dla niej łaskawy. Powiedziała, że jeszcze musimy iść po sery, o które trudno w Rykusmyku.

– Ty byś się zdziwił, gdybyś się dowiedział, co ja jeszcze wiem. Przyjdzie czas, że porozmawiamy. Czemu ty mówisz o mnie takie rzeczy po ludziach? Naprawdę nie mogę. Przecież każdy się cieszy, jak słyszy, że u nas jest źle. Tak samo jak się cieszy, gdy widzi ciebie w budce. Albo na kolanach przed Wilczurem. Jesteś z siebie dumny? Chojrakujesz przede mną, a potem gnasz do rynsztoka szukać nowych kumpli. Kiedy zrozumiesz, że rodzina jest najważniejsza?

Odparłem, że nie mam żadnych przyjaciół i nie wiem, o czym gada. Zanurkowała między sery. Podpierałem mur pod Lewiatanem i na moment stałem się jednym z wielu. Obok mnie siatki pękały od tanich makaronów, cienko krojonych wędlin, jogurtów i wina po szesnaście złotych. Władysława wyszła. Nie dałem jej dojść do słowa. Wyjąłem telefon. Wilczur odebrał natychmiast. Powiedziałem głośno i wyraźnie, jak bardzo jestem mu wdzięczny i że biorę tę robotę.

Słońce wyszło zza chmur. Podniosłem siatki, a Władysława stała się tym, kim zawsze była – starą, bezbronną złością. Milczeliśmy.

4

Tekla, w roboczym fartuchu, malowała mieszkanie. Nie odsunęła mebli od ścian. Przykryła je byle jak gazetami i chlapała ciemnożółtą farbą na podłogę. Nawet nie pytałem, po co to robi. Zabrałem jej wałek i powiedziałem spokojnie, że źle się zabrała do roboty. Skończymy wspólnie, ale najpierw musimy odpocząć.

– Co skończymy? Co zaczniemy? Po czym chcesz odpoczywać? Tekla! Tekla-lala – mruzczała.

Zdjęła fartuch, pod spodem była naga. Zaczęła mnie całować, rozpięła mi koszulę i spodnie. Uklękła. Powiedziała, że musimy nadrobić stracone lata, i wzięła go w usta. Ssała i szarpała. Pomagała sobie ręką, ale efekt był taki jak zwykle. Tylko skrzek narósł w skroniach. Tekla wstała. Otarła się o mnie swoim nagim ciałem. Popchnęła mnie na łóżko i dalej swoje. Wykrztusiłem wreszcie, że ja wcale nie czuję się lepiej i nic z tego nie będzie. Przykro mi. Tekla uwolniła go spomiędzy warg, trąciła moje ucho.

– Nic nie szkodzi.

Objęła udami moje biodra i zaczęła się ślizgać na tej mokrej szmatce. Wkrótce jej oddech przyspieszył, zadrżała, jęknęła z głębi siebie i zaczęła się trząść. Podbijała pierś wolną dłonią. Krzyczała przy każdym oddechu, a dreszcze wstrząsały nią raz za razem. W końcu zsunęła się ze mnie, koścista i mokra. Szepnęła podziękowanie. Ubrała fartuch i wróciła do malowania. Nie mogłem się ruszyć.

Tekla powiedziała tego wieczoru mnóstwo rzeczy. Obiecała, że skoro ją nawiedziło zdrowie, to i ja powinienem mieć nadzieję. Pomoże mi przez to przejść, a potem nadrobimy stracone lata. Zobaczymy świat. Zdarzy nam się prawdziwy dom z mnóstwem dzieci. Jej czterdziestoletnia noga biła w farbę rozchłapaną na podłodze, mieszkanie stawało się zielone, a potem czarne, ponieważ zapadł już zmrok.

5

Fundacja zajmowała całe piętro nad teatrem. Wilczur obiecał, że pokaże mi, co i jak, ale się spóźniał. Siedziałem przy pustym biurku i piłem wodę z dystrybutora. Na ścianie wisiał kolorowy projekt odnowionego zamku. Pod murem parkowały błyszczące autokary.

Wilczura nie było, zjawił się za to Gablociarz w przepoconym garniturze. Wyglądał na udręczonego. Nim zdążyłem się podnieść, wymierzył we mnie palec i zaczął krzyczeć, że dopiero teraz wie, kim jestem, i doprawdy nie rozumie, czemu pozostał ślepy tak długo. Przecież pracowaliśmy razem, a to do czegoś zobowiązuje. Zapytał, czy teraz powinien zwracać się do mnie „szanowny panie” i dodał, że tylko szczury uciekają z tonącego okrętu. Teraz będę siedział sobie na pokojach, kontynuował, a on dalej w budce, choć

ma już swoje lata. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, no i bałem się Gablociarza, który miotał się po biurze i zaciskał pięści.

Wilczur wszedł bezgłośnie. Uścisnął rękę najpierw jemu, potem mnie, a Gablociarz zgiął się w pół. Wilczur zapytał go, jak mu się pracuje, co w ogóle u niego i czy jego zdaniem praca przy zamku ma jakikolwiek sens. Gablociarz wydukał kilka nieskładnych słów, a jego dłonie szukały czapki, którą mógłby przyciągnąć do piersi. Wilczur powiedział jeszcze, że bardzo się cieszy z tego spotkania, bo przecież myśli i o Gablociarzu i szykuje dla niego coś specjalnego.

– Myślałem o takiej sali z rekonstrukcjami, historią zamku opowiadaną przez aktorów – rzekł. – Tylko ktoś musiałby to najpierw spisać. Jak pan sądzi, znalazłby pan odrobinę czasu, żeby nam pomóc? Oczywiście najpierw remont, wszystko w należyтым porządku. – Delikatnie popchnął Gablociarza do wyjścia. Potem zwałił się na krzesło i westchnął, że tak ma z każdym. – Teraz już rozumiesz, dlaczego ufam tylko starym kumplom? Każdy się na mnie wiesza. Każdy! A nic nie dostałem na złotej tacy. Kurwa mać.

Wyszliśmy. Wokół zamku wrzało. Wejście główne stało otworem. Ludzie w kaskach i tanich garniturach chodzili tam i z powrotem. Robotnicy rozładowywali skrzynie z ciężarówek, długie i podobne do trumien. Jakiś chłopak siedział na ziemi z białym laptopem na kolanach i cały czas robił zdjęcia. Wilczur witał się z każdym, zagadywał, ja trzymałem się z boku i słuchałem, kto jest od czego. Zaczynałem rozumieć, że praca jest dla mnie za trudna, pełno w niej obco brzmiących słów i ludzi, dla których powinienem być miły.

Wilczur się odłączył. Zaglądnąłem do stróżówki – Gablociarz zgromadził swoje papiery w wielki stos i tak je pozostawił. Spacerowałem chwilę pod samym wzniesieniem. Drzewo się rozrosło, gałąź, po której wspinaliśmy się kiedyś, była gruba jak udo, wędrowała w górę muru. Okno – czarne i zimne. Wołało.

– Też mnie to martwi – powiedział Wilczur. – Chciałem ściąć to draństwo, nie pozwolili, uwierzysz? Jedni na mnie żerują, inni rzucają kłody pod nogi. Co mam z tym zrobić, Szymek? Ktoś mi się tutaj połamie.

Powiedziałem, że byle pijak zetnie drzewo za flaszkę. Wilczur tylko się roześmiał.

– Gablociarz pierwszy doniesie, gdzie trzeba. Widziałeś go dzisiaj? Stary cap. Ty za to bekniesz, ja za to beknę. Kraty, człowieku, kraty trzeba zrobić. Żeby samą gałąź, mówisz? No może. Tak, masz rację, gałąź chyba przejdzie. To co? Siadaj, chłopie, i pilnuj, żeby mi się tutaj nie pozabijali. Co za ludzie, co za ludzie. Patrz, ten browar w siatce targa. Na moich oczach. Ukurwieńców jedna banda.

Zostałem sam. Przeczekałem w stróżówce, aż upał zelżał, i wyniosłem na zewnątrz wędkarskie krzeselko. Robotnicy kłębili się pod czarnym oknem i wszystko stało się nierzeczywiste: oni, biały laptop i wielkie skrzynie w kształcie trumien. Przyszło mi do głowy, że choć nie rozumiem tego, co się dzieje, nie będzie już gorzej, niż jest.

6

Wieczorem Tekla zaczęła tańczyć.

Przywitała mnie w fartuchu pochłapanym farbą. Bez słowa ujęła za ręce. Wirowaliśmy wokół wspólnej osi, coraz szybciej. Zrobiliśmy z siebie karuzelę. Wkrótce przestałem nadążać i

poprosiłem Teklę, żeby zwolniła. Nie sędzę, aby mnie słyszała. Twarz miała naprężoną w uśmiechu.

Wyśliznąłem się z jej dłoni i upadłem. Tańczyła dalej, zmieniona w kolorowy wir. Jej nogi wydawały się żyć własnym życiem. Runęła szafka z książkami, padło wiadro z farbą. Tekla uderzyła barkiem o ścianę, chrupnęło. Wirowała dalej, tylko lewe ramię kołysało się bezwładnie. Podniosłem się z podłogi, zamierzałem ją chwycić. Spóźniłem się, twarz mojej żony uderzyła o framugę drzwi, wzbijając obłoczek czerwonej mgły. Spróbowałem raz jeszcze. Była bardzo silna. Poleciałem w kąt.

Tekla tańczyła jeszcze szybciej, ciskana od ściany do ściany w trzasku stawów i kości. W prędko czerwieniejącej głowie otwierały się nowe jamy. Spróbowałem stanąć jej na drodze. Zdało mi się, że Tekla przenika przeze mnie, pędząc na spotkanie z szafą, w której wisiały starannie posegregowane ubrania. Jakbym słyszał muzykę, parę smutnych akordów. Tekla osunęła się na podłogę. Uklęknąłem nad nią.

Noga tańczyła coraz wolniej, aż znieruchomiała. Chciałem jeszcze rozruszać serce, ale nie mogłem jej dotknąć, bałem się, że połamię te żebra, co jeszcze nie były połamane, i powtarzałem sobie, kochanie moje, jesteś taka chuda, jak mogłem tego nie zauważyć wcześniej? Gdzie ja byłem? Taka chuda.

7

Patrzyłem przez okno na ciemny zamek i zastanawiałem się, kiedy przegapiłem ten moment, w którym mogłem jeszcze coś zrobić. Było ich mnóstwo. Powinienem zawlec Teklę do szpitala albo chociaż uruchomić Władysławę. Zaczynałem rozumieć, że Tekla zrobiłaby to dla mnie.

Zamek sterczał po swojemu – czarna plama pośrodku gasnącego miasta. W ciemnych oknach domów żarzyły się niewyraźne papierosy. Dachy zlewały się z niebem. Budynki stojące dalej były jak plama, a świat się zamazał. Ogarniały mnie fale zimna i gorąca, jakbym tracił tę skromną część siebie, którą zdołałem zatrzymać.

Wezwany Krończak wszedł bez pukania. Spodziewałem się, że zacznie mnie pocieszać – albo aresztuje – ale on po prostu rzucił okiem na zakrwawione ściany i nieruchomą Teklę. Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „No tak, wiedziałem, że tak będzie”. Potem rzekł, że jak ochłone, spisze moje zeznania. Nie ma co się z tym spieszyć. Wciąż patrzyłem w okno. Kierowca niewyraźnego samochodu nie radził sobie z cofaniem. Krończak zapytał, czy kogoś mam, czy wiem, gdzie spędzę tę noc. Milczałem. Dołem przebiegła grupa nastolatków. Krończak usiadł obok mnie, na parapecie.

– Może powinienem trzymać gębę na kłódkę, ale najważniejsze, żebyś teraz był wśród ludzi. Wiem, czym jest strata. Lepiej, niż sądzisz. Przejdziemy przez to, chłopaku. Z takimi rzeczami można żyć. Trudno się uśmiechać, ale żyć można. Nie chcę cię tak zostawiać. Szymek, ty mnie słyszysz? Nie będziesz mi tu siedział. Zaraz ktoś przyjdzie. Mam do kogoś zadzwonić? Jest psycholog. Masz numer do centrum interwencji kryzysowej, tego przy Wałbrzyskiej? Szymek? Och, chłopie, chłopie...

Jego głos brzęczał, stał się nieistotny, aż przestałem go słyszeć. Pod dom podjechała karetka. Gromadzili się gapie w rozpiętych kurtkach i spodniach nieokreślonego koloru. Mieli identyczne, zamazane twarze. Z daleka dochodziły krzyki starej Władysławy.

Jutro się obudzę i wszystko będzie dobrze, powiedziałem sobie. A może nie. Okno i to, co za oknem.

Nad Rykusmyku zawisł nowy, jasny punkt. W zamku zapaliło się światło.

8

Ciało wyniesiono, zatrzasnąłem drzwi. Ktoś się dobijał. Siedziałem cicho w ciemności. Nie wiem, czym jest cisza. Telefon dzwonił tak długo, aż się rozładował. Przyszedł krótki sen, odszedł, pojawiły się dreszcze. Czasem cienie na ścianach ożywały, przybierając kształt Tekli. Wówczas chowałem twarz w dłoniach.

Nie miałem wspomnień. Zdumiała mnie bliźniaczość naszych dni. Inni ludzie – o których niewiele wiem – noszą w sobie zapis pierwszej randki i pierwszego numerku, chowają zdjęcia z wakacji. Dzieci rosną na nagraniach na twardym dysku. Powracają zdrady i kłótnie. Tekla mówiła niewiele i zawsze z wysiłkiem. Siedziała przed telewizorem. Próbowwała robić na drutach. Mówiła o tym, jak się dzisiaj czuje, zastanawiała się, kim był jej ojciec i czemu Władysława jest, jaka jest. Przez lata nie zauważyłem nawet gęstniejącej sieci zmarszczek.

Zawsze była blada i cicha. Spędzała dużo czasu pod prysznicem, przez co płaciliśmy wysokie rachunki za wodę. Przygotowywała mi gotowanego kurczaka z ryżem i brokułami. Drżały jej przy tym ręce. Mówiła, że skoro nie czuję smaku, to mogę przynajmniej jeść zdrowo, wówczas pożyję trochę dłużej. Cieszyła się, że nie palę papierosów. Zawsze uciekała od dymu.

Skrzek urósł w tej wielkiej nieobecności. Wcześniej wygłuszały go jej kroki, jęki i mruczenie. Dusił brzęk garnków i wielogodzinny szum wody pod prysznicem. Aksamitny szelest. Za oknem miejskie światła zapalały się i gasły wedle porządku, którego nie potrafiłem

odgadnąć. Odkręciłem kran w łazience, ale to nie było to samo. Chciałem zniszczyć połowę łóżka.

W końcu uwałem się w kącie, na kołdrze, przykryty poszewką. Brakowało mi jej czoła przy moim.

9

Władysława próbowała przepędzić mnie z kaplicy. Zatarasowała wejście i zaczęła krzyczeć w obecności nielicznych żałobników, że zabiłem jej córkę. Zamordowałem z zimną krwią. Gdyby spotkała na swojej drodze kogoś porządnego, byłoby zupełnie inaczej. Tekla wyjechałaby tak jak inne, do miast, gdzie są przestronne mieszkania i profesjonalna opieka, gdzie takie rzeczy po prostu się leczy.

– Zachorowała przez ciebie – wołała Władysława. – Już było z nią niedobrze, a ty to jeszcze nakręciłeś. Jesteś chory! Wciągnąłeś ją w swoją własną chorobę! I jeszcze mnie omotałeś, że się na to zgodziłam. Jak śmiałeś tu przyjść?! Ludzie, czy wy to widzicie?! On tutaj przyszedł!

Krończak delikatnie ujął Władysławę i zaprowadził do pierwszej ławy. Usiadłem po drugiej stronie. Zjawili się stado bab cmentarnych i nikt poza tym. Ksiądz mówił o miłosierdziu Bożym i o tym, że tragedie, niepojęte w danej chwili, później uzyskają swój sens. Z tego co wiem, ksiądz toczył rak kości, więc facet znał się na rzeczy. Wkrótce poszliśmy za trumną, Władysława z przodu, ja na samym końcu. Był piękny dzień.

Towarzyszył nam znajomy, umorusany cień. Stary Herman przeskakiwał między garbatymi nagrobkami, a gdy doszliśmy na miejsce pochówku, przycupnął za drzewem, jakby chciał skryć się wewnątrz pnia. Krończak odciągał Władysławę ode mnie i od

trumny. Nikt nic nie powiedział. Sznury poszły w ruch, ziemia uderzyła o wieko. Dobiegł mnie szloch Hermana.

Zjawił się zaaferowany Wilczur, w czarnym garniturze i ciemnych okularach zawieszonych na przedniej kieszeni marynarki. Miał ze sobą wielki bukiet kwiatów. Władysława dostała szału i nim ktokolwiek zdążył zareagować, już okładała Wilczura pięściami i wyzywała od najgorszych. Sam Wilczur tylko unosił łokcie, osłaniając twarz. Niezawodny Krończak wyrósł między nimi i znów odciągnął Władysławę. Coś do niej mówił. Byli płascy, namalowani niezdarnie na drżącym powietrzu.

Złożyłem wieniec i usiadłem przy świeżym kopczyku. Staruchy się rozeszły, a Władysława krzyczała, że nie ruszy się z cmentarza, dopóki tych dwóch skurwysynów się stąd nie zabierze. Że muszę odejść i pozwolić, aby pożegnała się z córką.

10

– Nie wiem, co powiedzieć, stary. Wszystko wydaje mi się głupie. Naprawdę. Wydawaliście się dziwną parą, ale przecież wybrałeś ją nie bez powodu. W jakiś sposób ci zazdroszczę, nawet w tej chwili. Idiotycznie to brzmi, jak wszystko teraz. Ale, kurwa mać, tak właśnie jest. Napijmy się, co? Wiem, że z wodą ci nie po drodze, ale czasem pić trzeba. Nigdy nikogo nie miałem. Nie znam rodziców. Och, było trochę kobiet. Ale zawsze musiałem dokręcić sobie jakąś historię. Najpierw uważałem, że muszę do czegoś dojść i baba będzie tylko w tym przeszkadzała, wiesz, całe to pierdolenie o stabilizacji, domu i dzieciach. Żyłem na walizkach. Pchało mnie tam, gdzie robota, i nie chciałem nikogo ciągnąć za sobą. Potem było trochę lasek. Tylko znów, bałem się, że każda leci jedynie na moją forszę, chce mnie oskubać, zresztą sam wiesz, jakie suki potrafią być chciwe. Te cięte na szmal świetnie się maskują. Ale

parę razy mogłem się pomylić. Myślę, że to przez ten bidul zasrany. Nie umiałem nikogo do siebie dopuścić. Ja, ja, ja, przez tyle lat. Musiałem tu przyjechać, wrócić, żeby coś z tym zrobić. No to zdrowie na budowie, jak to mówią. Żeby wyszło na nasze. Szymuś, płacz, jak chcesz, płkanie to żaden wstyd. Jestem tu dla ciebie. Niedługo skończę czterdzieści lat. Co, zarobię jeszcze więcej kasy? Pierdolę kasę. To fajnie móc tak powiedzieć: pierdolę kasę, co nie? Obyś kiedyś też tak mógł. Nauczyłem się jednej rzeczy. Liczy się ruch. Od zadania do zadania, z roboty na robotę, dzień przepełniony i podzielony na kwadranse, tak żebyś nie mógł jednej myśli tam wcisnąć. Pomaga. Jeśli chcesz, zafunduję ci taki młynek. Chluśniem, bo uśniem, przyjacielu! Wiem, jak to wygląda. Bogacz wraca na stare śmieci, rozdaje karty i łasi się do starych kumpli. Mam udawać, że jestem kimś innym, niż jestem? Że nie tęskniłem? Najpierw przeklinałem Ryku, a potem w głowie to jedno mi dzwoniło: „dom, dom, dom”. Mam udawać, że jestem biedakiem pierdolonym? Nie ma mowy, bratku, ty mnie lepiej słuchaj. Zawsze możesz na mnie liczyć. Z czymkolwiek nie przyjdiesz. Nie ma wyjątków. Szymek, czy ty w ogóle mnie słyszysz, pijaku jeden?

11

Pijany wspiałem się na drzewo i spojrzałem w ciemność. Korytarz był przyjemnie chłodny. Skrzek niemal umilkł. Wiedziałem – wróci ze zdwojoną siłą przed świtem. Nie będę liczył kroków, ale on, jeśli chce, może do mnie przyjść. Czekam. Chcę Tekli z powrotem. Ale nie będę liczył kroków, nie zejdę do ciebie, nie jestem aż tak głupi. Loch odpowiedział mi ciszą. Wołałem dalej i ciskałem kamieniami tylko po to, żeby nagle przestać – wyobraziłem sobie, że on nagle staje przede mną i pochyla złamany róg.

Uświadomiłem sobie coś jeszcze. Tekla była starsza i jej los zapowiadał mój. Niedługo mi też zaczniesz tańczyć noga. Tak ma właśnie być, rogi draniu? Zabrzmiało wołanie. Ktoś w Rykusmyku domagał się, żebym zamknął pysk.

Niedługo umrę, taka jest prawda. Rozsmaruję się na ścianie, *adios, amigo*. Wołanie powtórzyło się i rozpoznałem głos Gablociarza. Kręcił się i świecił latarką. Boże drogi, ja umrę. Byłoby dobrze pożyć jeszcze troszeczkę. A tu nie. Ledwo trzymałem się na nogach. Objąłem gałąź i powoli zsunąłem się niżej. Wylądowałem w plamie światła. Gablociarz mnie rozpoznał i chciał wiedzieć, co tu robię po nocy. Zamilkł natychmiast, gdy tylko mi się przyjrzał. Trąciłem go ramieniem i pozostawiłem za sobą, przestraszonego.

Po raz pierwszy wezmę sprawy w swoje ręce. Dowiem się, dlaczego słyszymy to, co słyszymy. (Co słyszała). Dowiem się, czemu umarła Tekla, i oddalę jej los od siebie. Dobiorę się do tajemnicy zamku, a jeśli Wilczur ma odrobinę oleju w głowie, zamurujemy piwnice razem z ich lokatorem. Wysadzę to miejsce. Spalę Rykusmyku, jeśli będzie trzeba. Tak sobie obiecałem.

Skrzek dopadł mnie na moście i przewiesił przez barierkę. Pamiętam tylko nurt Brzanki, ciemny i spokojny.

Rozdział piąty

1

Przy pomniku Małej Syrenki kręciło się trzech młodych mężczyzn o zasłoniętych twarzach. Zerkali wokoło. Bezgłośnie zsunęli się do wody, płosząc łabędzie, umieścili ładunek wybuchowy na pomniku, pod brodą, a jeden z nich pospiesznie naniósł sprayem kilka arabskich liter na małych, stożkowych piersiach. Odbiegli, rozproszyli się i nie mogli zobaczyć, że plan powiódł się jedynie częściowo. Wybuch, zamiast oderwać głowę, zmiotł tylko twarz, pozostawiając czarną wyrwę w jej miejscu.

Przed klubami na bulwarach Andersena, na Kattesundet i Vestergade kilkadziesiąt osób w lśniących, ciemnych ubraniach czekało na wejście. Kobiety odsłaniały kolana, mężczyźni mieli skórzane kurtki, a ochroniarze decydowali spokojnie, kto może wejść, a kto poszuka szczęścia gdzie indziej. Grube karki wyrastały ze sztywnych kołnierzyków.

W sercu Christianii strzelały ogniem koksowniki, nad którymi grzano dłonie i palono jointy. Turyści kupowali je na sztuki i wyłuskiwali z plastikowych tutek. Zakapturzeni handlarze zwieszali głowy nad bogactwem swych stoisk – składane stoliki były wypełnione kośćmi haszu wielkości tabliczki czekolady i workami marihuany najróżniejszych odmian. Transakcje najczęściej odbywały się w milczeniu. Turyści garbili się przy ławach, zapalali świeże zakupy, zaciągali się i kaszleli, żeby zaraz przepłukać gardło tuborgiem w małej puszcze. Przyglądali im się starzy hippisi z resztkami brudnych włosów okalających łysiny, bezzębni, zarośnięci, w rozciągniętych swetrach i skórzanych kurtkach. Niedopałki leciały im z ogromnych rąk. Byli też młodsi, o żylastych przedramionach, z tatuażami podchodzącymi pod uszy,

a nieruchome, poznaczone bliznami twarze nadawały im wygląd ożywionych pomników.

Piękne dziewczyny w kusych kurteczkach zbijały się w grupki. Między ludźmi krążyły krępe, muskularne psy. Nieco dalej, nad brzegiem kanału, dziesiątki par oczu spoglądały bezmyślnie na nieruchomą wodę. Pewien mężczyzna, który najpierw zjadł haszowe ciastko, potem spalił z kolegą jointa i tak się rozochocił, że poleciał po drugie ciastko, pełznął teraz ubłoconą uliczką w kierunku baraków. Z ust zwisała mu tłusta nić śliny.

W Østerbro, Hellrup i innych północnych osiedlach położonych daleko od centrum grupy chłopców włóczyły się bez wyraźnego celu. Mieli workowate spodnie, czapki z daszkiem i kurtki, obszerne i rozpięte, tak że można było dostrzec koszulki, na których krzyżowały się rewolwery, a Statua Wolności miała zasłoniętą twarz i mierzyła w niebo z pistoletu automatycznego. Chłopcy szli falangą, mieli cegły, kamienie i rozbijali każdą latarnię, jaką napotkali na swojej drodze. Towarzyszył im trzask upadających rowerów. Gdy nad ulicą zapadała ciemność, rozbiegali się w stronę zaparkowanych samochodów.

Kobieta, która mogłaby uchodzić za piękną, gdyby nie smutek rysujący się na jej pociągłej twarzy, wybiła szybę w sklepiu z żelkami na Falkoner Alle. Stała przez chwilę nieruchomo, jakby zdziwiona, że szkło pękło od pierwszego uderzenia. Albo po prostu zastanawiała się, czy jest gotowa na to, co zaplanowała. Ukruszyła ostre odłamki i weszła do środka, w lewej dłoni unosząc niewielki kanister. Sunęła przez sklep, podjadając żelki o intensywnych kolorach, a za nią rozlewała się błyszcząca stróżka benzyny. Postawiła kanister w najdalszym rogu, wycofała się i cisnęła zapalkę. Potem przeszła na drugą stronę cichej ulicy i ze

skrzyżowanymi na piersiach ramionami spoglądała na rozprzestrzeniający się ogień. Odwracała głowę, nawet gdy pod zimnym spojrzeniem telefonów komórkowych ciągnęli ją do radiowozu.

– To już koniec – powiedziała Helle Hukommelse. – Nie jestem z tobą szczęśliwa. Dużo myślałam, jak ci to powiedzieć i co zrobić, żebyśmy oboje ucierpieli jak najmniej.

Za oknem wynajmowanego mieszkania Falkoner Alle błyszczała bankiem i kawiarnią. Bartek siedział na stołku w kuchni i trzymał się za brzuch.

– Co zrobiłem źle?

– Nic. Może w tym rzecz. Słuchaj, tak naprawdę nie mam konkretnego powodu. Po prostu coś nie gra. Naprawdę nie wiem. Wydawało mi się kiedyś, że przy tobie będę się lepiej czuła sama ze sobą i rzeczywiście, tak było. Ale już nie jest. To nie moja wina. Nie odpowiadamy za to, co czujemy, prawda?

– Powinniśmy po prostu porozmawiać.

– Rozmawiamy.

– Przecież też widzę, że coś jest nie w porządku. Nie jestem ślepy. Tylko po co zaraz uciekać? Co z tym, co razem zbudowaliśmy? Posłuchaj...

Chciał ją objąć.

– Nie. – Helle wstała. – Powinniśmy dalej żyć. Dużo o tym myślałam i jeśli czegoś się boję, to szarpaniny. Tego naprawdę moglibyśmy uniknąć. W czwartek przyjdą ludzie i spakują twoje rzeczy. Możesz przy tym być. Ja sobie pójdę. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś był, ale wolę, żebyś mi zaufał. Niczego nie przegapię.

– Zwolnij, proszę.

– A nie lepiej mieć to z głowy? Masz do nich numer. Przetrzymają rzeczy przez dwa tygodnie. Powinno ci starczyć czasu na znalezienie nowego mieszkania. Jeśli nie znajdziesz, zapłacę za przedłużenie. I tak płacę, nie zobaczysz żadnego rachunku. Tutaj, proszę, weź.

– Co to jest?

– Adres hotelu. Rezerwację masz od dzisiaj. – Położyła dłoń na jego dłoni. – Nie utrudniajmy tego sobie.

– Tego jest trochę za dużo naraz, nie rozumiesz?

Helle odchyliła się w punktową plamkę światła z sufitu. Okrągała twarz, zadarty nos, krzyżyk na piersi, pierwsze zmarszczki na szyi. Wyglądała jak matka karcąca dziecko. Bartek zamilkł. Wodził oczyma po półkach pełnych książek i obrazach pełnych intensywnych barw i podłużnych kształtów. Wstał.

– Co z tobą będzie?

– Pomyśl o sobie. Może wreszcie ci się uda? Może od początku chodziło właśnie o to?

Śmiały się zdjęcia i magnesy na lodówce.

2

Noc rozniosła uporządkowane światła po całej Kopenhadze. Bartek szedł brzegiem sztucznego jeziora. Na brudnej pianie kołysały się puszki, paczki po papierosach i plastikowe butelki. Kamienice ślizgały się na wodzie, mijali go biegacze, rowerzyści palili papierosy i rozmawiali przez telefony komórkowe. Bartek chciał zatrzymać jednego z nich. Zapytałby, czemu go to spotyka.

Pomyślał, że Helle będzie trudno znaleźć kogoś nowego. Chyba że już kogoś ma. Ktoś inny czekał przed kamienicą i właśnie grzeje się w ich mieszkaniu. Wyobrażał sobie tego człowieka znaczącego teren: jak układa swoją kupkę gazet w łazience i zarządza

miejszem w szafach, które niedługo zostaną opróżnione. Miał wrażenie, jakby został oszukany i Helle nigdy nie zależało na ich związku tak jak jemu.

Skreślił w prawo, zagłębił się w studencką dzielnicę, pełną sklepów muzycznych i dziupli z ciuchami oraz tanim jedzeniem. Żałował, że nie może cofnąć czasu. Rozegrałby inaczej tę rozmowę.

W kawiarni zamówił colę z lodem i patrzył na młodych – w czapkach jak grzyby, w obcisłych dżinsach i skórzanych kurtkach lśniących niczym lateks – przewalających się za szybą. Pili piwo w małych puszkach. Przy stoliku obok siedziały dwie dziewczyny o jasnych włosach. Spróbował ściągnąć którąś wzrokiem, zagadał, ale chciały być same.

Droga do hotelu prowadziła przez kurwie zaułki. Wzrok młodych kobiet ślizgał się po szybach samochodów. Bartek przystanął. Usiłował dociec, jakie ciała skrywają te kurteczki chroniące przed wiatrem. Czuł, że się kurczy. Rowery, poskręcane ze sobą, ułożyły się na kształt bramy. Na wystawach majtki, delikatne jak babie lato, członki ze zmysłowego, czerwonego plastiku, jasne okładki filmów i sztuczne krocza. Wejścia do hotelu broniła papierosowa chmurka, z okna obok dochodziło pijackie wołanie, portier przypominał alfonsa. Powiedział, że pokój czeka.

Następnego ranka Bartek obudził się wcześniej i nie wiedział, gdzie jest. Rozpoznał blat biurka, lustro, łóżko, w którym spędził noc, ale dalej nie wiedział.

3

Recepcjonistka powiedziała mu coś po duńsku. Przeciągnął kartę. W windzie zawiesił wzrok na swoim odbiciu: blady chłopak o rzednących włosach spiętych w kitkę.

W biurze zrzucił torbę na wolny fotel. Włączył komputer. Maile prześledził na stojąco, tylko tematy, i poszedł po kawę, na drugą stronę budynku, gdzie stał dobry ekspres, o którym mało kto wiedział. Zderzył się z Mortenem Rynke-Blindim. Morten, wczorajszy i zaspany, oświecił go, że po życiu nie należy się spodziewać zbyt wiele.

Przez pierwszą godzinę czytał korespondencję i strony plotkarskie. Udał się w rejon palarni i porwał gruszkę z cateringu. Przyszedł czas na dłuższe e-maile i odpowiedziałby na wszystkie, gdyby nie telefon. Dziewczyna o nazwisku niemożliwym do wymówienia dzwoniła z jakiegoś francuskiego portalu dla haerowców i chciała wywiad o komunikacji. Bartek najchętniej odpowiedziałby, że nie potrafi się komunikować.

Morten Rynke-Blindi koło południa odzyskał siły, omówił z Bartkiem szczegóły trzeciej wersji szkolenia i dodał, że w tym wypadku szybciej naprawdę znaczy lepiej. Przez resztę dnia słał nerwowe forwardy.

Godziny mijały pod znakiem wieszającego się komputera. Bartek rozrysował szkolenie ręcznie, zastanowił się nad nim i mozolnie nanosił zmiany na plik. Dziewczyna z Paryża dzwoniła jeszcze dwukrotnie, bo o czymś zapomniała. Słońce wpadało przez okno, ekran był nieczytelny. Nie chciało mu się zasunąć rolet. Nieoczekiwanie do biura wszedł Morten i powiedział, że jest kłopot. Norweżka, ta, co była w ciąży, naprawdę jest w ciąży i z projektem do Oslo poleci właśnie Bartek. Potem zapytał, czy to jakiś problem i czy zjedzą razem lunch.

Podczas posiłku na stołówce Morten Rynke-Blindi utrzymywał, że tego kwiatu jest pół świata i nie ma co się przejmować.

– Zupełnie tutaj nie pasujesz – klarował. – Ludzie na co dzień nie robią z tego problemu. Nie myślałeś, tak po prostu, żeby wyrwać kogoś, zabawić się przez tydzień, dwa? Człowieku, choćby przez noc.

– Nigdy nie miałem z tym problemów, ale i nie o to chodzi.

– Po prostu ta jedna rzecz mi w tobie nie odpowiada. Helle po tobie nie płacze, nie płacz ty po Helle. Facet, ile ona właściwie miała lat?

Bartek się nastroszył.

– A tobie co do tego?

– Dobrze, dobrze, hej, w porządku. Nie moja sprawa.

– Nie. To ja przesadzam. Fakt, młoda nie była.

– No właśnie. Kolejny plus bycia mężczyzną, jeśli mogę tak powiedzieć. Zdradzę ci sekret. Wiesz, jak najłatwiej to załatwić?

– Co znowu?

– Naprawdę, jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który ma takie kłopoty. Ile ty właściwie tutaj jesteś?

– Dość długo.

– No. A na imprezach dla expatów cię nie widziałem.

– Przecież ty jesteś, baranie, z Danii.

Morten Rynke-Blindi lubił ruszać rękami podczas mówienia. Nosił sweter z zamkiem błyskawicznym na ramieniu.

– A jaka różnica? Na tych spotkaniach jest masa kobiet, które przyjechały z Europy. Szukają kogoś, czują się samotne. Ja tam swoje załatwiłem. A ty to już w ogóle nie miałbyś problemów. One szukają tobie podobnych, gości z Polski, z Hiszpanii, skądś tam. Kogoś, kto przeszedł przez to, co jeszcze jest przed nimi.

– Wielkie mi rzeczy, pójdę, jak będę miał taką melodię.

– Więc niech lepiej ci zagra. W międzyczasie doszedłem do tego, co z tobą jest nie w porządku. Tylko słów brakuje. Jesteś taki cały na zewnątrz, wszystko na wierzchu. Wylewa się z ciebie, to dobre słowo. W twojej miłości, stary, można się utopić. A tutaj jest to niepotrzebne. Daj sobie na wstrzymanie i nie pokazuj wszystkiego od razu. To inny kraj, tu nikt tak nie robi.

Morten Rynke-Blindi jadł sałatkę. Bartek wolał kanapkę, przygotowaną wcześniej w hotelu.

5

W pokoju hotelowym rwało się Wi-Fi i Bartek zszedł do komputera w lobby. Kawa dymiła na szklanych blatach, Rosjanie krążyli między stołówką i portiernią. Monitor zawieszono na ścianie i Bartek musiał pracować na stojąco. Przeglądał oferty przysyłane przez pośrednika nieruchomości, większość mieszkań mu się nie podobała. Jedno za daleko, inne za ciemne, jeszcze inne podejrzane, o brzydkiej podłodze i z oknem wychodzącym na mur.

Wreszcie znalazł – trzy pokoje na pierwszym piętrze, dwadzieścia minut dojazdu do pracy. Falkoner Alle. Może spotka Helle. Rosjanki obok były pulchne i pełne życia. Miały drobne, ruchliwe palce.

6

Minął tydzień i Bartek wprowadził się do nowego mieszkania. Kuchnia była długa i ciemna, a pokoje umieszczone daleko od siebie. Przypomniały mu się mieszkania studenckie, w których kiedyś bywał, jeszcze w Polsce.

Pierwszą noc przespał na podłodze. Rano pojechał do Ikei, gdzie kupił wszystkie meble, jakich potrzebował. Skończył je skręcać dokładnie w chwili, kiedy zjawili się pracownicy firmy przewozowej

wynajętej przez Helle. Rozkładał rzeczy do późna i poszedł spać niezadowolony; czegoś mu brakowało.

Zrobił zakupy na eBayu i odbiór przesyłek wypełnił jego dni. Telewizor na pół ściany i kino domowe, radio do kuchni, monitor i komputer do sypialni. Elektryczna golarka. Czytnik i PlayStation, którego długo nie potrafił podpiąć. Zewnętrzny dysk. Łączą. Karty graficzne i ciemne okulary. Najwięcej uwagi poświęcił kuchni.

Zamówił ciężkie ciemne talerze, garnki ze stali nierdzewnej, w tym specjalne do makaronu i mleka. Szybki. Przyprawy najpierw umieścił w wiklinowym koszu, a gdy przywieźli pojemniczki, przesypał je starannie i ustawił niby laleczki, obok młynka do kawy. Noże przyjechały na samym końcu, o białych ostrzach i zielonych uchwytach doskonale dopasowanych do dłoni.

Wieczorami kroił mięso na drobne kawałki, patrzył za okno i słuchał muzyki. Zastanawiał się, czy nie sprawić sobie kota. Ale nie. Koty tak krótko żyją.

7

Bartek obawiał się imprezy, na której nie znał nikogo poza Mortenem Rynke-Blindim, i po raz pierwszy zgubił się w Kopenhadze. Błądził po identycznych uliczkach. W oknach stały lampy o dużych, białych kloszach i poskręcane rośliny. Przestrzeń między czteropiętrowymi blokami zajmowały małe kościoły. W końcu nastawił GPS w komórce i doszedł na miejsce.

Po lewej stał rozplumkany DJ. Goście, w sile około pięćdziesięciu głów, tłoczyli się wokół baru. Wyglądali, jakby znali się od dawna. Bartek zamówił coronę z limonką i słał esemesy do Mortena. Rynke-Blindi odpowiadał, że niedługo będzie. Bartkowi wpadła w oko szczupła, radosna dziewczyna z włosami spiętymi w kucyk. Widać było, że nie zna tu nikogo. Zamiast z nią zamienił

parę słów z Anglikiem pakistańskiego pochodzenia, rezydującym w Malmö. Anglik był bardzo pijany i powiedział, że ma w telefonie zdjęcia w kostiumie kąpielowym Borata i chętnie je pokaże. Bartek umknął po kolejną coronę.

Tłusta Włoszka opowiadała o sześciu miesiącach spędzonych w Indiach. Miała tam plecak, jeździła pociągami, paliła hasz i jadła dobre żarcie. Pracę wykonywała zdalnie na MacBooku, a małpy wchodziły jej do pokoju przez otwarte okno. Teraz przyjechała tutaj, do faceta, ale im nie wyszło. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Bartek zaczął się zastanawiać, co mogłoby dla niego wyniknąć z tej znajomości, ale Włoszka wypaliła, żeby uważał na Duńczyków, owinęła się szalem i poszła. Wylądował w towarzystwie jedyne go Polaka, który budował słowiańskie imperium w Kopenhadze. Prosił o telefon, zapewniał, że odezwie się na Facebooku, i obiecywał, że razem mogą zdziałać wielkie rzeczy. Bartek zamówił kolejną coronę, znalazł w sobie odwagę i podszedł do dziewczyny z kucykiem. Zapytał, czy też nie zna tutaj nikogo.

– Znam wszystkich – odpowiedziała. – Po prostu uwielbiam nudzić się na imprezach.

Pokiwał głową i chciał odejść. Wybuchła śmiechem: tak, jest tu po raz pierwszy, choć mieszka w Danii od dawna.

– Chciałam coś zmienić – dodała.

Nazywała się Maya i pochodziła z Grecji. W drzwiach stanął pijany Morten Rynke-Blindi i natychmiast ruszył w ich stronę, porywając piwa i za nic nie płacąc.

8

Maya paliła elektronicznego papierosa. Powiedziała, że w Grecji kurzyła zwyczajne, jak wszyscy, i zdecydowała się na zmianę dopiero przed samą przeprowadzką.

– Myślałam, że tutaj aresztują mnie za jednego szluga – dodała. – A proszę, wszyscy palą.

– To dziwny kraj. Bardzo kontrastowy. – Morten lgnął ku niej, próbował obejmować. – Ja tam ci tej Grecji zazdroszczę. No, ale teraz nie jest tam wesoło.

– Zależy, jak na to spojrzysz. Papierosy smakują inaczej. Ale dobre rzeczy szybko się nudzą. Morze się nudzi. I słońce. Jak jesteś dzieckiem, to fajnie, potem już nieszczególnie. Swoją drogą dzieciństwo w Danii musi być okropne.

– Bo ja wiem? Jestem z Tornveld, na północy. To małe miasteczko. Łowiłem ryby z innymi chłopakami. Próbowaliśmy łapać ptaki. Najfajniej było... Słuchaj, mamy tam dwa małe cmentarzyki. Chodziliśmy tam nocą i chowaliśmy się między nagrobkami, uwierzysz? Smarki. A tak to siedziało się w domu, mieliśmy telewizor i gry planszowe. Potem przeniosłem się tutaj. A ty dlaczego przyjechałaś?

– Ot tak. Jestem tutaj ot tak.

Bartkowi przypomniały się inne groby. Niespodziewanie Maya posłała mu rozpaczliwe spojrzenie: zrób cokolwiek, pomóż mi. Nawet on to rozpoznał. Wahał się chwilę, w końcu rzekł:

– Drętwo tutaj. Może się przejdziemy?

9

W Seven Eleven kupili wino. Bartek wydłubał korek kluczem, pił, zasłaniając butelkę kurtką, Morten tak samo. Maya ciągnęła bezwstydnie na środku ulicy, stając w lekkim rozkroku i odchylając głowę. Krążyli wokół niej, zachodzili od lewa i prawa, jak dzieci. Wymykała się, zwiewna, znikwała w uliczkach. Mijali księgarnie, serwisy naprawy komputerów i niewielkie knajpy, gdzie mimo chłodu i późnej pory młodzi siedzieli na zewnątrz, owinięci w koce.

Z okien na piętrach brzmiała muzyka. Maya wysunęła się naprzód. Bartek próbował ją dogonić, ale tylko potracił rower, który upadł z trzaskiem.

Dotarli do długiego ceglanego muru. Maya postawiła butelkę na chodniku i powiedziała, że po drugiej stronie jest cmentarz – wystarczy przeskoczyć. Morten próbował protestować, ale ona tylko się zaśmiała. Może powiedział jej nieprawdę? Nieważne, pójdzie i tak. Z Mortena jakby uszło powietrze, ale Bartek zrobił siodełko z dłoni i pomógł Mai się wspiąć.

10

– Kiedyś byłem w tym dobry – powiedział.

Pobiegli między groby. Bartek przecwalał kilkadziesiąt metrów i przycupnął za żywopłotem. Starą attykę rozsadziły korzenie. Nazwisko zmarłego było nieczytelne, a cały cmentarz przypominał park, pełen wygolonych drzew i starannie przyszytych krzaków. Nagrobki znajdowały się daleko od siebie, z wyjątkiem tych ułożonych w okręgi. Nigdy tu nie był. Brakowało mu zniczy i kwiatów.

Zabrzmiało syknięcie. Bartek dostrzegł Mayę kucającą pod pomnikiem anioła. Zawołała go. Podbiegł, a potem ruszyli wspólnie w stronę kasztanowca, rzucającego potężny cień od światła z ulicy. Garbili się. Maya chwyciła go za rękę. Przyparli do pnia i patrzyli, jak Morten Rynke-Blindi krąży pomiędzy grobami, świeci zapalniczką i klnie.

– Zobacz tylko, on się boi! Taki rycerzyk, a strach go obleciał.

– Możemy wyskoczyć i zrobić „uuu”. Albo coś głupiego.

– Nie, nie. Niech sobie pójdzie. Nie mam na niego ochoty. O cholera, cholera, nie w tę stronę!

Przycisnęła Bartka do ziemi. Morten przeszedł tuż obok, zawołał po raz ostatni i przeskoczył przez mur. Maya sięgnęła między korzenie i wydobyła pożąłką czaszkę bez jednego zęba. Przyglądała się jej, leżąc na plecach.

– Zobacz. Tu kiedyś był grób. Sadzą drzewa na grobach, jak poganie. Moja mama złapałaby się za głowę, gdyby ciebie tak zobaczyła. Biedaku jeden, kim byłeś? Jak się tu znalazłeś? Opowiedz mi. Albo wejdź we mnie i pomieszkać sobie trochę, mój szczerbaty, skandynawski umrzyku. Czekać, Bartek, może żuchwa też tam jest.

– Przestań, proszę.

– Znowu „przestań”. Ledwo zgubiliśmy tamtego palanta, a ty już robisz się marudny. Niech ci będzie. – Odłożyła czaszkę między korzenie. – Po prostu nie chcę jeszcze iść spać. A wina nie ma. Chodź do kawiarni.

– Tam znajdzie nas Morten. Możemy pojechać taksówką gdzieś do centrum. Ale ja mieszkam dziesięć minut stąd. Kupmy dżin i wypijmy go u mnie. – Bartek nie wierzył, że to mówi, i poczuł się głupio. Maya otrzepała sukienkę.

– Właściwie czemu nie?

11

W porze lunchu Morten Rynke-Blindi tryskał energią. Ścianę w knajpie, gdzie tym razem jedli, zapełniały butelki wina.

– Daj spokój, proszę – powiedział Bartek. – Nie zmrużyłem oka.

– Nic a nic?

– Przecież mówię. Coś za coś. Swoje już w życiu przespałem. Zio nie ode mnie?

– Ociupinkę. Toście zdrowo przygrzali, no, no. Opowiadaj lepiej. Coś w końcu jesteś mi winien.

– Przyczepiłeś się i tyle.

– Człowieku, a kto podprowadził ją pod ten cały cmentarz? Kto sobie poszedł dokładnie wtedy, kiedy miał pójść?

– Wolne żarty.

– Kiedy właśnie tak było! Nie chcesz, to nie mów, mi tam wszystko jedno, ale jako wierzyciel mam do ciebie jedną prośbę. Weź się nie zakochaj, bo z tą Greczynką jest coś cholernie nie w porządku. Nie wiem co, ale jest. Więc proszę, z pozycji wierzyciela. Nie zakochaj się. Jesteśmy już na to za starzy.

12

W piątkowe popołudnie przygotowali razem obiad: noże, świeżo obrane z folii, czekały w rzędzie na swoją kolej. Bartek włożył ziemniaki do piekarnika i zaczął kroić, po kolei, polędwicę, salami i kurczaka. Maya przygotowała sery i zabrała się do rozcierania przypraw. Po kuchni rozlał się intensywny zapach rozmarynu. Uruchomili podgrzewacz do raclette i Bartek oznajmił, że niedługo trzeba przygotować stół. Maya rozłożyła obrus na kuchennej podłodze i tak zjedli, popijając winem.

– Przydałby ci się kot – powiedziała z pełnymi ustami. – Krążyłby tutaj i wyjadał resztki. Ja po prostu nie umiem wyobrazić sobie życia bez kotów.

– No, ale żyjesz.

Zniknęły mięsa i sery. Maya roztopiła gorzką czekoladę, zamoczyła bułkę i zaczęła go karmić. Ręka zeszła jej odrobinę i ciepła, brązowa maź pociekła Bartkowi po brodzie. Dziewczyna wysmarowała mu szeroki uśmiech, zaznaczyła policzki, pocałowała w czoło i powiedziała, że jest strasznie zabawny.

13

Położyli się nadzy na łóżku przed otwartym laptopem i puszczali sobie na zmianę piosenki, które lubią. Maya nie chciała słyszeć o Grecji: wybierała kawałki Linkin Park i Petera Gabriela. Bartek przypominał sobie, jak wiele znaczyła dla niego muzyka. Kawałki, które miał za poważne, teraz wydały mu się głupie. Ci długowłosi mężczyźni w obcisłych spodniach. Te zaśpiewy operowe. Synchroniczne ruchy na koncertach. Kiwał głową, próbował nucić. Maya wyrwała mu swoją rękę, którą bezwiednie ujął.

– Przestań, proszę, nie teraz.

– Co się stało?

– Zawsze myślisz tylko o sobie, no nie? Pewno nawet tego nie zauważasz. Każdy czegoś się wstydzi i ja na ten przykład nie umiem nic z tym zrobić.

Chwilę trwało, nim pojął, co ma na myśli.

– Moje dłonie. Zobacz tylko. Przecież ja ładna dziewczyna jestem, co nie? A te dłonie jak u faceta. Rybacy u mnie takie mieli. Wielkie, czarne i brzydkie.

Milczał, zdziwiony.

– Najgorsze, że wszystko ukryjesz, tylko nie je. Garb, szklane oko, grube kości, niski wzrost. Dziś przerobisz czarownicę na bóstwo. Tylko z dłońmi nie można nic zrobić. Jak ktoś chce skompromitować jakąś gwiazdę, fotografuje jej dłonie. Zniszczone. Dobrze, że nie jestem gwiazdą, prawda?

Bartek nie wiedział, co odpowiedzieć. Maya miała drobne, krótkie palce i zadbane paznokcie pomalowane na czerwono.

Maya mieszkała przy Nørreport, dwie stacje metrem od niego. Większość imigrantów kupowała lekkie, tanie meble. U niej na dwóch pokojach tłoczyły się masywne szafy i regały pełne starych

książek w języku duńskim. Materac wielkiego łóżka skrzeczał zawsze, gdy się kochali. Tylko kuchnia była inna, jasna i pozbawiona ozdób: niemal puste szafki, dwa noże, mikrofalówka.

– Przedtem jadałam na mieście – powiedziała. – Dopiero ty przypomniałeś mi, jaką frajdą bywa gotowanie.

Usiadł na białym fotelu. Ściany wypełniały zdjęcia obcych ludzi i dziwne, ciemne grafiki przypominające horoskopy. Zapytał, do kogo należą.

– Już tu były – odparła. – Mam ich pilnować i nawet wytargowałam zniżkę w czynszu. Lubię stare rzeczy. Lubię rzeczy, które są ciężkie. Lubię rzeczy, które mają dla kogoś znaczenie. Dzięki nim zawsze czuję się jak w domu.

15

– A to poznajesz? – zagwizdała melodię. Musiał uważnie posłuchać, żeby znaleźć odpowiedź. Jon Bon Jovi, *Blaze of Glory*. Ją interesowało już coś innego.

– Zobacz! Słonie, o rety, słonie!

Maya pociągnęła Bartka alejką w stronę barierki. Na wybiegu, przynależącym do pobliskiego ZOO, ale zwróconym w stronę parku, kołysały się trzy słonie indyjskie. Dwa szukały cienia, trzeci mącił trawą płytką wodę jeziora. Dzieci śmiały się przy barierce, śmiała się i Maya.

– Boże, mieszkam tu tyle, a jeszcze ich nie widziałam. Pomyślałbyś, słonie, tak po prostu, w parku? I to w Danii! Zimą musi być im tutaj paskudnie.

Bartek zobaczył, że obok dzieci przystanęła Helle w stroju biegaczki. Odpoczywała. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę i Bartek poczuł ukłucie wstydu, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Helle odeszła bez pożegnania czy uśmiechu.

Nie miał ochoty na wizytę w Christianii i Maya musiała go długo namawiać. Wieczne słońce kładło chłodne plamy światła na łuszczących się budynkach. Cudaczna brama informowała, że opuszczają Unię Europejską. Za ubikację służyła metalowa membrana z rynienką w środku. Maya nuciła melodię do odgadnięcia.

– Gaga, *Paparazzi* – odpowiedział Bartek.

Na Christianię składało się kilkadziesiąt wojskowych budynków, dekady wcześniej zasiedlonych przez hippisów. Zdawały się wyrastać wprost z błota. Jamki sklepowe oferowały rękodzieło. Minęli dziwaczne drzwi z wymalowaną wielką białą biedronką.

– To tutaj – wyjaśniła Maya. – Biedronka otworzy skrzydełka i wtedy wejdziemy na przedstawienie.

W półokręgu budek sprzedawano arabskie jedzenie. Dalej rozłożono stoły, a na nich haszysz, marihuanę wielu odmian i gotowe jointy o różnej mocy i sposobie działania. Bartek ciągle się wahał, Maya sięgnęła po haszową tutkę za pięćdziesiąt koron. Sprzedawca nie wziął gotówki i kazał położyć odliczoną kwotę w tekturowym pudełku.

Usiedli przy drewnianej ławie, zaczęli palić, jak wszyscy wokoło. Obok kręcili się siwowłosi artyści ubrani w dżins, przewalały się zubożniałe grupy turystów. Pięcioro młodych i agresywnych strzelało oczyma spod płaskich daszków. Bartek zaczął się ich bać; jeszcze wstaną i zrobią im krzywdę. Powiedział, że nie palił całe lata, sam nie wie jak długo. To ostatnie było nieprawdą.

– Było to w czasach, kiedy miałem przyjaciół.

– Miałeś i co?

– Wyjechałem. Obiecywałem sobie, że będę trzymał z nimi kontakt, ale nie wiedziałem, jak wiele czasu będę poświęcać na pracę. I te przeprowadzki. Francja, Belgia, teraz to.

– Co się stało?

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Nie mówisz o tym tak zwyczajnie. Co się stało z twoimi przyjaciółmi?

Bartek zakrztusił się śmiechem.

– Słuchaj, właśnie nabrałem przekonania, że przyjdzie tutaj Henry Rollins i zacznie nas uczyć obsługi kosiarki. Coś cudownego.

Zdjął go niewytłumaczalny strach. Powietrze było chłodne i szpitalne, ludzie ciężcy niby dusze czyścicowe. Brudna ścieżka biegła w dół pod ostrym kątem, ku jamie do wnętrza ziemi, przesłoniętej przez krzaki, połamaną ławkę, koło od roweru i wielką fajkę wodną.

Maya zagwizdała, zgadł natychmiast. *California King Bed*, Rihanna.

17

Zapadł zmierzch. Maya poprowadziła Bartka między zniszczone budynki o zamalowanych oknach. Na szczycie zwirowej góry usadowił się młodzieniec w czerni i patrzył ponad głowami ludzi. Bartkowi zdawało się, że jest w Czechach. Nie wiedział dlaczego. Wszyscy tutaj byli obcy, jak kukły produkowane w fabryce. Chciał iść, ale Maya przypominała: przedstawienie, przedstawienie.

Zagłębili się w klatkę schodową pomalowaną w czerwienie i seledyny i wspięli po drewnianych schodach. Drzwi ustąpiły i nagle znaleźli się między białymi stolikami, na których stały karafki z winem. Restauracja. Bartek syknął na widok kelnera

zmierzającego w ich stronę i pociągnął Mayę do wyjścia. Nie tutaj. Stanęli na dole, pod drzwiami z biedronką, i pili wodę niegazowaną.

Maya powiedziała, że muszą poczekać, aż biedronka się otworzy; wówczas znajdą się w środku. Bartka ogarnęło przerażenie. Jeśli rzeczywiście biedronka rozchyli białe, drewniane skrzydła, to co może wyłonić się ze środka? Robaczywy czerep, wielki jak samochód, albo ochroniarz, który zna wszystkie tajemnice, w tym tę najstraszniejszą. Drżał i chwycił się ściany.

Było już ciemno, gdy skrzydła się rozwarły. Ochroniarz był małym człowiekiem. Sprzedał bilety po sześćdziesiąt koron i wpuścił do środka. Usiedli na ciężkich fotelach ze sztucznej skóry, zamówili wino. W półmroku aktorzy przygotowywali się do przedstawienia.

18

Bartek bał się ciemności. Niepokoiło go dudnienie z głośników. Chciał poprosić Mayę, żeby stąd poszli, ale brakowało mu śmiałości. Na około, na sofach i przy stolikach, siedzieli szczupli młodzieńcy o pódlugich włosach i w okularach o czarnych oprawkach.

Na scenę, ciemną do tej pory, padły dwa czerwone światła. Z lewej strony wyłoniła się blada dziewczyna o nagich piersiach i w złotej rogatej czapce. Naprzeciw niej stanął młodzieniec w kolorowej powłóczystej szacie zdobnej w trójkąty. Dzierżył włócznię. Pomiedzy nimi znajdowała się wanna, a bębny waliły jak oszalałe.

Dziewczyna powoli rozebrała młodzieńca. Wytatuowany krokodyl sunął mu po brzuchu w kierunku serca. Zaprowadziła chłopaka do wanny, w której zanurzył się po barki. Woda, za

sprawą światła, była czerwona. Młodzieniec położył włócznie przed sobą. Dziewczyna długo myślała jego plecy. Gwałtownym ruchem wepchnęła mu głowę pod wodę, bębny stały się ogłuszające.

Dłonie chłopaka zakleszczyły się na brzegu wanny. Dziewczyna trzymała mocno, aż przestał się poruszać. Mijały minuty. Bartek zerkał na zafascynowaną Mayę. Trwało to bardzo długo. Po sali poniosł się szmer. Widzowie podnosili się, barman nerwowym krokiem zmierzał w kierunku sceny. Bębny zamilkły, a młodzieniec podniósł się, jakby poderwany na stryczku, cały w czerwieni. Wzrok miał nieobecny.

Uniósł włócznie i cisnął na oślep. Widzowie się rozpierzchli, a Maya chwyciła ją bez trudu, jakby tylko na to czekała. Stała. Zalała ją burza oklasków.

Światła zgasły, przedstawienie się skończyło. Aktorzy wkrótce wyszli do publiczności. Pili drinki, palili papierosy. Byli miłymi ludźmi, a włócznia okazała się obciążonym kawałkiem plastiku. Maya chciała ją zabrać na pamiątkę, Bartek, zdjęty lękiem, którego źródła nie potrafił wytłumaczyć, ubłagał, aby ją wyrzucili.

19

Leżeli na łóżku, sufit był daleki, jakby mokry.

– Czasem chciałbym wiedzieć, jak to dalej będzie – rzekł Bartek. – Nawet jakby miało być źle. To byłoby naprawdę dobrze, nie martwić się niczym. Wiesz, po prostu się zastanawiam, co z nami będzie.

– Ciekawe. Ja się w ogóle nie zastanawiam. Jest, jak jest, a jest dobrze. Nad czym tu myśleć?

– Inaczej nie umiem.

– Znam cię. Ty się zastanawiasz, kiedy razem zamieszkamy, głowisz się, czy to już czas, żeby na ten temat zagadać, nie wiesz,

jak to zrobić, ale czujesz, że to twój męski obowiązek. Zupełnie niepotrzebnie.

– No, coś takiego.

– Właśnie. Czemu nie możemy przyjmować tego, co jest, tak po prostu? Zachowujesz się, jakbyś czuł się winny, że robisz to, na co masz ochotę. Spróbuj to zrozumieć, a jeśli nie zrozumiesz, przynajmniej przestań się bać.

Usiadł na łóżku. Maya zagrzebała się pod kołdrą.

– Widziałem takie pary. Ludzie wierzą, że wszystko ułoży się samo, nie rozmawiają o tym, czego chcą, co planują. A potem „bach!”, rozjeżdżają się, stają się obcy i nie mają sobie nic do powiedzenia. Mam się tego nie bać?

– A ja widziałam pary, które poukładały sobie wszystko. Mało, a wybrałyby sobie pokój w domu starców. I co? I obcość, milczenie, dokładnie to wszystko, o czym mówisz. Nie ma żadnej recepty.

Obróciła się na brzuch. Nie mógł popatrzeć jej w oczy.

– To już nie te czasy, że wędruje się wspólnie. Ale dokądkolwiek pójdziesz, byłoby miło, żebyś kiedyś wrócił. Albo chociaż o mnie pamiętał.

20

Bartek obudził się z kacem i niewysłowioną tęsknotą. Usiadł na brzegu łóżka i patrzył na Oslo, nieodnowione ściany hotelu i śliski taras. Dziwił się temu, że obok nie ma nikogo, potem dziwił się własnemu zdziwieniu. Był na delegacji i padał deszcz.

Kolacja z dużą ilością wina nie posłużyła mu i teraz długo stał pod prysznicem. Nie mógł pozbyć się wrażenia brudu zalegającego pod skórą. Szorował ciało, ale brud pozostał. Na śniadanie przeznaczył pięć minut i poszedł do taksówki, ciągnąc torbę za sobą.

W norweskim biurze przewijali się Norwegowie. Dziewczyna od logistyki pytała, jak było. Bartek chciał wiedzieć, czego dziewczyna potrzebuje. taśmociąg dostawał kolejne druki i obżerał się w cateringu. Wczesnym popołudniem nie wiedział, gdzie jest ani co robi. Pamiętał jednak, aby kupić prezenty.

W pociągu jadącym na lotnisko nie mógł znaleźć automatu z biletami, właściwie budki z szparką na kartę. Konduktor powiedział, że tutaj takiej nie ma, ale są na dworcu. Zatrzyma pociąg dla Bartka, ale ten musi się pośpieszyć. Bartek zostawił walizkę i wypruł przed siebie, gdy tylko drzwi się otworzyły. Natychmiast się zgubił. Stał pośrodku hali dworcowej, wodził bezradnym wzrokiem i zaczepiał przechodniów. Pokazali mu automat. Popędził. Pociąg wciąż stał na stacji. Na twarzy konduktora czekającego w drzwiach nie malowała się niecierpliwość ani znużenie.

21

Bartek przyniósł prezenty z Oslo: suszone mięso renifera i butelkę jamesona kupioną w bezcłowym. W jej mieszkaniu paliło się światło, ale Maya nie otwierała. Drzwi ustąpiły.

Niepozmywane garnki, spalony tost w mikrofalach. Zastał ją w łóżku, pod kołdrą, na zmiętej poduszce. Spoglądała spod półprzymkniętych powiek. Było duszno. Tłusta mucha przysiadła na szklance soku. Na środku pokoju leżały ubrania, książki, płyty kompaktowe, pendrive, apaszka i tym podobne drobiazgi. Wszystko czerwone. Bartek usiadł przy Mai, zaczął pytać, co się stało, czy ktoś zmarł, jaka to choroba.

– Jestem po prostu bardzo zmęczona – odpowiedziała. – Wzięłam dzień urlopu. Kto wie, może jutro też nie pójde?

Świeżego soku? Jedzenia? Może lekarstwa? Albo po kogoś zadzwonić? Kręciła głową. Bartek zrobił herbatę, otarł jej czoło i otworzył okno. Pozmywał, napuścił wody do wanny. Zażartował, że najwyższy czas, aby Maya wzięła kąpiel.

– Pewno masz rację. Ale wyrzuc te rzeczy. Tak się umęczyłam z ich zbieraniem. Miałam w domu za dużo czerwonego. Mogłam wcześniej zwrócić na to uwagę. Zrozum, ja nie mogę już tego dotknąć.

Podniósł ją, rozebrał – ciało Mai było jakby napuchnięte. Do łazienki doszła o własnych siłach, zostawiła drzwi lekko uchylone, tak jak prosił. Rzuciła od niechcenia:

– *Pourquoi dois-je souffrir pour vos péchés?*

Bartek zaczął zbierać czerwone przedmioty. Schował je do worków na śmieci, zostawił w przedpokoju, usiadł i czekał, aż Maya się umyje. Minęła godzina i dwie. Wołał ją i zawsze słyszał, że wszystko jest w porządku. Wreszcie zajrzał do łazienki. Maya kuciała w wannie, głowę miała spuszczoną i polewała sobie plecy wodą. Zastygła w jednym kształcie. Gwizdała piosenkę, której nie potrafił rozpoznać.

22

Maya nie poszła do pracy ani następnego dnia, ani przez następne dwa tygodnie. Powiedziała, że przez dziesięć lat nazbierał się jej prawie rok urlopu i może byczyć się do woli; tak bardzo potrzebowała odpoczynku, *les voix ne dorment jamais, pas même un chien enragé se tait*.

Bartek zaglądał rano, sprawdzał, jak się czuje, zmuszał do soku i jogurtu. Próbował nakłonić do wizyty u lekarza, ale nie chciała o tym słyszeć. Powtarzała tylko, że jest bardzo zmęczona. Wracał wieczorem i jeśli było ciepło, czasem zdołał namówić ją na krótki

spacer. Jeśli nie, puszczał filmy i seriale, którym przyglądała się obojętnie. Zapadała w płytki, nerwowy sen. Wtedy ją zostawiał.

Przypuszczał, że dziewczyna budzi się i wymiotuje, wyrzucał sobie, że nie zostaje na noc, jak robił to wcześniej, kiedy była zdrowa. Powinien tak postąpić, ale było to dla niego za trudne.

23

– Sprawdziłem ją, tak jak prosiłeś. – Morten Rynke-Blindi ćmił cienkiego papierosa. Stali przed biurowcem między innymi palącymi. – Nie znalazłem niczego niepokojącego. Albo coś zataiła, albo masz cholernego pecha, stary.

– Jesteś pewien?

– Pogrzebałem w jej papierach, sprawdziłem dane medyczne, uśmiechnąłem się do znajomego policjanta i jeśli tak zebrać to razem, wyjdzie, że mógłbym wylecieć na pysk z roboty za taki numer. Odrobina wdzięczności, dobrze? Przyglądałem się temu dokładnie. Maya wyjechała z Grecji jeszcze jako nastolatka, zmieniała kraje, ale zawsze pracowała u nas, od czasu studiów. Problemy z zębami, owszem. Jakieś hece żołądkowe. I to wszystko. Nigdy nie była aresztowana, nikt się na nią nie skarżył. Wystarczy? Może chcesz jeszcze czegoś? Wyciągu z kart kredytowych? Listy kochanków? Dobra, w porządku, przepraszam.

Inni – osobno, każdy w kuli własnej przestrzeni. Ruchliwi Azjaci, Duńczycy o smukłych, umięśnionych ciałach, Arabowie w marynarkach jak sportowe bluzy, piegowate dziewczyny. Kakofonia smartfonów.

– Zawsze, gdy znajduję kobietę, coś się psuje – wyznał Bartek.
– Trudno, żebym nie czuł się winny.

– Chcesz rady? Opuść, człowieku. Ta Greczynka jest chora. Albo popieprzona. Jedno i drugie nie jest twoją sprawą. Ani nie

zachorowała, ani nie popieprzyła się przez ciebie. Czekala na durnia w twoim typie, jak myślisz, czemu na wszystko się zgadzała, te jej piosenki, dlaczego, do cholery, jest taka wspaniała? To gra, żeby cię schwytać i obciążyć swoim szaleństwem. Utopisz kolejny rok, może i życie, w czymś, czego nie dźwigniesz. Tobie się wydaje, że wszystko weźmiesz na klatę, ale to nieprawda. Nawet się nie zorientujesz, kiedy będzie po tobie. Dziewczyna jak wampir, mówię ci, nie daj sobie wkręcić, że za nią odpowiadasz.

Powiedział i odszedł. Szklane drzwi połknęły Mortena Rynke-Blindiego, jakby był ich naturalną częścią.

24

Maya kroїła cukinię do musaki. W pierwszej chwili jej nie poznał: śmiała się, miała na sobie wyprane džinsy i wyprasowaną bluzkę. Zniknęły cienie spod oczu, włosy pachniały. Zapytał, co się stało.

– A co miało się stać? Jesteś głodny?

Mieszkanie jak nowe, pościel suszyła się na balkonie, grał telewizor. Maya poprosiła, aby poczekał w pokoju, wróciła z gorącą musaką, na której złożył się stopiony ser. Zjedli w milczeniu. Odstawiła talerz i powiedziała, że przeprasza.

– Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego. Myślę, że byłam przemęczona. Już to przewalczyłam. – Śmiała się. – Mam tyle energii, że mogłabym, no wiesz, w ogóle się nie kłaść. Od rana sprzątałam. Powinnam ci podziękować, prawda? Słuchaj, ja to jakoś odpracuję.

– Dzwoniłaś do biura?

– Tak! Oczywiście, że tak, ale ja nie o tym. Chodzi mi o nas. Mam tylko przebłyski, jak snuję się tutaj, leżę. Mało który facet by

to zniósł. Mało który, bo wiesz, kobiety są teraz do używania. Ludzie są do używania, nie sądzisz?

– Możliwe.

– Ale nie ty. Chodźmy stąd. Chodźmy gdziekolwiek i powiedz mi tylko, czego potrzebujesz.

Bartek powiedział. Wgniotła go biodrami w łóżko.

25

Bartek nie lubił się upijać, ale z Mayą to było co innego. Poszli na nadbrzeże, gdzie statki cumowały gęsto, a młodzi tańczyli w każdy sobotni wieczór. Gwar jak lawa wypływał z kawiarenek. Usiedli nad samą wodą, każde z butelką wina. Na dnie leżały przerdzewiałe rowery.

Maya nuciła piosenki, a on zgadywał. Próbował odwrócić tę zabawę i Maya zakrztusiła się z radości, chciała wiedzieć, czemu jest taki niezdarny: zgaduje, ale nie potrafi zadać zagadki.

– Całe życie słuchałem metalu – powiedział. – A potem w ogóle przestałem słuchać muzyki. Tylko to co w radiu albo w telewizji w klubie fitness.

– Nie wiem dlaczego, ale to bardzo smutne – śmiała się dalej. – Myślałam dużo o tym, co mówiłeś. Na początek pojedźmy gdzieś. Przedłużę urlop. Moglibyśmy ruszyć w Skandynawię, na trzy, może nawet cztery tygodnie. To zależy od ciebie. Spalibyśmy w górskich domkach, chodzili po lesie. Wiesz, te wszystkie głupie rzeczy, które robią zakochani.

– Mądrzy to my nie jesteśmy. – Bartek odstawił pustą butelkę. Zapytał, czy pójdzie z nim do sklepu po nową, lecz odmówiła: lepiej trzymać miejsce, tyłu teraz chce siedzieć nad wodą. Odchodząc, rzekł: – Żeby mi ktoś ciebie nie ukradł!

Przedarł się przez tłum, wrócił z winem i zastał Mayę tak, jak ją zostawił, wpatrzoną w rowery na dnie. Płakała i gniotła dłonie kolanami. Pozwoliła się objąć i przez moment sądził, że zaśnie na jego ramieniu.

26

– Nie śmiej się ze mnie, ale czasem wydaje mi się, że żyję w wielu życiach. To straszne, naprawdę nic miłego. Widzę siebie uwięzioną z jakąś starą babą w dziwnym mieszkaniu, znaczy, no nie, mieszkanie wcale nie jest dziwne samo z siebie. Jest dziwne, bo ja w nim jestem, a nie powinnam. Łowimy siebie wzrokiem, warczymy w języku, którego nie rozumiem, a jednak czuję go doskonale, wszystkie złe emocje, które mnie przerażają. Jest we mnie jakaś złość nieznana, jakieś niezadowolenie, trudno to zrozumieć, ogarnia mnie jednak cała i spala. Dzieje się to często, przy przebudzeniu. Kiedy indziej czekam na kogoś i ten ktoś nie przychodzi, to bardzo dziwne: jest ten ktoś przy mnie, a jednak nie ma. Czuję na sobie wzrok Boga, a jednak Boga nie ma, wiemy o tym, prawda, coś rozpala mnie od środka, tutaj, w kroczu, w dolnej części brzucha, jakbym miała urodzić gładką kulę cukru, i zimno, i ciepło tak naraz, brzuch jednak nie puszcza, jestem kobietą ze skały i mam lawę w środku. Najgorszy jest ślepy potwór. Potwór jest olbrzymem i widuję go na granicy snu. Ma wyciosane ciało i maleńką głowę, taką drobną, że oczy nie mają gdzie się zmieścić, jest tylko gęba pełna czarnych zębów, w miejscu warg strupy. Muszę go wlec ze sobą, a on kęsa. Podaję mu wodę i chleb, próbuje w zamian gryźć moją rękę. Nigdy nie zasypia i tylko kokosi się na ziemi, zawodzi nad sobą i przeklina świat. Jego wściekłość mnie przeraża i czyni bezradną; czasem cieszę się, że jest ślepy, bo nie muszę widzieć jego spojrzenia. I czasem jeszcze, bardzo rzadko, śni

mi się, że rodzę się nie jak inni ludzie, ale powstaję z magmy jakiejś, z ciemności ktoś mnie lepi w rytm oklasków i przytupów. Potem to odchodzi, widzę mamę i braci, pływam w morzu, oni stoją na brzegu, a brzeg jest daleko, daleko.

27

Pojechali za Kopenhagę, nad morski brzeg, i Bartek łowił ryby prosto ze skał. Maya rozłożyła na kocu pieczywo, sery i wino w kartonie. Usiadła i patrzyła na wodę.

– Pamiętam je z domu. Morza nigdy się nie zapomina. Czasem zastanawiam się, co by było, gdybym znalazła w sobie odwagę i naprawdę popłynęła na jakimś statku gdzieś tam, daleko.

Bartek szarpał się z wędką. Wydobył rybę o lśniącej łusce, chwycił za nóż i zabił uderzeniem trzonka. Odpowiedział, że zawsze żył w mieście i nie zna niczego innego.

– Czasem myślę, że jest tylko miasto – rzekł. – A czasem, że tylko ja.

W drodze powrotnej zbłądzili do wsi, gdzie na płotach wisiały zardzewiałe narzędzia. Maya zatrzymała samochód i poprosiła, żeby przeszli się kawałek, może zacznie padać, może warto poczekać na deszcz.

– Lubię deszcz. Brakuje mi kościołów. Czasem myślę, że jestem czymś przesłonięta. Chciałabym, żebyś zerwał ze mnie tę zasłonę. Tylko boję się, że pod nią nic nie ma, że jestem tylko tą zasłoną. Właśnie.

28

Bartek śnił o podziemnych komorach i monstrualnych maszynach. Zębate koła obracały się powoli, trzeszczały liny, a drewniane bale opornie przesuwały się po klepisku. Budził się

kilkakrotnie i natychmiast zapadał w sen. Gdy usiadł na łóżku, nie wiedział, gdzie jest. Był dzień i było ciemno.

Szafa na ubrania znalazła się na środku pokoju. Przesunęła się też szafka nocna i regał. Bartek wstał. Kuchenne meble leżały na stosie. W drugim pokoju ściany znaczyły ciemne linie po meblach. Same meble tkwiły przy sobie, przesłaniając okno. Szedł przez szkło ze zбитych zdjęć i obrazów.

Wyważył drzwi do łazienki. Naga Maya kucała w wannie i miała zakrwawiony brzuch.

– Nie wiem, jak to się stało – powiedziała. – Obudziłam się i to już było. Jesteś dość bystry, aby się domyślić. Zdołasz jej pomóc? *Oh bitte, bitte, helfen Sie uns alle!*

Cięła się nożem, długo i płytko. Chwycił ją za nadgarstki. Szarpali się. Maya wołała:

– *Deixe-me sozinho! É tudo culpa sua! Vomitar sobre uma prostituta sagrada!* Зачем, дураки, вы оставили его там? Czemu, do cholery, mnie nie puścisz?

Wyciągnął ją z wanny i powłókł do pokoju. Pytał, co się dzieje, czemu to zrobiła.

– *Et quid putas puer?* Idź stąd! Chcę być sama! Она жели да буде сама! Wszystko było w porządku, dopóki się nie zjawileś! A teraz zobacz, jak tu jest, słyszysz? Popatrz na mnie! *Respice ad me!*

Patrzył. Siedzieli naprzeciwko siebie, aż Maya zamilkła i pozwoliła się objąć. Syczała, gdy przemywał jej brzuch jodyną. Skaleczenia były płytkie. Okrył ją kocem i zaprowadził do łóżka. Patrzył, jak zasypia. Wyczyścił wannę, zabrał się do przesuwania mebli na swoje miejsce, ale nie bardzo mu szło. Były bardzo ciężkie i zastanawiał się, w jaki sposób Maya dała sobie z nimi radę.

Zastał ją rozbudzoną. Zagwizdała przerażającą melodię i poprosiła, aby ją rozpoznał. Nie potrafił i nie chciał tego zrobić.

29

Psychiatric Center Amager leżało między morzem i kanałem, przytulone do parku. Bartek zatrzymał samochód na parkingu pod szarym blokiem i pomógł Mai wysiąść. Ostatni odcinek trasy pokonała samodzielnie. Uznał, że dziewczyna się stara, że chce mieć najgorsze za sobą. Masywny budynek stał wśród zieleni.

Doktor Else Hansen okazała się miłą, nieco nerwową kobietą po sześćdziesiątce. Pozwoliła, aby Bartek został, choć nie należał do rodziny. Usiedli w gabinecie przypominającym pokój dziecięcy. Na kremowych ścianach wisiały stonowane obrazy. Else Hansen bawiła się szalem owiniętym wokół szyi. Opowiedział o wszystkim, co się ostatnio zdarzyło.

– Czy odczuwa pani niepokój, lęk bez jasno sprecyzowanej przyczyny?

Maya trzymała się za mostek. Przytaknęła.

– A wcześniej?

– Nie.

– Zdarzyło się w pani życiu coś przykrego? Strata pracy? Zawód miłosny?

– Nie.

– Ktoś z pani rodziny chorował na depresję?

– Mama była pełna życia.

– Ma pani problemy ze snem?

Przytaknęła.

– Pani praca generuje ogromny stres. Wydaje mi się, że mamy wytłumaczenie.

Mówili po angielsku, ale gdy Else poprosiła Mayę, natychmiast przeszli na duński. Bartek poczuł się rozczarowany. Siedział jak kołek, w końcu wyszedł i spacerował przed ośrodkiem. Widział zadowolonych pacjentów w szlafrokach. Grali w backgammon i warcaby albo wlepiali nosy w tablety. Wrócił i dowiedział się, że nie ma mowy, Maya nie zostanie w ośrodku.

– Nie i już – powiedziała. – Bardzo się boję. Chodźmy już do kościoła.

Else zebrała dokumenty.

– Depresja jest chorobą naszego wieku i wymaga wsparcia bliskich. Dlatego dobrze, że pan przyszedł. Powtórzę panu to, co mówiłam pani tutaj. Najlepiej byłoby, gdybyście zdecydowali się na leczenie u nas, w ośrodku. To naprawdę nic strasznego. Wystarczy popatrzeć. Pani nie chce o tym słyszeć, co mogę zrozumieć. Może ten pastor nie jest złym pomysłem? Ale i tak proponuję terapię długoterminową, spotkania dwa razy w tygodniu ze mną lub z innym psychiatrą, wedle życzenia. – Podała receptę na serotax i leki osłonowe, uśmiechnęła się. – Dobrze, że pan jest. Proszę nie lekceważyć choroby, a wszystko będzie dobrze. Niech pan nie aktywizuje jej na siłę. To jakby namawiać kulawego do gry w koszykówkę. Popołudniami możecie spróbować krótkiego spaceru. – Podała nam po kolei rękę. – Wierzę w panią.

Bartek chciał zapytać, co z nożem tnącym brzuch, ale uznał, że to nie jest dobry pomysł. Na zewnątrz Maya uśmiechała się i mrużyła oczy w słońcu. Gdy byli przy samochodzie, zacisnęła palce na drzwiach, patrzyła na ośrodek i nie chciała odwrócić głowy.

Pastor Denner przyjął ich poza budynkiem kościelnym, w kawiarni przyparafialnej. Rude włosy jeżyły się na bokach łysej

czaszki. Słuchał uważnie i wydawał się szczerze zatroskany.

– Czym się pani zajmuje? – zagadnął i pytał dalej: – Jak pani spędza czas? Czy chodzi pani do kościoła? A jeśli tak, to jakiego? Jakie filmy pani ogląda? Jakiej muzyki pani słucha?

Maya wyrzucała z siebie pojedyncze słowa, Bartek dopowiadał. Pomieszczenie było ciemne, za oknem przemykali rowerzyści, matki pchały wózki. Denner powiedział:

– Pani szuka wyjaśnienia. Tak bardzo, że przyjmuje pani za prawdę rzeczy, które trudno za nią uważać. Nigdy nie widziałem diabła ani jego znaku.

– Nikt tu nie mówi o diable – odparł Bartek.

– To dobrze, to dobrze. Żyjemy w czasach wielkiego zamętu. Ludzie uczą się duchowości ze źródeł, z których nie powinni. Nie mam na myśli tego, że słuchają nieodpowiedniej muzyki, ale że traktują ją w niewłaściwy sposób, jak źródło uniesień. W ten sam sposób podchodzą do filmów grozy, gdzie pojawia się temat opętania. Niech pani zwróci uwagę, że rzeczy, o których pani mówi, zdarzały się wcześniej, właśnie w filmach.

– Wiem, co czuję – powiedziała Maya.

– To dobrze. Ja próbuję wytłumaczyć przyczynę tego uczucia. Niektórzy widzą diabła w filmach. Gdzie indziej próżno go szukać. To mogę powiedzieć z całą pewnością, jako pocieszenie. Pocieszeniem jest też modlitwa i uczestniczenie w życiu wspólnoty. Ludzie bardzo cierpią, kiedy są sami.

– Ja już nie mogę. Męczę się sobą i zadręczam innych. Sama dla siebie jestem niespodzianką, nie wiem, czy wstanę rano normalna, czy taka jak teraz, czy jeszcze jakaś inna.

– Oznacza to, że rozpoznała pani problem. Powinna być pani z siebie dumna i budować na tej dumie. Niewielu ludzi zachodzi tak

daleko, większość kręci się w miejscu. Pytają: „Boże, co ze mną nie tak?” albo „Boże, dlaczego mi to zrobiłeś?”. Odpowiedź jest prosta. Sami to sobie robimy, żyjąc w pośpiechu, poświęcając uwagę rzeczom, którym nie warto jej poświęcać.

– Czy wielbny może mnie uwolnić?

– Nie. Ale może to zrobić Bóg. Bóg potrzebuje do tego was dwojga. Możecie poczuć się skrzywdzeni, ale nikt nie dźwiga krzyża ponad swoje siły, chyba że sam go dodatkowo obciąży. Uczyni większym, niż był mu przeznaczony. Niech pani tego nie rozgrzebuje, proszę nie drążyć. Gdy mówi pani o diable, ja mówię o złym nasieniu głęboko w nas wszystkich. Proszę go nie odsłaniać. Proszę pamiętać, że życie jest piękne.

Na pożegnanie pastor Denner podał im rękę. Była ciężka, jakby należała do posągu.

31

Maya zrobiła porządek. Wyprasowane ubrania ułożyła w szafach wyczyszczonych na błysk, pogrupowała kubki i ustawiła książki wedle tematu i autora. Powiedziała, że złoścą ją te biblioteczki domowe, w których tomy grupuje się według grzbietu lub wydawnictwa. Nie lubiła czytników. Zaproponowała, że posprząta u Bartka i nalegała tak długo, aż się zgodził.

32

Czasem Bartek nie zastawał Mai w mieszkaniu i wtedy szedł jej szukać. Dzwonił na komórkę co kilka minut. Znajdował ją na progach pustych kościołów, jakby obawiała się wejść do środka. Podpierała ściany, patrząc na ołtarze i okręty zawieszone nad nawą, zawsze do siebie podobne.

Lubiła kopenhaskie parki, gdzie trawę przystrzyżono równo, kaczki i łabędzie pluskały się w oczkach wodnych, a krzaki rosły

niemal dziko przy pokręconych alejkach. Zrywała kwiaty i łamała suche gałęzie, czasem kładła się tam, gdzie nikt nie zachodził, i namawiała go, aby się pokochali.

W supermarketach spędzała długie godziny, kupując dużo i nie zawsze mądrze. Pakowała kilkanaście kostek mydła i bele papierowych ręczników, gromadziła puszki pomidorów i całe góry żelków, prosząc, by zjedli je razem: *egészséges, ók zselatin, zselatin mindig rövid, az ember annyira törékeny lény.*

Kiedyś znalazł ją w kinie. Film dawno się skończył. Siedziała w ciemnej, pustej sali i zachwycała się ciszą. Tego samego dnia dowiedział się, że Maya już nie pracuje, po prostu zadzwoniła, miała dosyć. Wyznała mu, że jest dumna, mało kogo stać na taką decyzję. Ludzie tak bardzo boją się zmiany.

33

– Moglibyśmy kupić sobie rolki. Jeździłbyś ze mną na rolkach?

– Jeździłbym.

Maya szła o kilka kroków za nim. Przystawała. Nabrał ochoty, żeby ją pogonić, ale tylko ujął pod rękę i pociągnął na skróty piaskową ścieżką. Słonie znów pojawiły się na wybiegu. Stały blisko siebie. Maya przechyliła się przez barierkę i tak zastygła.

– Wspaniałe zwierzęta. Podziwiam ich spokój. Zobacz tylko, deszcz, słońce, im to jest obojętne. Mają swoją wewnętrzną pogodę. Lato. Burze i chłody.

– Po prostu ktoś się o nie troszczy.

– Myślisz, że to wiedzą?

Odciągnął ją stamtąd. Wiał silny wiatr. Ludzie gonili własne czapki.

34

Bartek kupił cztery wina w promocji, pili nago w pościeli, palili się świece. Ciało Mai zrobiło się twarde, wysportowane. Wodził ręką po jej plecach, zjechał po skórze do komputera. Wybrał jedną z tych lukrowanych ballad, które zakochani lubią włączyć, gdy popijają. Maya powiedziała, że to jest piękne. Przyszła jej kolej – Madonna, *La Isla Bonita*.

– Tego już słuchaliśmy.

– No i co z tego, to piękna piosenka.

– Ale już była.

Obróciła się na plecy.

– Co z tego? Mogłabym jej słuchać w nieskończoność. Tyle mi przypomina. Czemu mamy zmieniać piosenki, ty sobie zmieniasz, jeśli chcesz. To nasz wspólny wieczór i każdy puszcza to, na co ma ochotę.

– Na co oboje mamy.

– Można i tak.

Wybrała ją jeszcze kilka razy, aż Bartek odpuścił. Niech gra w nieskończoność. Zastanawiał się, jak do tego doszło. Brakowało mu samotnych wieczorów, kiedy nic nie musiał robić. Nie potrafił zmiękczyć jej ciała. Wreszcie uległa. Wodziła językiem po jego piersi. Położyła się na plecach, rozsunęła nogi. Ruszał się delikatnie. Nagle Maya zalała się łzami. Zastygł. Wyśliznęła się spod niego i pobiegła do łazienki. Spał, gdy wróciła.

35

Do knajpki przychodzili głównie starzy bywalcy. Siwowłose kobiety piły piwo i paliły papierosy, opierając łokcie o oszklone blaty. Mężczyźni siedzieli na wysokich stołkach przy barze. Między nimi tkwiła wysoka blondynka o garbatym nosie. Bartek i Morten

Rynke-Blindi wyraźnie tutaj nie pasowali. Barman podał im piwo z widoczną niechęcią.

– Życie jest jedno – rzekł Morten. – I byłoby dobrze, żebyś o tym pamiętał.

– Jej życie to także życie.

– Poniekąd w nie wszedłeś, fakt. Musisz się tylko zastanowić, ile jeszcze wytrzymasz.

– Kto wie? Czasem jest jak dawniej.

– Dla mnie to byłby sygnał, żeby spieprzać. Wielkie mi rzeczy.

– Tak z grubsza biorąc, to bydlę z ciebie.

Od baru poszło kasłanie.

– Możliwe, ale niekoniecznie. Widzisz, myślałem kiedyś, co znaczy być dobrym człowiekiem. Dobry człowiek to taki, który postępuje dobrze, ale również wie, kiedy może dobrze postąpić, a kiedy nie. Rozpoznaje sytuacje, które go przerastają. A jeśli nie rozpozna, skrzywdzi siebie i jeszcze kogoś. Tak niestety jest i nic z tym nie zrobimy.

– No dobrze, ale czasem jest tak, że trzeba zaryzykować. Gdy nie wiesz, czy dasz radę, co powinieneś zrobić? Uciec czy się postarać?

– Tego nie wiem. Właśnie to jest bardzo trudne. Powiedz mi lepiej, z czym będzie ci łatwiej żyć. Z tym, że odpuściłeś, czy że zawiodłeś?

Zabrzmiało głucho uderzenie. To kobieta o garbatym nosie wypadła spomiędzy siedzących. Leżała na plecach, zdziwiona, w kałuży rozlanego piwa, na szkłe. Nikt się nie ruszył. Dopiero po chwili Bartek i Morten zerwali się jednocześnie, żeby jej pomóc.

U sufitu brakowało żarówki. Maya rozpałała lampki elektryczne, miniaturowe kopczyki na baterie. Ustawia je wszędzie. Nie przestawała się uśmiechać, krążyła między Bartkiem a kuchnią. Na stół wjechało kopiaste briami w drewnianych miseczkach.

– Dużo myślałam – powiedziała. – Może winne jest to przedstawienie? A może czaszka, do której mówiłam, kiedy się poznaliśmy? Takie rzeczy mają wpływ na ludzi.

– Niekoniecznie. Jeśli już, to wtedy, jak przypiszemy im specjalne znaczenie, no nie wiem.

– Nie chciałam cię urazić.

– Czy ja o tym mówię?

– Przyszło mi do głowy, że ja wcześniej już byłam jakaś pęknięta i czekałam na kogoś, przy kim mogę pęknąć. Ale to się skończyło. Obiecuję. Już wiem, czego nie mogłam znieść. Popatrz, jak my żyjemy!

– Nie ma co narzekać. Koledzy z Polski mi zazdroszczą.

– Mówiłeś, że nie masz kolegów.

– Nie mam przyjaciół.

– No tak. Dobrze jedzenie?

– Zaraz spróbuję.

– Jedzenie jest dobre. Mieszkanie komfortowe, pieniądze porządne oboje zarabiamy, stać nas na lekarza i wakacje, moglibyśmy sobie pozwolić na zwierzęta, gdybyśmy tylko chcieli. Jak człowiek był głodny albo żył w niebezpieczeństwie, kiedyś tam dawno, to myślał, że wie, co go boli. Głód go bolał. Zaogniona rana. Nas, mnie, boli tak samo, ale już nie wiem, co boli.

– Moim zdaniem pewnych rzeczy nie ma co drażnić. Nie lepiej się ruszyć, zrobić coś, a nie myśleć tak bez sensu?

– Przecież ci powiedziałam! Koniec z rozdrapywaniem ran. To było potrzebne, ale już nie jest. Jedzenie ci stygnie. Ale życie to także smutek.

– No – nabrał kęs. – Tylko po co tego szukać?

Zapiekanka smakowała pomidorem i bakłazanem. Mięso było miękkie. Bartek się zakrztusił, wypłuł kęs i napił się wody z kranu. Maya jadła spokojnie, mrużąc łzawiące oczy. Przyniósł lampkę. W jedzeniu lśnił szklany pył z żarówki.

– Musimy stwardnieć – powiedziała Maya. – Za dużo słodyczy.

Spróbował wyrwać jej łyżkę. Była zbyt silna. Zrzucił oba talerze. Dziewczyna przygwoździła go do podłogi. Kłapała czerwonymi zębami. Nie mógł się wyzwolić.

37

Doktor Else powiedziała, że nowe prawo pozwala na przetrzymanie pacjenta w szpitalu wbrew jego woli, jeśli nie chce się leczyć w domu. Obiecała, że Maya dostanie dobrą opiekę, i ich zostawiła.

– Będę codziennie przychodził – obiecał Bartek.

Ściany były kremowe, okno wychodziło na sad. Telewizor szedł bez dźwięku. Na szafce stały książki, widok nadmorski ujęto w ramy z jasnego drewna. Maya leżała na miękkiej poduszce. Spod kołdry wychodziły pasy przytwierdzone do żelaznych klamer.

– Przejdziemy przez to. – Wsadził kwiaty do wazonu. – Może ci coś poczytać?

Milczała. Nie wiedział, czy w ogóle go dostrzega. Posiedział do wieczora ze słuchawką od telefonu w jednym uchu. Nastął zmierzch. Ogarnęła go senność, pocałował ją w czoło i wyszedł, czując ulgę. Wydawało mu się, że słyszy jej śpiew zza drzwi.

Szpitalny radiowęzeł nadawał audycję po duńsku. Korytarzem dreptała anorektyczka w bluzie z kapturem. Przestraszył się, że to śmierć idzie po jego dziewczynę.

38

Bartek dotrzymał słowa. Przychodził do Mai codziennie po pracy. Wymieniał kwiaty w wazonie, czytał książki, oglądali razem telewizję. Czasem dziewczyna była ospała, niekiedy cieszyła się na jego widok i rozmawiali. Opowiadał, co zrobią, gdy tylko będzie mogła wychodzić. Raz wspomniał, że chciałby zobaczyć Grecję. Przed zgaszeniem świateł całował ją w czoło. Do domu wracał metrem. Siadał na samym przodzie pierwszego, automatycznie sterowanego wagonu i patrzył, jak zanurza się głęboko w skałę.

U siebie jadł tłustą kolację. Zauważył, że przytył parę kilo. Kładł się późno, budził parokrotnie w ciągu nocy i zawsze szedł do pracy niewyspany. Unikał Mortena Rynke-Blindiego.

Zorientował się, że nie czeka na weekendy, tak jak inni. W sobotę, jeśli była ładna pogoda, wychodzili z Mayą do ogrodu i siedzieli między chorymi. Trzymali się za ręce. Doktor Else powiedziała, że mało jest ludzi zdolnych do takiego poświęcenia. Wyjeżdżał służbowo raz w miesiącu. Przedłużał pobyt w hotelu do niedzieli i nie wychodził z pokoju.

Po dwóch miesiącach zorientował się, że straty w pracy – zaległe maile, projekty, których nie zdążył przeczytać – nawarstwiły się w górę zdolną przysypać i jego, i ją. Przynosił laptopa do szpitala, ale Maya była zbyt absorbująca. Przepraszył i powiedział, że przez parę tygodni będzie przychodził rzadziej, dopóki nie nadrobi.

39

Bartek spotkał Helle na Falkoner Alle. Zeszczuplała i odmłodziła. Przysiedli w kawiarni obok centrum handlowego. Zapytała, jak się ma. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Słyszałam. Dużo się mówi o tobie. – Uśmiechnęła się. – Godne podziwu, naprawdę.

– A ty jak?

– Jak zawsze. Się żyje. Grunt to nie poddawać się wspomnieniom. Trochę zmienia się u mnie, wiesz? Rzuciłam robotę.

– Kolejną – zaśmiał się Bartek.

– Wyglądasz na strasznie przybitego. Przeszłam na swoje. Mam teraz studio fotograficzne. Radość i praca. Teraz rozumiem, jak bardzo dusiłam się wcześniej. Jeżdżę na koniach i myślę o paralotni. Próbowaleś kiedyś? A powinienes. Tam, w górze, łatwo zapomnieć o wszystkim.

– Mnie jest dobrze tak, jak jest.

– Nic się nie zmieniłeś. Ile to już minęło?

– Trochę minęło.

– Czekałam na tę chwilę. Kiedy emocje opadną i będziemy mogli tak po prostu posiedzieć, miło pogadać. Spieszysz się? Może wziąć ci wino? – Pokręcił głową. – Mam pomysł. Może wpadniesz do mnie dziś wieczorem? Przecież nic się nie stanie. Posiedzimy, pogadamy. Kupiłam za dużo jedzenia. Jak znam ciebie, znowu jadasz byle co po knajpach.

Wahał się chwilę, w końcu przystał. Rozstali się przy metrze. Bartek popędził do Mai, tego wieczoru sennej i obojętnej. Wysłuchiwał paru słów w języku, którego nie rozumiał.

Wieczorem wykopał się i wskoczył w niezobowiązujące dzinsy. Zabrał dwie butelki merlota. Okna Helle wychodziły na ulicę.

Migotały w nich świece. Bartek krążył po Falkoner Alle. Zgasił komórkę i poszedł do domu.

40

– Dawno cię nie było.

Maya wyglądała o wiele lepiej. Jadła jogurt. Bartek nie wiedział, co powiedzieć. Był pewien, że w zeszłym tygodniu odwiedził ją raz, może dwa razy. Usadowił się obok, na ławce. Pacjenci grali w badminton, inni kładli się w cieniu drzew i oglądali filmy z tabletów lub laptopów.

– Próbuję jakoś to wszystko pogodzić. Nie jest mi łatwo.

– Jakoś nie umiem ci być wdzięczna.

– Przecież nie proszę cię o wdzięczność!

– Ja wiem, że powinnam. Tylko nie umiem. Zostaw mnie. Nie potrzebuję.

– Spróbuj uwierzyć, że robię to dla siebie.

– To sam siebie napraw!

– Słuchaj, powoli wszystko przygotowuję. Porozmawiam z Else i myślę, że niedługo będziesz wychodziła na weekendy do domu. A gdyby zaprosić tak twoją mamę? I braci?

– Oni nie mogą mnie takiej zobaczyć.

– Dlaczego? Choroba to nie wstyd.

– W jakim ty świecie żyjesz, Bartek?

Złożyła mu głowę na kolanach. Samotny pacjent próbował wyrwać stare drzewo o sękatym pniu. Mewy siedziały na balkonach. Z radiowęzła szły spokojne piosenki. Maya powiedziała, że nadają je tylko godzinę dziennie. Cienie układały się w rogi byka.

41

Bartek odkrył, że spokojne życie ma swoje uroki i zaczął uśmiechać się do siebie. Wracając z pracy, zaglądał do wypożyczalni DVD i brał jeden tytuł na wieczór. Przeważnie film sensacyjny, komedię albo horror. Potem zamawiał jedzenie przez telefon.

Spróbował wrócić do książek, ale czytanie go męczyło. Zasypiał nad lekturą, budził się w środku nocy i nie mógł potem zasnąć. Rujnowało to następny dzień. Ściągnął kilka audiobooków. Słuchanie ulubionych pisarzy podobało mu się tak bardzo, że w nim tonął, wchodził pod rowery i samochody. Bywał na kameralnych koncertach, skąd wracał taksówką. Parę razy zobaczył Helle.

Założył konto na PlayStation. Porządne gry mógł kupić za parędziesiąt koron, po warunkiem że liczyły sobie rok lub więcej. Miał sporo do nadrobienia. Zakładał wielkie słuchawki i nurkował w obcych światach. Strzelał. Ścigał się. Ciął toporem. Następnie spróbował swoich sił w walce sieciowej. Inni, anonimowi ludzie, rozłożyli go w ciągu paru minut. To go zawstydziło. Nigdy nie przepadał za siecią. Za dużo nieznajomych, zbyt wiele podobnych piosenek.

Kopenhaga zaczęła go męczyć w delikatny, ale uciążliwy sposób. Ulice były nazbyt podobne do siebie. Okna wysokie, drzwi mocne – nie wiadomo, co działo się za nimi. Wspominał miasta, w których żył, i zastanawiał się, czy nie powinien zmienić miejsca zamieszkania. Świat jest bardzo duży. Ale z drugiej strony nie robię się młodszy, myślał. Przeprowadzka byłaby tylko odwleczeniem nieuniknionego. Musiałby znaleźć jakąś odpowiedź, a nawet nie znał właściwego pytania. Na początek postanowił się

rozruszać. Zamówił bilet lotniczy do Polski. Z wyprzedzeniem, niedrogo.

Parę razy poszedł samotnie w miasto i przyglądał się rozbawionej młodzieży. Chmury marihuany, carlsberg, dziewczyny z molly w oczach, chłopcy o spodniach podwiniętych pod kolano. Całowali się, szorowali mokrym ciałem o ciało. Schodził za nimi do klubów, kołysał się, lecz nie tańczył. Potem w domu próbował domyślić historię tych ludzi. Wchodził na nieznane blogi, profile, szukał znajomych twarzy. Oglądał nagrania z kamerek internetowych i czytał komentarze pod nimi.

Spróbował odzyskać kontakt z Mortenem, Morten jednak poświęcał się pracy. Może byłoby łatwiej, gdyby Bartek palił papierosy. Czasem tylko zamieniali parę słów. Żaden nie wspominał o Mai.

42

Bartek spakował się dzień przed wylotem. Zbudził się o świcie i krążył nerwowo po mieszkaniu. Zerknął na zegarek. Przysiadł do komputera, pooglądał telewizję, pościagał demówki na konsolę i sprawdził, czy działają. Ledwo włączył komórkę, a zaraz zadzwoniła. Nie rozpoznał numeru, głos doktor Else wydawał się obcy.

43

Szpital otoczyli policjanci w granatowych mundurach. Stały trzy furgonetki. Zbiegali się gapie, reporterzy i Bartek nie dostałby się do środka, gdyby nie Else. Wybiegła mu naprzeciw. Wiatr porwał jej szal.

– Co ona zrobiła! – wołała, ale nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Pytała tylko, czemu wyłączył telefon, całą noc dzwonili.

Dostał się do hallu. Policjanci blokowali dostęp w głąb budynku. Ich dowódca, czterdziestolatek o półdługich włosach zaczesanych do tyłu, natychmiast dowiedział się, kim jest Bartek, i zawołał go do siebie. Nazywał się Farvet, miał mocny uścisk dłoni.

– Wzięła zakładniczki i zabarykadowała się w pokoju z radiowężłem. Domaga się, żeby pan do niej przyszedł. Nie możemy tego wymagać, ale jak sam pan widzi, sytuacja jest podbramkowa.

Bartek chciał wiedzieć, co to dokładnie znaczy. Farvet odpowiedział:

– Pańska dziewczyna raniła sanitariuszkę. Nie wiemy, jaki jest jej stan. Przetrzymuje też jedną z pacjentek i naprawdę nie możemy dłużej czekać. Mam strzelca przed budynkiem. Co mam panu jeszcze powiedzieć?

– Zastrzelicie ją?

– Postaramy się, żeby do tego nie doszło.

– Ale...

– Pan może pomóc uniknąć tego wszystkiego. Przecież pana z tym nie zostawimy. Pan nie musi, pan może. Ale też pan powinien...

– Dobrze, dobrze.

– Teraz niech się pan uspokoi.

– Jak mam być spokojny, do cholery? – jęknął Bartek. Usiadł w kącie, myślał. Patrzył po twarzach policjantów. Przypomniało mu się, co Else powiedziała o nim i jego wizytach, wspomniał dobre chwile z Mayą i mrok piwnicy pod zamkiem.

– Niech będzie. Ona ma broń?

– Nóż.

– Skąd wzięła nóż?

– Niech się pan nie denerwuje. Unieś pan dłonie. No.

Założyli mu kamizelkę. Farvet wyglądał na zadowolonego, powtórzył, że to ostatnia szansa, a Bartek nic nie musi. Zapanowała chwila rozprężenia, którą natychmiast wykorzystali dziennikarze. Przedarli się przez kordon, zaczęli robić zdjęcia. Bartek zasłonił twarz.

44

Policjanci wskazali mu długi korytarz prowadzący do pomieszczenia z radiowężłem. Musiał pójść sam. Ściany były białe i pachniały detergentem. Otwarte drzwi do pokoi odsłaniały widok na kwiaty przy łóżkach.

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy widział ją po raz ostatni. Jaki miała nastrój? Co jej obiecał, a co powinien obiecać teraz? Chciał, aby to dobiegło końca, nim się zacznie. Bał się, że Maya będzie chuda, zakrwawiona i całkiem obłąkana. Że będzie chciała go zabić. Zemścić się, że tak rzadko przychodził.

Oparł się o ścianę. Zerknął za siebie. Przysiągłby, że głowa w granatowym hełmie gwałtownie cofnęła się w boczny korytarz. Policjanci stali również za oknem. Ponaglali go wzrokiem. Spróbował dociec, gdzie usadowił się snajper, o którym wspominał Farvet. Źle się poczuł. Wszyscy patrzyli mu na ręce. Dotknął swojej szyi. Nóż przez nią – to straszne.

Czemu tyle od niego wymagają, pomyślał, policja powinna radzić sobie sama z takimi problemami. Nie mają pocisków usypiających, jak dla małp? Kto dał nóż chorej dziewczynie, gdzie była ochrona szpitala?

Wyniesie Mayę na rękach.

Ruszył na ciężkich nogach. Z głośników zawieszonych pod sufitem zabrzmiała Maya. Śpiewała znajomą melodię. Nazwiesz? Poznasz? Zwróciła się do niego po imieniu. Zamilkła. Zaśpiewała

znowu, coś innego. Zawołała. I jeszcze raz. Bartek zrozumiał, że to za dużo jak na jeden raz.

Zawrócił i pobiegł przed siebie. Krzycząc, minął policjanta Farveta. Strzał zabrzmiał, nim zdążył poczuć wstyd.

45

Strzelec celował w bark, podobno Maya poruszyła się w ostatniej chwili i kula przeszła obok łopatki, przez kręgosłup. Bezwładną dziewczynę załadowano na nosze, popchnięto do karetki. Krzyczała. Unosiła głowę. Ramiona leżały bezwładnie wzdłuż ciała.

46

W parku we Frederiksbergu słonie wciąż były największą atrakcją. Dzieci piszczały, dając w ten sposób wyraz swojemu zaskoczeniu i zadowoleniu. Kaczki krążyły leniwie w płytkich oczkach wodnych, pawie rozkładały ogony, spacerując po świeżo przystrzyżonym trawniku, mewy przysiadły na sękatych gałęziach. Staruszkowie sunęli po ścieżkach, trzymając się za ręce bądź wsparci o siebie, bardzo spokojni. Biegacze w obcisłych ubraniach okrążali stałe trasy, jakby zapomnieli, że śmierć i tak biega szybciej. Zziajani opadali na ławki, pociągali łyk z plastikowej butelki i zastygali z papierosem w palcach.

W czteropiętrowych, czystych kamienicach o wielkich jasnych oknach, między błyszczącymi wystawami Apple'a i jamkami pachnącymi tureckim żarciem, między sklepami z winem i salonami fryzjerskimi, kryły się knajpy siwe od dymu. Milczący ludzie w drugiej połowie życia tkwili w nich przy drewnianych stołach, mając przed sobą carlsberga w kuflu i kieliszek wódeczki. Grali w kości. Każdy rzut ściągał ciszę nad blat. W górze telewizory wyświetlały programy sportowe. Stary muzyk, którego

złote lata minęły tak dawno, że miał je za sen, szczęśliwy i rozbieżny z prawdą, spróbował podnieść się z krzesła i poniósł klęskę. Siedział jeszcze chwilę, zdziwiony tym niepowodzeniem, poprawił czarny melonik, poszarpał rękaw jasnej bluzy i spróbował ponownie. Powędrował przez ulicę, ciągnąc za sobą srebrną walizę pełną płyt winylowych. Jego trasę przecinali rowerzyści. Rozmawiali przez komórki i palili papierosy. Chwyтали kierownicę raz jedną, raz drugą dłonią.

W ogromnej siłowni, zbudowanej w dawnym kinie, ciężarne kobiety jeździły na rowerkach i podskakiwały na stepperach. Starzec o zwisającej szczęce porzucił wiosłowanie i powędrował do szatni. Powłóczył nogą, na schodach chwycił się barierki i sunął ostrożnie, stopień po stopniu. Niżej, tam gdzie leżały ciężary, szczupli, żyłaści mężczyźni ostrożnie unosili hantle, stawali na rękach i szukali ukojenia we własnym odbiciu. Kasy w pobliskim Foteksie pracowały spokojnie. Arabska matka o otulonej chustą twarzy rozkładała na taśmie sterty najtańszych ubrań, chleby, zupy, sosy i kartony mleka. Otaczała ją rozbrykana dzieciarnia i tylko najmłodsze spało spokojnie w węzélku przerzuconym przez matczyne ramię. Spoglądał na to ojciec ze starannie przystrzyżonym wąsem i paskiem zapiętym na ostatnią dziurkę. Z nadgarstków i włochatego karku zwisało mu złoto, błyszczały pierścienie.

Złote wahadła karuzel w Tivoli wznosiły się wysoko ponad miasto, niedaleko, w miejscu placu pod ratuszem, ziała głęboka dziura ogrodzona płotem, a w Muzeum Sztuki turyści wędrowali od sali do sali, spoglądając w pradowne twarze rzymskich patrycjuszy. Groby na cmentarzu Assistens stały daleko od siebie, wplecione między drzewa i żywopłoty. Między nimi rozkładano

koce. Mężczyźni obracali nagie torsy ku słońcu, pary obejmowały się, całowały, a nawet turlały po rozgrzanej trawie. Z czarnego, błyszczącego nagrobka spoglądała piosenkarka zabita w wypadku samochodowym. Pod jej piękną twarzą złożono pacyfki, korale i paczki po papierosach. Wiał wiatr znad morza, skakano z mola do płytkiej wody, Duńczycy kąpali się nago, muzułmanki wychodziły na piaszczyste plaże odziane w hidżaby, które unosiły się na wodzie, a Bartek zdążył na samolot, ale nie pamiętał, jak wszedł na pokład. Ocknął się dopiero, gdy stewardessa pochyliła się nad nim i poprosiła, aby zapiął pas.

Przestraszył się, że wszyscy pasażerowie wiedzą, kim jest, a gdy znaleźli się w powietrzu, bał się, że Ziemia zniknęła i lecą w całkowitej pustce. Obsługa zagroziła awaryjnym lądowaniem i trochę się uspokoił. Wyszedł o własnych siłach. Nie chciał wsiąść do autobusu do terminala.

Przeszedł przez bramkę, usiadł i czekał tak długo, aż ochrona zwróciła na niego uwagę. Dał się wyprowadzić. Nie wiedział, co zrobił z bagażem, skąd przybył, ani gdzie jest.

Rozdział szósty

1

Komendę niedawno odmalowano z zewnątrz na białą, odnowiono też schody. Przez otwarte drzwi widziałem brudnozielone ściany w pokojach i ciężkie monitory ustawione na biurkach ze sklejki. Krończak zaraz zaciągnął mnie do siebie, dał szklankę wody i powiedział, że to tylko formalność, a jeśli chcę, mogę zgłosić się za parę dni. Każdy zrozumie. Cmokał elektrycznego papierosa. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie.

Odparłem, że chcę mieć to za sobą, i zacząłem opisywać, co się wydarzyło. Krończak nie chciał słuchać o sobotniej nocy w kręgielni i poprosił, żebym od razu przeszedł do rzeczy. Tak zrobiłem.

– No wiesz – rzekł w końcu – trochę to będzie dziwnie wyglądało. Niepotrzebnie cię kłopotalem. Potknęła się i uderzyła w głowę, może napiszemy w ten sposób? Przecież tak, w skrócie, było. Nieszczęsna kobieta. Trzymasz się jakoś?

– Nie.

– Właśnie widzę.

– Nie. Nie upadła i nie uderzyła się w głowę.

– Technicznie biorąc, tak właśnie się stało. Nie rozumiesz, że próbuję cię chronić?

– Pan widział to już wcześniej – powiedziałem spokojnie. Krończak pobladł i mruknął, że owszem, ma za sobą trochę trupów i jeśli o to chodzi, zgoda. Pchnął zeznanie przez blat. Nie podpisałem i powtórzyłem to, co powiedziałem wcześniej.

Krończak nie był ani trochę zdziwiony, jakby się spodziewał, że Tekla umrze właśnie w ten sposób. Ile było takich kobiet? Wstał. Wziął zeznanie, jakby chciał się nim zasłonić.

– Jedno moje słowo i polecisz na pysk do pudła.
– Za co? Nic nie zrobiłem.
– Coś mi się zdaje, że nowi przyjaciele mieszają ci w głowach.
– Ile ich było?
– Bezczelny gówniarz. Albo nawet gorzej. Jeszcze trochę i uwierzę w...

– W co uwierzysz, Krończak?

Zamknął się, a ja podpisałem zeznanie i wyszedłem, zostawiając go stojącego za biurkiem. Przerzucał wzrok ze mnie na kartkę papieru. Jakby nie wierzył w to, co się stało. Przypominał starego człowieka.

Niedługo później zobaczyłem, jak wychodzi przed komendę, kupuje paczkę papierosów, obraca ją w dłoni i natychmiast ciska do śmietnika.

2

Tekla pozostawiła pustkę pełną tajemnic. Trudno było pogodzić się z myślą, że rzeczy, które należały do niej, należą teraz do nikogo.

W szafce nad umywalką, za baterią lekarstw, znalazłem woreczek z kosmetykami. Wyglądały na drogie. Perfumy były pełne, szminki ledwo zużyte. Nie przypominałem sobie, żeby choć raz pomalowała paznokcie na ten wściekły błękit. Odłożyłem wszystko na miejsce.

Rysunki leżały na dnie szafy, schowane w starej teczce opisanej jako „Dokumenty przeprowadzkowe”. Większość z nich nie była specjalnie dobra, ale wszystkie przedstawiały mnie. W oczach Tekli byłem bardziej przy kości, miałem spokojne oczy i niepewny uśmiech w kąciку ust. Nie malowała tła. Raz dodała prostą, kobiecą sylwetkę. Trzymaliśmy się za ręce. Pod rysunkami leżały

kartki walentynkowe, które próbowałem dla niej kreślić. „Dla Maleństwa i Mróweczki”, napisy naniesione niepewnym pismem. Jeszcze głębiej natrafiłem na zdjęcie nieznanego chłopaka zrobione w latach osiemdziesiątych. Stał przed pręgierzem na wrocławskim rynku. Nigdy nie widziałem go w Rykusmyku.

Były i inne fotografie, zgromadzone w pudełku po butach. Władysława ładowała Teklę do katamaranu. Tekla miała może dziesięć lat i oczy starej kobiety. Dalej zdjęcia z naszego ślubu, na których ze wszystkich sił walczyliśmy o radość. Spacer z zamkiem w tle. I wreszcie samotna Władysława, jeszcze młoda, stojąca przed nową syrenką. Przeglądałem je wszystkie tak długo, aż zrozumiałem, że nic mi nie powiedzą. Głębiej natrafiłem na plik stuzłotówek ściśnięty gumką.

W końcu zostało tylko kilka książek. Przerzuciłem je pośpiesznie. Tekla lubiła kiedyś opowieści o miłości, a potem po prostu przestała czytać. Zdziwiłem się, gdy w obwolucie po Kuncewiczowej znalazłem coś zupełnie innego, *Legendy ziem odzyskanych* wydane w czterdziestym dziewiątym. Były to bezbarwne baśnie o utopcach w Odrze, przerażających zwierzętach zamieszkujących Góry Sowie i upiorach z bolkowskiego zamku. Widać, że Tekla – lub ktoś inny – często do niej zaglądał. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy rzeczywiście tak było. W środku brakowało kilku kartek, jednego rozdziału. Sprawdziłem w spisie treści. Zniknęła *Opowieść o szczęśliwej ziemi z Rykusmyku*.

Zacząłem o tym myśleć i zaraz przestałem. Pod materacem leżał pamiętnik Tekli. Musiałem często przerywać lekturę. Tekla nie pisała o niczym, co mogłoby mi pomóc. Głównie robiła notatki o tym, co powinniśmy kupić, czego brakuje, jakie rzeczy możemy

jeszcze zmienić, a jakich już nigdy nie zmienimy. W końcu natrafiłem na swoje imię.

3

Najbardziej boję się nie tego, że nigdy nie wyzdrowiejemy, ale tego, że tylko jedno z nas wyzdrowieje. Jak będzie to ~~Sed~~ Szymek, nie będę mogła sobie z tym poradzić i winię się za to ~~bardzo~~. Zazdrość jest straszna i nic nie daje. Ludzie mają wady, które coś im przynoszą. Ale zazdrość tylko niszczy, jest podła, a ja już mu zazdroszczę, że mniej cierpi, choć on tego ~~na pewno~~ nie docenia. Potem wstydzę się strasznie i próbuję mu to wynagrodzić, a on tego nie ~~rozumie wcale~~ potrafi przyjąć do siebie. Mój Szymek. Jeśli wyzdrowieje, wszystko natychmiast się rozleci. Boję się zostać sama ze swoim cierpieniem.

Gdyby zdarzyło się odwrotnie, czyli gdybym to ja stała się ~~niesłyszcząca~~ zdrowa, on by sobie jakoś z tym poradził i nigdy nie dowiedziałabym się, że jest zazdrosny. Bo Szymek taki właśnie jest. ~~Bierze więcej niż~~ Daje więcej niż bierze i sam o tym nawet nie wie. Tylko gdybym wyzdrowiała, tobym jednak poszła. Jak myślę, że jestem zdrowa, to zaraz wyobrażam sobie to, co robią inni, i chciałabym to robić też. Czy chcenie tego, co mają inni, jest złe, skoro krzywdzi drugą osobę? Przecież tak naprawdę nasze życie jest ~~okropne~~ okropnie trudne.

Czasem zastanawiam się, czy jesteśmy razem z jakiegokolwiek innego ~~nieszczęścia~~ powodu poza skrzekiem. Przecież jestem starsza. Przecież Szymek jest bystrzejszy ode mnie. Więc pewno by się nie zainteresował mną. Powinnam bardziej doceniać to, co dla mnie zrobił, bo

pamiętam przecież, jaka byłam wcześniej. Włuczylam się po bramach. Pomyślałam kiedyś, że jesteśmy tym, co jest nam najbliższe. A najbliższy jest skrzek i to on nas złączył. Albo my jesteśmy sobie ~~małżeństwem~~ najbliżsi, żeby skrzek nie był najbliższy. Chyba że gdyby nie było skrzeku, to znaleźlibyśmy sobie coś, co byłoby najbliższe i nas ~~znajbliższyło~~ zbliżyło do siebie. Może tak, a może inaczej, może.

4

Światła wędrowały po zamku każdej nocy – blade, jakby bijące z ust upiora. Próbowałam nie patrzeć w ich stronę. Wkrótce zyskały towarzysza. W domu Władysławy okna zapalały się i gasły od zmierzchu do świtu. Można było pomyśleć, że jedno zjada drugie.

Widywałam ją, zawsze z daleka, w jasnym płaszczu przepasanym na rękawie ciemną szarfą, taszczącą siaty już bez mojej pomocy. Ludzie przyłączali się do niej, a potem zostawiali. Miarowo kiwała głową, patrząc na monety zsuwane przez sprzedawczynię wprost do portmonetki.

Zaskoczona deszczem poszukała parasolki. Najpierw nie mogła jej wydobyć spomiędzy kurczaków i winogron, potem parasolka nie chciała się rozłożyć, a gdy w końcu to uczyniła, materiał strzelił, odsłaniając trójkąt otwarty na ciemniejące niebo. Władysława zastygła z zadartym podbródkiem. Uniosła pięść, jakby przeklinała Boga i pogodę. Albo co innego. Nie widziałem zbyt dobrze. Władysława była tylko zamazaną sylwetką, ale wydaje mi się, że wygrażała zamkowej baszcie.

Grób Tekli, choć ziemny, był najpiękniejszy ze wszystkich: góra wielobarwnych kwiatów, pośród których płonęły świece w wysokim szkle. Władysława codziennie selekcjonowała zwiędłe rośliny,

dokładała znicze, wyrzucała te pęknięte i zaczepiała wszystkich, pytając, czy taki grób jest w porządku. Wkrótce kto tylko mógł, unikał tego zakątka cmentarza lub przychodził po południu, kiedy nie było tam starej Władysławy.

5

Kiedy szedłem do pracy, nastąpiły dwa wydarzenia. Dowiedziałem się, że Wilczur wyrzucił Gablociarza bez podawania przyczyny. Choć w sumie jakaś przyczyna była. Gablociarz dopadł go pod zamkiem i wrzasnął, że albo on, albo ja. Powiedział jeszcze, że przed zwolnieniem chroni go wiek i tryumfalnie się uśmiechnął. Wilczur również odpowiedział uśmiechem, obiecał miesięczną odprawę i życzył powodzenia w dochodzeniu sprawiedliwości przed sądem. Gablociarz został sam, zalewała go krew i poranne słońce. Podobno wrócił i przeproszał, ale było już za późno.

Czekał na mnie na Staromiejskiej. Uścisnął mi rękę i pogratulował utrzymania pracy w tych ciężkich czasach. Wyraził pewność, że jeszcze się doigram i przyjdę do niego po pomoc, gdy zostanę oszukany.

– On wykorzystuje ludzi, zapamiętaj sobie, cwaniaczku – rzekł, odchodząc. – Myślisz, że nie obiecywał mi gruszek na wierzbie?

Złość wyładowałem na starym Hermanie, który rozłożył swój kramik pod arkadami. Tego dnia był trzeźwy. Sprzedawał popielniczkę w kształcie muchy, garść orderów ze Związku Radzieckiego, klaser ze znaczkami i nową czapkę z daszkiem. Zapytał, czy czegoś nie potrzebuję, a ja odparłem, że owszem. Najbardziej na świecie chciałbym mieć szczęśliwą ziemię z Rykusmyku, więc gdyby załatwił mi wór lub dwa, byłoby nie od parady. Herman poszarżał, zrobił znak krzyża i umknął,

pozostawiając towar. Przystanął na stopniu na skraju rynku. Wystarczyło, że zrobiłem krok, a zniknął za rogiem.

Pomyślałem, że tak jest, odkąd pamiętam. Ludzie ode mnie uciekają. Matka, ojciec, żona, nawet stary pijak.

6

Dom Władysławy – jasnoczerwony, ze spadzistym dachem opartym na kolumnach i balkonem sterczącym z boku – stał w towarzystwie kilku podobnych. Zasłaniał go wysoki żywopłot. Idąc tam, czułem lęk rozgrzany poczuciem winy, jakby stara miała rację i rzeczywiście zabiłem jej córkę. Brama była otwarta, trawę świeżo ścięto.

Mój widok wmurował Władysławę w próg. Miała na sobie fartuch i złoto na szyi. Powiedziałem, że po prostu przyszedłem zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, i że coś znalazłem podczas porządków. Podałem zdjęcie, na którym była wraz z Teklą. Podparła framugę, żeby mu się przyjrzeć. Zerknąłem w głąb mieszkania, na obłe kształty mebli, niewyraźne obrazy i zdjęcia. Wyglądało na to, że jest czysto, więc skąd smród?

– Rozumiem, że ta fotografia nie ma dla ciebie żadnego znaczenia – powiedziała. Nie zamknęła drzwi, ale i nie wpuściła mnie do środka. – Nie widziałam cię nawet na grobie. Nie ma kwiatów od ciebie.

– Każdy przeżywa śmierć na swój sposób. Mieszkam tam, gdzie umarła.

– Więc właśnie. Jak możesz? Boże jedyny... – Przyłożyła rękę do ust. – W końcu ci to powiem, skoro przyszedłeś. Byłeś, jaki byłeś, ale myślałam, że mam rodzinę. Przez całe życie mi się nie udawało, no i znowu jest jak dawniej. Na starość zostaję bardziej sama niż kiedyś.

Spróbowałem jej przerwać i powiedzieć, że niekoniecznie tak musi być. Nie pozwoliła.

– Poradzę sobie. Oszczędzałam. Znajdzie się ktoś, kto mi zamknie oczy i komu dam to wszystko. Mogłeś to być ty. Ale zrobiłeś mi za wiele przykrości. Mam je wszystkie zapisane, o tu. – Dotknęła serca. – Przypomną mi się, nawet jakbym nie chciała. Więc idź sobie, Szymek, i mną się nie przejmuj. Nie chcę cię więcej widzieć. Głuchy jesteś?

Trzasnęła drzwiami, a ja poszedłem, zadowolony, bo poszło lepiej, niż przypuszczałem. Między domami rosły drzewa. Żywopłot zasłaniał całą parcelę. Władysława miała cztery zamki w drzwiach wejściowych, ale okna pozostawały bez osłony. Był balkon i wykusz. Niepokoił mnie tylko ten smród.

7

Biblioteka powiatowa w Rykusmyku znajdowała się w stanie likwidacji; kartka na drzwiach informowała, że od nowego roku zbiory i katalogi wylądują w Legnicy. Z czterech bibliotekarek pozostały dwie. Młodsza siedziała za półokrągłym blatem, starsza krążyła między regałami, na których stały książki sensacyjne i przygodowe, wszystkie oprawione w folię.

Na dobry początek zamówiłem *Legendy ziem odzyskanych*. Młodsza bibliotekarka zapytała, czy chcę wypożyczyć, czy skorzystam na miejscu. W czytelni rój chłopców brzęczał wokół jedyne go komputera. Wolałem wziąć tom do mieszkania. Młodsza bibliotekarka powiedziała, że musi zapytać kierowniczkę, gdyż nie wie, czy można wypożyczyć tak starą książkę. Kierowniczka zadzwoniła w tej sprawie do Legnicy, a ja i tak w końcu wylądowałem przy stoliku. Mój egzemplarz był identyczny z tym, który miała Tekla. Także dlatego, że brakowało rozdziału o

szczęśliwej ziemi z Rykusmyku. Stron nie wyrwano, lecz wycięto. Pokazałem to obu bibliotekarkom. Młodsza powiedziała:

– O rety.

Poprosiłem o dostęp do komputera. Bibliotekarki nie chciały się zgodzić, więc zauważyłem, że to czytelnia, a nie pokój gier. Brzdące rozstąpiły się, mruczając z nienawiścią, a gdy zamknąłem kolorowe okna, nie zapisując wyników, w ich oczach zagościł smutek. Z internetu korzystałem kilka razy w życiu i nie bardzo wiedziałem, jak to się robi. Potrafię tylko grać w *Quake'a*. Nim zwołałem o pomoc, chłopcy pokazali mi, co i jak. Pewno chcieli, żebym szybciej sobie poszedł. Wpisałem „szczęśliwa ziemia” w wyszukiwarkę, co nic nie dało. Jeden z chłopców poradził mi, żebym poszukał książki na aukcjach, i obiecał pomóc w zakupie, jeśli sypnę groszem. Na próżno. Znaleźliśmy kilka egzemplarzy *Legend...*, ale każdy z adnotacją „egzemplarz uszkodzony”.

Chłopcy otoczyli zwolniony komputer. Zapytałem bibliotekarkę, czy mają jeszcze jakieś książki o historii miasta. Młodsza wskazała roczniki „Głosu Rykusmyku”. Pamiętałem, że gazeta przestała się ukazywać kilka lat temu, a w dawnej redakcji mieściło się teraz prywatne biuro pośrednictwa pracy. Szymciu, a ile ty byś chciał tych roczników? Pewnie wszystkie. Tomy oprawione w płótno zawaliły biurko.

Czytanie zawsze szło mi bardzo powoli. Ślizgałem się wzrokiem po nagłówkach. W latach siedemdziesiątych Rykusmyku wydawało się oazą szczęścia, gdzie czas upływał na pracy, zawodach organizowanych przez sekcję sportową przy Zakładach Kuzienniczych, festynach i wizytach oficjeli z Wrocławia i Niemiec Wschodnich. Nieustannie cięto wstęgi. Na zdjęciach zamek był taki jak teraz, tylko niepopisany. Elektryfikowano wsie i oddawano

szkoły. Remontowano ratusz. Miasto witało ukraińskich kolarzy. Nikt nie wspominał o szczęśliwej ziemi, skrzeku i podziemiach. Coraz szybciej przerzucałem kartki.

W połowie lat dziewięćdziesiątych gazetę nasycił kolor, pojawiła się kolumna plotkarska, rozrosły się ogłoszenia drobne. W nowym stuleciu Unia sfinansowała festiwal tańca. Przyjeżdżali goście z Brukseli. Władze powiatu dopłacały do internetu na wsiach, ocieplano szkoły, a uczniowie dostawali stypendia socjalne. Zjawili się maratończycy z Ukrainy. Tytuły zlewały się ze sobą i już godziłem się z klęską, gdy zobaczyłem zdjęcie mojej mamy w grubej, czarnej ramce. Krótki, podpisany inicjałami tekst informował o tragicznej śmierci pracownicy domu kultury, za którą przepadały dzieci i dorośli. Przyglądałem się jej twarzy, znajomej i obcej jednocześnie. Wiedziałaś, mamusiu, co ze mną będzie? Może tak, może nie, ale teraz potrzebuję pomocy. Olśniony, cofnąłem się do początku, sprawdzając tym razem strony z nekrologami.

Siedziałem do zamknięcia, notując na fiszkach. W Rykusmyku ludzie konali jak wszędzie, z jednym wyjątkiem. Kobiety i mężczyźni koło czterdziestki. Przynajmniej dwoje w roku umierało „śmiercią tragiczną”. Zawsze bezdzietni. Jak Tekla albo ja. Wypisane zgony próbowałem uzgodnić z kroniką policyjną. Nikt nigdy się nimi nie zajął.

8

Mam ich imiona, nazwiska i zdjęcia, poskładane w kupkę wydruków – tym tylko są. Kobieta o okrągłej twarzy, z czarnymi włosami sięgającymi za uszy. Stróż uśmiecha się krzywo. Wąsaty mundurowy. Nauczycielka śmiejąca się cierpko zza książki. Krogulec i urzędnik w garniturze przylegającym do ciała jak

kostium kąpielowy. Cwaniaczek złotozęby. Blondynka o kościach policzkowych, w które można by haki wbijać, szatniarka i kolarka.

Niektórzy ujęci w towarzystwie bliskich, najczęściej samotni, na brudnym tle. Uchwyceni pod Basztą Piastowską, pod drzewem, w niezmienniej Ratuszowej, oparci o zamkowy mur, wyglądali, jakby zaraz mieli upaść. Zbyt wielu, abym mógł się ich nauczyć.

Kobiety miały oczy Tekli, mężczyźni – moje własne.

9

Wilczur dalej przyjmował na niedzielnych obiadach w Ratuszowej. Kolejka do jego stolika rosła. Cierpliwie zajmował się każdym, a potem zgarniał mnie ze Staromiejskiej i jechaliśmy do kamieniołomów. Droga się nie zmieniła. Po drodze narzekał, że spadają na niego problemy, na które nie może poradzić. Co zrobić z tym, że mąż odszedł, że drożyzna wszędzie, a latka lecą?

– Całe to Ryku ma serce po właściwej stronie, ale i kłopoty z wyobraźnią. Chcą, żebym załatwił miejsce w szpitalu. A ja ledwo tu zjechałem, nie znam lekarzy i nie mam pojęcia, jak to się robi. Nie pamiętam, jak lekarz wygląda. Pytają o znajomości w Niemczech. Co mam powiedzieć? Reich tuż za płotem, każdy ma tam znajomka. Przynajmniej powinien. Dziś chcieli, żebym załatwił miejsce na politechnice, a ja, kurwa mać, ledwo zawodówkę skończyłem. Mówię, niech zawodu się uczy, matka natychmiast dziób w ciup, ślepie w cycki i duka, że ten jej aniołek ma dwie lewe ręce do roboty. A ma budować mosty! Dostaję, psiakrew, obrazki, fotki, rękodzieło, furę opowieści, jaki to byłem kiedyś. A ja jestem teraz. Pizda ze szkoły gięła się wpół, a kiblowałem przez nią rok. Szymek, zrozum ty mnie jeden chociaż, ja chętnie każdemu pomogę, tylko te poroborki, ci nudni biedacy tak trują, że nie mam głowy do prawdziwych problemów.

Kamieniołom ogrodzono, ale znaleźliśmy wejście. Wspięliśmy się wąską dróżką i usiedliśmy na rozgrzanym piasku, nad samym urwiskiem. Nikt już nie palił tutaj ognia, nawet nocą. Naprzeciwko do wody schodziła droga tęczowa od piłek i dmuchanych materacy. Grzały się tłuste brzuchy. Wilczur zapalił papierosa.

– Można by kiedyś tu zrobić ośrodek z prawdziwego zdarzenia. Myślałem o tym, w końcu padło na zamek. No i sam widzisz, nawet nie pytam, co z tobą. A co ze mną? Dawno nikt nie chciał wiedzieć, jak się mam.

– No to jak się masz?

– Ja? Mam się zajebiście. I o to właśnie chodzi, bracie, żeby móc tak odpowiadać. Mam się zajebiście. Zajebiście! Z głębi człowieka! Całe życie na to pracowałem, więc mam. Ty za to robisz jak mrówka i jeszcze gdzieś się włóczysz. Fajnie widzieć, że wracasz do życia.

– Nie nazwałbym tak tego. Po prostu próbuję coś ze sobą zrobić.

– Nie coś ze sobą. Zawsze myśl konkretnie, odtąd dotąd, tak, a nie siak. Inaczej nic z tego nie będzie.

– Po prostu zastanawiam się, czemu Krończak tak na siłę ukreca sprawie łeb.

– A więc to cię gryzie?

– No bo co innego?

Opowiedziałem mu o krótkiej wizycie na komendzie i o tym, jak Krończak się zdenerwował. Dodałem, że w śmierci Tekli jest nazbyt wiele niejasności, żeby je odpuścić, ale nie wiem, co dalej. Skaczący ze skał przypominali różowawe obłoki. Wszystko się rozmywało.

– Krończak jest kawał drania i pewno dupa mu się pali – rzekł Wilczur. – Nasłuchałem się o nim za gówniarza. Powtarzam, jesteś

młody, to miej uszy otwarte, a gębę na kłódkę. Więc, bracie, pamiętasz te wszystkie baby, co on je dupczył? Za dawnych lat pochował cztery noworodki, teraz to nie wiem, ale jak na moje, warto przejść się na cmentarz. Chyba że już zakłada gumkę na starego fiuta. W pudle spotkałem takiego jednego, co był pewien, że Krończak zabija te małeństwa. Najpierw robi, a potem zabija, żeby nie mieć kłopotu. A ile bab się przez niego skrobało? Bracie, lepiej nie pytaj. Nie zdziwiłbym się, gdyby... A zresztą nic. Dajmy mu spokój, po co zaraz wierzyć w każdą bzdurę?

– Jak zacząłeś, to mów.

– Słyszałem, że nie wiesz, kto był ojcem Tekli. – Położył mi rękę na ramieniu. – Chyba mamy kandydata. Rozumiem, że teściowa nie piśnie ani słówka?

– On z Władką? Daj spokój.

– Przecież ta twoja Władka jest w wieku Krończaka, tylko staro wygląda. Ile mogła mieć lat, kiedy urodziła dziecko? Nie te czasy były, że baby rodziły później. Wiesz co? Cholernie lubię to miejsce. Przypomina mi czasy bez zobowiązań, kiedy myślałem coś w stylu: „Oj, stary, za parę lat to miasto będzie twoje”. Teraz mogę je mieć, a jednak najbardziej cieszy mnie siedzenie tutaj.

Zamilkł i patrzył na wodę. Jego dłoń układała budynki na płaskich pagórkach, palec sunął po nieistniejącej asfaltowej drodze i pędził profesjonalną zjeżdżalnią ku ogrodzonemu kąpielisku.

– Mówiłeś, że jakbym miał sprawę, mam lecieć do ciebie. Więc mam, ale nie do ciebie, tylko do tego starego Wilczura, który tu przychodził – powiedziałem i wyjaśniłem spokojnie, czego potrzebuję.

Obawiałem się, że odejdzie, pukając się w głowę. Zapytał jednak, czy jestem pewny, i rzekł, że robi dużo więcej, niż od niego

oczekuję. Potem zdjął koszulkę i położył się na plecach. Ciało miał pełne blizn. Podałem mu rękę.

10

Nocą ptak uderzył w moje okno, pozostawiając po sobie niewielkie pęknięcie, otoczone aureolą drobnych piórek i czarnej krwi. Spadł. Nawet w dzień nie wypatrzyłbym, czy żyje. Kręciłem się po pokoju, otulony smrodem chorującego ciała. Nocą, gdy cichło wszystko inne, skrzek był głośniejszy. Wydawało mi się, że część mnie odrywa się od reszty i szydzi z tego, co porzucone. Latała między rzeczami Tekli, tańczyła pod sufitem, cały czas skrzecząc, a ja próbowałem ją złapać, choć przecież była w mojej głowie. Twarze matki, Tekli, Władysławy, Trombka i pozostałej trójki przesuwały się tuż przede mną, jak zmarli niesieni nurtem zamarznętej rzeki.

Krótki sen przyniósł zeglujące Rykusmyku. Festyn na rynku właśnie dobiegał końca. Wszyscy wylegli na balkony i dachy domów. Mężczyźni założyli garnitury, a kobiety czerwone sukienki. Wypatrzyłem szczęśliwą Władysławę i eleganckiego Krończaka. Wzgórze wybrzuszyło się i ziemia pękła, uwalniając wodę.

Domy zakołysały się jak papierowe łódki, baszta zmieniła się w latarnię morską, Kościół Pokoju stał się arką, a zamek zniknął zupełnie. Wypląnęły dziecięce trumienki. Ludzie wiwatowali, klaskali i padali sobie w ramiona. Biły korki od szampana. Flotylla dachów popłynęła radośnie w stronę byczego łba, rozciągającego się na horyzoncie jak zachodzące słońce. Czarny pysk odpowiedział śmiechem na śmiech, rozwarł się, pochłonał ich wszystkich i splunął ciemnością. Ptak znów uderzył w szybę, a ja usiadłem na łóżku.

To jednak nie był ptak. Pod moim oknem Gablociarz schylał się po kolejny kamyk. Syknąłem, żeby spieprzał, a on odpowiedział, że

koniecznie musimy porozmawiać. Odparłem, że też mogę czymś rzucić, a jeśli bardzo chce, to niech mnie zaczepia w ciągu dnia. Nalegał, ale zamknąłem okno. W porę, bo lunął deszcz. Gablociarz wołał:

– Pamiętaj, jak tańczyliście! Nie waż się tego zapomnieć!

11

Wilczur zameldował się w dresie, ciemnych okularach i czapce z daszkiem nasuniętym na czoło. Zza żywopłotu obserwowaliśmy, jak Władysława człapie poboczem, ciągnąc za sobą pustą torbę na zakupy. Nalegałem, żeby poczekać. Wilczur był innego zdania. Powiedział, że jeśli ktoś odchodzi, to prędko nie wraca, i gładko przeskoczył przez siatkę. Zamiast podejść do drzwi lub okna, wspiął się na balkon. Mnie poszło gorzej – but nie chciał wejść w oczka płotu, słup był śliski po ulewie. Skulony popędziłem przez trawnik. Wilczur podał mi rękę.

– Niezdara z ciebie – szeptał, więc ledwo go słyszałem. – I nie chodź jak dzieciak, tylko normalnie. Przecież nie robimy nic złego. Jeszcze jedno. Ja zaufałem tobie, ty zaufaj mnie. Powiesz mi, o co naprawdę chodzi. Oczywiście jeśli się z tego wyślizgamy.

Miedzy drzwi balkonowe i framugę wepchał spłaszczony wkrętak, tak głęboko jak się dało, i nacisnął butem. Trzasnęły rygle i już byliśmy w środku. Smród, który czułem niedawno, stojąc w drzwiach, stał się dużo wyraźniejszy. Zazwyczaj nie czuję zapachów. Ale Wilczur też powiedział, że niemiłosiernie daje i że stara wariatka trzyma gdzieś trupa. Ściany były białe, rzeczy poukładane, parkiet lśnił.

W pokoju dziennym znaleźliśmy talerze pełne jedzenia. Musiały leżeć od wielu dni. Był makaron w sosie pomidorowym lazania, placki i kluski. Części potraw nie mogłem rozpoznać. W kuchni

stały zimne gary z zepsutą zupą i bigosem, kopczyki sinych owoców i mur spleśniałego chleba. Lodówkę oplatał bandaż. Wilczur zabronił ją otwierać i zapytał, czy pamiętam, gdzie Tekla miała swój pokój. Odpowiedziałem, że Władka wprowadziła się tutaj niedawno, zapraszała nas od święta, a potem narzekała, że jej nie odwiedzamy. Wilczur popukał się w głowę.

W łazience znaleźliśmy tylko kosmetyki, w pokoju dziennym pliki rachunków ułożone pod telewizorem. Wilczur pociągnął mnie na górę. Całą ścianę sypialni zajmowały tanie romanse w różowych okładkach. Wilczur błyskawicznie znalazł skrytkę w toalecie, ale jej zawartość przyniosła rozczarowanie. Dostałem woreczek złota do potrzymania i odłożyłem go z powrotem. Wilczur wysypał papiery ze skórzanej teczki: akt własności domu i parceli, umowy na gaz, konta bankowe, pożyczki. Powiedział, że tak właśnie jest w Rykusmyku.

Kolejny pokój czekał na Teklę, gdybym ją porzucił. W szafie, wypełnionej tylko częściowo, wisiały ubrania z jej młodości. Na biurku ustawiono kubek z długopisami i flamastrami, a na starej drewnianej półeczce pyszniły się kasety Kultu, Lady Pank i T.Love. Otwierałem każdą książkę. Wilczur zapytał, czy szukam czegoś sekretnego, i nim zdążyłem odpowiedzieć, zerwał materac z łóżka. Podał kopertę. Wystarczyło zerknąć. Znaleźliśmy legendę o ziemi szczęśliwej. O to chodziło, mogliśmy wracać. Wilczur odparł, że mamy mnóstwo czasu, a coś go niepokoi. Co? Powie, jak się dowie.

Wrócił do skórzanej teczki. Porozkładał papiery na łóżku, przeglądał, porównywał. Twarz mu spoważniała. Z niepokojem zerkąłem na okno. Wilczur uruchomił kalkulator w komórce i oznajmił, że Władka jest biedna jak mysz kościelna i pewno cały czas gania do złotnika zastawić kolejny pierścionek. Pożyczki

zjedzą ją szybciej niż starość, tylko patrzeć, aż smutni zajmą dom. Ucieszyłem się. Zaczął je przeglądać. Tak to trwało, on swoje, ja swoje. Nagle potrząsnął mną, rozradowany jak chłopiec.

– Widzisz! – Wepchał mi kartkę w rękę, przerzucał następne. – Wszędzie to samo. Udupiliśmy ropę!

Trzymałem umowę o dostarczanie energii elektrycznej, rzecz wyzuta z wszelkich tajemnic. Wilczur musiał mi pokazać. W drzwiach na dole zachrząścił zamek.

Wepchałem umowę do kieszeni, Wilczur cisnął teczkę tam, gdzie była, i pobiegliśmy na balkon.

12

Wilczur przeleciał przez trawnik i natychmiast znalazł się po drugiej stronie żywopłotu. Próbowałem biec. Skrzek przycisnął mnie ku trawie. Doczłapałem do siatki i zsunąłem się po niej. Zza domu wyłoniła się Władysława z kijem od miotły. Powiedziała, że nie jest zaskoczona, bo czekała na tę chwilę.

– Sam wpakowałeś się do więzienia, mój chłopcze.

Wyszedłem jej naprzeciw. Wywijała kijem, jakby chciała się ode mnie opędzić. Powiedziałem, że zawsze była tylko głupią kwoką, kucharką, która karmi się życiem innych, bo jej własne jest warte tyle co zepsuty obiad.

– Gotujesz, ale nie masz dla kogo.

Zamachnęła się, ale cios nie spadł.

– Nie ma słów na ciebie, Szymek. Znaczą się, ale ja nie chcę ich używać. Moja córka...

– Jaka córka?

– ... nigdy nie powinna cię spotkać.

– Jaka córka, garkotłuku? – Wyszarpnąłem umowę. Nie wiedziała, co to takiego. Chyba nic nie wiedziała. Stała

nieruchomo.

– Co ty powiedziałaś?

– Nigdy nie miałaś córki. – Zmiałem kartkę i cisnąłem w trawę.

– Pudry i szminki nic tu nie pomogą. Tekla miała trzydzieści osiem lat, ty dobijasz dziewięćdziesiątki, czego dowie się każdy, kto tylko zerknie na twój pesel. Tak, pesel, kuchareczko. Najprostsza rzecz pod słońcem.

Sięgnęła po kartkę. Upadła na kolana, wsparta na kiju. Jej twarz naprawdę była bardzo stara. A ja mówiłem dalej, choć może to skrzek przemawiał przeze mnie.

– Co jej powiedziałaś? Kiedy kazałaś mówić do siebie „mamo”? Skąd ją wzięłaś? Znalezione nie kradzione, może jednak kradzione? Szukali jej, jak myślisz? Czy prawdziwa matka jej szukała?

– To moja córka.

– Aha, a ja jestem cesarz chiński. Wejdź mi jeszcze raz w drogę, a dowie się o tym całe Rykusmyku. Osobiście się przejdę po placu, od handlarza do handlarza, raz mnie zaczep, a właśnie tak będzie. Przecież oni się domyślają, wystarczy jedno słowo.

A ona tylko kiwała się do przodu i do tyłu. Powtarzała:

– To moja córka. To moja córka. To moja córka.

Przyklęknąłbym, gdyby nie skrzek.

– Przyjdę za parę dni, a ty mi powiesz, skąd wzięłaś Teklę. Wiesz, co sobie myślę? Ona umarła przez to, że ją zabrałaś. Możesz wygadywać bzdury, ile tylko chcesz. Ale znasz prawdę. Prawda jest taka, że Tekla nie żyje. A ty? Możesz z tym żyć?

Zamknąłem za sobą furtkę, a za mną cichło powoli: „To moja córka, moja córka”.

Rozdział siódmy

1

Miasta nie śpią. Miasta przewracają się z boku na bok. Budynek Dworca Wschodniego w Warszawie zmienił się w ciemny szkielet, po którym błdziły ślepe światła. Dwóch mężczyzn odpoczywało, opierając ramiona o blat budki z hot dogami. Nieco dalej klekotał zagubiony tramwaj o mlecznym brzuchu. Motorniczy palił papierosa i spoglądał we mgłę. Mijał ciemne bramy Pragi i paczki po viceroyach, wciśnięte w drobinki szkła po rozbitych butelkach.

Na Saskiej Kępie – niedaleko Staszka – grupa młodych ludzi kręciła się po uliczkach w próżnym poszukiwaniu knajpki, w której jeszcze można by przysiąść. Z pawilonów na Nowym Świecie wytaczał się chwiejny tłumek. Dziewczyny przestępowały z nogi na nogę, a chłopcy naciągali kaptury głęboko na czoła. Na zippo wskoczył płomyk i krążył między nimi. Pod ziemią, w kolorowych tancbudach, dogasało przepecone życie. Serca roztrzepotane red bullem z wódką, pastylkami i kokainą rwały się do jeszcze jednego tańca, usta szukały ust, dłonie krocza lub innych dłoni. Ochroniarze w czarnych uniformach przyglądali się temu bez zainteresowania. Ci, którzy opuszczali knajpy, starzeli się gwałtownie, na palcach wyrastały im obrączki, plecaki przyginały do ziemi.

Na Ursynowie niepijący alkoholik wybudził się z płytkiego snu i długo nie mógł opanować drżenia. Zapalił papierosa i popatrzył na światła Centrum Onkologicznego, gasnące jedno po drugim, jakby chorzy umówili się między sobą na śmierć przed świtem. Pomyślał o sobie. Zebrał wszystkie butelki w mieszkaniu i wylał: colę, wodę niegazowaną, ludwika, sok pomidorowy. Spoglądał na powolny wir

w zlewie i nie myślał o niczym. Na Starych Bielanach czterdziestoletnia matka wspominała własną młodość i obdzwaniała kumpli syna, pytając, czemu jej dziecko nie wraca. Syn zasnął między piersiami, które pokochał, gdyż były to pierwsze piersi w jego życiu. Pamiętał o matce, ale za nic nie chciał sobie odebrać tego snu. Zniesie krzyki, płacze, szlabany, wie, że warto je znieść.

Wysoko w biurowcu przy Armii Ludowej dziewczyna o mocnej budowie ciała siedziała przed płaskim monitorem. Nie musiała tego robić, ale lubiła pracować w nocy. Cieszyła się ciszą i pustą przestrzenią. Podobało się jej, że za parę godzin ludzie zaczną się schodzić. Powie im, że zjawiała się parę minut temu. Zarzuciła wojskową kurtkę i zeszła przed biurowiec zapalić. Samochody wyjeżdżały spod wiaduktu. Ktoś spał na przystanku. Obok przebiegła szczupła dziewczyna ze słuchawkami na uszach. Była to Doris. Doris lubiła biegać nad ranem. Wątpliwości powracały do niej później, na skwerze pod domem, gdy zaczynała się rozciągać.

Taksówkarze na postoju wyglądali ostatnich kursów i przerzucali się bzdurami przez błyszczące dachy samochodów. Automatyczne drzwi rozwierały się przed długimi nosami przystojnych młodzieńców z obsługi hotelowej. Psiarze wlekli swoje pociechy na spacer. Obląkani uczniowie przygotowywali się do klasówek, kochankowie próbowali raz jeszcze, z przekonaniem i bez przekonania, pielęgniarki wypłukiwały złoto spod pacjentów i przeklinały brązowe samorodki. Barmani stawiali krzesła nogami ku górze. Handlowcy schodzili do służbowych samochodów. Wyruszali w Polskę. W drukarni przy Kobielskiej krojono folder, który nie mógł czekać. Dziesiątki tysięcy łóżek nasiąkały potem, od

Piaseczna do Legionowa, od Grodziska po Sulejówek brzmiał trzask zamykanej fiolki z tabletkami na sen.

Miasto nie spało, gdyż rosło. Prócz Dworca Wschodniego budowano wieżowiec przy Złotych Tarasach, stalowe ramiona Stadionu Narodowego czekały na dach. Fundamenty nowoczesnych osiedli na Wilanowie i Bemowie, Białołęce i Magdalence otoczono wysokimi płotami, do których przylepiono stróżówki. Budowano na Pradze i w centrum, odświeżano czteropiętrowe bloki na Ochocie i wklejano plomby w szczerbate uzębienie Starego Mokotowa. Setki, może tysiące stróżów chleptały zimną kawę, oglądały gołe baby na ekranach i pieściły złe psy. Warszawa rosła w przyspieszonym tempie, jakby próbowała nadgonić stracone lata i zbudować siebie po raz trzeci, jak należy.

Niebo tej nocy było czyste jak otwarta ręka, rozświetlone miastem tak, że nie widać gwiazd. A jednak niezliczone chmury płynęły nad bezsennym Staszkiem i gdyby ich dotknął, byłby jak Bóg gmerający w mgławicy. Chmury istniały w Staszku, choć widział je na zewnątrz siebie. Ludzie są chmurom podobni, pomyślał, rozlewają się na ulice i budynki. „Czemu mi to robicie?”, zapytał. Nie odpowiedziały. Pełne imion, których nie znał. Owinął się w mokrą pościel Elegante Mare Navy i wołał o sen. Chciał śnić o Magdalence.

Piąta rano. Staszek stanął nagi przed lustrem. Klatka może nazbyt rozrośnięta wszertz, kosztem ubogiej góry. Rowek sunący od wyrzeźbionego brzucha zanikał powyżej sutków. Pomasował to miejsce. Ramiona wyglądały lepiej, jeśli nie liczyć łagodnego spadu w dole tricepsów. Pocieszenia poszukał w mocnych nogach. Większość facetów ich nie ćwiczy. Sądzą, że składają się z chuja i tego, co nad nim. Czemu nie mógł zasnąć?

Popatrzył na Warszawę. Pałac Kultury spływał fioletem, Saska Kępa zastygła w czarną bryłę, skrzył się szkielet Stadionu Narodowego. Zawrót głowy zmienił miasto w wir zrywający światła.

W głębi kuchni biegła jasna kreska baru. Staszek zrobił sobie kawę i zaległ przed telewizorem. Przełączał kanały. Kamerzysta w samochodzie, na siedzeniu pasażera, filmował drogę przed sobą. Jechali przez Warszawę bez żadnego planu, mijając ochroniarzy wracających z klubów i barmanów ogłuszonych wódką. Staszek poczuł, że gniją mu kości.

Przygotował płatki z mlekiem, obrał banana, ugotował dziesięć jajek i usunął z nich żółtka. Zrobił cztery serie po dwadzieścia pompek. Wymacał niedopracowane miejsce u szczytu klatki piersiowej. Zabrał śniadanie i usiadł między kolumnami Advance, włączył amplituner i gramofon Bang & Olufsen. Przed półką z płytami winylowymi poczuł się lepiej. Wybrał *Reign in Blood* Slayera, limitowane wydanie z czarnym logo na białym winylu. Jadł białka z jajek i słuchał.

2

Lewa ręka wisiała mu bezwładnie, jakby pozbawiona nerwów. Dłoń ciemniała od napływu krwi, jak co rano, jak zawsze, gdy opuszczał miejsce, które do niego należało. Wsiadł do taksówki i kazał się wieść na Gocław. Powiedział, że dorzuci ekstra, jeśli się pospieszą.

– To nie radiowóz – odrzekł taksówkarz. Łysinę przecinała ruda zaczeska.

Pojechali Saską, śmignęli nad zakorkowaną aleją Stanów Zjednoczonych i zagłębili się między pizzerie, niskie bloki i ogryzki skwerków. Liczne światła spowalniały ruch. Staszek ryczał i

szlochał, żeby jechać bez względu na wszystko. Przecież każdy gnał, tylko nie oni.

Mroczeni w oczach, ciężka dłoń bez czucia.

– Czemu tylko w Polsce każdy ma problem ze sprzęgiem? Zachód jeździ! Raz i po krzyku. Wie pan dlaczego? Ludzi jest za dużo. Trzeba coś z tym zrobić. Patrz pan! Czemu ten nie rusza? Setki lat tresury, a oni nic. Hitler umiał. Każdy umiał, tylko, kurwa, nie oni. Stówę dam, tylko ruszaj wreszcie, człowieku!

Zajechali pod nowoczesny czteropiętrowiec ze srebrnymi balkonami. Mieściła się w nim firma i wzrok Staszka odzyskał ostrość, jak zawsze. Taksówkarz wydał mu resztę i rzekł:

– Miałem interes do dwa tysiące piętego. Sprzedawaliśmy napoje energetyczne na całe mazowieckie. Gówniarze mieszały to z wódką. Taka kasa! Pewno miałbym teraz cztery domy, ale odpuściłem i jeżdżę taksówką. Panu też to radzę, ale to pana życie. Ja mogę tylko obiecać, że nie będę już po pana jeździł, na Międzynarodową.

3

Doris uważała, że czwarta kawa przed dziesiątą to nie jest dobry pomysł. Nalegał. Porozmawiali chwilę o inwestycji w Magdalence. W przyszłym tygodniu, gdy wydzielią współwłasność, budowa ruszy. Sprawa krakowskiej kamienicy na dobre utknęła w papierach. Doris zrobiła kawę i powiedziała, że niejaki Kratosz znów przyszedł. Staszek poradził, żeby przetrzymała go jeszcze dwadzieścia minut i nie dawała nic do picia.

Został sam. Na biuro składał się płaski stół, szafka z dokumentami, dwa niewygodne fotele i trzeci, dyrektorski, w którym siedział Staszek. Kawa od Doris była naprawdę znakomita.

Pytał czasem, jak to robi, i słyszał tę samą odpowiedź: to po prostu kawa.

Sprawdził, czego może chcieć ten Kratosz, i kazał go wezwać. Mężczyzna miał czterdzieści lat, półdługie włosy zaczesane do tyłu i błyszczące spinki od mankietów.

– Strasznie tu u was zimno.

– Coś majstrują w pionie. Nawet kawy nie mogę zaproponować. Najwyżej wodę.

– Ruszyliście z budową?

– Inaczej byśmy nie rozmawiali.

– A dużo jest już zrobione?

Doris zadzwoniła zza ściany. Staszek przeproszającym głosem wytłumaczył przez telefon, że Magdalenka już wyprzedana, dwie trzecie wykupili Hiszpanie na pniu. Doris się śmiała. Wyłączył Black-

Berry i zwrócił się do Kratosza:

– Doskonale rozumiem pana wątpliwości. Pan ma wyobrażenie budowy jak z *Czterdziestolatka*, ciągnie się i ciągnie. Ale my stawiamy w jeden sezon. W marcu ruszyliśmy. Na jesieni wykończymy wnętrza. Sam spędziłem ostatnie Boże Narodzenie z rodziną, już w nowym miejscu. Wrażenie nieporównywalne z czymkolwiek innym.

– Domyślam się. A jednak podniósł pan cenę w ostatniej chwili.

– Ja podniosłem? Ludzie tylko tracą na hossie. Pan, bo cena rośnie. Ja, bo opłacam rozkapryszonych podwykonawców. Ci wydają prawie wszystko na materiały, których wiecznie brakuje. Inni stawiają byle jak, byle gdzie. Ja buduję domy. Dom to coś więcej niż cztery ściany. Zgodzi się pan ze mną.

– Ma pan rację. Jeśli nie dotrzymacie październikowego terminu...

– Październik to...

– W takim razie listopad. Jeśli zawiedziecie, na Boże Narodzenie dostanie pan wezwanie do sądu, a ja dopilnuję, żeby to pan stracił swój dom. Na zwrocie tego, co już zapłaciłem, się nie skończy. Może pan być o to spokojny. – Kratosz sięgnął po umowę i długo czytał. – Tam będzie żywopłot?

– W jakim sensie?

– W sensie żywopłotu. Jest w projekcie, ale jak pan się przyjrzy, na różnych grafikach ma różną wysokość. Rozumiem, że takich spraw nie można zaplanować dokładnie. Chcę wiedzieć, czy będziemy odgradzeni od innych domów żywopłotem, czy może, co byłoby rozsądniejsze, zdecydujecie się na płot.

– Czemu pan mnie o to pyta? To już zależy od was. Od właścicieli.

Kratosz czytał jeszcze przez pół godziny. Złożył podpis i gwałtownie rozlał się w niewyraźną plamę. Zniknęły kolory. Staszek czekał, aż mężczyzna wyjdzie, a potem długo tarł powieki i wolno oddychał, próbując uspokoić tętno i wzrok.

4

Staszek wysiadł, obszedł taksówkę, otworzył drzwi Doris i popchał ją przed sobą tam, gdzie sprzedawano kwiaty i znicze. Stawiał szerokie kroki, żeby nie wpaść w wodę, a płaszcz poszerzał mu plecy. Buty miał wysokie. Kołnierz miękko oplatał krótką szyję.

Długo nie mógł się zdecydować, poprosił Doris o pomoc, ale w końcu sam wybrał wiązanek i cztery czerwone lampki z wkładami grubymi jak szynka. Trzymał je w siatce, wyciągając dłonie przed

siebie, sprawdzając, czy się nie zerwie. Powiedział, że o tej porze nie powinno być tłumów, i miał rację.

Słońce przygasiło znicze na Cmentarzu Bródnowskim. Staszek nigdy nie mógł znaleźć właściwej alejki. Nie wiedział dlaczego i wstydził się przed Doris. Minęli kaplicę z drewna, zamkniętą na głucho i strzeżoną przez dwa drobne drzewka. Weszli między groby. Białe aniołki zakrywały oczy, jakby nie mógł patrzeć na dwa czarne krzyże wygięte przez liny grabarzy. Orzełek skubał spętana nogę. Groby grzęzły w ziemi. Staszek znalazł ten właściwy. Doris powiedziała, że mu pomoże, a Staszek przyjrzał się wypalonym zniczom i zaczął wymieniać, kto był u ojca ostatnio, kto dawniej, a kto zapomniał. Na matkę, dodał, nie ma co liczyć i wzruszył ogromnymi ramionami. Doris zamiotła grób. Ułożyli wiązanek, trzasnęły zapalniczki.

– Biedny tato – powiedział Staszek. Usiadł na ławeczce obok. – Wściekałem się na niego, wiesz? Żałuję, że nie może zobaczyć tego, co zrobiliśmy teraz. Wściekałem się na niego, że musiałem pracować z robotami. Normalnie jak inni. Myślałem, że mnie za coś karze, a jednak nie, dzięki temu doszedłem tu, gdzie jestem. Od samego początku kazał mi wynajmować własne mieszkanie, uwierzysz?

Doris przycupnęła obok, próbowała wziąć go za rękę. Powiedziała:

– Wielkie mi rzeczy.

– No tak, no tak. Po prostu muszę się wygadać. Jak wyjechał z Ryku, to świat mi się skończył. Może tak było. A potem, już tu... Zawsze próbowałem go zaskoczyć. Głupie, prawda? Myślę, że spodziewał się nawet choroby. Na pożegnanie powiedział mi tylko,

że sobie nie poradzę. Tak po prostu. Uwierzysz? – Zacisnął pięść. – Mylił się.

– Może to widzi?

– A gdzie!

– No dobrze, ale to było dawno temu. Kiedy byłeś tym robotnikiem? Jak długo nie żyje twój ojciec?

Staszek podniósł się z ławki.

– Właśnie. Dawno, ale jednak było. Nudzę cię, prawda?

Poszedł w kierunku drewnianej kaplicy i dalej, ku wyjściu. Zamawiał taksówkę. Doris nie mogła nadążyć za tą nerwową sylwetką w ciemnych spodniach nachodzących na wysokie buty. Staszek zdawał się płynąć nad grobami i rzeczywiście był nudny. Zawsze mówił to samo, gdy przychodzili na cmentarz.

5

Mecenas Pyroszek opierał się o miodową szybę banku. Był jaśniejszy od przechodniów, mniej kanciasty, wycięty z delikatniejszego papieru. Staszek się spóźnił. Wyskoczył z taksówki i usłyszał, że powinien zwolnić.

– Zrób sobie zdjęcie. Wyglądasz jak upiór.

– Już niedługo.

Pyroszek przejął teczkę i zajrzał do środka.

– Jako prawnik powiem ci, że lepiej być nie mogło. Jako kumpel, cóż. Widziałem takich, którzy uważali się za niewolników okoliczności. Chuj z firmą. Tu jest twoje mieszkanie. Dom od rodziców. Ja bym tego nie zastawiał.

– Jesteś w porządku. Jako prawnik i kolega. Czemu mówisz mi rzeczy, które doskonale wiem?

– Nie wiem, co próbujesz zmienić. Ale nie zmienisz w ten sposób.

Staszek patrzył przed siebie. Od ronda nadciągała muzułmanka z głębokim wózkiem. Czoło jaśniało jak krzyż. Między nią a chudym chłopakiem w obcisłych ciuchach rozplatały się złotawe nitki. Z autobusu wysypali się pasażerowie o czarnych, rozciągniętych głowach.

6

W lepszych czasach doradca klienta Urszula Sowa strzegłaby furty klasztoru. Wyskoczyła zza biurka, powiedziała, że bardzo się cieszy z tej wizyty. Pyroszek chciał kawę. Staszek podziękował.

– Panie Stanisławie, niech pan pozwoli mi powiedzieć, że nie najlepiej pan wygląda.

– Mało sypiam.

– Dobry Boże, mam nadzieję, że to nie przez nas. Pana tato kochany był taki sam. Zamartwiał się każdym papierkiem.

– Tato, gdyby nie firma, zadręczałby się czymś innym. – Dostrzegł czerwony krzyżyk na jej szyi. – Bóg wziął go do siebie, żeby tato martwił się naszym światem zamiast Niego.

– Niechże pan nawet tak nie żartuje. Przyniósł pan weksle? Oczywiście, że tak. Jak ojciec, w każdym calu.

– Nie martwię się jak tata.

– Bo i nie ma czym. Sprawa jest napięta, dostaliście zielone światło. Nieoficjalnie powiem, że komitet ryzyka ocenił was pozytywnie i drugą transzę macie właściwie w kieszeni. Będzie z tym trochę biegania, ale sprawa właściwie pewna.

Staszek rozważał to, co usłyszał. Gardło Urszuli Sowy nadymało się przy każdym oddechu. Czoło kończyło się tuż nad brwiami. Mrugały życzliwe oczy.

– Nasza rodzina miała szczęście, że na panią trafiła.

– Gdzie tam! Jesteście uczciwi. To najważniejsze.

Doris bała się windy, więc weszli na siódme piętro po schodach. Staszek przeskakiwał po trzy stopnie.

Pokłócili się jeszcze na progu. Matka – wysoka, z kamiennym wisiorkiem na pomarszczonej piersi – złościła się o spóźnienie. Staszek odpowiedział, że to nie jego wina, tylko taksówki. Najpierw jedna korporacja nie mogła znaleźć żadnego samochodu, potem druga, w trzeciej kierowca zabłądził i wezwali kolejnego. Matka odparła, że mogli wyjść wcześniej. Staszekowi ani w głowie było dostosowywanie się do świata. Jeśli już, oczekiwał czegoś odwrotnego. Tak rzekł, zdejmując wysokie buty.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi przerobionych w jeden. Nad składanym łóżkiem wisiały akwarelowe widoczki przywiezione z Rykusmyku. Był Kościół Pokoju, zamek i rynek. Matka gromadziła fotografie z całego świata i kwiaty. Staszek czekał na jedzenie i skakał po kanałach. Matka poprosiła, żeby ściszył telewizor. Zrobił to niechętnie. Na stół wjechała polędwica, pieczone ziemniaki i surówka. Staszek powiedział, że nie powinien jeść takich rzeczy. Matka pogłaskała go po głowie i zjedli w milczeniu; kobieta brała drobne kęsy i zerkiała raz na Doris, raz na niego.

Po obiedzie przenieśli się na sofę, matka została w fotelu. Staszek opowiadał głównie o planowanych inwestycjach i o tym, jak świetnie wszyscy zarobią na Magdalence, a matka pokiwała głową i powiedziała, że ojciec myślał dokładnie w ten sam sposób i już go z nami nie ma.

– Ojciec to ojciec, a ja to ja. Nie dbał o siebie, kopcił...

– Pił.

– To też. Firma także była inna. Ja mam inaczej. Poza tym, cóż. Najwyżej będę żył dziesięć lat krócej.

– Gadasz głupoty. A ty co o tym sądzisz? – Matka zwróciła się do Doris. – Chcecie coś jeszcze do picia?

Doris pokręciła głową.

– Każdy musi wiedzieć, kiedy się zatrzymać. Pytanie, czy to już czas. Poza tym Staszek nie pracuje tak ciężko, jak pani myśli. Jest, proszę pani, pod czułą kontrolą.

– No ja myślę. Ale mimo wszystko... Popatrz ty, synku, na siebie.

– Ty byś chciała, żebym rzucił to wszystko w cholerę. Najlepiej, żebym był biedny i siedział tutaj z tobą. Żebyśmy razem siedzieli. Mam lizać wystawy? A wakacje spędzać w Sandomierzu, tak?

– Nic takiego nie powiedziałam. Boję się, że nagle zostaniesz z niczym. I jeszcze ze zniszczonym zdrowiem. A ty się upierasz i ciągniesz, ciągniesz ten wózek, przy którym padł już twój ojciec. Który nas zabił, bo taka też jest prawda.

– Przecież to jest dalszy ciąg tej samej gadki. Co zrobię, to jest źle. Źle, niedobrze, nie tak. No to co mam robić? – Staszek wstał i krzyczał. – Byłoby cudownie, gdyby ktoś w tej rodzinie przestał mi dokładać, gdyby ktoś pomógł choć raz, a nie tylko gadał, pouczał, doradzał, jak nie, a jak tak.

– W takich chwilach chce mi się palić.

– No i świetnie. Kurz, mamuś, jak masz ochotę.

– Nie podnoś na mnie głosu. Mów, co chcesz, ale głosu nie podnoś.

– To może ja po prostu wyjdę? – Staszek popędził do przedpokoju, wcisnął buty, cały czas przygryzając wargi. Drzwi otworzył szarpnięciem. Zawołał do Doris: – Idziesz?

Doris wzruszyła ramionami. Nie patrzyła ani na matkę, ani na syna. Staszek uniósł pięści i wysapał, że nawet ona jest przeciwko niemu, już nie jedna kobieta, tylko dwie. Matka podeszła do niego, ujęła za dłonie i powiedziała, żeby się uspokoił, że przecież nie warto, tak rzadko się widują. Staszek odparł, że go to wykończy. Nie praca, ale właśnie te spotkania co dwa, trzy tygodnie, do których przygotowuje się już parę dni wcześniej. Matka z uśmiechem poradziła mu, aby nie opowiadał głupot, i pociągnęła z powrotem w głąb mieszkania. Bez słowa zwałił się na sofę. Siedział i przerzucał kanały. Matka przyniosła galaretkę z bitą śmietaną. Doris ujęła Staszka za rękę.

8

Dopiero po wyjściu Doris dała wyraz swojemu niezadowoleniu. Czekali na taksówkę. Powiedziała, że może nie powinna przychodzić, bo jeśli dwoje dorosłych ludzi urządza sobie piekiełko, to ich sprawa, a jej nic do tego. Nie pozwoliła się objąć. Staszek zaproponował, żeby przeszli się kawałek. Zanurzyli się między czteropiętrowe bloki. Dzieci bujały się na oponach. Doris powiedziała:

– Powinieneś być dla niej lepszy. Niedługo umrze i co wtedy?

– Sama jest sobie winna. Kto jej kazał przyjeżdżać za ojcem do Warszawy? Chryste, miał swoje życie. Kto ją do tego namówił? Na pewno nie ja. Mogła siedzieć w Ryku.

Nie chciał się do tego przyznać, ale czuł niepokojące palenie w ramionach i klatce piersiowej. Wsunął palce pod kołnierzyk.

– Mogła. Tu nie chodzi o nią, ale o ciebie. Mnie umarła tylko babcia. Nie byłyśmy blisko. Pamiętam, jak żaliła się, że rzadko przychodzę. Leżała na łóżku i tak mówiła. Myślałam wtedy, po co mam przychodzić, przecież nic nas nie łączy. A jak umarła, zaraz,

natychmiast zaczęłam się tym zadręczać. Mogłam coś zrobić i nie zrobiłam.

Staszek napinał mięśnie szyi i luzował kołnierzyk. Druga dłoń naciskała pierś.

– Zgadłaś. Całe życie dawała mi w dupę, a to jest jej ostatni numer. Robi wszystko, żebym miał jej dosyć. I robi to po to, żeby dręczyć mnie, gdy umrze – sapał. – Już to widzę, Doris. Ona umrze, żeby dać mi w dupę.

Usiadł na ławce. Ludzie wychodzili z Biedronki, unosząc przepełnione żółte siatki. Staszek badał swoje ciało miejsce w miejsce, ale tak, żeby Doris tego nie dostrzegła. Niby wszystko było w porządku. Miał jednak wrażenie, że wyrzeźbione wielkim wysiłkiem mięśnie kurczą się jak folia nad płomieniem, że niedługo przepadną, a on wraz z nimi.

9

Staszek nie lubił swojej nagości i położył sobie poduszkę na podbrzuszu. Doris rozciągała się w poprzek łóżka. Jej piersi nie były tak kształtne, jak kiedyś sądził. Doris miała uszy okrągłe niczym różowe monety, naznaczone śladami po kolczykach. Między udami biegła nieskazitelnie różowa kreska jak u lalki dla dorosłych.

Objął dziewczynę i powiedział, że teraz, gdy Magdalenka ruszyła, wszystko zmieni się na lepsze. Nie odpowiedziała, więc mówił dalej o wydarzeniach, których oczekiwał.

Doris zajmowała garsonierę na Marszałkowskiej. Gierkowska meblościanka stała obok ławy z Ikei. Na ścianie wisiał płaski telewizor. Drugi, kineskopowy, kurzył się w kącie obok komputera. Na ekranie laptopa zamarł film. Staszek powiedział, że już czas,

aby kupić jej mieszkanie. Nie może być tak, że Doris, kochanka, sekretarka i przyjaciółka, bieduje na wynajętym.

– Wykrztusiłeś wreszcie. Mam ci się rzucić na szyję? – Sięgnęła po drugą poduszkę.

– Zacząlbym wreszcie zostawać na noc. Obiecuję.

Wszędzie były zdjęcia z wycieczek – Doris na Akropolu, w Madrycie, na fiordach. Uśmiechnięta, bez Staszka.

– Skąd mam wiedzieć, że ty w ogóle jesteś sam? Możesz mieć żonę. I dzieci. I pięć takich dziewczyn jak ja. Byłam u ciebie może ze dwa razy. Nigdy nie nocowałeś. Staszek, ile my już jesteśmy ze sobą? Nie, czekaj. Czy my jesteśmy ze sobą?

Nie odpowiedział. Mieszkanie traciło kolory. Zamarudził.

– Idź, Staszek. Jesteś taki zmęczony. Zostanę tutaj. Może pójde na miasto? Obchodzi cię to w ogóle? A za rok, kiedy skończymy Magdalenkę i dasz mi mieszkanie, rzucę ci się na szyję i będę dziękowała, dziękowała, bo z pensji u ciebie trudno wyżyć w tym miejscu.

Spróbował ją objąć, ale wymknęła mu się z rąk.

10

Wysiadł sto metrów przed terenem budowy. Wyobraził sobie, że twarz, ciężka od krwi, spada mu na otwarte dłonie. Z każdym krokiem odzyskiwał siły. Zza zakrętu wyłonił się szeroki pas zieleni zamknięty łukiem lasu. Staszek przeskoczył rów dzielący ulicę od jego parceli. Umknęło jakieś zwierzątko. Runął na kolana.

Położył się i zaczął szorować brzuchem ziemię. Kamyki rozkosznie szarpały ciało. Odeszło zmęczenie, niewyspanie, złość i myśli. Znieruchomiał, patrzył w niebo. Wysoko rozmrużyły się gwiazdy. Ziemia pompowała w Staszka siłę. Jego ziemia.

11

Staszek przyjeżdżał na budowę co rano z kawą w wysokim kubku termicznym. Witał go Józek Cysta, kulejący góral, który odpowiadał za wszystko. Z fundamentów sterczały zbrojenia, woda zalegała na dnie płytkich dołów. Pracowała koparka. Staszek rozkładał folię, siadał i stąd prowadził interesy.

Wszyscy myśleli, że dogląda budowy. Zazwyczaj jednak po prostu włączał mapę Warszawy na iPadzie i wpatrywał się w trzy okręgi różnych rozmiarów, zakreślone wokół mieszkania na Saskiej Kępie, biura grochowskiego i Magdalenki. Chłonał moc ziemi. Własnego kawałka gruntu. Czuł prądy płynące pod trawą, wylanym betonem, kałuzami i czerpał z nich siłę, by spać i żyć. Elektryczne krety przekazywały mu życiodajne impulsy, ślepe robaki dzieliły się swoją brudną mową. Czuł się silny, mógłby sam przerzucić wszystkie worki z cementem. Jeszcze jedna inwestycja i miasto stanie otworem. Staszek powędruje bez lęku szerokimi ulicami, bez więdnącej dłoni, bez zaburzeń wzroku. Już teraz wychodził swobodnie na kilka godzin. Czasem bolała głowa. Wracały mroczki. Nic więcej. Dziękuję ci, moja ziemo.

Mógłby zabrać Doris do Kazimierza nad Wisłą, nad morze albo w Tatry, jak przystało na prawdziwych zakochanych. Kupi sobie domek w Poroninie. Otworzy biuro nad morzem. Będzie miał. Będzie mógł jeździć.

Staszek myślał, przyglądał się koparce, próbował zgadnąć, kiedy przyjedzie van z kawą i kanapkami. Potem wstawał. Szedł i miał wrażenie, że frunie.

12

Doris spóźniła się do Rubikonu. Staszek zdążył zjeść carpaccio wołowe na rukoli i zupę z owoców morza, osuszył też karafkę wina.

Spoglądał po tanich obrazach kupowanych na tuziny od biedujących malarzy. Wreszcie Doris przyszła i była piękna.

– Nie wiedziałam, że lubisz takie miejsca. W gruncie rzeczy nie wiedziałam, że lubisz restauracje.

– Jestem, kochanie moje, pełen niespodzianek. – Nalał jej wina.
– Przewróć się, jak ci coś powiem. Dziś zrozumiałem, jaki byłem żalosny. Człowiek interesu, dobre sobie. Zasypiałem z laptopem na kolanach. Zasypiałem, mówię! A skoro śpię, chciałbym żyć.

Kelner przyniósł mule i melona z szynką parmeńską. Chciał podzielić dania, lecz Doris wołała dziobać raz z jednego, raz z drugiego talerza.

– Ale doisz to wino.

– Jakoś wchodzi. Nie mogę się upić, wiesz? Piję i nie mogę.

– Ty chyba chory jesteś – śmiała się. – Kiedyś myślałam, że jesteś dedea.

– Co takiego?

– Dorosłe dziecko alkoholika. Teraz to drzę, że mi się urzniesz. Pomyślałby kto, że taka jestem strachliwa.

– A gdzie. Nałogiem taty była praca.

– Próbowałam zgadnąć. Chciałam zrozumieć, jaką masz tajemnicę.

– Ja nie mam tajemnic, słońce moje!

– Masz rację. Ty cała jesteś tajemnicą.

Opowiedział, jak ojciec ściągnął go do Warszawy, zmusił do przejścia na zaoczne i przyuczył do firmy. Śmiał się, że musiał zaczynać od zera. Nosił narzędzia za robotnikami. Na stół wjechało danie główne: risotto z borowikami dla Doris i filet z łososia dla Staszka.

– Chcę, żebyśmy zaczęli żyć – powiedział. – Pojedziemy gdzieś, jak zakończymy sprawę w Magdalence. Może do Afryki? Pomyśl tylko. Będzie luty, zimno, a my w Afryce! Potem będę musiał uczynić jakieś dalsze ruchy, zainwestować, ale myślę, że mógłbym rzucić Investbud na kogoś. Po Magdalence firma będzie jak złoto. A ty? Doris, co byś chciała?

– Ty zawsze potrafisz mnie zaskoczyć.

– Przecież, do ciężkiej cholery, nie będziesz wiecznie sekretarką.

– Staszek, co ja mogłabym robić?

– A co sobie tam chcesz.

– Trochę mnie to uwiera. Patrzę na mamę, na tatę. To porządni ludzie. Mama przeklina pracę w szkole, ojciec wcale się nie pchał do handlu.

– Kto ci każe się pchać do handlu?

– Zawsze mówili, że należy robić to, co powinno być zrobione, i że trzeba się poświęcać dla innych. Tylko ja nie wiem, co powinno być zrobione, za to wiem, co im przyszło z takiego życia, gdzie wylądowali. Nie bój się, nie będę zawsze sekretarką.

– Ale ja nie o tym! Firmę zostawimy fachowcom. Pomyśl, czego byś chciała. Czegokolwiek. Chcesz pracować, będziesz, nie chcesz, też dobrze. Może masz ochotę projektować ubrania? Proszę cię bardzo. Podróże po świecie? Jeszcze lepiej! Życie jest za krótkie, żeby robić to, na co nie mamy ochoty. A ja będę miał dla ciebie niespodziankę.

– Zaczynam się bać twoich niespodzianek.

– Nie powiem, myślałem, że będziesz szczęśliwsza.

– A czy ty wiesz, co naprawdę powiedziałeś?

Staszek cisnął sztangę i złapał oddech. Przez moment widział podwójnie. Z szatni wyłonił się mecenas Pyroszek. Niósł wodę mineralną w ręce i kurz na butach. Nie poznał Staszka.

– Na czym ty jedziesz?

– Człowieku, na sucho. Poćwiczymy razem, też spuchniesz.

Obok muskularny mężczyzna stał na głowie i robił odwrócony szpagat. Oczy całej siłowni skupiły się na nim, ale tylko Staszek widział plamki po depilacji na łydce i płytką rysę biegnącą przez tarczę zegarka.

Przysiedli pod oknem. Niżej, na przystanku autobusowym stała ładna dziewczyna z tatuażem na przedramieniu.

– Wiesz, ten biznes ma pewien feler – rzekł Pyroszek. – Domów jest skończona liczba. To samo z gruntem.

– Za płotem w Magdalence inwestują Hiszpanie. Czemu my nie mielibyśmy zainwestować u nich?

– Na razie nie masz drugiej transzy.

Widok własnego ciała w lustrze sprawiał Staszкови przyjemność. Mięśnie klatki piersiowej zasklepiały się pięknie pod samą szyją. Żyły podeszły pod skórę, pulsowała krew. Zamyślił się.

– Musiałem donieść świadectwo o niezaleganiu. Wiesz, jak jest. Opóźnienie generuje opóźnienie. Przewidziałem i to. Zastanawiam się, czy nie przejść gdzie indziej, niezależnie od tego, jak będzie. City się do mnie dobija, wczoraj dzwonili z PKO. Bezpieczny bank dla starców.

– Ano.

– Ułatwię ci to, dobrze? „Jako twój kumpel i prawnik...”.

– Zwolniłbyś trochę.

– E tam. Życie to żart. Popatrz: rynek notuje osiem, dziewięć procent wzrostu. Zarobi ten, kto nie będzie się bał.

– A ci, co boją się za niego?

Staszek chwycił za wyciągi. Ruch był cudowny. Półkule mięśni rozsadzały ciało. Puścił. Ciężarki narobiły huku. Ćwiczący poobracali głowy: oko przekrwione po nocy, włos pod nosem ominięty przy goleniu, nitka brudu pod paznokciem. Ludzie rozstępowali się przed nim. Podeszedł do okna. Zerknął ponownie na dziewczynę z tatuażem. Dzieliło ich kilkadziesiąt metrów. Widział ścieg na pasku torebki i stare sznyty biegnące od nadgarstka do łokcia.

14

Powiedział, że ma coś dla niej. Światło świec ślizgało mu się po twarzy. Doris usiadła na brzegu łóżka. Zapytała, co takiego, i Staszek poprosił, aby sama poszukała. Nałożyła dres, zaczęła krążyć. Przyklęknęła za starym telewizorem. Zanurkowała w szafie.

– Ciepło? Zimno?

– I tak, i tak.

Wytrzepała buty w przedpokoju. Uniosła doniczkę na parapecie. Odsunęła książki. Staszek widział ją w kilku miejscach jednocześnie. Rozłożył ramiona, poruszał palcami.

– Jezu. Kupiłeś mi drzewo? – pytała. Powtórzył gest. Usiadła. Zaczynała rozumieć. – Powiedz, że tego nie zrobiłeś.

– Koniec z wynajmem! Jeśli chcesz, zostanę na noc. Zaklepię weekend, to powynosimy graty. No chodź. Chodź.

– Daj ochłonać.

Całowali się przez chwilę. Rozmawiali o tym, że lato jakoś przeszło bez żaru, ale i bez ulew. Końcówka *Zagubionych* była męcząca, a nowa płyta Metalliki rozczarowała. Staszek żałował, że

Metallica zdarzyła się światu. Zablokowali drogę wielu lepszym zespołom. Doris leżała na brzuchu.

– Ty to wzięłeś za gotówkę? Jakim cudem nic nie wiedziałam?

– Technicznie rzecz biorąc, mieszkanie należy do mnie. Tylko na papierku. Do mnie, a nie do Investbudu. Dam ci promesę.

– Uciekasz w kosza?

– Doris, ej, to jest naprawdę twoje. Gdybym przepisał je na ciebie od razu, zapłaciłbym podatek. A nie mam siana, bo kupiłem mieszkanie. Odczekamy pięć lat. Co to dla nas? Cholera jasna, mogłem to od razu załatwić z Pyroszkiem.

Doris napiła się wina.

– Przepraszam. Trochę mnie to oszołomiło. Może to dziwne, ale chciałabym płacić czynsz jak dotąd.

Staszek zacisnął w sobie dwie czarne pięści.

– Wszystko można powiedzieć na dwa sposoby. Albo próbuję cię kupić, zatrzymać przy sobie. Albo wierzę, że nam się uda.

– Dobrze – odparła. – To po prostu trochę za dużo. Powinieneś poszukać sobie nowej sekretarki.

Minęła chwila, nim przyswoił tę wiadomość. Dobrze, powiedział, niech i tak będzie. Spróbował objąć Doris, ale wymknęła mu się z rąk. Usiadł na kanapie. Od ścian i podłogi było elektryzujące ciepło. Mieszkanie grzało Staszka i dodawało mu sił.

15

– Komitet ryzyka załatwił sprawę odmownie. Niestety, nie udało się – powiedziała Urszula Sowa.

Nastąpiła cisza smutna jak pobity w branie. Mecenase Pyroszek burczał, że umowa była inna, Staszek wolał wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło. Ściany pokoju rosły ku górze i zbliżały się do siebie.

Mecenas Pyroszek prosił o pisemne uzasadnienie oraz rozmowę z właściwym decydentem. Urszulę Sowę, jej krzyżyk, jej biurko, spowiła mleczna zawierucha. Urszula powiedziała, że nie są jedyni.

– Widzieliście tych na korytarzu? Panie Stanisławie, naprawdę pana lubię. Przez wzgląd na pana ojca coś panu powiem, w zaufaniu. Komitet ryzyka odmawia wszystkim, bez wyjątku i niezależnie od zaawansowania sprawy. Nie wiem, kto się tym zajmuje. Komitet działa niezależnie. Nie znam nazwisk. Nie mamy jak się dodzwonić.

Staszek zobaczył surowe domy Magdalenki, wyczekujące dachów tak, jak on wyczekiwał kolejnej raty kredytu. Pociemniało mu w oczach, poprosił o wodę. Potulny, dał poprowadzić się do wyjścia. Mecenas Pyroszek odwrócił głowę.

– Pani Urszulo, jak pani może z tym żyć?

– Mąż mnie bardzo kocha.

16

Wejście na siódme piętro sprawiło Staszкови trudność. Nie chciał się do tego przyznać. Dalej przeskakiwał po trzy stopnie, ale też odpoczywał na każdym półpiętrze, udając, że czeka na Doris. W końcu zapytał, dlaczego, do cholery, nie mogą jeździć windą jak wszyscy. Dlaczego się boisz, Doris? Doris się roześmiała – robi to dla niego.

– Dla mnie boisz się wind?

Poszli dalej. Staszek sapał i zastanawiał się, jakie złośliwości tym razem przygotowała matka. Co wymyśliła, aby mu dopiec. Zadzwoił, ale nikt nie otworzył. Dobijał się chwilę. Wybrał numer komórki. Cisza. Zaczął mówić, że właśnie tego się spodziewał,

matka na pewno sądzi, że umówili się wcześniej lub później, gdzieś poszła albo siedzi obrażona. Doris uznała, że to do niej niepodobne.

– Naprawdę nie masz kluczy?

Może i mam, chciał powiedzieć. Uderzył barkiem o drzwi. Nie ustąpiły ani za pierwszym, ani za drugim razem. Staszek żałował, że nie ma jak się rozpędzić. Doris poradziła, żeby dzwonił po ślusarza, zamiast zgrywać bohatera, a Staszek wpadł do przedpokoju. Mieszkanie było puste i ciche. Wszystko leżało na swoim miejscu. Płaszcz i buty także. Doris pomogła mu się podnieść. Na klatkę wyszedł sąsiad z telefonem komórkowym przy uchu. Poznał Staszka. Zapytał, czemu wchodzi na grandę, czy nie mają kluczy. Rzekł:

– Zabrali ją dziś rano. Miała dość siły, żeby zadzwonić po pogotowie. Dobijała się do mnie i prosiła, żebym u niej został, aż po nią przyjadą. A pan, panie Stasiu, gdzie wtedy był?

Doris wskoczyła między nich i sąsiad wycofał się, machając przy tym telefonem jak latarką w ciemnościach. Zamknęli nadwątlone drzwi. Staszek miotał się po pokoju, sycząc coś o sukinsynach. Pytał, jak sąsiad mógł coś takiego powiedzieć. Nie każdy jest syneczkiem mamusi. Zamilkł. Zwalił się na sofę. Trząśł się.

– Moja mama. Moja mama. Ona nie ma nawet siedemdziesięciu lat.

Doris zastanawiała się, do którego szpitala mogli ją zabrać, Staszek jedynie siedział i powtarzał w kółko to samo. Sąsiad nie chciał otworzyć. Doris podała Staszekowi szklankę wody i zaczęła dzwonić. Spokojnie czekała na połączenie. Obojętnym głosem tłumaczyła, o kogo chodzi. Wreszcie usiadła obok Staszka i

powiedziała, że wszystko jest w porządku. Zabrali ją na Banacha, można jechać. Tylko wezwijmy taksówkę.

– Ty zadzwoń. – Staszek popatrzył w głąb korytarza. – Chrystusie jedyny, wyjebałem drzwi. Ale to durne, co nie, Doris?

17

Matka miała zakrzep w żyłach, a Staszek nie mógł znieść czekania. Powiedzieli mu, żeby przyszedł jutro, ale wiedział lepiej. Z jasnym cieniem Doris za plecami krążył po kremowych korytarzach, przykładając nos do drzwi oddziału operacyjnego i bez przerwy chodził do łazienki, gdzie pacjenci palili papierosy. Dzwonił do Pyroszka, sprawdzał znajomości i mówił, że jeśli matce stanie się krzywda, po prostu zabije lekarza.

– Wystarczy dać przykład – powiedział. – Zatłuc jednego na śmierć. Wtedy inni przestaną krzywdzić, bo będą się bali.

Nie chciał jechać do domu. Doris powiedziała, że z kręcenia się po korytarzach nic dobrego nie przyjdzie, i zaciągnęła go do stołówki. Mijali otwarte sale. Nie było tak źle, jak mówili w telewizji. Chorzy siedzieli na łózkach, czytali książki, stukali w telefony i laptopy. Młodszy grali na przenośnych konsolach, a starsi w scrabble. Pachniało jabłkiem i lekarstwem. W koszach leżały papiery po kanapkach, na parapetach – „Strażnica” i „Gość Niedzielny”.

– Opowiedz mi coś – poprosił Staszek.

W telewizji leciała piosenka Miley Cyrus, a na pokrytych ceratą blatach kładziono talerze z bitkami i kartoflem, jajka na twardo, chleb z kawałkiem masła i placki. Dwóch chorych kupiło obiad na spółkę. Grano w szachy. Okno wychodziło na niski budynek, w którym mógł mieścić się zakład pogrzebowy. Staszek powtórzył swoją prośbę. Chciał wiedzieć, dlaczego Doris boi się windy.

– Ojczym zamykał mnie w szafie i podpierał krzesłem. Był tak silny, że potrafił obrócić szafę drzwiami do ściany i czasem to robił.

– Uśmiechnęła się płasko. – Za każde przewinienie. Jak nie posprzątałam, nie zajęłam się siostrą, coś zbiłam, nie pozmywałam albo zjadłam więcej, niż było mi wolno. Tak przez wiele lat, aż nie nauczyłam się bronić. Ciemne, duszne miejsce. Słyszałam, jak ojczym chodzi po kuchni i sapie po każdym kieliszku wódki. Czasem wypijał tyle, że zapominał mnie wypuścić.

Chciał ją pogłaskać po twarzy, ale uchyliła się ze śmiechem, chwyciła go za rękę.

– Uwierzyłeś w to? Boże drogi... No, nie złość się. Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę? Ale się nie zezłość i nie bądź zazdrosny.

– Już się złoścę.

– No to nie ma.

– Doris, ja cię proszę.

– No dobrze. Więc było to jeszcze u mnie w Bielsku. Miałam chłopaka i byliśmy zakochani, tak fajnie, cholernie i po świńsku. To znaczy ja wiedziałam, że nic z tego nie wyniknie. Co z tego, skoro było super? Latem jeździliśmy za miasto, pod namioty, na wypad do lasu, ale zimą był problem. I ten mój chłopak mieszkał w dziesięciopiętrowcu, gdzie mieli dwie windy, jedną na parterze, drugą na piętrze, no i tą drugą mało kto jeździł. Bzykaliśmy się w tej windzie. Tak szybciotko. No nie patrz na mnie w ten sposób, wariacie jeden. Robiliśmy tak, że zatrzymywaliśmy się między piętrami i już. Miało to jakiś urok. Zupełnie niepowtarzalny, strasznie szalony. Bałam się nawet. Przyglądałam się sąsiadom mojego chłopaka, a musisz wiedzieć, że mówili na niego Koziół, w każdym razie patrzyłam na te twarze i zastanawiałam się, czy

wiedzą, czy nie. Miałam siedemnaście lat. No i wtedy zrobiliśmy jak zwykle, zatrzymaliśmy się między dziewiątym i dziesiątym piętrem, oparłam się o ścianę, resztę sobie wyobraż. Prosiłam Kozła, żeby nie tłukł się tak, a on swoje. Tłukł się jak wściekły, łup, łup, na cały blok – mówiła tak głośno, że chorzy odwracali głowy. – I nagle, słuchaj, w środku tego wszystkiego winda poleciała w dół, co nie było już zabawne. Poleciała z nami w środku. Myślałam, że zginiemy. Spadaliśmy tak krótko, a ja zdołałam to wszystko pomyśleć, jak roztrzaskujemy się na samym dole i jak nas znajdują, zmiażdżonych i absolutnie, całkowicie martwych. Naprawdę, wierzyłam, że umrę. Kozioł wrzeszczał. Zatrzymaliśmy się piętro niżej i przeszła mi ochota na wszystko. Najgorsze jest to, że nie mogłam przestać myśleć o mamie i tacie, wyobrażałam sobie, jak mnie znajdują, zmiażdżoną i martwą, do tego z Kozłem w środku. Moja mama jakoś by przeżyła, ale tatę to by zabiło.

Od kuchni niósł się zapach kompotu. Chłopak w dresowych spodniach i górze od pidżamy wrzucał dziesięciogroszówki do automatu z napojami. Twarz Staszka była nieodgadniona. Poważnym głosem powiedział, że powinni już pójść, i poprosił Doris, by jutro, z samego rana, zamówiła dla jego mamy bukiet kwiatów. Kwaciarnie dostarczają pod adres, rzekł i zaczął się krztusić. Nie otworzył ust i śmiech przeciekł mu przez policzki, trysnął z kącików warg i spłynął wesołą łzą. Przygięło go do ziemi. Bił ręką o stół. Szepnął:

– Zamówisz te kwiaty, dobrze?

Tego wieczoru kochali się w gabinecie. Doris leżała na stole, a nad nią, nazbyt krótko, kołysał się potężny tors Staszka. Po wszystkim zwalili się na fotele i złączyli dłonie. Staszek pił wodę z

dystrybutora, a Doris oznajmiła mu, że już wymyśliła, co pragnie robić w życiu.

– Chcę otworzyć punkt ksero – powiedziała. Staszek zapytał, czy to żart. Zaprzeczyła i dodała, że jej zdaniem ksero jest akurat takim interesem, jaki jej odpowiada. Potrzebnym i nie za małym ani nie za dużym.

– W gruncie rzeczy nie wyobrażam sobie mniejszego interesu niż ksero – rzekł i spróbował obrócić sprawę w żart. – Ksero jest dobre dla studentów, którzy tam pracują, zresztą niedługo ten biznes straci sens, bo wszyscy robią książkom zdjęcia, zamiast je kopiować.

Doris założyła koszulę i powiedziała, że ma wszystko przemyślane. Zaoszczędziła trochę pieniędzy i znalazła dziuplę przy Marszałkowskiej, blisko Politechniki. Był tam kiosk, a teraz nic nie ma. Staszek patrzył to na nią, to na swoje ramię.

– Tego właśnie chcę.

– Ksera?

– Ano. Masz z tym problem?

– Rób sobie ksero, bardzo cię proszę. Pomogę, pożyczę, jak trzeba, żaden problem. Tylko dziwię ci się trochę. Wiesz, kiedy zapytasz kogoś, jakie ma marzenia, to odpowie, że milion dolarów. Albo że chce być reżyserem, chce świat zwiedzać albo chociaż załapać się na partnera w PWC i drapnąć apartament na Manhattanie. Nikt ci nie odpowie: „Chciałbym mieć ksero przy Marszałkowskiej”. Ludzie, którzy chcą mieć takie ksero, po prostu je otwierają.

– A widzisz, są tacy, co zbierają na ksero.

– No nie wiem. Nie wiem, czy ja tego chcę. Po prostu wariacko to brzmi.

- To moje ksero. Coś, co zrobię sama.
- Myślałem, że takie decyzje podejmuje się wspólnie.
- Ja ci się nie wtrącam.

– Jezu, po prostu boję się o ciebie. Nie wiesz, ile z tym jest roboty, ile trzeba forsy włożyć. Jak zrobisz, żeby ludzie się dowiedzieli o tym całym ksero? Odkąd cię znam, robisz tylko kawę. Co znowu? Czekażcie no, spokojnie. Co, kurde, różni robienie kawy u mnie w firmie od prowadzenia punktu ksero? Powiedz mi tylko tyle, to jedno chcę wiedzieć.

- Ksero będzie moje.

Zebrała się do wyjścia. Nagi Staszek poleciał za nią i objął przed samymi drzwiami. Powiedział, że przecież nie wyjdzie tak na ulicę, w samej koszuli, i jeśli nawet powiedział coś przykrego, to nie chciał. Palnął głupstwo. Bez Doris nie byłoby i firmy, i jego, Staszka, chyba też.

– Rób sobie ksero, dziewczyno, rób cokolwiek, na co masz ochotę – szeptał.

19

Inwestycja w Magdalence zachowała moc. Ciepłe prądy spływały z niewykończonych murów w żyły Staszka. Staszek rozłożył folię na wylewce i położył się twarzą do góry. Chłonał ciepło i modlił się do bezimiennej siły, żyjącej poniżej: daj mi moc, nie pozwól, abym osłabł. Ciepło ukoilo go trochę, a potem uniósł głowę i zobaczył kogoś, jak idzie w jego kierunku. Skojarzył twarz, przypomniał sobie. Kratosz. Co on tutaj robił?

Mokre włosy opadały na chudy kark mężczyzny. Zaciskał palce na aktówce.

- Chłodno. Żeby mi pan tu nie umarł.

Staszek zbierał się z folii. Był zły, że ktoś taki jak Kratosz znalazł się w pobliżu jego tajemnicy.

– Poradzę sobie. Co pan tu robi?

– Przyszedłem zobaczyć swoje mieszkanie. A czy pan sobie poradzi, tego nie byłbym taki znowu pewien.

– Powiem coś panu. Ludzie po to wymyślili biuro, żebyśmy tam rozmawiali.

– O czym tu rozmawiać? Czekam na klucze. Zgodnie z umową.

– Mamy opóźnienie. Też zgodnie z umową. Pan się wczyta. Nie ogląda pan telewizji, nie wie pan, co się dzieje? Spójrz pan lepiej na drugą stronę drogi. Tam też budują. Zaczęli równo z nami. Ile zrobili? Pan myśli, że mam wpływ na banki w Stanach?

– O! To nie ma pan? A dlaczego?

– Cholernie mi przykro, że sprawy tak się potoczyły. Chryste, przecież nie jeden pan czeka!

– A dlaczego inni też czekają?

Wróciły mroczki. Powiał wiatr.

– Wyrobimy się do końca zimy. Jak nic się wyrobimy. Ludzie czekają po trzy lata, rozumie pan? Po trzy lata, a pan przychodzi tutaj i mnie terroryzuje! Poprawia to panu humor?

Kratosz nie odpowiedział. Podał Staszekowi rękę, a potem poczłapał przez plac budowy i dalej, wzdłuż drogi. Szedł i rósł z każdym krokiem. Wkrótce jego mokra głowa wystawała ponad nagie korony drzew. Staszek usiadł w kałuży.

20

Pomieszczenie wynajęte przez Doris było bardzo małe i Staszek dziwił się, że zmieścił się tam kserograf, który pomógł wnieść. Ściany pomalowano na radosną żółć. Dziewczyna kazała zamontować ladę, na której ustawiła drobiazgi, które jej zdaniem

ktoś mógł kupić – długopisy, czyste płyty, pendrive'y w kształcie wizytówki, notatniki.

Kupiła komputer, drukarkę i maszynę do bindowania. Nie umiała zamontować szyldu, ale już nadrukowała ulotek i wysłała młodych, żeby je roznosili. Znajdowała je potem w śmietnikach. Zmieniała młodych na innych, ale znów stało się tak samo.

Staszek zaglądał do niej prawie codziennie i stawał z boku, tak aby każdy, kto przechodził Marszałkowską, widział Doris, gotową do kopiowania. Czasem przynosił kwiaty. Pytał, jak leci. Doris odpowiadała, że niezbyt dobrze, ale nie ma się czym przejmować, bo każdy interes przynosi straty przez pierwsze kilka miesięcy. Zaproponował w końcu, że mógłby przynosić rzeczy do kopiowania, podpiszą umowę z firmą i będzie bardzo dobrze. Uśmiech Doris był wymuszony. Już o tym nie rozmawiali. Dziewczyna czekała, aż ksero się rozkręci, zaś Staszek wyglądał jego upadku. Mówił, że jeśli tak się stanie, to jeszcze nie koniec świata.

Doris odpowiadała wówczas, że ksero jest jej potrzebne, nawet jeśli przejściowo nie przynosi dochodu. Oboje go potrzebują, bo teraz spotykają się częściej, i to tak, jak powinni się spotykać. Częściej wychodzą, częściej rozmawiają, pieprzą się pieprzniej i przynajmniej ona czuje, że jest tak, jak powinno być.

– Co zrobisz, gdy to jednak padnie? – pytał Staszek.

21

W poniedziałek Doris zamówiła kwiaty, następnego dnia kolejne. Staszek długo oglądał bukiet, nim zapłacił. Po południu zadzwonił do matki na komórkę. Matka co chwilę powtarzała, że jest bardzo słaba i musi kończyć. Potem opowiadała o warunkach panujących w szpitalu, o tym, że nikt nie kradnie, choć ją przed

tym ostrzegano, po raz kolejny wspominała, jak to zasłabła i że wydawało się jej, że czekanie na karetkę trwa wieczność.

Staszek położył telefon na biurku i wbił w niego wzrok. Przez zestaw głośnomówiący powiedział, że jutro, najdalej pojutrze już na pewno wybierze się do szpitala, a na razie przygotowuje niespodziankę. Matce podobały się otrzymane do tej pory kwiaty. Inni chorzy jej zazdrościli, a ona zazdrościła innym.

Warszawa ciągle rosła i zalewała się kolorami. Na Starym Mieście i MDM otwierano kolejne bary zakąskowe, gdzie młodzi siadywali z piwem i kieliszkiem dokładnie jak ich ojcowie. Świdry drążyły metro, wypychając na powierzchnię wodę i ludzi. Tłum przewalał się pod ziemią, dociśnięty do zielonych barierek. Domy przedzielono ekranami. Reklamy na billboardach stały się bardziej radosne. Restauracje tasowały się jak talia kart – Włoch zamiast Mongoła, sushi w miejsce Włocha. W rogi ważnych ulic wgryzały się winiarnie. Inwestycja w Magdalence obrosła zbrojeniem i betonem. Staszek kładł się tam co noc, pomiędzy surowymi ścianami, na gołym betonie, przepełniony siłą. Wydawał się sobie olbrzymem i wierzył, że nic złego nie może go spotkać. Nad nim wznosiły się kolejne puste piętra.

Codziennie odbierał mnóstwo telefonów. Budził się i zasypiał, rozmawiając. Kiedy wybrał się do szpitala, nie potrafił oderwać komórki od ucha. Opuścił ją dopiero, kiedy lekarz powiedział, że matki nie ma od dwóch tygodni. Staszek zapytał, czy umarła. W żadnym razie, wyzdrowiała, więc poszła do domu. Wieczorem Staszek położył głowę na kolanach Doris. Jego własne nogi wydały mu się chude i niepotrzebne. Chciał je sobie uciąć. Rzekł, że wielu rzeczy się spodziewał, ale tej jednej nie.

– Jak dzwonię, nie odbiera. Jak przyjeżdżam, nie otwiera. Zamek, który wstawiliśmy, zamknięty. Mogłem zatrzymać klucze. Wychodzę i patrzę, że mama siedzi na ławce z książką. No to mówię, cześć mamuś, czemu nie zadzwoniłaś? A ona nic. Zagaduję, pytam, w końcu przepraszam i się tłumaczę. A ona siedzi bez ruchu. Tak z pół godziny. W końcu poszedłem. Miałem ją w nos trącić? Założę się, że odprowadzała mnie wzrokiem. Ale wiesz co? Może to dobrze. Może tak należało to załatwić. Krok w dobrym kierunku. Nie teraz, może za miesiąc, za rok. Ale w końcu się uwolnię.

22

W zimie na siłowni ćwiczą najtwardsze wiarusy. Reszta traci masę, wyglądając wiosny. Mecenas Pyroszek asekurował Staszka i opowiadał, że upadłość, choć groźnie brzmi, może uratować ich wszystkich.

– Przede wszystkim nie mamy wyjścia. Na szczęście upadek właściwie nie oznacza upadku. Zyskujemy czas. Pospłacamy długi, ocalimy, co się da. Kto wie, może nawet część Magdalenki?

Staszek skostniał, zrobił się żylasty. Pod koszulką wisiał mu płat skóry. Wyjął z kieszeni brzęczące BlackBerry i odłożył pod oknem. Pyroszek szedł za nim przez siłownię.

– Byłoby łatwiej bez tych nieszczęsnych weksli. Mleko się rozlało. Ale robi się tak: ustalamy plan wyjścia z kabały i natychmiast meldujemy się w sądzie. To moja działka. W tym czasie ogarniasz kredyt, nie wiem, wypierdol kogoś, sprzedaj coś, najlepiej jedno z drugim, a potem zgwałć Cystę, niech wraca na budowę. Przechodzimy w upadłość i blokujemy komorników.

BlackBerry dzwonił. Śmiech rzeczy pięknej, niepotrzebnej. Staszek gryzł wargi i zaciskał pięści. Za oknem deszcz obmywał

pusty przystanek tramwajowy.

– Odbierzesz?

– Haczyk gdzie?

– Sąd trochę skrepuje nam ruchy. Pewno przydzielą nam nadzorcę, takiego frajera, co będzie pilnował, żebyśmy się nie wyłożyli. Ale nie działam w próżni, spokojnie, rozpracuję gościa, jeszcze nim zakręcimy. Poza tym nie mamy wyjścia. – Usiadł na brzegu ławeczki i powtarzał w zamyśleniu: – Weksle, weksle.

W Staszku myśli kłębiły się jak chore płody w monstualnej macicy. Bez głów, bez rąk. Z zazdrością zerkał ku wielkim wiarusom, ich mięśniom pulsującym pod odtłuszczoną skórą. Telefon znów zadzwonił. Zdusił dźwięk. Nabrał ochoty, żeby zdradzić Pyroszkowi swoją tajemnicę.

– Przepisz mieszkanie na matkę.

– Matka chora.

– No to ta twoja Doris.

– Mowy nie ma. Zostawiasz nieruchomości przy mnie, bez względu na koszty. Co by się nie działo, zostają, dotrze to wreszcie do ciebie czy nie?

Wiarusy popodnosiły głowy. Staszek nałożył talerze na sztangę i ułożył się na ławeczce. Pierwsze trzy ruchy poszły sprawnie, czwarty ledwo, piąty przygniótł pierś i odebrał oddech. Wiarusy różnych rozmiarów doskoczyły do Staszka, zdjęły ciężar.

– Jesteś popierdolony czy tylko pojebany? – zapytał spokojnie ten mniejszy.

Drągał dorzucił:

– Weźże nie szarżuj, człowieku.

Staszek zabrał swoje rzeczy i zniknął w szatni. Próbował nie słuchać mecenasa Pyroszka, który krążył między szafkami i

tłumaczył, że firma padnie przy tak tępym oporze. Staszek poprosił o zaufanie. Zdejmował przepocone ubrania, nie wypuszczając komórki z ręki. Kratosz dzwonił nieustannie. Tej nocy chmury wróciły.

23

Staszek chciał zrozumieć, czym są duchy, czym jest nawiedzenie. Przypelzły upiory procesów sądowych, nocą rozrabiały chochliki niechcianych rozmów telefonicznych. I tylko Doris była taka sama, jak krzyż w kościele przerobionym na targowisko.

– Może pora zmienić ludzi? Wziąłeś pijaka na prawnika.

– Jaki tam pijak z Pyroszka? Czasem musi się nawalić. Czasem i ja muszę.

Napił się, zaległ między pudłami, obok nieskręconej szafy, przy wiadrze z farbą.

– Nie chcę o tym teraz słuchać. Każdy czegoś ode mnie chce. Ty, żebym się zmienił. Sowa, czy raczej jej przełożeni, wrzeszczą o papiery, a Pyroszek wygrywa swoją melodyjkę i oczekuje, że będę do niej skakał. Sędzia to stara dziecienniała ropa, syndyka jeszcze nie widziałem, a już się boję. Codziennie dzwoni do mnie ze dwudziestu durni, którzy sądzą, że ich mieszkania należą do nich. Co mam im odpowiedzieć, skoro sam nie wiem, do kogo należą? I jeszcze ta menda. Słuchaj, mam takiego... – Gęsta mgła podeszła pod słońce. Pył wirował w Warszawie. – A ja od tego słabnę. Słabnę, gdy tracę. Przecież wiesz.

Doris była blada. Chciał ją napełnić krwią.

– Potrzebujesz odpoczynku.

– Najlepsze, że niczego nie zawałęm. Pyroszek się postarał. Ta sędzia też chce dobrze. Nawet Kratosza mogę zrozumieć. Wszyscy

zrobili, co mieli zrobić, a jednak się spierdzieliło.

– Mogę powiedzieć coś okrutnego? – Zaśmiał się w odpowiedzi.
– Za łatwo ci szło. Firmę dostałeś po ojcu.

– Ale zaczynałem od łopaty. Doris, jakie to ma znaczenie?

– Może takie, że strata nie jest znów tak wielka?

– Dobra. Całe życie byłem dyrektorem. Nic innego nie umiem – zmienił ton. – Ale jestem też facetem. Potrzebuję celu. Jasnego kryterium działania. Mogę przegrać. Ale muszę wiedzieć dlaczego.

– Nie potrzebujesz celu, ale łatwej sytuacji. Życie jest inne i nie wszystko zależy od ciebie. Ani sędzia z Pyroszkiem, ani ten cały Kratosz. Mogą czegoś tam od ciebie chcieć, ale nie świadczą o tobie. Jesteś, jaki jesteś. Czemu tak na mnie patrzysz? Mówisz, że jesteś facetem. Faceci podnoszą się po porażkach. Potrafisz?

Nie umiał ocenić – Doris śmieje się z niego, czy tylko uśmiecha. Ściemnienie przyszło niespodziewanie.

– Nie wiem.

– Ja wiem. Potrafisz. Większość by się poddała. Czasem mnie złościsz. Czasem przerażasz. Nie podoba mi się twój wzrok. Ale będzie dobrze, ludzie mają większe dramaty. Jestem przy tobie, ale nie patrz tak na mnie.

– Bardzo źle cię widzę – odrzekł Staszek.

24

Syndyk miał życzliwą twarz, ale ramiona rozstawiał szeroko, jakby przywykł do nagarniania pod siebie. Zatrzymali się na schodach przed budynkiem sądu. Mężczyzna natychmiast zapalił. Mecenas Pyroszek zaproponował, żeby gdzieś usiedli i porozmawiali.

– Niekoniecznie. Ale jesteście porządnymi ludźmi, a ja lubię nazywać rzeczy po imieniu. Racja jest po waszej stronie. Tak że

mówię jasno: róbcie, co chcecie.

Staszek stał z boku. Zwalczał drgawki, skupiał się, usiłował utrzymać Czerniakowską w jednym kawałku. Za nadzorczą rozwijała się czarna smuga aż do drzwi sądu. Przypominała ślad samolotu odrzutowego.

– Jak można zbudować coś w mieście, w którym nie ma nawet taksówek? Macie swoją Unię. – Syndyk nabrał powietrza. – Tylko jedna sprawa: niczego nie podpisuję.

Pyroszek zeszywniał. Mężczyzna próbował zatrzymać taryfę.

– Przecież pan musi zatwierdzać wszystko, co robimy. Każdy zakup, umowę. Pan tego nie wie?

– Z zatwierdzeniem transakcji udacie się do sądu. Wiem, trochę dłużej to potrwa. Jednak ja was, panowie, zrozumiałem, to i wy mnie zrozumcie. Podpiszę, znowu повинie wam się noga, a mnie czekają dwa lata użerania się po sądach. Po co mam brać ten krzyż na barki? Dlaczego? Wy chcecie żyć spokojnie i ja też. Jestem uczciwy. Nie przeszkadzam. Nie pomagam. Powodzenia. – Odszedł bez podawania dłoni do zatrzymującego się samochodu. Zawołał jeszcze, otwierając drzwi: – Będzie dobrze! Młodzi jesteście.

I odjechał, pozostawiając Staszka i Pyroszka w czarnej smudze. Mercedes, w którym zniknął, wyglądał jak spowity przez płomienie.

25

Smuga ciągnąca się za taksówką pozostała w Staszku. Zabrał ją do Doris. Dziewczyna siedziała w pustym punkcie ksero. Zapytała, co się stało. Staszek odparł, że mają przejściowe kłopoty, ale co ma być, to będzie, i nie ma takiej siły, która by go złamała. Zaproponował, żeby wyszli wcześniej, skoro i tak nikogo nie ma, ale akurat wtedy do punktu wpadł blady chłopak ze starą książką.

Miał podkrążone oczy i zapytał, ile wyniesie skserowanie całego tomu i ile to potrwa. Na czapce migotały mu czerwone różki. Usłyszawszy odpowiedź, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Czekać czy wracać? Staszek wcisnął się w kąt.

Młodemu człowiekowi drżały dłonie, pod oczyma miał cienie. Doris odbijała stronę za stroną. Młody człowiek zachwiał się i omal nie upadł. Doris zapytała, czy dobrze się czuje.

– Czuję się jak widać – odparł. Doris włączyła ekspres i podsunęła mu kubek z kawą. Młody człowiek pił i się rozgadał.

Opowiadał, że to miasto ma swój urok, tylko trudno w nim wytrzymać, może dlatego, że studiuje historię i ma za dużo czasu. Na przemian powtarzał, że przesadził, właściwie ciągle przesadza, i nie mógł się nachwalić kawy. Poprosił o dolewkę, zapytał, ile powinien zapłacić. Usłyszał, że nic.

– Też powinienes się napić – rzekł do Staszka. – Ale dobra! Aż mi mózg stanął. Człowieku, co ci jest?

– Życie mi jest – odparł Staszek.

Młody człowiek zamilkł na chwilę i zaczął narzekać na samą książkę, którą kopiował. Niby stare pierdoły, ale coś się nie zgadza, brakuje dwudziestu kartek. W trzech bibliotekach był, sprawdzał po sieci, wszędzie to samo. Powyrywali, ciule, zawsze ten sam rozdział i pewno z tego rozdziału go zapytają, bo właśnie takie ma zafajdane szczęście. W szkole, na mikołajki, zawsze losował swoją była.

Porwał zbindowany tom i wcisnął Doris pięćdziesiąt złotych. Nie chciał reszty. Poszedł ulicą, jakby brodził w śniegu.

Staszek powiedział, że dopiero ksero uczy cierpliwości. Doris go nie słuchała. Klepała w komputer. Zawarczała drukarka i nad kserografem zawisła kartka z informacją, że za każde sto stron

kawa gratis. Staszek rzekł, że właśnie w tej chwili interes stracił sens do reszty.

26

Winda nie działała i musiał kilkakrotnie przystanąć w drodze na ósme piętro. Kładł brodę na parapecie, a potem zrywał się do truchtu. Pod swoimi drzwiami zastał Kratosza rozwijającego karimatę. Ruszył w jego kierunku, krzycząc.

Zgarbiony Kratosz pogmerał w plecaku z aluminiowym stelażem. Kubek od termosu w jego paluchach przypominał naparstek. Czubkiem monstrualnej głowy zawadził o lampę, zmrużył szare oczy.

- Dzwonię na policję – zagroził Staszek.
- Dlaczego na policję? Czemu pan chce to zrobić?
- Skąd wiesz, gdzie mieszkam?
- Bezdomni mają dużo czasu.
- Och, nie udawaj. Znam takich jak ty.

Stali naprzeciwko siebie. On nie może być taki wielki, myślał Staszek, roi mi się z przemęczenia. Kratosz, jak żagiel z grubego płótna, wypełniał sobą korytarz. Rzekł:

- Pan mnie okłamał.
- To nie moja wina. Wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Zwolniłem pracowników. Niech pan stąd pójdzie.
- Czemu akurat ja mam iść? Jesteśmy takimi samymi ludźmi, równymi wobec prawa.

- Nie bardzo. Podaj mnie do sądu! – śmiał się Staszek.
- Mówi pan dziwne rzeczy. Ludzie naprawdę są równi. Tak chciał Bóg. Podałem pana do sądu, ale zablokował pan firmę i na razie niewiele da się zrobić. Wydaje się pan z gruntu dobrym, tylko zagubionym człowiekiem. Niech pan sobie nie wmówi, że zło, które

pan czyni, znajduje usprawiedliwienie w pana niewątpliwym nieszczęściu. Tak nigdy nie wolno. Jestem też pewien, że ludzie, których uważa pan za przyjaciół, wcale nimi nie są.

– Całkiem możliwe. Teraz się odsuń. Dam ci szansę. Daję ci szansę, słyszysz? Pójdę do siebie, przyjdę za pięć minut i jeśli cię zobaczę, dzwonię na policję. Poniosą cię na kopach, skurwysynu.

Kubek termosu brzęknął o podłogę, głowa Kratosza wystrzeliła do przodu. Oczy miał jak zaciśnięte pięści. Rozwarł dłonie. Ogromne usta wypłuły jedno, gardłowe „Hu!” i Staszek upadł na plecy, obok swojego telefonu.

Kratosz podniósł kubek, wyprostował się tak, jak potrafił, nie uderzając łbem w sufit. Skłonił się i odszedł w kierunku schodów.

27

Adres w umowie z Kratoszem skierował ich na Pragę. Staszek stawiał drobne kroki i złościł się, że musi nadłożyć drogi ze względu na remont torów tramwajowych. Doris prowadziła go pod rękę. Prosiła, żeby zachowywał się potulnie, żeby się powstrzymał. Mijali banki wciśnięte w szare kamienice, ludzie poruszali się albo nazbyt szybko, albo nazbyt wolno, w każdym razie inaczej niż zwykle. Na trawnikach było pełno niedopałków.

Brzmiał gwar młodych, siedzących w chłodzie przy stolikach. Wokół szarych budynków owinięto wielobarwne szarfy. Inne odnowiono na parterze, tam gdzie były całodobowe spożywczaki, cukiernie, lombardy, punkty ksero i wyrobu pieczętek. Wkrótce pochłonęła ich sień i Staszek znalazł się w mroku.

Na podwórku stała Matka Boska z wężem i płomykiem u stóp. Doris znalazła właściwe drzwi i Staszek zaczął prosić, żeby tego nie robili. Wyobrażał sobie olbrzymiego Kratosza, jak przygięty wpół idzie korytarzem, ocierając grzbietem o sufit.

Otworzyła im kobieta o mysich włosach i powiedziała, że ojciec już tu nie mieszka. Wyniósł się, bo nie mógł tego znieść. Czego? Po prostu, tego. Ale jeśli chcą, mogą wejść do środka. Herbaty? Herbata będzie w porządku. Mysia miała zabandażowane palce i czerwone pręgi na przedramionach.

Szeroki korytarz oddzielał pokój od ślepej kuchenki. Kobieta przeprosiła za bałagan i poprosiła, by usiedli, gdzie tylko chcą. Na łóżku leżał brodaty mężczyzna w swetrze i sztruksach. Patrzył przed siebie. Nad głową miał półkę ze starymi kasetami, brakowało jednak magnetofonu.

– To mój brat – powiedziała mysia. Przyniosła herbatę, każdą w innej szklance. – A teraz powiedzcie, co znów zrobił mój ojciec?

Doris mówiła, mysia pocierała nos, brodę i szarpała bandaż na palcach. Staszek przebijał wzrokiem gęstniejącą szarość. Na podłodze stał ciężki telewizor. Obok łóżeczko ze szczebelkami, brakowało jednak dziecka. Doris skończyła, więc powiedział, że przecież nie jest winny i chciałby tę sprawę zakończyć w miarę uczciwie. Chciałby też, aby Kratosz to wiedział.

– Przynajmniej państwo są mili – powiedziała mysia. – Ludzie cały czas nas nachodzą. Albo piszą. Boję się zaglądać do skrzynki na listy. Czasem wygadują niestworzone rzeczy, ale często znów myślę sobie, że mają rację. Pretensje, pretensje. Przecież my nic nie mamy. Tylko opinię. „O, to córka Kratosza! Tego Kratosza? Tak, tego”. Chciałaby pani tak żyć? Myślałam, żeby się wyprowadzić. – Wskazała brata. – Ale on sobie nie poradzi. Nie jesteśmy sami na świecie, przecież pani to wie.

– Pani go kryje? – odezwał się Staszek.

– Mój ojciec krzywdzi ludzi, proszę pana. Zabiera im wszystko. Wyrzuca z domów. Jak skrzywdzi, to znika. Tak właśnie żyje.

Wszystko spada na nas. Nie chcę go widzieć. I nie chcę, żeby ludzie do nas przychodzili. Taki wstyd. Idźcie, proszę. Przepraszam za ojca.

Doris szarpnęła Staszka za rękaw. Nie chciał odejść. Powiedział, że musi dostać cokolwiek, aby szukać dalej.

– Jeśli nie znaleźliście go w Tezeuszu, to nie znajdziecie nigdzie indziej – odparła mysia. Doris zapytała, o co chodzi z tym Tezeuszem, a dziewczyna zaczęła się drapać po szyi i przedramieniu. Miała czarne łokcie. Jej dłonie mogłyby należeć do kogoś dużo starszego. Powiedziała, że już nie może, i zdarła opatrunek, odsłaniając krótkie paznokcie. Drapała się, wykonując długie ruchy.

– Myślałam, że już tam byliście. Większość zaczyna od niego i dopiero potem przychodzi do nas. To firma windykacyjna, ten Tezeusz. Tam pracuje mój ojciec.

Poprowadziła ich do wyjścia. W korytarzu kłębiły się czarne kudły, nie było jednak kotów. W zlewie leżała kopa naczyń, lodówka stała otwarta i pusta. Dużo kopert na stole i dużo kabli w gniazdkach, prowadzących donikąd. Przy drzwiach dobiegł ich głos mężczyzny. Brat mysiej śpiewał: „Chodzę, chodzę koło budynku pewnego poranku, chodzę, chodzę koło budynku pewnego poranku, idzie dziewczę figlarne, jakie oczy ma czarne, o jakież piękne są nasze dziewczęta...”^{*}.

Staszek popędził po schodach.

Doris spędziła dzień, szukając prawdy o Kratoszu. Miała czas, gdyż w punkcie ksero było pusto. Wściekli klienci Staszka dzwonili i dzwonili, a Doris zrzucała kolejne ścinki informacji do osobnego folderu, zastanawiając się, jak zdoła mu o tym opowiedzieć. W

końcu zrobiła to bardzo spokojnie. Staszek siedział w gabinecie i badał swoje ciało przez materiał koszuli.

Zacząła od tego, że Kratosz pracuje w windykacji od prawie dwudziestu lat, od kiedy brano pierwsze duże kredyty, brakowało rejestru długów, fortuny rosły, a oszczędności topniały. Był bardzo cierpliwy i zawsze dopinał swego.

– Jest jego zdjęcie na tle dyplomów, chcesz zobaczyć?

Pracował w jednej firmie i nigdy nie awansował. Mówił, że jego praca jest ważna i trzeba wielkiej siły, aby ją wykonywać. Poczucie dobra i siła charakteru muszą współdziałać w tej materii. Nigdy nie złamał prawa i wygrywał wszystkie procesy. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zabił się pierwszy dłużnik. W nowym wieku dwóch kolejnych, a całkiem niedawno, bo w zeszłym roku, jakiś człowiek otruł dwoje dzieci, żonę i siebie. Odratowali tylko jego. Nie wiadomo, co z nim się teraz działo. Doris opowiadała, a Staszek szarpał płat skóry zwisający z miękkiego brzucha.

29

Tego dnia Kratosz miał na sobie lniany garnitur. Wyłonił się z biura przy Srebrnej i skierował w stronę centrum. Poszli jego śladem.

Kratosz zdawał się cieszyć słońcem. Przystawał i rozprostowywał ramiona. Zamówił kawę w papierowym kubku. Jego telefon dzwonił, a on odrzucał każde połączenie. Uśmiechał się do przechodniów, którzy nie wiedzieli, co z tym zrobić. Na Złotej, gdzie odrutowana kamienica przesłaniała szklane domy pnące się pod niebo, odwrócił się i uśmiechnął, tym razem do Doris. Potem wszedł do Marcpolu i długo rozmawiał ze sprzedawczynią. Zapłacił gotówką. Intensywnie liczył pieniądze w portfelu.

Doris nie wiedziała, co zrobić, i w końcu nic nie zrobiła. Szli dalej za Kratoszem, który przystawał co chwilę, jakby na nich czekał. Przeciął Jana Pawła i wesoło pomaszerował w stronę centrum, głaszcząc psy i zagadując obcych, jakby nie byli obcymi. Wydawał się bardzo silny, mimo kruchej sylwetki. Tak dotarł do parku na tyłach Pałacu Kultury, gdzie usiadł na ławce, sztywno, jakby oczekiwał jakiejś nieprzyjemnej wiadomości. Patrzył na ptaki. Staszek powiedział, że mógłby go po prostu zabić, że wciąż ma dość siły. Zaszedłby od tyłu, uderzył w głowę, a potem dobił kopniakami. Tak właśnie by uczynił.

– Gadasz bzdury – stwierdziła Doris.

Powędrowali dalej. Kratosz dotarł na Chmielną, gdzie zamówił kolejną kawę. Starannie przeliczył pieniądze. Popijając, dotarł do Powiśla. Dystans pomiędzy nim a Staszkiem i Doris zwiększył się niemal na długość mostu. Oni byli na jednym końcu, on na drugim. Doris powiedziała, że Kratosz i tak zaczeka. Jednak nie – mężczyzna zanurzył się w krzakach. Zobaczyli go po chwili, jak usadawia się na przęsle. Patrzył na Wisłę albo na nich. Nie wiedzieli.

Siedział tak prawie do zmierzchu, zupełnie nieruchomo. Wstając, otrzepał spodnie. Na moście wiał zimny wiatr i Staszek chciał iść do domu. Kratosz najwidoczniej też. Zaprowadził ich najpierw do tramwaju, potem do autobusu. Staszek narzekał, na co mu przyszło. Za każdym razem Kratosz kupował osobny bilet i starannie obracał monety w palcach. Nastął zmrok i światła ślizgały się po ulicach.

Kratosz wysiadł obok biura Investbudu, ale nawet nie spojrzał w tamtym kierunku. Poszedł prosto do dziesięciopiętrowca po drugiej stronie ulicy, wypisał kod i wsunął wycieraczkę między

drzwi i framugę. Czekał na windę, ściskając w jednej dłoni zakupy, a w drugiej portfel.

Pojechał na górę i zatrzymał windę dłużej, niż powinien. Najpierw na dno szybu klatki schodowej poleciały monety. Za nimi, w wolnym wirze, opadały banknoty, których nie wydał tego dnia. Doris widziała to doskonale, lecz Staszek nawet nie chciał spojrzeć.

30

– Chcę państwu coś pokazać – rzekł Kratosz i wpuścił ich do środka. Na ścianach wisiały stare zegary i nic więcej. Lokal składał się z dwóch połączonych mieszkań. Były dwie łazienki, dwie kuchnie i dwa przedpokoje. Kratosz powiedział, że będzie to dla jego dzieci, bo przecież nie jest wieczny. Usiedli przy ciężkim stole. Kratosz pchnął teczkę przez blat, w kierunku Doris.

– Proszę spojrzeć – rzekł. – Kiedyś pracowałem z pana ojcem. Razem założyliśmy Investbud.

– Nie jestem moim ojcem. Nie ma pan prawa mi niczego odbierać.

– Wydawało mi się, że to pan mi coś odebrał. Na przykład lepsze mieszkanie dla mojej pracowitej córki. Widział pan, jak żyją? Jak ona ma sobie poradzić? Dziękuję bardzo za taką wolność na Pradze.

Staszek chciał coś odpowiedzieć. Doris położyła mu dłoń na kolanie i rzekła, że próbują się porozumieć, wychodzą mu naprzeciw. Inaczej inwestycja w Magdalence runie i wszyscy zostaną z niczym, tak ona, jak i Kratosz.

– Z panią mogę porozmawiać, ale niech pani przyjaciel milczy. – Doris skinęła głową, Kratosz kontynuował: – Ojciec tego pana był wspaniałym człowiekiem. Podziwiałem jego siłę. Byłem młody i chciałem się uczyć. Myślałem nawet, że robimy coś dobrego. Skąd.

Myśmy łowili ludzi. Sprzedawałem złoto głupców i widziałem rodziny, które musiały się wyprowadzić. Kredyt to klątwa, proszę pani, a klątwa dosięga wszystkich. Widziałem, jak miażdży ojca tego pana. I cóż z tego? Każdy z nas wybrał inaczej. On poszedł w to do końca i jeszcze przyuczył syna. Ja zrezygnowałem. Dalej, proszę, niech pani otworzy teczkę.

W środku były dziecięce rysunki. Bardzo dużo rysunków, zrobionych woskową kredką. Brzdące o wielkich głowach trzymały się za ręce, smok ział ogniem, słońce wpadało w jezioro, statki strzelały do siebie w kosmosie. Niektóre dzieci wpisały dedykację dla Kratosza, inne tylko własne imię. Ich dłonie musiał prowadzić ktoś dorosły.

– Przynajmniej sto maluchów ma wakacje dzięki mnie – wyjaśnił Kratosz. – Sam żyję bardzo skromnie. Kupuję ubrania, podręczniki, w zeszłym roku były telewizory, teraz, pomalutku, wyposażam salkę komputerową w bidulu w Radości. Na ile mogę. Uważam, że za mało jest dobra na świecie. Wszystko jest kwestią proporcji. Jedni mają za dużo, inni za mało, a nikt nie uważa, że ma w sam raz.

– To wspaniałe. Naprawdę. Od kiedy tak?

– Od ostatniej rozmowy z ojcem tego pana.

– Przecież to kupa pieniędzy. I pan sam, tak skromnie...

– Jestem samotnym mężczyzną, proszę pani. A samotny mężczyzna potrzebuje albo bardzo mało, albo bardzo dużo. Tu nie ma półśrodków.

– W takim razie pozwolę sobie na szczerość. Jak pan się domyśla, trochę pisze się o panu w sieci. Nie zawsze dobrze. – Uniosła pierwszy z brzegu rysunek. – Można by to pokazać, powiedzieć ludziom i o panu, i o tych dzieciach. Niechże pan o tym

pomyśli, choć skromny z pana człowiek. Można by zebrać więcej pieniędzy, włączyliby się inni, my na pewno także, gdy tylko staniemy na nogi. Przecież ten obrazek, rysunek... Mnie słów brakuje. Wzruszające.

– Ze mną nie jest tak łatwo, proszę pani.

– Pomyślałam sobie teraz, że kiedy tylko skończymy z Magdalenką, moglibyśmy przeznaczyć, dajmy na to, dwa mieszkania dla tych dzieci. Jak dorosną. Pamiętam, jak ja miałam trudno. Pierwsze lata w dorosłości, koszmar jakiś. Potem poznałam Staszka i podał mi rękę. Bałam się mu powiedzieć, wie pan? Dorosła idiotka. Jak miałam powiedzieć, że nikt mnie nie chciał przez całe moje życie, tylko on jeden? No, ale ja jestem nieważna, ważne jest tylko to, o czym tutaj rozmawiamy.

– Pięknie pani mówi, naprawdę. Ale to tylko słowa, każdy ma ich pełne kieszenie.

– Ja panu daję słowa, pan mnie da trochę czasu. To chyba uczciwe.

– Więc nie wiedziała pani, jak temu panu opowiedzieć o swoim nieszczęściu. A mi pani mówi ot, tak? Niezbyt mi się to podoba.

– Nikt wcześniej mnie do tego nie zmusił, proszę pana.

Doris rozmasowała powieki i powiedziała, że i tak miała wielkie szczęście, bo dobrze wspomina dom dziecka. Nauczyła się siły i już wie, co to radość, jak ją odnaleźć w codzienności. Inni być może mają z tym trudności. Opowiadała o tym, jak niektóre, starsze dziewczyny ją dręczyły i jak znalazła opiekę u innych. Potem sama próbowała oddać to, co dobre, a zło zatrzymać dla siebie. Nie zawsze tak się da, bo w takiej dziewczynie jak ona drzemie wiele złości. Bidul, dodała, uczy rozprasowywania złości, złość się

łuszczy jak wężowa skóra. Staszek gryzł wargi i męczył się ze swoim milczeniem.

– I proszę, poradziła sobie pani jakoś – głos Kratosza był nieodgadniony. – Jestem ciekaw, jak pani będzie sobie radzić dalej. Sprawa jest w pani rękach, a nie tego pana. Oboje doskonale o tym wiemy.

Wstał, wskazując drogę ku wyjściu. Powiedział:

– Jeśli wolno mi powiedzieć, niech pani ma się na baczości. Widziałem, jak ojciec tego pana postępował z kobietami.

– Wiem, co pan robi. Pan wchodziś w ryzykowne inwestycje, a potem dobijasz pan inwestorów. Stąd kasa na sierotki. Znam takich. Ale wygrał pan. Dam panu to mieszkanie – odparł Staszek. – I te inne też, wszystko ustalimy, bośmy ustalili, ale nie włócz się pan za mną i nie strasz, bo się nie boję. Ja znikam, pan znika. Z daleka od siebie.

Doris wypchnęła go na korytarz. W tych dniach często był wypychany. Kratosz rzekł spokojnie:

– Niepotrzebnie pani się trudziła. Mówiłem, żeby ten pan milczał.

31

Warszawa przestała rosnać, jak młode zwierzę, któremu połamano kości. Wszystkie siły zwrócono do środka, żeby zasklepić rany po niespodziewanym upadku. Robotnicy opuścili budowy, robiąc miejsce dla duchów. Upiory wyniosły się ze starych domów na Bielanych, wędrowały smutno po rusztowaniach zakrytych płachtami folii, kładły się w fundamentach, jakby wierzyły, że to groby. Żywi, galopujący przez centrum o poranku, zaglądali do punktu ksero przy Marszałkowskiej, płacili za skopiowanie stu

stron, których nie mieli, brali kawę w papierowym kubku i ruszali dalej.

Pod mostem, gdzie czasem siadywał Kratosz, gromadzili się wyznawcy różnych bogów, ubrani w stare skórzane kurtki i spodnie przylegające do ciała. Ich starzejące się kobiety odsłaniały ramiona. Palili różne rzeczy i żuli ziarna kakaowca. Oceniali się nawzajem i wyczekiwali wielkiej zmiany, na którą nie byli gotowi.

Palacze zgromadzeni przed biurowcami na Jutrzenki rozmawiali o tym, kiedy w Polsce ostatni raz było dobrze, a także o tym, co kto ostatnio sobie kupił, gdzie był, co mu się przydarzyło. Opowiadali, że jakaś wariatka robi kawę darmo, jeśli skopiujesz parę stron. Właściwie wcale nie musisz kopiować. Trzeba sobie radzić, mówiono. Potem część wędrowała do bufetu, reszta rozpakowywała kanapki i wcinała je po kątach, tam, gdzie nikt nie widział.

Na siłowni, gdzie kiedyś ćwiczył Staszek, zrobiło się pustawo. Dziewczyna z recepcji pasowała do tego miejsca, gdyż wszystko miała za duże – nos, usta i piersi; zaczynała rozumieć, że sala również zrobiła się za duża na paru tylko ćwiczących. Też dużych. Mali przepadli. Podobne trudności przeżywały siłownie przy Waryńskiego, alei Stanów Zjednoczonych, na Mokotowie i Starych Bielanych. Ludzie przenosili się do dużych klubów sieciowych, gdzie nie było dużych ćwiczących. Staszek z Pyroszkiem nie przychodzili wcale.

Plac Zbawiciela, jako jedno z nielicznych miejsc w Warszawie rósł, lecz ostrożnie, jakby czegoś się bał. Otworzono winiarnię i bar. W Karmie wciąż przesiadywali aktorzy i dziennikarze. Wielu stawało na zewnątrz, żeby porozmawiać. Przemykali na drugą stronę, pod arkadki. Dla żartu dawali Doris banknot do

stukrotnego skserowania. Dwóch nieszczęśliwych artystów, jeden w garniturze, drugi w bluzie z kapturem, przesiedzało cały dzień w barze Corso, popijając i narzekając na świat. Co parę godzin wybierali się do ksero, żeby poczuć siłę i trochę pobajerować Doris.

Ksero pojawiło się na forach. Ludzie polecali sobie to miejsce. Informacje o punkcie i kawie pojawiły się na portalach. Najpierw krótkie, potem długie. Nieoczekiwanie dla Doris, ku nieukrywanej złości Staszka, pod arkadki zaczęli zachodzić dziennikarze i blogerzy kulinarni. Pytali, jak wpadła na ten pomysł i jak robi taką kawę? Doris opowiadała i tłumaczyła, co można było wytłumaczyć. Jej uśmiechnięte zdjęcie pojawiło się w lokalnych dodatkach gazet.

Nie wszyscy byli zadowoleni z jej obecności. Właściciele lokalnych knajp zauważyli, że przed ksero gromadzi się tłumek i chłopce kawę za darmo lub półdarmo. Okazało się, że na półdarmo też muszą być paragony. Wkrótce do Doris przyszedł ponury inspektor w towarzystwie starego znajomego. Powiedział, że tak dalej być nie może, lecz stary znajomy wziął go na bok i wytłumaczył, że będzie lepiej. Odeszli i nigdy nie wrócili. Tym starym znajomym był Kratosz.

Remont Dworca Centralnego gwałtownie zwolnił i ludzie błądzili w częściowo zablokowanych podziemiach, przechodzili ulice na rympał, złościąc kierowców. Stadion Narodowy zyskał czapę otwartą na deszcz. Przy drogach wznoszono ekrany pełne ptaków. W tych korytarzach auta pędziły i zderzały się ze sobą, a wiatr wdzierał się w szkielec budowy w Magdalence, przynosząc wodę i ziarna traw.

Staszek przyszedł do ksero pod wieczór i nie mógł dostać się do środka. Machał do Doris za plecami innych, ale ona nie zdołała go dostrzec. Stał więc, zagryzał wargi. Począł do ósmej, aż Doris została sama tuż przed zamknięciem, i powiedział, że ma tego wszystkiego dosyć. Nie będzie czekał jak zwykły klient na wejście do środka. Doris odparła, że nie jest małym chłopcem i gdy działała jego firma, ludzie też musieli czekać, czasem niepotrzebnie.

– Dobrze, że jestem tutaj – dodała. – Inaczej poszlibyśmy na dno we dwoje.

Staszek odparł, że zostawiła go w najtrudniejszym momencie i teraz musi sam borykać się z kłopotami. Kto wie, może jeśli Doris zostałaaby w firmie, sprawy potoczyłyby się lepiej? Dziewczyna zatrzęsnęła klapę kserografu i zamknęła drzwi.

– A kto chodził z tobą za Kratoszem?

– Gównu z tego wyszło.

– Jesteś niewdzięcznym sukinsynem.

Staszek przypominał jej o mieszkaniu. Cisnęła kluczami, ale się uchylił. Przez drzwi zaglądali spóźnieni klienci i pytali na migi, czy jeszcze jest otwarte.

33

Żadna taksówka nie chciała przyjechać po Staszka. Ludzie zaprowadzili go do tramwaju, powiedzieli potem, gdzie ma wysiąść. Błądził trochę między blokami. Widział jasne i ciemne kształty, odrobinę mętnego koloru. Przechodnie byli jak duchy. Powiedział sobie, że jest bardzo zmęczony. Wypocznie, to przejdzie. Znalazł właściwą klatkę. Przywołał windę.

Matka bez słowa wpuściła go do środka. Podała stół, żeby mógł usiąść i zdjąć buty. Przysiadł potem w pokoju. Na stole

pojawił się obiad, jakby zawsze na niego czekał.

– Dlaczego przyszedłeś bez Doris?

– Nie udało się nam.

– Jesteś taki sam jak ojciec. Nie złość się. Jesteś taki jak on, na dobre i złe. Ojciec był w jakiś sposób wielkim człowiekiem. Nie umiałam do niego dotrzeć i myślałam, że mnie nie kocha. O takich ludzi jak ty albo on nie sposób zabiegać. Najchętniej położyłabym cię do łóżka i czekała, aż wydobrzejesz. A twój ojciec właśnie tak mówił po ludziach. „Nie udało się nam”.

– Mogę jeszcze wszystko zrobić lepiej. Tylko muszę się ogarnąć. Za wiele rzeczy poleciało na pysk, o tak, w jednej chwili.

– Nigdy nie powinniśmy wyjeżdżać z Rykusmyku. Teraz to wiem, tylko kto by pomyślał. Najpierw Warszawa zniszczyła mnie i twojego tatę. Potem ojciec ściągnął tu ciebie i wiedziałam, że to się tak skończy. Że przyjdiesz pewnego dnia, tak jak teraz.

– Mogłaś zostać.

– Ale ty powiedziałaś, że nigdy nie wrócisz! Nawet na święta, na nic, nigdy w życiu. Myślałam, że żartujesz. Ale nie. Co miałam zrobić? Też chciałam coś uratować. Wydawało mi się, że firma runie i to ja podźwignę twojego tatę. Nie przypuszczałam, że po prostu umrze, a wszystko spadnie na ciebie. Powiedz mi, myślałeś, żeby wrócić do Rykusmyku?

– Bo ja wiem? Ciekawe, jak tam teraz jest.

– Nic się nie zmieniło.

– Co ja mam robić, mamo?

– Jesteś taki jak ojciec. On też był tylko chłopakiem z Rykusmyku. Głowę nabił sobie marzeniami. Trafił w dobry czas, ale nie zaszedłby tak daleko jak ty. Ojciec nie przeżyłby żadnego upadku i czasem myślę, że umarł, żeby nie widzieć tego, co się

teraz dzieje. Ja żyję, bo lubię się zadręczać. Ojciec nie ocaliłby Investbudu i ty też sobie nie poradzisz. Przykro mi, taka jest prawda. Ale możesz zrobić coś innego. Odzyskaj Doris.

Staszek jadł przez cały czas. Odpowiedział, że niewiele mu z tego przyjdzie, bo Doris teraz się spełnia, parząc kawę za kawą, i on, Staszek, jest jej już zupełnie niepotrzebny. Rzekł, że nie ma pieniędzy.

– Jest wielu bogatych facetów, a ona wybrała ciebie. I znów przypomina mi się tato. Zastanawiałam się, czemu wytrzymałam tutaj to wszystko. Czasem myślę, że gdyby zadzwonił, pobiegłabym do niego. Są kobiety, które potrzebują upokorzenia – mówiła tak, jakby te słowa ułożyła dawno temu. – Wyjechaliśmy, żeby coś mieć, a nie mamy niczego. Wszystko straciliśmy. Mieliśmy swoje miejsce i swój dom, wcale nie wspaniały. Wiem dobrze, czym jest Rykusmyku. Pamiętam niewypały w budynkach. I ludzką zawiść też pamiętam. W Rykusmyku okna były zawsze odsłonięte. Wszyscy wiedzieli o wszystkich wszystkim. Ale było to też nasze. Teraz tego nie ma. To, co było ważne, zniknęło za czarną mgłą.

Staszek mrużył oczy. Chciał powiedzieć, że też to tak widzi, ale to była nieprawda. Widział jedynie ciemną ośnowę i cień matki pośrodku.

– Ojciec tęsknił za tobą i żałował – rzekł nagle.

– Ale do mnie nie przyszedł. Dlatego ty powinienes pójść do Doris. Czasem myślę, że żyłby dalej, gdyby to zrobił.

34

Mecenas Pyroszek powiedział, że nie ta, to inna i zaproponował trochę kokainy na rozluźnienie serca. Staszek odmówił. Lubił się napić, ale w kokainie czaiło się coś niepokojącego, coś, czego nie potrafiłby kontrolować.

Długo przygotowywał się do wyjścia. Wszystkie koszule były dla niego za duże i za szare. Zdecydował się na skórzaną kurtkę i T-shirt Tommy Hilfinger. Ścisnął paskiem zbyt luźne spodnie. Kupił sobie dzinsy Abercrombie & Fitch, stare natychmiast wyrzucił.

Zaczęli w pawilonach, w knajpcie, gdzie siedziało się niemal na podłodze, ze ścian spoglądały złotawe bóstwa, a barman miał kaszkiet i czarne obręcze w uszach. Ludzie nadciągali. Nikt nie przejmował się zakazem palenia. Mecenasek Pyroszek tryskał humorem i dobrą radą. Jego zdaniem łóżka nie stawia się w biurze i spanie z sekretarką to zły pomysł. Powiedział, że ludzie muszą być sobie równi, zwłaszcza w związku. Bogaci powinni pieprzyć się z bogatymi, a biedni z biednymi w szopie obłożonej gnojem. Staszek przyznał mu rację. Teraz on był na dole, a Doris na górze i chciał to zmienić.

Pili szybko, na zmianę, bourbona i shoty. Pyroszek podszedł do baru, zagadał dwie dziewczyny, z których jedna była cieniem drugiej, tej o czerwonych włosach i z wielkim, złotym sercem zawieszonym na szyi. Po chwili kiwnął na Staszka. Ten podszedł, a trójka przy barze zaczęła śpiewać mu sto lat. Podjął grę. Pyroszek powiedział, że teraz wypiją zdrowie jego przyjaciela, więc wypili.

Dziewczyna ze złotym sercem pytała Staszka, czym się zajmuje i jak mu się wiedzie, przedstawił przeszłość jako teraźniejszość. Mówił nawet, jak zarobić na kryzysie. Byli coraz bliżej siebie, Staszek i kryzys, Staszek i dziewczyna ze złotym sercem. Pytał trochę o nią. Jeździła po świecie i akurat wpadła do Warszawy. Staszek powiedział, że zna takie miejsca, co na jeździe się znają. Wszyscy się śmiali, ale dziewczyna ze złotym sercem najmniej. Staszek zauważył, że zrobiło się ciepło i duszno, więc mogą pójść gdzie indziej, na przykład do niego. Dodał, że niczego złego nie

planuje i dziewczyna ze złotym sercem będzie u niego bezpieczna, chyba że poszuka niebezpieczeństwa. Pyroszek wszedł mu w słowo. Rozmawiali jeszcze chwilę i dziewczyny wyszły.

– Czasem trudno takie wyczuć – rzekł mecenas i zaproponował, żeby przenieśli się do komunistów.

W Nowym Wspaniałym Świecie siedli na zewnątrz, otoczeni przez młode głowy przykryte kapturami. Za szybą widniał czarny bar. W półmroku Staszek musiał mrużyć oczy, żeby rozróżnić kobietę od mężczyzny. Tym razem dziewczyny były trzy, z czego jedna, z perłowym kolczykiem w uchu, podobała się Staszekowi najbardziej. Lubił dziewczyny z tatuażami na przedramionach. Ten był czarny jak życie. Perłowa dziewczyna chętnie z nim rozmawiała, zwłaszcza gdy powiedział o firmie i o tym, jaki dobry jest świat. Mecenas Pyroszek bajerował swoją. Rozluźniony Staszek opowiadał o wszystkim, tylko nie o kłopotach. Północ przywitali przytuleni.

Zapytał, czego się napiją, i poszedł do baru. Jakoś przebił się między krzesłami. Zamówił dwa podwójne jacki na lodzie i dwie margarity. Sam wziął tackę. Stawiał drobne kroki. Przy drzwiach się zachwiał, za progiem potknął, lecz runął dopiero na własny stolik, oblewając perłową dziewczynę, jej koleżankę i mecenasa Pyroszka.

– Trudno – rzekł Pyroszek, kiedy już się ogarnęli. – Nie możesz chodzić, będziesz tańczył.

Staszek nie chciał zejść w podziemia, więc został do tego zmuszony. Usiadł na skraju światła, wielobarwnego i roztańczonego. Pił i wyobrażał sobie inne życie. Ludzie ocierali się o siebie, zderzali biodrami. W końcu mecenas Pyroszek wyciągnął Staszka na parkiet. Natychmiast zniknął. Staszek został sam w

tłumie i nogi same go poniosły. Wyrzucał z siebie coś, czego nie potrafił nazwać. Mieszał się zapach potu i perfum. Mokra dziewczęta wyłaniały się z mroku w stroboskopową jasność i zapadały w mrok z powrotem. Ich usta były pełne, a w każdym razie kurewskie. Staszek zwinął się na podłodze. Nad głowami tłumu wypatrzył parę czerwonych oczu, spowitych w kłęby dymu kręcące się jak rogi. Inni tańczący próbowali podnieść Staszka, ale nie pozwolili. Parkiet opuścił na czworakach. Próżno nawoływał Pyroszka. Porwał kurtkę i wyszedł, trzymając się poręczy. Nie dowiedział się – bo nikt tego nigdy nie wie – czy to byk na niego patrzył, czy światła z gondoli DJ-a.

Nagrał się Pyroszkowi na komórkę. Powiedział, że pierdoli jego i taką przyjaźń. Nikogo nie zostawia się w potrzebie. Poszedł przez Warszawę. Większość knajp już zamknięto. Staszek skierował się na Plac Trzech Krzyży, gdzie balowano do świtu. Przy Jerozolimskich natknął się na samotną dziewczynę o jasnych włosach. Zapytała, czy wszystko w porządku. Zaczęli rozmawiać i na Plac Trzech Krzyży poszli już razem. Wydało mu się, że ludzie w Szpulce patrzą na niego dziwnie. Musiał być bardzo pijany.

Zamówił jej drinka, sobie kolejnego jacka. Po chwili trzymali się za ręce. Jasnowłosa pozwoliła mu mówić, a on się uwolnił. Opowiedział o tym, jak pracował dla ojca i nigdy nie usłyszał dobrego słowa na swój temat. Nawet gdy ojciec miał umrzeć. Żalił się na ludzi, którzy go niszczą, choć sam zawsze próbował być w porządku. Szkoda, że nie częściej, a przede wszystkim szkoda, że w trudnych chwilach zapominamy o rzeczach ulotnych, które sprawiają radość. Jak dobra muzyka, wieczór z przyjaciółmi, jak taka noc, przy stoliku z nieznajomą. Mówił.

Przechylił się przez stolik, żeby ją pocałować. Jasnowłosa uczyniła to samo. Jej twarz przy jego twarzy. Stracił oddech. To była stara kurwa ze strzępkami kudłów okalającymi obwisłe policzki. Usta miała wściekle czerwone, długa noc rozmazała błękit nad spojrzeniem. Wszyscy się śmiali, w jego głowie lub naprawdę. Dopiero przejrzał, a to dobre! Wstał, cisnął pięćdziesiąt złotych na stół i nie oglądał się za siebie.

Lało. Staszek szedł przed siebie, dzwonił na kolejne numery i wszędzie słyszał, że nie mają taksówek. Mówił, że zapłaci podwójnie, potrójnie. Nic z tego. Spróbował z nielegalnymi kierowcami, jeżdżącymi w nieoznakowanych samochodach za pół ceny. Nikt nie chciał przyjechać. Usiadł na schodach. Pozwolił sobie moknąć, aż zmarzł na kość. Poszedł na pierwszy tramwaj. Zaraz zawrócił. Schował się w bramie i wybrał numer Doris.

35

Zalegała w nim tylko jedna łąza. Rosła jak kamień żółciowy.

Bardzo ciemno.

Staszek postanowił, że sam się spakuje. Zniesie swoje rzeczy do zamówionej furgonetki. Zacznie od nowa.

Ale najpierw muzyka. Wszystko, co człowiek stworzył, ma swoją głębię. Dla filmów to horyzont, dla książek słowa. Muzyka jest niezmierzona jak kosmos: za granicą percepcji gwiazdy rozpalają się i gasną. Są tam też inne rzeczy, bardzo tajemnicze i pozbawione imion, większe niż galaktyki. Muzyka zwiastuje ich istnienie, nawet w wypadku debiutanckiego krążka grupy Cactus. Staszek po omacku szukał drogi do kącika muzycznego, trafił do kuchni. Obmył twarz i ruszył dalej.

Włączył kolumny, wzmacniacz i przedwzmacniacz, gramofon. Wodził palcem po kopertach na płyty. Wybrał. Długo spoglądał w

czarną okładkę, usiłując dostrzec, co na niej jest. Judas Priest. Dobry wybór na pakowanie się, dziś nikt tak już nie gra, pomyślał, ludzie są za głupi.

Wraz z pierwszym dźwiękiem wyjął następny winyl z półki, zabezpieczył folią bąbelkową i włożył do pudła. Robota szła szybko. W gramofonie, zamiast Judas Priest, wirowała płyta Davida Bowiego, a Staszek udawał, że jest inaczej, że nie pomylił okładek, że jeszcze coś widzi.

36

– Pójdziemy do innego lekarza. Jeśli będzie trzeba, pojedziemy za granicę. Najwyżej sprzedam mieszkanie. Mogę, prawda?

– Możesz robić, co tylko chcesz.

Tego dnia Staszek nie wstał z łóżka. Macał własne ciało, sprawdzając, co zostało utracone. Gęsta ciemność wylewała się z niego jak z zatrutej rany. Na sflaczałym przedramieniu poczuł dłoń Doris.

– Wiesz co, Stasiu? Ja wszystko rozumiem, ale przestałbyś uważać się nad sobą.

– To minie. Moja choroba. Minie. Wiem, co robię.

– Co ci minie, głuptasku?

– Muszę się uporać z firmą. Wtedy zacznę coś nowego. Popatrz! Nawet lekarz twierdzi, że nic mi nie jest. Oczy reagują na światło! Problem leży w głowie.

– Dlatego poszukamy innego lekarza.

Położyła się przy nim, zapadła chwila ciszy.

– Jak ja wyglądam?

– Włosy ci urosły, głuptasie. A wyglądasz dobrze. Wolę cię chudsze.

Dotknął własnego uda. Płat skóry zwisał swobodnie. Przyciągnął Doris do siebie.

– Myślisz, że mógłbym opatentować dietę? Chudnij ze Staszkiem? Musisz stracić wszystko, ze wzrokiem na czele, a kilogramy polecą jak Wyścig Pokoju. – Ujął jej twarz w obie dłonie.
– Już rozumiem, czemu to się dzieje. Już pamiętam, co kiedyś zrobiłem.

37

Staszek kilkakrotnie wybierał numer Pyroszka. Odpowiadała automatyczna sekretarka. Odczekał godzinę i zadzwonił z telefonu Doris. Przyjaciel rozłączył się, gdy tylko Staszek powiedział pierwsze słowo skruszonym głosem.

– Cóż, widocznie taki znalazł sobie sposób na zakończenie przyjaźni – rzekł i zaczął wnosić ryzy papieru. Robił małe kroki i z trudem omijał przeszkody. Nie pozwolił sobie pomóc. Przeczółgał się pod ladą. Ludzie zamawiali kawę ponad jego plecami.

Zaproponował Doris, żeby odpoczęła. Mogłaby wyjść na parę godzin, a on popilnuje interesu. Doris odpowiedziała, że to niestety niemożliwe.

Pojechał do supermarketu. Z tramwaju wysiadł za ludźmi i szedł, dotykając samochodów. Zalało go światło. Odnalazł półkę z kawą i prosił kogoś, aby pomógł mu wybrać. Podobało mu się, że ktoś zwraca na niego uwagę. Kupił też butelkę wina i jedzenie na wieczór. Zapłacił kartą Doris. Przed marketem przepakował wszystko do plecaka i pojechał z powrotem na Marszałkowską.

Pod wieczór, kiedy klientów było mniej, zabrał się do czyszczenia. Wziął płyn i rolkę ręczników papierowych. Szorował ladę miejsce w miejsce, nie zapominając o rogach i wybałuszając przy tym oczy. Policzkiem niemal dotykał blatu. Doris poprosiła,

żeby przestał. Nie posłuchał. Powiedział, że to jej ksero, ale nawet ona nie udźwignie tego wszystkiego. Ton jego głosu uciszył Doris i skłonił do uśmiechu. Gdy skończył, umył podłogę i wyczyścił ekspres do kawy. Mokrym palcem szorował miejsca, do których nie mógł dotrzeć szmatką.

Zamknęli wspólnie i poszli razem w noc, a Doris prowadziła go przez Warszawę ostrożnie i z miłością, tak, by nie stała mu się krzywda.

38

Musiała poprowadzić go ku sobie. Podsunęła piersi do całowania, a Staszek zamknął usta na jednej z nich i czuł, jak sutek twardnieje mu pod językiem. Pieściła jego ciało tak, by zapomniał o tym, jak się zmienilo, a gdy był gotowy, sama podsunęła się pod niego, chwytając jednocześnie za jego chudy kark. Pozwoliła mu skończyć tak, jak lubił. Potem żadne z nich nie mogło zasnąć. Leżeli obok siebie, jedno w półmroku, drugie w ciemności.

– Nie myśl o jutrze – powiedziała.

– Generalnie myślę o tym, co będzie.

– To nie myśl. Gdybym ja myślała, wiesz, co by z nami było? Gdybym tak pomyślała rozsądnie?

– Zawsze byłaś rozsądna.

– Nie, nigdy.

– Mówisz o mnie?

– Tak.

– A co we mnie jest nierozsądnego?

– Nie wiem. Ty jesteś rozsądny. Ale bycie z tobą nie było rozsądne. Czasem tak mi się wydaje. Cieszę się, że przetrwałam i że jesteśmy tutaj. Pomimo tego.

Głaskała jego zamknięte oczy. Staszek spróbował obrócić w żart to, co usłyszał.

– Co złego jest w byciu rozsądnym?

– Nic. Przyszło ci kiedyś do głowy, że oboje szukaliśmy upokorzeń? Chcieliśmy się źle czuć. Ja chciałam.

– Nie myślałem o tym. Nie w ten sposób. To znaczy rozumiem, że nie każdy musi być ze mną szczęśliwy. Zobacz tylko, zostałem sam. Tylko ty.

– Musiałeś wszystko wszystkim udowadniać.

– Nie. Po prostu robiłem swoje.

– A ja sobie myślę, że kiedyś, do niedawna, zwariowałabym bez dawnego ciebie.

– Nie wiedziałem, że był dawny ja.

– Ja cię proszę. Jesteś potulny i czasem mnie to złości. Ale wtedy, cóż, wtedy, gdybym spotkała kogoś, kto akceptuje mnie tak po prostu, kto nie złości się i nie wymaga, kto się nie wścieka, to bałabym się, i tyle. Uważałabym, że jest w tym jakieś kłamstwo. Potem to się zmieniło. Ja się zmieniłam.

– Skąd miałem wiedzieć, że to ksero wypali?

– Ksero było najmniejszą, najdrobniejszą rzeczą, która przyszła mi do głowy. Chciałam, żeby nie wypaliło. Bo gdybym zawaliła nawet taki drobiazg, to już wiedziałabym, gdzie jest moje miejsce. A teraz znowu nie wiem. Ale to dobrze.

– Ja wiem.

– Pójdiesz do lekarza. Pójdziemy do wszystkich lekarzy, jacy są. A teraz śpij.

Przymknął powieki, Doris obróciła się na bok. Wkrótce jej oddech się uspokoił. Staszek został z dłonią uwieczoną w jej uścisku. Był w pełni rozbudzony. Mógłby teraz wybiec na

Warszawę i wrzeszczeć. Miał na to ochotę. Leżał jednak spokojnie, a chmury gęstniały nad nim powoli i uparcie, jak zapowiedź wszystkiego, co nadchodzi i jest nieubłagane.

39

Wsiadł do taksówki i zamówił kurs do budynku sądu. Przyłożył policzek do ciepłej szyby. Samochodem rzucało.

– Pan mieszkał kiedyś przy Międzynarodowej, prawda? Wozilem pana na Gocław. Niech mi pan pozwoli powiedzieć, że bardzo się pan zmienił – rzekł taksówkarz. Staszek nie odpowiedział. Po omacku szukał klamki, żeby wysiąść w biegu.

– Mój brat jest ociemniały od urodzenia. Myśli pan, że tak jest lepiej? Powiedział mi, że Bóg każdemu daje krzyż na jego siły. Bóg jest surowy, ale sprawiedliwy. Jezus upadał trzy razy, a jednak doszedł na Górę Czaszki. Gdyby dostał cięższy krzyż, mielibyśmy gówna, a nie Zbawienie.

Staszek czekał, aż staną na światłach. Wówczas wyskoczy.

– Byłoby bardzo niedobrze, gdyby Bóg nas nie doświadczał. Ludzie są niemądrzy, gdy na niego narzekają w tej kwestii. Nie wiedzą, że gdyby on nas nie doświadczał, doświadczalibyśmy siebie nawzajem. Ja pana. Pan mnie. Nie mamy jednak Boskiego umiaru. Człowiek by nakładał na drugiego krzyż nazbyt ciężki. Jakby się to skończyło? Otóż, koniec końców, każdy doświadczałby samego siebie. A to, co człowiek potrafi zrobić samemu sobie, przechodzi ludzkie pojęcie. Ludzkie pojęcie! Ale mi się powiedziało. No i proszę, jesteśmy.

Samochód wtoczył się na chodnik. Staszek wydobył mokre dłonie spod ud. Dał pieniądze, wysiadł. Z głębokości dobiegało wołanie taksówkarza, czy wszystko w porządku, czy coś jeszcze może zrobić.

Jego głos był głosem Kratosza.

40

Mecenas Pyroszek powiedział Staszкови, że na sali sądowej, prócz nich, siedzi Józek Cysta, paru frajerów i syndyk. Zachowywał się, jakby nie było żadnej kłótni. Opisał ich miny i dodał, że sprawę mają w kieszeni. Staszek tkwił w ciemności. Weszła sędzia.

– Rety, ale ma gardziel – wyrwało się Pyroszkowi. Staszek mrużył oczy, próbując dostrzec choć zarys sylwetki. Słyszał szelest papierków. Mecenas zapytał, czy jego klient może siedzieć. Sędzia wyraziła zgodę głosem Kratosza i otworzyła rozprawę.

Poinformowała o liczbie wniosków upadłościowych wynoszącej jeden. Staszek załkał, że nie może tego stracić. Z tylnego rzędu dobiegło nikotynowe westchnięcie Józefa Cysty.

Syndyk odebrał kopertę i zaczął czytać. Wartość rynkowa przedsiębiorstwa oszacowanego w podejściu majątkowym metodą skorygowanych aktywów netto wynosiła pięć milionów trzysta czterdzieści trzy tysiące dwieście dziewięćdziesiąt pięć złotych. Wymienił podstawy prawne wyceny i określił zakres działalności. Chrząknął, połknął hallsa. Głosem Kratosza zaczął wyliczać: produkcja wyrobów z tworzyw sztucznych dla budownictwa. Produkcja ceramiki budowlanej. I tak dalej, i tak dalej. Staszek błagał Pyroszka, żeby to jakoś przerwał. Chciał wiedzieć, czemu go to spotkało. Syndyk-Kratosz przeszedł do konkretów.

– ... lokal użytkowy przy ulicy Darłowskiej w Warszawie. Nieruchomość przy ulicy Kochanowskiego siedemnaście w Krakowie...

Staszek wstał i ryknął:

– Dosyć! Ten człowiek jest stroną w sporze! Kupił u mnie mieszkanie! I został syndykiem?! A wysoki sąd co z tego ma, a! a!

Na próżno Pyroszek go powstrzymywał, a Kratosz-sędzia przywoływała do porządku. Staszek rozkazał, żeby wszyscy mu się pokazali.

– Wszystko wiem! Wszystko! Dbałem o klientów! Moi pracownicy dobrze zarabiali! Chciałem budować domy. A wy czekaliście, aż powinie mi się noga! Łaziłeś za mną, skurwysynu. Dwadzieścia telefonów dzień w dzień. Pokażcie się albo pozabijam was wszystkich! Czemu zabraliście mi oczy?

Zapadłą ciszę przerwał dopiero Cysta-Kratosz.

– Oj, kolego, coś żeście przesadzili z gorzałką...

Ale Staszek już tego nie słyszał. Biegł korytarzem, a ciemność cwałowała przed nim i rozpychała mu usta.

41

Staszek pojechał do Magdalenki autobusem. W deszczu nie mógł znaleźć budowy, która kiedyś należała do niego, aż zorientował się, że plac ogrodzono nowym, żółtym płotem, obok którego stała budka strażnicza. Coś to Staszкови przypominało.

Obszedł płot naokoło, próżno szukając wejścia. Zastukał do budki, a gdy strażnik mu otworzył, Staszek dostrzegł tylko zarys barczystej sylwetki w wojskowej kurtce. Powiedział, że jest byłym właścicielem budowy, majątek zlicytowano, a on chce wejść do środka, tylko na chwilę, coś zostawił, nawet jeśli tylko sentymenty. Strażnik odmówił. Jego głos dochodził jak zza grubej ściany. Staszek na próżno wydobył stuzłotówkę. Odszedł dopiero, gdy usłyszał o policji. Mamrotał coś o skurwysynach. Groził, że wszystkich zabije.

Dotarł na ulicę i zawrócił w kierunku budowy, idąc tak, by nie zauważył go strażnik. Za zakrętem, tam, gdzie stały domy świeżo oddane lokatorom, przywarł do ogrodzenia, a potem osunął się na mokrą trawę. Błagał i prosił, lecz ziemia milczała uparcie. Nie należała już do niego. Ktokolwiek ją przejął, zatrzymał jej ciepło dla siebie.

42

Szedł na słuch. Przechodnie rozstępowali się przed nim, podobnie jak mrok – niekiedy ciemna osnowa rozsuwała się, odsłaniając zamglony chodnik, duchy i migające światła.

– Jak na Marszałkowską? – zapytał kogoś na przejściu. Kratosz odrzekł:

– Niechże pan sobie taksówkę weźmie. Może zadzwonić?

Popędził przez ulicę. Samochody hamowały z piskiem, śmiały się klaksony.

43

Kratoszowie brzęczeli w dzwoneczkach telefonów komórkowych i rozmawiali przy kawiarnianych stolikach na placu Zbawiciela. Wyznawali sobie miłość, umawiali się na bzykanko, a Staszek miotał kuflami w ich stronę. Następnie umykał, odprowadzany przez Kratosz-groźby i Kratosz-przekleństwa.

Schody przed punktem ksero przywitały go chłodem. Usiadł na stopniu. Zastanawiał się, co powinien powiedzieć Doris. Nie dał ciała w sądzie i cieszył się z tego. Powiedział im. Jednak bał się przekroczyć próg. Ogarnął go lęk, że gdy tylko otworzy usta, zabrzmi głos Kratosza. Stracił dom, oczy i mięśnie. Może utracić i siebie.

Ludzie przychodzili, dostrzegali go i odchodzili. Zabij ich, pomyślał. Odzyskasz wzrok. Nie cofaj się przed okrucieństwem.

Inaczej zmarnujesz swój czyn. Czy nie lepiej dać przykład? Jeśli ich zabijesz, przyjaciel nigdy nie zdradzi przyjaciela, znikną przekupne sędziny i żaden bank nie wystawi człowieka do wiatru. Tak właśnie będzie. Tylko ich zabij.

Drzwi się otworzyły.

– Chodź tu – powiedziała Doris-Kratosz. – Dobry Boże, wiesz jak ty wyglądasz?

– Skąd mam wiedzieć, skurwysynu? To też mi zabierzesz? Jak tu wszedłeś? Gdzie jest Doris?

Mignął cień olbrzyma. Staszek wykonał zamach, cios poszedł w próżnię. Cisnął telefonem. Rzekł, że nie ma nic do stracenia. Dopiero zaczynają. Jakiś klient rzucił się na niego. Oberwał w brzuch. Znalazł się na ulicy, trzasnęły drzwi. Szarpał za klamkę, groził, przeklinał. Z drugiej strony dochodził płacz. Staszek nie wiedział, że Kratosz potrafi tak płakać.

44

W centrum tego dnia panował ruch. Kilku podpitych młodych mężczyzn weszło do Klubu Czarnogórskiego przy Natolińskiej. Zaraz skierowali się na piętro, skąd zaczęły dobiegać ryki. Wrzaski te jeszcze się wzmogły, gdy szczupła i ładna kelnerka poszła zapytać gości, czego chcą. Zamówili piwo, potem kolejne, i powiedzieli, czego oczekują tak naprawdę. Kelnerka spłoniła się i umknęła na zaplecze. Powiedziała, że dzisiaj już nie obsługuje. Trzech starszych klientów odłożyło szachy, papierosy i kieliszki, a walki, która nastąpiła potem, nikt nie nazwałby wyrównaną. Młodzi leżeli na chodniku i zapowiadali, że jeszcze tu wrócą. Tak powinniście zrobić, powiedział jeden ze starszych mężczyzn i udał się na swoje miejsce, pod plakietkę z informacją, że Kosowo zawsze będzie należeć do Serbii.

Z bloku przy Litewskiej wyłoniła się zakochana para. Trzymali się za ręce, lecz odkleili się od siebie, gdy tylko wyszli na Marszałkowską, jakby obrączka na palcu mężczyzny nagle zaczęła parzyć. Mężczyzna niósł sportową torbę. Chciał zamówić sto stron u Doris. Ta płakała za zamkniętymi drzwiami i nie chciała otworzyć. Tych dwoje usiadło na placu Zbawiciela, pod jasnym niebem, daleko i blisko siebie. Mężczyzna bez przerwy coś mówił, ona milczała. Wodziła wzrokiem za Staszkiem, który niczym ślepiec biegał i krzyczał między samochodami. Naprzeciwko stary aktor zamawiał setkę. Kwiaciarka niosła wiadro z wodą, na tarasie powyżej palono papierosy. Pasażerowie przyklejali zmęczone policzki do brudnej szyby tramwaju numer cztery.

Na ulicę wyległy psy. Ujadały, czekały na siebie i wąchały sobie tyłki, a właściciele próbowali je odciągać lub przeciwnie, stali spokojnie, czekając nie wiadomo na co. Gdy zjawił się Staszek, próbowali łapać swoje zwierzęta, żeby go nie pogryzły. Niektórym się udało. Taksówkarz, który o mało go nie rozjechał, wypadł z samochodu i nagle się zatrzymał. Kręcąc głową, wyciągnął telefon. Wymierzył kamerę w rozpędzonego Staszka i zrezygnował z filmowania.

Staszek biegł przed siebie, nie wiedząc dokąd. Odzyskał siły. Potykał się o przechodniów, o krawężniki. Wydawało mu się, że ludzie wokoło odpowiadają za zło, którego doświadczył.

Rozłożył ramiona. Czuł, jak – wzorem Kratosza – rośnie ponad budynki, mógłby wzlecieć, gdyby tylko chciał. Wzbija się ponad nieprzeniknioną ciemność i ponure istoty, które w niej żerują.

Przyspieszył. Uderzył o słup i zderzak, padł i zaczął się czołgać po mokrym chodniku. Odtrącał pomocne dłonie i przeklinał każdego życzliwego. Ręka zamarła mu na drzwiach samochodu.

Ustały lekko. Wpełzł na tylne siedzenie. Przyciskał ramiona do brzucha i łkał. Nie wiedział nawet, kiedy samochód ruszył.

– Proszę, to znowu pan. Dokąd tym razem?

Staszek dotykał swojego ciała. Nie wymacał żadnej kości.

– Daleko.

Rozdział ósmy

1

Tego samego dnia zamalowałem krew na ścianach. Inaczej niż Tekla wcześniej ściągnąłem meble na środek podłogi. Niedbale przykryłem je folią. Rozebrałem się do naga i usuwałem papierem ściernym rdzawe plamy, które długo nie chciały zniknąć i rozszerzały się jak złośliwy uśmiech. Tekla zostawiła trochę farby i zasuszony wałek. Jeździłem nim miejsce w miejsce, coraz mocniej, aż pękł kijek, na którym mocowałem plastikowy uchwyt. Skończyłem samym wałkiem. Usiadłem na mokrej podłodze. Miękko-śmieszny członek pokrywały mi zielone plamy. Myślałem o swojej żonie i o Władysławie. Przestraszyłem się, że stara robi mi krzywdę, i zasnąłem pełen lęku.

Zbudziłem się, gdy słońce wciąż stało wysoko. Spod schnącej farby przebijały brązowe uśmiechy. Ktoś inny może by ich nie dostrzegł, ale ja tak. Zamalowałem je znowu. Nie chciały zniknąć. Złośliwe kąciki ust zrobiły się jakby ostrzejsze.

– Więc o to chodzi? – zapytałem. – Tego chcecie?

Zatrząsałem uniesioną stopą. Patrzcie, moja noga tańczy! Tekla-lala!

We wzrastającym skrzeku porwałem wiadro i chlusnąłem na ścianę. Przekręciłem się wokół własnej osi i znów wziąłem zamach, ciągle trzepocząc nogą. Tak to trwało, aż pociemniało mi w oczach, a wiadro zrobiło się puste. Przeleciało przez pokój, upadłem jednocześnie z nim. Brakowało mi czoła Tekli.

Ścisnąłem sobie głowę, aż odzyskałem wzrok. Ślady krwi zniknęły. Teraz śmiała się ze mnie mokra farba. To nic, powiedziałem sobie. Poczekam, aż ten śmiech wyschnie.

2

Odnaleziona legenda o ziemi szczęśliwej przyniosła rozczarowanie. Wilczur wprost powiedział, że to duby smalone.

Dawno temu, gdy Rykusmyku nazywało się jeszcze Weisenstadt, żyło dwóch braci. Książę Henryk służył światu, a książę Otto Bogu.

Henryk, mając lat pięć, powalił dorosłego dzika, niedługo później zadusił wodnego smoka żerującego w Brzance i zrobił sobie hełm z głowy pokrytej czarną łuską. Jako dziesięcioletek przypominał dorosłego mężczyznę i wkrótce urósł tak bardzo, że otoczyła go sława olbrzyma. Bransolet swojej żony używał jak pierścieni, dwuręczny miecz służył mu za sztylet, a ponieważ żaden koń nie zdołał go unieść, jeździł na czarnym byku o bokach poranionych ostrogami. W Weisenstadt panowała bieda i Henryk urządzał krwawe wyprawy na sąsiadów. Nie bał się śmierci i miażdżył głowy wrogów gołymi rękami. Nikomu nie ufał i nikogo nie kochał, wyjąwszy brata.

Wychudzony Otto od małego obracał się w towarzystwie świętych. Nocą Bonawentura, Józef, Krzysztof i Maryja siadali przy jego łóżku, szepcząc tajemnice tego i tamtego świata. Mył się tylko w wodzie po kąpieli zakonnic, na szyi zawiesił sobie wielki żelazny krzyż, a plecy poczerniały mu od razów. Co niedzielę wrzeszczał na wychodzących z kościoła, żeby porzucili grzeszne przyzwyczajenia. Potem tarzał się na ziemi i błagał Boga, aby uwolnił Weisenstadt od nędzy. Mieszkał w rozkopanym grobie. Ponoć Henryk odwiedzał tam Ottona i spowiadał się ze swoich złych uczynków.

Bracia żyli w zgodzie, aż Otto oznajmił, że odpowie na wołanie króla Cypru i wyruszy odbić Aleksandrię z rąk mameluków. Henryk zareagował po swojemu i zamknął brata w celi. Ale nocą

zjawił się święty Bonawentura, wraz ze świętymi Krzysztofem, Józefem oraz Najświętszą Panienką, i pobożny książę powędrował boso na południe. Henryk na próżno słał pościgi. Korzenie drzew zamykały się nad śpiącym Ottonem, zarastały ścieżki, którymi kroczył.

Aleksandria spłonęła, mieszkańców wyrżnięto, czerwona łuna położyła się na niespokojnej tafli Morza Śródziemnego. Otto powrócił po pięciu latach w towarzystwie śniadych zbrojnych. Dwanaście koni ciągnęło wóz z wielką żelazną skrzynią, a on sam kroczył przodem, niosąc obnażony miecz. Bracia padli sobie w ramiona. Henryk zapytał o zawartość skrzyni i Otto ogłosił, że niedługo przepędzi biedę z Weisenstadt. Podczas wyprawy natrafił na źródło szczęśliwej ziemi. Pokonał jej strażników i zabrał ją, paląc następnie świątynię.

Otto nie sypiał już w grobie, włosienicę zamienił na purpurową szatę, kazał zdjąć krzyże w swoich komnatach, a zakonnice przepędził. Podczas powitalnej uczty z bratem wymieniali pocałunki. Gdy wszyscy posnęli, Otto i Henryk spuścili na sznurach skrzynię w głąb lochów i zsunęli się za nią. Posiana ziemia przyniosła miastu szczęście. Odtąd lasy zapełniły się zwierzyną, w wodzie pluskały tłuste ryby, w kłosach zboża znajdowano złote grudki. Tyle tylko, że Henryk tego nie doczekał, gdyż Otton wrócił z podziemi sam.

3

– Czemu oni tak żyją? – Wilczur spoglądał na rynek przez okno naszego biura.

Odpowiedziałem, że moim zdaniem żyją zwyczajnie. Dzieci jadły wafle i jeździły w kółko na rowerach przed ratuszem. Kobiety odsłaniały pulchne ramiona, pod arkadkami pito piwo z puszek.

Herman czuwał nad swoim kramem. Wilczur zauważył, że zwyczajne życie to żadne życie i zapytał, czy zwróciłem uwagę na coś szczególnego. Nie.

– No widzisz. A tu wszyscy są przygarbieni. Stąd, z góry, powinniśmy widzieć głowy, a widzimy karki. Naprawdę nie zwróciłeś na to uwagi? Więc właśnie. Kiedyś myślałem, że każdy chce unieść głowę, tylko nie wie jak. Teraz już wiem, że jest dokładnie na odwrót. Każdy chce patrzeć pod buty, ani centymetra wyżej. Boję się, stary.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wilczur przysiadł na parapecie i rzekł, że Krończak snuje się za nim i mąci.

– Ale co on może ci zrobić?

– W tym kraju zawsze coś się znajdzie. Wystarczy, że mnie spowolnią. Myślisz, że nie mam innych interesów? Poza tym wiesz, jaki z Krończaka policjant. Najpierw strzela, potem pyta.

– Przesadzasz. To tylko stary gliniarz.

– Nie, to facet, który zabił własne dzieci. Tak o nim pomyśl, to ci parę rzeczy wyjaśni. Mówili mi, żeby nie wracać do Polski. Myślisz, że w Szwecji nie ma małych miasteczek? Martwię się, że będę musiał coś z tym zrobić.

– Przecież go nie zabijesz.

– Więc właśnie w tym cały szkopuł, że jednak nie. Powiedz lepiej, jak na twoim froncie. Hej, nie patrz tak, mamy umowę, tak czy nie?

Do Hermana dołączył Gablociarz. Siedzieli razem, podobni do dwóch starych, łysych szcurów, które znalazły schronienie przed deszczem. Nieśmiało zadzierali głowy i szeptali między sobą. Opowiedziałem Wilczurowi o szczęśliwej ziemi i o tym, że Tekla była tylko jedną z wielu takich dziewczyn. Bałem się, że mój

przyjaciół wybuchnie śmiechem, ale nic takiego się nie stało. Bawił się dziurkaczem, jakby chciał nim cisnąć w głowę Hermana lub Gablociarza. Przyznał, że to, co mówię, brzmi dość fantastycznie, ale kto wie, w legendach zawsze jest trochę prawdy.

– Nie jestem głupi – rzekł. – Sam dość się nasłuchałem, stojąc u Dyzia. Fakty są takie, że w Ryku podziało się trochę dziwnych rzeczy, żeby wspomnieć tylko twoją żonę i przedszkole, które pochował Krończak. Ludzie muszą to jakoś ogarnąć i wymyślają co bądź. Nie sądzisz?

Przez moment chciałem powiedzieć mu o byku, Trombku, skrzeku i całej reszcie. Wyobrażałem sobie, jaką ulgę by to przyniosło. Wilczur trącił mnie i zaproponował, żebyśmy stąd poszli.

– Pokażę ci moje miejsce. A potem coś opowiem.

Na dole Gablociarz i Herman wdali się w bójkę. Kram rozsypał się po rynku. Walczyli jak kobiety, szarpiąc się za włosy i drapiąc się po czerwonych twarzach. Życzyli sobie śmierci. Rozdzielił ich Krończak.

4

Baszta Piastowska stała zatrzaśnięta, odkąd pamiętam. Wilczur pogmerał w kłódce i weszliśmy do środka. Spróchniałe drewno opierało się o ścianę, a schody prowadziły tak w górę, jak i w dół. Wilczur wyjął zapalniczkę.

– Podobno są tam hitlerowskie tunele, schrony, takie rzeczy – wyjaśnił. – Normalnie podziemne Rykusmyku, jakby jednego nie było dosyć. Nie miałem jaj, żeby to sprawdzić. Masz jaja? Więc właśnie. No to chodź na górę.

Kręte schody prowadziły do okrągłej sali na szczycie wieży. Zdeptałem stare ptasie gniazda. Szczury rozbiegały się z piskiem.

Usiedliśmy naprzeciw siebie, na szerokim, kamiennym parapecie. Wilczur zaczął:

– Tu przychodziłem, jak miałem wszystkiego dosyć. Bidula, głupich bab, durnych kumpli. Siadałem i wyobrażałem sobie, że widzę przez ściany. Patrzyłem sobie na ciebie, a także na laski, jak się rozbierają. Jakbym cycków nie widział, co nie? Idiotyczna sprawa.

Widziane pod ostrym kątem kamieniczki zdawały się napierać na siebie. Do dachów przyrosły stare gołębniki. Zaglądałem w cudze okna.

– Obiecywałem, że nigdy tu nie wrócę – mówił Wilczur. – Nie miałem po co. A potem wyobrażałem sobie, jak przyjeżdżam na weekend i szastam pieniędzmi, tylko po to, żeby te chuje zobaczyły, jak mi się powiodło. Co z tego wyszło? Przyjechałem jak sługa i się proszę. Chciałeś magii, to ją masz.

Próbowałem przesunąć się tak, by zasłonić mu widok. Mur był chłodny. Wilczur opowiadał:

– To złe miejsce, Szymek. Tutaj umierają kobiety i dzieci. Nie wiem dlaczego, ale czasem wierzę, że to Ryku je zabija. Tak po prostu. Miasto jak wampir. Trochę to szalone. Dlatego ludzie wymyślają różne rzeczy, żeby dojść z tym do ładu. Gadanie o książętach jest mniej przerażające niż te wszystkie trupy pozbawione sensu. Ci ludzie mogli żyć, a nie żyją. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Ej, nie pchaj się tak.

– Siedzę tu całe życie i z nikim nie mogłem porozmawiać. Od czasu, gdy wszyscy wyjechaliście, kurde, z nikim – powiedziałem i natychmiast poprosiłem Wilczura, żeby się ze mną zamienił miejscami, że chcę popatrzeć na miasto. Mruknął to swoje „jak sobie chcesz”.

– Wmówiłem sobie, że jeśli nie wrócę tutaj, to umrę. Oto masz przykład korby na sto dwa. Rykusmyku albo śmierć, kurde bele, człowieku! Uciekasz, nienawidzisz i potem wracasz z podkulonym ogonem. To właśnie ci chciałem powiedzieć. Co zrobiło nam to miejsce? Każdy tu wróci, prędzej czy później, bo życie mu nie wyjdzie albo poczuje się winny. Chciałeś klątwy, to masz. Innej nie będzie.

Z nowego miejsca widziałem zamkową wieżę, a bliżej podwórko od Staromiejskiej i moje własne okno z kawałkiem zdemolowanego pokoju i ścianą zachlapaną farbą. Miałem nadzieję, że Wilczur tego nie dostrzegł. Był bystrym facetem. Tacy widzą więcej niż my.

5

Krończak przyszedł do biura fundacji i rzekł, że podejrzewa przestępstwo. Zaczął się rozglądać, grzebał w szufladach. Zapytałem, o jaką to zbrodnię mu chodzi. Trącił mnie kościstym palcem:

– Myślałem, że ty mi powiesz.

Głowę miał gładką niczym szklana kula; mógłbym z niej wróżyć nieszczęścia. Bezsenny zawsze rozpozna bezsennego, ale go nie powstrzyma. Podpierałem ścianę, a Krończak przetrząsał szuflady, wsadzał nos w segregatory i przeglądał pliki w komputerze. Zorientowałem się, że nic z tego nie rozumie. Wydmuchiwał parę.

– Pora, żeby wybrać stronę, mój miły kolego – powiedział. – Przypominam ci, że nie masz nikogo. Wilczur przyjechał. Kiedyś wyjedzie. Naprawdę myślisz, że możesz na niego liczyć?

– Był pan może u mojej żony? Widział pan, jaki piękny grób?

Krończak pokręcił się jeszcze parę minut i poszedł bez słowa. Pod zamkiem opowiedziałem o tym Wilczurowi. Odparł, że to dobrze, bo facetowi puszczają nerwy. Niedługo zapłacze się we

własne nogi i upadnie. Takim zawsze płaczą się nogi, dodał, bo myślą, że są mądrzy, a nie są.

6

Ostatniego dnia sierpnia poszedłem na groby. Rykusmyku było pełne znaków.

Na rynku stanął wielki dmuchany labirynt o różnobarwnych segmentach, nurkowały w nim dzieci. Czasem nie chciały wyjść, zmuszając rodziców, aby podążyli za nimi. Tego poranka blondwłosy chłopczyk – ten sam, którego ojciec przyjeżdżał z daleka – wypadł zapłakany z pastelowego korytarza. Krzyczał, że napotkał upiora. Upiór okazał się starym Hermanem, który zasnął pijany i zbudził się w złym humorze.

Teklę przykrywał kurhan kwiatów i kolorowego szkła pełnego ognia, tak że zabrakło miejsca na lampkę ode mnie. Zapaliłem ją obok i patrzyłem, jak lekki wiatr delikatnie czochra czuprynę płomienia. Mniej więcej w tym samym czasie kierowca furgonetki z wałbrzyskiej ubojni wziął zakręt zbyt ostro i staranował krzykliwy szyld solarium na rogu Legnickiej i Piłsudskiego. Nikomu nic się nie stało, ale Legnicką zasypały krowie kopyta. Psy rozwłóczyły je natychmiast po miasteczku.

Poszedłem między groby małych aniołków. Większość tablic zrobił ten sam grawer, w czym nie było nic dziwnego. Wzdłuż cmentarnego muru biegł rząd drewnianych krzyży. Te z lewej zdążyły poszarzeć i zbutwieć, ostatni wyglądał na nowy. Po wstędze szedł napis: „Dobranoc, syneczku”. Usiadłem i patrzyłem. Między drzewami ścigały się wiewiórki.

Na Klasztornej, koło przedszkola Prymusek, osunęła się ściana domu od dawna przeznaczonego do wyburzenia. Pozostały zbrojenia ułożone w kształt litery „v” albo rogów. Do szpitala

trafiła czterdziestosiedmioletnia Szwedka ze złamanym nosem i śladami pobicia na wysportowanym ciele. Znaleziono ją w parku o świcie, nagą i nieprzytomną. Rozbudzona, odmówiła zeznań i prosiła, żeby ją jak najszybciej wypuścić. Wróci do Sztokholmu, tam ma dobrą opiekę.

Wyjąłem listę zmarłych sporządzoną w bibliotece i poszukałem grobów. Znalazłem mniej więcej połowę, wszystkie zarośnięte, zniszczone i ciemne, jakby celowo próbowano o nich zapomnieć. Powędrowałem dalej, żeby przyjrzeć się niemieckim nagrobkom. Tymczasem Brzanką popłynął trup Gablociarza. Wyłonił się zza zakrętu od strony Wrocławia, zaciekawił dzieci i przegonił dorosłych. Gablociarz sunął na wznak, miał rozpięte spodnie i szeroko rozrzucone ramiona, jakby próbował objąć słońce.

Policjanci i strażacy byli zajęci gonieniem psów z kopytami w pyskach i Gablociarz przepłynął przez całe Rykusmyku, odprowadzany przez płacze i krzyki. W końcu utknął w zaroślach, pod łopianami.

7

Powiadano, że Gablociarz urznął się do nieprzytomności; widziano go nawet w kręgielni nad kieliszkiem. Po drodze do domu postanowił sobie ulżyć, przeszedł przez barierkę i chciał nasikać do Brzanki. Brzeg jest stromy i śliski. Gablociarz utonął. Okazało się, że wszyscy w Rykusmyku bardzo go kochali.

Nie znam się na ludziach. Nigdy nie wyjeżdżałem i nie lubię rozmawiać. Wiedziałem, że Gablociarz nie pił, co mogło się zmienić. Ale wracający od Dyzia sikali pod murem, koło stróżówki, o czym Gablociarz wiedział lepiej niż ktokolwiek. Przypomniałem sobie, że mieliśmy się spotkać. Cóż, kiedyś też popłynę.

Stróżówka stała zamknięta. Wciąż miałem klucze. Liczyłem, że zastanę tam choćby książki i notatki zmarłego, ale wszystko wyniesiono. Telewizorek zniknął, w miejscu gazet leżał tablet, którego nie potrafiłem uruchomić. Wszystko zrobiło się nazbyt białe. Usiadłem w nowym czarnym fotelu i przyglądałem się robotnikom wznoszącym rusztowanie przy zamku od strony Brzanki. Wspominałem Gablociarza i doszedłem do wniosku, że właściwie nic o nim nie wiem. Wilczur zaglądnął i powiedział, żebym się nie przejmował. Chciał iść na kielicha.

Wieczorem znów się rozpadało. Wróciłem do domu i usiadłem przy roześmianej ścianie. W rogach gromadziły się płaczące cienie. Okna zamkowe rozbłyskały białym światłem, do czego zdążyłem już przywyknąć. Poszukałbym zasłon, gdybym nie był tak zmęczony. Stałem przy oknie, przyłożyłem palec do odprysku na szybie i przez moment wydało mi się, że na dole widzę Gablociarza schylającego się po kolejny kamień. Powtarzał: „Pamiętaj, jak tańczyliście! Nie waż się tego zapomnieć!”.

Nie chodziło mu o śmierć Tekli, ale o potańcówkę w kręgielni.

8

We śnie zbudziłem się pośród wielkiej jasności. Do pokoju weszła moja mama w sukience do połowy ud. Jej twarz była wściekła i piękna, a ja nie mogłem się ruszyć. Wszędzie stały świece. Mama zapaliła pierwszą, osłaniając płomyk wnętrzem dłoni. Pociemniało. Mama chodziła od świece do świece, osadzając roztańczone cienie na knotach.

Zapadł półmrok, potem noc, że oko wykol. Nie słyszałem jej kroków, ale czułem ciepło bijące od jej ciała i drżenie podłogi. Wyrosła przede mną. Chwyciła za skronie. To była Tekla:

– Co z tym teraz zrobisz?

Chciałbym być niewidzialny. Niechętne spojrzenia opadły na mnie, ledwo wszedłem do kręgielni, i natychmiast poderwały się jak przepłoszone ptaki. Kobiety piły kawę w wysokich szklankach, mężczyźni piwo. Jedli lody i ciastka. Banda wyrostków szalała przy dwóch torach.

Zamówiłem tonik i zapytałem barmana, czy Gablociarz coś dla mnie zostawił. Usłyszałem, że Krończak już spisał zeznania, właściwie zresztą nie ma o czym mówić. Gablociarz posiedział chwilę i poszedł. Czy był pijany? Nie wiadomo. Wskazał mi jego stolik. Usiadłem między porządnymi ludźmi. Rozmawiali o morderczych cenach podręczników i o tym, że bus kursuje teraz na okrętkę przez wioski, żeby zebrać więcej pasażerów. Pod blatem niczego nie znalazłem. Krążyłem po kręgielni, a goście zaczęli mówić wolniej i głośniejsze.

Nad pisuarem wciąż wisiała reklama środka na potencję z mężczyzną o nabrzmiąłych spodniach, rogatą klamrą od paska i podpisem „JEST BYCZO”. Ktoś niedawno majstrował przy śrubkach. Widocznie Gablociarza w godzinę śmierci nawiedziło poczucie humoru. Wyjąłem klucze, wybrałem najmniejszy i zabrałem się do odkręcania. Ktoś dobijał się do drzwi i krzyczał, że to ani gabinet lekarski, ani – tym bardziej – czytelnia. Znalazłem dużą, szarą kopertę przyklejoną do tylnej ściany reklamy i teczkę w tej kopercie. Otworzyłem drzwi.

Mężczyzna w rozpinanym kremowym swetrze natychmiast przestał krzyczeć. Uniósł dłoń, jakby próbował się bronić, cofnął się i uderzył czaszką w automat z kondomami. Wyminąłem go. Usiadłem przed kręgielnią i zacząłem czytać.

Rozdział dziewiąty

1

Na Królewskiej stał długi sznur nowych tramwajów. Naniesione na okna wizerunki szczęśliwych dziewczyn z telefonami komórkowymi przesłaniały twarze nerwowych pasażerów. Niektórzy z nich próbowali otwierać drzwi. Po drugiej stronie ulicy, pod komendą, policjanci palili papierosy i spoglądali obojętnie przed siebie. W rytm sennego cykania świateł bombardieri podjeżdżały na przystanek, a tłum wyskakiwał na wysepkę. Ludzie patrzyli w ekrany czytników i smartfonów i potykali się o siebie, dwóch kontrolerów szarpało się z chłopakiem w kurtce moro. Ktoś inny zrobił im zdjęcie i puścił się biegiem, przeskoczył przez łańcuch i pogalopował w stronę parku, skąd dochodziło ujadanie psów.

Nad Wisłą studentki lat pierwszych trzęsły się z zimna. Ubrane w obcisłe białe koszule z pagonami, niebieskie spódniczki do połudzia i marynarskie czapki zachęcały przechodniów do kursu statkiem do Tyńca i Zwierzyńca. Dzieci rwały się ku temu, rodzice tłumaczyli, że jeszcze za wcześnie, jeszcze woda nie zdołała się ogrzać, a poza tym wybrali się tylko na krótki spacer. Rozbrzmiewał płacz i jeśli przynosił oczekiwany skutek, tędzy, żyłaści kapitanowie zabierali przejęte brzdące na pokład wątych łodzi, czekali, aż dziewczyny nagonią więcej klientów, a gdy tak się działo, odpalali silnik. W drodze opowiadali te same historie o domach nadbrzeżnych, smokach i papieżu. W przesłach mijanych mostów tkwiły gałęzie, zgniłe i wysuszone, które przyniosła tutaj powódź.

Na kościelną wieżę przy Rynku Podgórskim windowano białą figurę kolejnego świętego. Jego biel była nieco inna, jaśniejsza niż

biel innych świętych, ułożonych w potężny pierścień pod spiczastym dachem. Uważano, że pył miasta i oddechy wierzących wkrótce przydadzą mu szarości. Na wieży wciąż pozostało wolne miejsce – łukowata wnęka z czerwonej cegły oczekiwała na swojego lokatora w aureoli. Obok chłopcy wspinali się po skale, ich starsi bracia palili skuna gdzieś w parkowych chaszczach i wlewali wódkę do puszek z napojem energetycznym. Młodzi grali w piłkę i badmintona, a wiatr podrywał lotki ku gałęziom drzew.

Przy drzwiach starych sklepów ustawiono stragany warzywne, staruszkowie wracali do zagraconych mieszkań, unosząc włoszczyznę, zakłopotani młodzi ojcowie targali cienkie siatki, spomiędzy palców sterczały im karteczki z listą zakupów. Dachy domów wspinających się po stoku ułożyły się na podobieństwo wyszczerbionych stopni. Stromymi ulicami goniły się brudne stada kotów.

Miasto wyglądało, jakby podnosiło się po jakiejś tajemniczej katastrofie. Można by pomyśleć, że wpadło w ogon komety. Na Limanowskiego ziała ogromna dziura, w której sterczały resztki odgrzebanych murów. Łyżka koparki zastygła głęboko w ziemi, jej operator kombinował, co dalej, inni robotnicy spoglądali z uznaniem na efekt jego pracy, skręcali papierosy i ciskali papier po kanapkach w głębokie kałuże. Przy rondzie Ofiar Katynia wznoszono estakadę, lecz przypadkowy przechodzień – na przykład Karol – mógłby dojść do wniosku, że dzieje się tam coś odwrotnego, że ospali mężczyźni w koszulkach odbłaskowych rozbierają jakąś niepotrzebną już konstrukcję. Potem zmieniają dwupasmówkę w zwirowany trakt i będą czekać na wozy, bryczki i dorożki, spokojni i zadowoleni z efektu swojej pracy. Budowę okalała dziurawa siatka, wznosiły się ciężkie, betonowe bryły, a

wirujący pył opadał na dachy samochodów stojących w pokręconym korku. W oczach kierowców dało się dostrzec zmęczenie.

Po południu słońce rozgrzało szyby w krakowskich oknach, zaś w knajpach pozalegały skurwysyny. Młodzi na Kazimierzu dopijali swoje latte, zamawiali piwa niepasteryzowane i przerzucali żarty ponad uniesionymi ekranami MacBooków. Na zewnątrz czterdziestolatkowie popijali wódeczkę i rzucali głodne spojrzenia w kierunku dziewczyn kręcących się przy dawnej rzeźni, na placu Żydowskim, gdzie teraz sprzedawano zapiekanki. W podziemiach rynkowych piwnic dziady poszukiwały chłodu, wyrzucały z siebie krótkie zdania pełne kurew i chujów, utyskując w ten sposób na stan kultury w świecie. Ich wąsy były żółte od papierosów, paznokcie brudne, oczy unosiły się na łódkach z ciemności. Wiekowi dziennikarze wypełzli na pięterko, grali w szachy i przekrzykiwali się nawzajem, ich kobiety, opalone jak skwarki, poprawiały drewniane bransoletki na nadgarstkach. Pachniało tanią wodą kolońską, strachem i chorobą.

Grzegórzki były szare, wciśnięte w trójkąt ronda i nasypów kolejowych. Na placu targowym wytatuowany facet z brzuszkiem donosił herbatę blondynce sprzedającej workowate spodnie, kamizelki wędkarskie i czapki z tekturowym daszkiem. Młode matki wyległy na plac zabaw wkomponowany w niewielki zieleniec pomiędzy dwoma pasami sennej ulicy. Nieliczni ojcowie przyglądali się im zza ciemnych okularów. Pod garażami natomiast pito, z plastikowych kubków, z menażki i gwinta, menele ocierali usta fioletowe niczym denaturat i dzielili się mądrościami. Nikt nie jest mądrzejszy od menela, życie menela upływa na rozmowie. Obok ciocia Lidia wjechała samochodem tak nieszczęśliwie, że zarysowała drzwi. Wyskoczyła z renówki i zaczęła pochlipywać. Na

jej szyi trzęsło się złoto. Ocierała policzki, ale łzy nie chciały przestać płynąć. Przejrzała się w lusterku samochodowym i poniosła siatki pełne jedzenia ku kamienicy, gdzie zajmowała dwupoziomowe mieszkanie z poddaszem. Właśnie rozpoczynały się w nim urodziny autystycznego dwunastolatka.

Przy grillu z kiełbaskami przysnął chłopak w kapturze naciągniętym na czoło. Pochrapywał, stojąc. Nagle poderwał głowę, jakby wybudzony z koszmarne snu. Rozejrzał się i zapytał, czemu ci wszyscy ludzie żyją tak, jak żyją. Pobiegnął przed siebie, nie uzyskawszy odpowiedzi.

2

Karol nie lubił urodzin syna. Każde następne były gorsze od poprzednich. Jaś siedział na ziemi i ustawiał w równym rzędzie rzeczy, które znalazł w domu: puszki fasoli, pilot od telewizora, metalowy pojemnik po kawie, słuchawki i blaszaną ciężarówkę, którą każdy inny chłopiec w jego wieku dawno odstawiłby w kącie. Nika wniosła tort, na który chłopiec nie zwrócił uwagi. Po kilku minutach płomyki zaczęły go drażnić. Poprosił, aby zrobiły się zimne.

Nika musiała dostrzec, że Karol ma się niedobrze. Stanęła obok i położyła mu rękę na ramieniu. Powiedziała, że wieczór jeszcze się nie skończył. Na to do pokoju wpadła ciotka Lidka z naręczem prezentów. Wyjmowała słodczyce w kolorowych opakowaniach, roboty i figurki z filmów, o których nie miała pojęcia. Jej śmiech kojarzył się z wielkim wysiłkiem. Jaś poświęcił jej jedno spojrzenie.

– Nie da rady – mruknął Karol. Uniósł głowę i dostrzegł, że dwa niebieskie płomyki unoszące się nad głową żony gwałtownie

urośli. Przypominały teraz rogi. Czerwień okalająca Lidkę drżała, co nie zwiastowało nic dobrego.

Ciotka nie dała za wygraną. Rozłożyła obok Jasia miękki kocyk. Zniknęła, by powrócić z balią ciepłej wody, przyniosła jeszcze odkurzacz. Na końcu znalazły się figurki i roboty. W ten sposób powstał tor przeszkód przez całą długość podłogi. Lidka, kucając, spróbowała przejść go sama. Aura pociemniała, wysiłek przychodził jej z trudnością. Jaś spoglądał na nią uważnie.

– On to lubił dwa lata temu – powiedziała Nika i nim Karol zdążył zauważyć, że syn niewiele się zmienił, już jej nie było. Przyniosła kawałek folii, który rozłożyła na wolnym kawałku podłogi. Do tego pojemniki z farbą w dziesięciu kolorach i duże kartki. Lidka była już przy robotach. Od skroni do skroni łopotał jej czerwony pióropusz.

Nika zanurzała palce w farbkach, po jednym w każdym kolorze. Ciapnęła kciukiem w papier. Jaś wyglądał, jakby się zastanawiał, czy warto, i w końcu znalazł się przy niej. Malował palcami, bardzo skupiony. Minęła chwila, nim Lidka podniosła się z ziemi. U jej stóp stały figurki, roboty, metalowy czołg. Nika odwróciła głowę, a błękitny płomień wystrzelił w kierunku ciotki, by zniknąć tuż przed jej nosem.

3

Z łazienki dochodził szum. Długi nos ciotki Lidii wisiał nad lampką koniaku.

– Ona naprawdę myśli, że my nie wiemy? – śmiał się Karol.

– Boże jedyny, jeszcze parę lat i to Jasiek będzie zamykał się w łazience – kontrowała ciotka. – Czas szybko biegnie. Popatrz na jego pokój. Wczoraj pluszaki. Teraz roboty. Zobaczysz. Chwila i zacznie przyprawiać dziewczyny.

– Jakie dziewczyny, ciocia? Chciałbym, żeby zakupy umiał sobie zrobić.

– Nie takie rzeczy się dzieją. Chłopcy tacy jak on żyją normalnie. Mają rodziny, mają to, co my. On tylko inaczej widzi świat.

– Nikt nie widzi tak jak on.

– I trzeba to szanować. Myślisz, że z tobą było lekko? – zmieniła temat, co Karol przywitał z ulgą.

– Ja byłem zdrowy.

– I kochany jako dziecko. A potem zaraz stałeś się nieznośnym starym koniem. W życiu bym sobie rady z tobą nie dała, gdyby nie Nika. Dobrze, żeś ją spotkał, no. Nie chciałam jej obrazić. Znowuśmy się, durne babsztylę, pokłóciły. – Nasłuchiwała. – Oho, zaraz wyjdzie! Teraz pewno zawija niedopałek w papier i topi.

– Nie złościsz się na nią?

– Jezusieńku na drewnianku, wygrał lepszy, wielkie mi halo.

Nika wyszła z łazienki. Lidia dopiła koniak.

– Właśnie rozmawiamy o dziewczynach, które będzie miał Janek. Zaraz się od nich zaroi, a tego tu zeżre zazdrość. No, co się tak patrzysz, synuś? Dałbyś starej wariatce pogadać od rzeczy. Nie złość się, proszę, córuchna. Chodź, dam się odprowadzić na górę.

Poszły po schodach, skleconych z myślą o słabnących nogach Lidii. U szczytu starą przygięło. Nika się nachyliła. Karol nie słyszał, co mówi, ale czułość na twarzy żony rozpoznał natychmiast.

Na górze Nika zsunęła mu spodnie i bokserki. Pochyliła głowę. Trochę to trwało. Próbował rozpiąć jej bluzkę. Odepchnęła. Odśloniła piersi później, gdy kołysała się już na nim, a jej aura stała się oślepiająca.

Karol pracował. Malutkie biurko umieścił w rogu pokoju dziennego i siedział twarzą do drzwi. Na ścianie pozostał ciemny ślad po oparciu krzesła. Przed sobą miał monitor podłączony do laptopa, książkę na drewnianej podstawce, pootwierane słowniki, kołonoratnik i kartki zadrukowane z dwóch stron. Na uszach słuchawki. Pod ławą i fotelami leżały blaszane samochody, które gromadził Jaś. Karol zmartwił się, że chłopiec będzie się bawił tym szmelcem do matury, której najprawdopodobniej nie zda. Jaś siedział na podłodze, przed telewizorem, i też miał słuchawki na uszach. Nad czupryną pełzał biały płomyczek. Chłopak ignorował ojca i Karol cieszył się z tego – w ciągu tych godzin liczyła się tylko praca.

Karol zamieniał słowa i przeciągał je jak łódź przez piaszczysty brzeg. Angielski na polski, dzień po dniu z krótkiego życia Keshy. Karol nie rozumiał, czemu ludzie chcą tak dobrze znać Keshę i tęsknił za czasami, kiedy tłumaczył prawdziwe książki dla prawdziwych czytelników. Nika tego dnia wróciła wcześniej i widział jej cień rzucony na przedpokój: stukała w tablet, garburczał na kuchence.

Przełożył stronę – ostatnią na ten dzień – i Nika, jakby to wyczuwając, wyłoniła się z kuchni otulona poświatą koloru nieba. Bez słowa podsunęła mu herbatę i rozczochrała włosy, jakby ciągle był chłopcem. Nawet nie zdjął słuchawek. Muzyka wyla mu prosto w uszy.

Skończył tłumaczenie i poszukał sposobu na zabawę z Jaśkiem, co szło mu coraz trudniej. Gdy Jaś się urodził, Karol liczył, że będą sklejać modele i rżnąć w piłkę. Nigdy do tego nie doszło. Jaś tylko siedział po turecku i oglądał programy przyrodnicze. Później

wrzaskiem domagał się jedzenia. Karol przypomniał o zapachu obiadu dochodzącym z kuchni, aż w końcu z góry zeszła ciotka Lidka. Ognisty pióropusz okalał starczą głowę i jej włosy wyglądały jak unurzane we krwi. Oznajmiła, że zjedzą wspólnie, we czworo, jak prawdziwa rodzina, i jeśli jakimś cudem to się uda, pójdą potem we dwoje do Galerii Kazimierz na lody i po jakiś drobiazg. Rodzice zostaną sami, też im się coś od życia należy. Tłumaczyła tak długo, aż Jaś dał się przekonać.

Po obiedzie Lidka i Nika zaczęły kursować między pokojem dziennym, kuchnią i sypialnią. Aury ocierały się o siebie, ciemniały. Karol znów siadł do komputera, podgłosił muzykę w słuchawkach. Zabrał się do recenzji wewnętrznej dla wydawnictwa drukującego kryminały i opowieści o zakochanych potworach. Pomyślał, że sam mógłby napisać coś podobnego i zarobiłby więcej. Mógłby także napisać o aurach i o tym, co mu mówią. Pisał akapit i wchodził na stronę z gołymi panienkami – za każdym razem na inną. Fakt, lubił patrzeć na Nikę, siadywał plecami do ściany nie tylko z tego powodu.

Lidka zabrała Jasia do galerii, Nika poniosła błękit w głąb kuchni, a Karol gubił słowa, wściekał się na siebie i gubił ich jeszcze więcej. Dziewczyny unosiły sztuczne piersi do wypełnionych silikonem ust. Przewijał je bardzo szybko, tak że zlały się w jedną wielką pierś i wydętą wargę. W końcu wymęczył recenzję. Nika stanęła na progu, czyli wybiła szóstą. Dzień pracy dobiegł końca.

Karol pozamykał strony w przeglądarce, wykasował historię i poprosił o jeszcze pięć minut. Ale Nika była nieubłagana, szóstą oznaczała szóstą, czyli koniec pracy.

– A potem poszedłem na Kochanowskiego, otworzyli mi mieszkanie i zrozumiałem w jednej chwili, że będziemy tam szczęśliwi. I jaki komfort. Do ciebie mam tramwaj, jadę dziesięć minut. Tyle samo piechotą do Rynku Głównego. Będziemy przychodzić. Odwiedzać. Naprawdę – obiecał Karol, spoglądając na Janka. Chłopiec tonął we własnym świecie. Brzmiał brzęk samochodów.

Ciotka Lidia nie dała mu skończyć.

– Jejku jejć, chybaście się nie martwili, że będzie mi przykro, głuptoki kochane wy! To wspaniała wiadomość! Tyle wyzwania, tyle zadań, tyle roboty!

Czerwień wokół niej przygasła. Błękit Niki strzelił pod sufit.

– Przecież sobie poradzimy – odparła.

– W to nikt nie wątpi! Musicie mi powiedzieć, co zabieracie, a co chcecie zostawić. Wynajmiecie firmę czy przeniesiecie się sami? Czekać, czekać, to Janek jeszcze nie wie? Wyście... ech! Baliście się, że zwariowana babuleńka nie poradzi sobie sama w wielkim domu? Osiołki! Wiecie, że do mnie to jeszcze nie dociera? Nikuś kochana, jak dobrze, jak dobrze. Kto by pomyślał! Z nieba wam spadło to mieszkanie!

– Nie z nieba. Ludzie po prostu umierają – odpowiedziała Nika.

– Musimy tylko mieć na remont.

6

Był poniedziałek. Karol otworzył listę zaległości, zaczął pisać i dzwonić. Lokalny dodatek do „Wyborczej” wisiał mu prawie sto osiemdziesiąt złotych. W księgowości albo nikt nie odbierał, albo było zajęte. Nie on jeden miał taki problem. W końcu napisał, choć doskonale wiedział, co mu odpowiedzą. Naszykował jeszcze jednego maila do gazety kolejowej, gdzie pisywał o historii taboru.

Ponownie sprawdził konto i wybrał numer do wydawnictwa zajmującego się kryminałami i powieściami o zakochanych potworach. Przedstawił się i zapytał o swoje pieniądze, łącznie siedemset złotych już po odliczeniu podatku. Kobieta powiedziała, że powinny wyjść w tym tygodniu, na pewno.

– Jest dopiero poniedziałek.

– Tak, jest poniedziałek. Ma pan rację.

Pojawiła się Nika. Popatrzyła na Karola, jak szarpie blat. Pokręciła głową.

Karol obiecał, że jutro znów zadzwoni, i odłożył słuchawkę. Dyszał, trzymając się biurka, jakby zaraz miał się osunąć w przepaść. Nika usiadła obok. Jej zdaniem niepotrzebnie się złościł, bo życie takie właśnie jest i nic z tym nie można zrobić. Odparł, że kiedyś coś z tym zrobi. Życie takie jest, owszem, ale to jedno z wielu żyć i wcale nie najlepsze. Nika pogłaskała go po twarzy. Wybrałeś, jak wybrałeś i powinienesz dawno przestać się wściekać. Czy jest sens złościć się dla paru złotych?

Karol odtrącił jej rękę i zaraz przyjął z powrotem. Przeprosił i wyznał, że po prostu ma już dość dzwonięcia za forszą w każdy poniedziałek i chciałby pomyśleć o czymś innym. Potrzebują na szkołę dla Jasia.

– Zdrowie masz tylko jedno – odparła. – Zdrowia sobie nie odkupisz. A ja ani myślę litować się nad tobą, moje ty kochanie.

7

Lidia obeszła okoliczne sklepy i wróciła z naręczem kartonowych pudeł. Zaczęła krążyć po mieszkaniu. Pakowała książki. Czerwony pióropusz za nią gubił ognie astralne. Karol przyglądał się temu i nie protestował. Pokłócili się dopiero o

mikrofalę, którą chciał zostawić. Lidia uznała, że nie, że Karol dosłownie wyzionie bez niej ducha.

– Nika wolałaby, żebyśmy jedli zdrowiej.

– Jasiek za bardzo lubi popcorn. Wielkie mi rzeczy! Z innej beczki: internecik zamówiłeś?

– Mamy jeszcze miesiąc.

– Miesiąc zleci, potem nie będzie czasu. Ty dnia nie wytrzymasz bez tych swoich komputerków. Garnki, garnki. Weźcie je, Boże drogi, jak się odkujecie, kupicie sobie nowe! Co z tą mikrofalówką? Jezusku, po co ja ciebie pytam! Przygotuj pudło, póki Nikusi nie ma.

Po chwili wynurzyła się z korytarza z kablem w kieszeni szlafroka, niosąc mikrofalówkę na wyprostowanych ramionach. Karol próbował przejąć ciężar, lecz nie pozwoliła. Zgarbiła się nad przyszykowanym pudłem. Zachwiało nią, jakby podłoga zapadła się pod lewą stopą, i mikrofala wysunęła się Lidii z palców. Ciotka klapnęła na krzesło.

Drżąca aura cofała się przed ciemną plamą pełznącą w górę uda.

– Boże, jak boli – powtarzała.

8

Doktor Morosiński miał siwe włosy zaczesane do tyłu. Rozpięta koszula odsłaniała srebrny krzyż na grubym łańcuchu. Oczy Morosińskiego były głębokie i ciepłe, jakby widział całe cierpienie świata, a jednak nie stracił wiary w ludzi. Mimo to, a może właśnie dlatego, Karolowi niezbyt się podobał. Pytał siebie o jego kolor.

Morosiński poprosił Lidie, żeby zrobiła parę kroków. Przypominała linoskoczka, któremu wytrącono kij pozwalający

zachować równowagę. Pociemniała aura przylegała do skóry.

– Proszę mi wierzyć, to jeszcze nic takiego – rzekł Morosiński.

Poprosił, żeby się położyła na wznak i uniosła chorą nogę. Uderzenie w piętę wywołało snop purpurowych iskier. Lidia krzyczała.

– A jednak się pani zaniedbała. Ale jak mówię, problemu nie będzie. Tylko trochę zamieszania. Zrobimy wyniki, wypiszę skierowanie na morfologię krwi i moczu. Sprawdzimy białka i zrobimy test Waalera-Rosego, a zaczniemy sobie od rentgena. Jestem pewien, że wykaże zagęszczenie warstwy podchrzęstnej.

– Co to dla mnie znaczy? – zapytała Lidia.

– Jeśli moja diagnoza się potwierdzi, a raczej tak będzie, poleży pani w szpitalu maksymalnie tydzień. Za to rehabilitacja trochę potrwa. Pacjent z endoprotezą uczy się wszystkiego na nowo, prawie jak dziecko.

– W istocie. Stary człowiek cholernie dziecko przypomina.

Jaki jest twój kolor, sukinsynu, myślał Karol. No jaki? Wyobraził sobie aurę Morosińskiego na podobieństwo węzowej skóry narzuconej na plecy. I tyle.

Widział tylko aury ludzi, których kochał.

9

Maile przestały przychodzić wiele tygodni temu, a telefon milczał i Karol zaczął sam wydzwaniać, najpierw po znajomych, potem nieznajomych, aż wreszcie wybierał numery jak leci, po wszystkich znanych mu redakcjach i wydawnictwach. Zawsze słyszał to samo – jest mniej roboty i mniej pieniędzy. Odłożył aparat pod monitor i tylko co chwilę na niego zerkał.

Zamieścił ogłoszenie. Na studiach napisał trochę licencjatów i prac zaliczeniowych. Uznał, że może do tego wrócić. Sformułował je

niejasno, tak aby nikt się nie przyczepił. Natychmiast pożałił się Nice, że zrobił błąd. Ci durnie, niezdolni do sklecenia zdania, po prostu nie rozumieją. Zdaniem Niki mógłby poszukać sobie prawdziwej pracy. Zaraz zapytał, na czym taka prawdziwa praca polega, czym się różni od tego, co wykonuje teraz.

– Z prawdziwej pracy są prawdziwe pieniądze – odrzekła. Karol obruszył się w swoim kącie, więc uklękła przy nim i dodała, że doskonale go rozumie, bo przywykł do wygodnego życia, które trudno porzucić.

– Mógłbym pracować w barze, tylko to noce. Nie każda, wiadomo, ale jednak.

– To jest prawdziwa praca twoim zdaniem, kocie?

– Przecież ja nic nie umiem. Mógłbym spróbować z lektoratem, ale to od września.

– Naprawdę nie ma letnich kursów?

Za plecami Niki wyrosła ciotka. Dokuśtykała do krzesła. Powiedziała, że nie pozwoli, aby Karol, którego w końcu wykształciła i wprowadziła w dorosłość, polewał wodę pijakom o czwartej nad ranem. Nie od tego jest. Nika odparła, że zabrakło zleceń i nic nie wskazuje na to, że znów się pojawią. Ludzie są tacy głupi. Lidkę zważyło na krzesło:

– Potrzebujecie pieniędzy? Przecież ja mam pieniądze, Chryste Panie!

– Tu nie chodzi o pieniądze.

– A o co niby? Mielicie o jednym, w kółko Macieju, monetki, banknociki, jakby mnie nie było albo wam nie starczało. Karol za barem! Dobrze sobie. On ma trzydzieści lat!

Karol słuchał i się nie odzywał. Bębnił w obudowę telefonu i śledził wzrokiem czerwony język pełznący w górę nogi Niki. A

Nika wpijała paznokcie w dzinsy i mówiła, że w normalnej pracy nie ma nic złego i jej znajomy został ankieterem, choć miał już czterdzieści trzy lata, dwoje dzieci i problemy z sercem. Ciotka pozostawała nieprzejednana.

– Nikt w tej rodzinie nie będzie pracował za barem.

– Czemu na to pozwalasz? – Nika potrząsnęła Karolem. – Powiedz coś! Opieprz ją, opieprz mnie, zrób cokolwiek. Chcesz pracować w pieprzonej knajpie czy zaciskamy pasa? Karol, człowieku, weź się ogarnij!

Karol nie odpowiedział. Wbił wzrok w telefon, a Nika pchnęła go mocniej, jakby chciała obalić na ziemię. Pojaśniała i była nieostra. Kobiety przekrzykiwały się, w pokoju zbierało się na burzę. Zaburczał telefon.

Odebrał i rozmawiał przez chwilę, zatykając palcem drugie ucho. Rozłączył się i uśmiechnął. Nika siedziała już spokojnie. Wyjaśniała, że po prostu się troszczy. Karol nałożył słuchawki i podkreślił dźwięk.

10

Dziewczyna zaprosiła go do stolika na zewnątrz knajpy i powiedziała, że poznała go po torbie dziwnie przerzuconej przez ramię. Zapytała, czego się napije. Wybrał pepsi. Miała ogromne drewniane kolczyki, oczy sowy i włosy barwy sosny. Rozmawiali chwilę o tym, że ludzie w takich sytuacjach rozpoznają się po byle czym. Trzeba dobrze patrzeć, powiedziała, i Karol dostrzegł, że brakuje jej dwóch palców w prawej dłoni.

– Gap się, jeśli musisz – rzuciła. – Wszyscy próbują najpierw nie patrzeć, potem i tak patrzą, na koniec im przechodzi. Brat zmiażdżył mi dłoń, jak miałam cztery lata. Już, wystarczy? O co chcesz jeszcze zapytać?

Karol przeprosił i chciał odejść, ale Trzecia powiedziała, że żartowała. Rył obcasem żwir. Pod parasolami Żywca garbili się niepewni siebie zakochani. W bramie obok sprzedawano ładowarki i kart-

ridże do drukarek. Karol rzekł wreszcie, że po co tak się spinać, przecież nie będą razem robić bomby.

– Nie znasz pana Fałdy i dlatego spotkałam się z tobą tutaj. Najlepiej nie odzywaj się niepytany i pod żadnym pozorem nie żartuj. Nie wspominaj, że podoba ci się dom. Dom nie podoba się nikomu. Jak wejdziemy, zdejmij buty. Daj mu dokument, jeśli o to poprosi, a poprosi, możesz być pewien. W taksówce rozważaj znaczenie słowa „szacunek”. Potem wyobraź sobie, że jesteś w kościele. Uszy do góry, zarobisz sobie kupę kasy.

– Niezbyt przepadasz za tym facetem, co nie?

– Za Fałdą? Ja pana Fałdę normalnie uwielbiam, poza tym te instrukcje są od niego. Pan Fałda ma wysoko wykształconą samoświadomość, ale o tym również lepiej mu nie wspominaj.

Za żywoplotem samochodu poruszały się zrywami, a przechodnie powoli i ospale, przystając co chwilę jakby w zdziwieniu, gdzież to się znaleźli. Niektórzy zawracali, wpadając na innych. Walizki przejeżdżały po nogach. Karmelicką, na skos, przeciął dostarczyciel pizzy, odprowadzany przez klaksony i pomrukiwanie starców. Trzecia zapytała, czy jest gotów, potem się nie wycofa. Karol powtórzył, że nie umawiał się na robienie bomby, a Trzecia po prostu cisnęła pięćdziesiątkę na biały blat i wstała. Przystanęła na skraju ogródka, zapytała:

– Idziesz czy nie?

Trzecia powiedziała, że jest leworęczna, w czym widzi szczególną ironię losu. Fałda specjalnie dla niej kupił furę z automatem, choć sam ich nie znosi, jego zdaniem automat odbiera sens prowadzenia samochodu. Popędzili ulicami, a Karol myślał o tym, na co się zgadza i kim jest ta dziewczyna.

Minęli wysokie bloki na Widoku i skupiska domów dwurodzinnych nieco dalej. Przez jakiś czas kierowali się w stronę Zabierzowa. Trzecia brała ostre zakręty i Karol już nie wiedział, gdzie jest. Zdjął sweter, koszula lepiła mu się do pleców. Chciał, żeby Trzecia skrzyła klimę, ale nie umiał o to poprosić. Wpadli w zagajnik, wieś i gęsty las, gdzie pnie naznaczono białą farbą. Stara droga zmieniła się w nową i Trzecia powiedziała, że pan Fałda wyremontował odcinek szosy do siebie i chce remontować dalej.

Mur przed nimi, z bramą otwierającą się do środka, mógłby okalać więzienie. Na parkingu każde miejsce oznaczono imieniem. Po ogrodzie włączyły się bażanty, stada kaczek taplały się w zielonych oczkach wodnych. Pałac wyrastał z białej skały, obsypany przez wieżyczki, łukowate okna i balkoniki, na których z trudem zmieściłby się człowiek. W plątaniu spadzistych dachów zagnieździł się wielki taras z basenem. Trzecia odebrała Karolowi telefon, a torbę kazała zostawić w samochodzie.

W korytarzu siedział milczący olbrzym, jego towarzysz prostował sztangę w sali treningowej widocznej na końcu bocznego korytarza. Na dywanie wiły się złote żyłki, a przy ścianie stały różowe i seledynowe wazy, nad którymi krzyżowały się szable, topory i buzdygany. Trzecia prowadziła go długo przez kolorowy labirynt, jakby chciała, żeby zgubił drogę.

Pokoje podporządkowano porom roku. W zimowym na białym blacie stał komputer Apple'a, lato kazało oblec meble żółtawym

pluszem i otwarło przeszklony dach na słońce. Mijali śniadych, młodych ludzi w spodniach dresowych i ich jaśniejszych kolegów przelewających red bulle do ciężkich szklanek. Grała rzewna muzyka i Karol próbował wypatrzeć gdzieś źródło dźwięku. Na szklanych ławach leżały czarne przedmioty o opływowych kształtach, których przeznaczenia nie umiał rozpoznać.

Trzecia wskazała mu łazienkę i kazała dokładnie umyć ręce. Gapił się w lustro, zachodząc w głowę, czy ktoś go obserwuje. Kręcone schody ze srebrną balustradą poprowadziły ich przez korytarz, gdzie – dla odmiany – nie było nic, tylko drzwi na jego końcu.

Gwar z dołu tu nie docierał i Karol słyszał bicie własnego serca, po raz drugi w życiu.

12

Pan Fałda, samozwańczy cygański książę, przyjął go w gabinecie ogołoconym ze wszystkiego, jeśli nie liczyć biurka i prostego skórzanego fotela, jednego z tych, na których zazwyczaj siadają wiceprezesi małych i średnich przedsiębiorstw. Okno wychodziło na wielki staw z muszlą koncertową. Fałda miał lniany garnitur, złotą klamrę wokół grubego nadgarstka i zwał tłuszczu na karku. Karol ruszył mu na spotkanie i poczuł gwałtowne szarpnięcie za ramię. Przez podłogę biegła błyszcząca szyna, której nie mógł przekroczyć. Pan Fałda przywitał się na siedząco:

– Wszyscy, których znam, martwią się rzeczami niewartymi zachodu. Pieniądze, dzieci, rodzice, interesy, zdrowie, Bóg, wykształcenie, przyszłość. Źle robią. Bardzo źle. Jedyne, co powinno zaprzętać nam głowę, to czas. Pieniądze można zdobyć i pan kupi sobie wszystko. Nawet Boga pan kupi. Jeśli zechcę, mszę

odprawi mi arcybiskup. A potem odpuści mi grzechy. Jak pan sądzi, Bóg chyba liczy się ze zdaniem arcybiskupa?

Mężczyzna przy każdym zdaniu robił pauzę i wbijał w Karola oczy, ogromne i nieruchome, jakby naprawdę chciał sprowokować go do odpowiedzi.

– Tylko czasu nie można kupić. Dzień ma zawsze tyle samo godzin. Ale płacimy za czas. Z roku na rok więcej. Płacimy za czas, ale nie zdołamy go kupić. Zastanawiam się, na czym to dokładnie polega, i ciągle nie wiem. Wiem za to, że choć nie mogę kupić swojego czasu, mogę kupić pański. O tym właśnie rozmawiamy. Ile pan chce za swój czas?

Trzecia natychmiast odpowiedziała za niego, dwadzieścia tysięcy złotych w trzech nierównych ratach, tak jak było uzgodnione. Karol zachwiał się nad szyną.

– Dam panu czterdzieści pięć tysięcy, żeby raty były równe i żeby pan się postarał. Pan się zapyta, na co mi papierek? Na nic, miły panie. Mężczyzna powinien kończyć to, co zaczął. Nigdy nie wolno panu zapominać, skąd pan jest, bo tylko tak pan się dowie, po co pan jest. Moja rodzina przyjechała z południa. Wyprawa Ottona to było coś, myśmy o tym sobie cały czas opowiadali, poszedłem na studia, bo Otto, skończyłem studia, bo Otto, i teraz, po latach, Otto mnie prześladowuje dalej. Nie rozumiałem, czemu go nie znacie, przecież on jest wasz, chociaż niemiecki. Książę Otto. – Fałda wstał i podszedł do okna. – To on łączy nas wszystkich: rycerz, święty, poszukiwacz Boga. Tylko się uczyć, proszę pana. I pan dla mnie o nim napisze, tak jakbym ja sam to napisał. Bo nie kupuję pana pióra czy wiedzy, tylko pana czas. Pani Iwono, pani da panu teczki, pieniądze i dopilnuje, żeby robota była zrobiona. Żegnam.

Trzecia odciągnęła Karola w stronę wyjścia. Zastanawiał się, czy to Fałda obciął jej palce. Głupota. Opuścili dom, wieże rzucały głębokie cienie, jakby wieczór miał nastąpić wcześniej, w środku dnia. Trzecia wydobyła z bagażnika torbę pełną skserowanych książek. Podała mu kopertę pełną stuzłotówek. Obracał ją w mokrych dłoniach przez całą drogę z powrotem na Karmelicką. Trzecia nie spytała, czy chciałby pojechać gdzie indziej, a on nie odważył się poprosić.

Gdy się zatrzymali, wepchał je tam, gdzie będą bezpieczne. Trzecia odjechała bez słowa. Został na ulicy z torbą z kserokopiami i plikiem stuzłotówek w bokserkach.

13

Okna szpitala wychodziły na drzewa. Zapytał, gdzie leży Lidia Lipieńska. Idąc ku niej, wzbudził pomruki współleżących kobiet. Wokół głowy ciotki drżały płomyki. Na nodze tysiące czerwonych mrówek łączyły się, rozdzielały i przenikały się nawzajem. Usiadł i z zadowoleniem chłonał rytm szpitala, z pigułkami miarowo krążącymi od sali do sali na podobieństwo strażników doglądających skazanych na śmierć.

Lidia obudziła się tylko raz, gdy już wychodził.

– Uważaj. Ta obok kradnie czekoladę – powiedziała i natychmiast zapadła w sen.

Tego wieczoru poszedł sam do knajpy, napić się i pomyśleć. Ładna dziewczyna zapytała, czy postawi jej drinka, ale odmówił.

14

Karol przygotował sobie stanowisko pracy – odpiął monitor i usiadł na kanapie z laptopem na kolanach. Na około siebie porozkładał papiery. Nice niezbyt podobało się to zawłaszczenie przestrzeni, lecz obiecał jej, że skończy tak szybko, jak to możliwe,

i pokazał rozpiskę. Planował zdążyć w dwa miesiące i poprosił, aby mu nie przeszkadzano. Lidka, okrzepła po pobycie w szpitalu, uznała ten układ za uczciwy i obiecała trzymać Jasia z daleka. Nika nie powiedziała nic.

Najpierw sprawdził Fałdę, ale internety wiedziały o nim niewiele. Pochodził z Bułgarii, skąd trafił do Polski, stąd zaś pojechał do Niemiec, gdzie przeszedł drogę od robotnika niewykwalifikowanego do prezesa firmy budowlanej. Potem sprowadzał fasolkę z rodzinnego kraju do Polski, w Polsce się ożenił, rozwiódł, zbudował hotel i go utracił, gdy bank cofnął kredyt. Podniósł się i teraz ma kilka hoteli, stadninę koni, jakieś salony samochodowe i kilkanaście spraw w sądzie. Karol długo spoglądał na jego fotografię. Poprawił słuchawki i zabrał się do roboty.

Ciotka przykuśtykała z pytaniem, co chce na obiad i o której planuje przerwę. Było mu wszystko jedno. Zjadł więc o trzeciej i wrócił do czytania. Ledwo skończył pierwsze zdanie, Lidka przyniosła mu herbatę i ciastko. Stała z tyłu i położyła dłoń na jego ramieniu. Gryzł wargi. Co kilkadziesiąt minut przepraszała, chciała wiedzieć, czy czegoś nie potrzebuje, i odpełzała w głąb korytarza. Po późnej kolacji przystanęła w progu, pokręciła głową i powiedziała Karolowi, że jest bardzo dzielny. Położył się późno. Długo nie mógł zasnąć.

Rano poprosił Lidkę, żeby zostawiła go w spokoju. Usłyszał, że tak się stanie. Ciotka jednak dalej donosiła herbatę, kawę i słodczyce, dopytywała, co by tu zrobić na obiad, co dodałoby mu sił. Mijały dni. Janek krzyczał, że nie może oglądać telewizji, więc Karol zmienił stanowisko, obrócił się plecami do drzwi i telewizora. Nie mógł już oglądać gołych pańienek, słuchał muzyki

najgłośniej, jak się dało, i czasem, kiedy zerkał za siebie, widział rozmawiające Nikę i Lidię. Nad ich głowami szarpały się aury. Cieszył się, że słyszy hałas bez żadnych słów.

Po tygodniu, późnym wieczorem, Lidka zjawiała się z wielkim talerzem z białą czekoladą, marcepanem i ciastem truskawkowym. W drugiej dłoni, zamiast laski, trzymała kubek z herbatą. Suwała stopami, jedna odrobinę przed drugą. Karol zdjął słuchawki i przepełniony bólem jęk dotarł do niego głośno i wyraźnie. Lidia zatoczyła się na ścianę. Gorąca herbata oblała jej nogę, talerz trzasnął o parkiet.

Ciotka próbowała się podnieść. Karol objął ją, zaprowadził na fotel. Pozbierał szkło i słodkości.

15

Wybrał niewielką kawiarenkę na Wielopolu. Lidce powiedział, że tam także mają ciastka. Przeciął Halę Targową, Dietla, ominął staruszki zmierzające do centrali jedyne go czysto polskiego banku i już był na miejscu. Zamówił kawę i zapytał, czy może tutaj pracować, jeśli zamówi coś raz na jakiś czas. Barman zareagował wzruszeniem ramion i zgodził się, by regulowali rachunek pod koniec dnia. Karol wybrał miejsce w rogu sali. Miał lustro za plecami, czego żałował. Przynajmniej praca pójdzie szybciej, powiedział sobie.

Pracownicy banku wpadali na kanapkę i espresso. Mieszali się z innymi klientami i przekazywali pozdrowienia skinieniem głowy. Młodzi w grubych oprawkach okularów i w tanich marynarkach narzuconych na markowe podkoszulki spoglądali w cienkie ekrany laptopów, przy których komputer Karola przypominał cegłę posmarowaną smołą. Kiedy przeczytał wszystkie materiały, zaczął wreszcie pisać. Na początku szło ciężko, ale szybko złapał rytm.

Słowa gładko spływały spod palców, choć Karol wciąż nie mógł uwierzyć, jaka historia mu się przytrafiła i o czym ma napisać.

Co chwilę unosił głowę i przez mgłę z elektronicznych papierosów patrzył przed siebie na słuchawki wielkie jak nauszniki, zegarki ładując podobne do tych elektronicznych sprzed dwudziestu lat, a wreszcie i na Trzecią. Kiedy weszła, miała minę, jakby spodziewała się go zastać. Trzy ocalałe palce oplotła na pasku torby.

Pozwolił jej się przysiąść i zapytał, czy jest śledzony. Nie odpowiedziała, nie chciała też słyszeć, jak mu idzie z pracą. Porozmawiali chwilę o księciu Ottonie, ale gdy zagadnął o pana Fałdę, Trzecia znów zamknęła się w sobie. Głośno zastanawiała się, dlaczego ludzie są, jacy są, na przykład ci tutaj. Nic nie wiedzą o życiu. Niczego nawet nie próbują zrozumieć i myślą, że wszystko im się należy. Potem wracają do mamus i zrezygnowanych ojców, którzy przynoszą im herbatę i ciastka do małych pokoików, gdzie na ściany powróciły stare plakaty. Karol odparł, że ludzie się zmieniają i dojrzewają, a Trzecia wytrzeszczyła oczy, jakby palnął jakieś głupstwo. Zaraz zapytała o Jasia i chorobę Lidki, nie wymawiając jednak ich imion. Nim Karol zdążył się zastanowić, skąd ona to wie, udzielił odpowiedzi.

Zaczął mówić o swoim życiu. Nigdy wcześniej o tym nie opowiadał. Wspomniał pierwsze lata w Krakowie, kiedy studiował, zajmował się dzieckiem i próbował jakoś odnaleźć się pomiędzy kobietą starą i młodą. W końcu się udało. Potem odkryli, że Jasiek jest chory i że nigdy nie wyzdrowieje. Zaczął pisać tylko dlatego, że łatwo mu to przychodziło i mógł pomagać zajmować się synem. Wtedy wydawało mu się, że praca tłumacza była, jest i będzie. Nie przewidział, że wkrótce książki będą za darmo, a czytelnicy, ocaleli

z cyfrowej rzezi, sami nauczają się angielskiego i zaczęły kupować na Amazonie.

Wyznał, że żałuje, bo gdyby nie pogoń za szmałem, mógłby skończyć studia z lepszym wynikiem i zostać na uczelni. Rzekł, że także byłby doktorem, a Trzecia zwróciła uwagę, że nie powinien mówić tak nawet w żartach. Zapytała, czy ma ochotę na piwo. Jedno nie zaszkodzi, potem wróci do roboty.

Wypili po trzy i Karol wyznał, że rodzina jest jednocześnie jego największym szczęściem i przekleństwem, gniecie go i trzyma w kupie. Trzecia odparła, że kiedyś będzie musiał się zdecydować, co jest ważniejsze, on czy oni. Przeszli do klubu Re, gdzie był ostatni raz jakąś dekadę temu, strzelili parę wódeczek i nim Karol się obejrzał, wylądował w innej części rynku, na jakimś piętrze i pomarańczowej kanapie. Dzielili ich tylko poduszka ustawiona bokiem.

Nieco bełkotliwie usiłował dowiedzieć się, kim jest Trzecia i co właściwie łączy ją z Fałdą. Odpowiedziała, że pracuje dla niego od dawna. I tyle. Potem pomogła Karolowi zejść ze schodów, zadzwoniła po taksówkę i wcisnęła pięćdziesiąt złotych w rękę. Fałda płaci, Fałda chce, żebyś był zadowolony, usłyszał i uświadomił sobie, że tego dnia nie sięgnął po portfel. Trzecia zapytała, do której zamierza jutro pracować. Spróbował ją objąć po przyjacielsku na pożegnanie. Była sztywna i nie odwzajemniła uścisku.

Jorg Mnich drobiazgowo ujawnia okoliczności, które doprowadziły do uwolnienia księcia Ottona, zamkniętego w lochach przez własnego brata. Otto odmówił spania na łóżku i

kładł się na ziemi, bosi i ubrany w habit. Strażnik, nazywany Wieżą (przypuszczalnie ze względu na posturę), miał pełnić funkcję służącego. Okazywał mu wszelką życzliwość.

W tej części lochów, wedle relacji Jorga Mnicha, przebywało trzech innych więźniów, skazanych za rozboje. Jorg nie podaje ich imion, tylko przydomki utrwalone w legendach: Tchórz, Ślepiec i Wół. Rozmawiali z Ottonem, licząc, że znajomość z bratem władcy oddali perspektywę sznura. Ten opowiadał im o Bogu. Cała trójka stała się głęboko wierząca. Wspólnie zaplanowali ucieczkę. Życzliwy Wieża często zachodził porozmawiać z Ottonem. Księżę odwrócił jego uwagę, a wtedy Ślepiec, którego nikt by o to nie podejrzewał, wydobyl klucze z kieszeni strażnika. W ten sposób wydostali się na wolność.

Jorg Mnich twierdzi, że Otto nie chciał robić nikomu krzywdy, ale przekazy są w tej kwestii jednoznaczne. Wół pozwolił się zauważyć, Wieża ruszył za nim, a przyczajony Tchórz spuścił kamień na głowę strażnika, który ostatecznie zginął od własnego noża. Każdy z uciekinierów zadał jeden cios i musiał zanurzyć palec w krwi zamordowanego. Zrobił tak również księżę Otto. Potem wymknęli się poza mury i rozpoczęli wędrówkę.

17

Kolejny dzień pracy strasznie się włókł. Karol omal nie wpadł pod samochód w drodze do kawiarni. Oddychał płytko. Skórę wokół oczu miał delikatną i opuchniętą. Do południa gapił się w otwarty plik, przerzucał materiały, litery umykały przed wzrokiem niczym zwierzęta, które nie chcą być zobaczone. Napisał pół strony i skasował. Zjadł sałatkę serową i natychmiast poczuł się senny. Drzemał z głową odchyloną do tyłu. Zbudzony rzucił się na pisanie.

Musiał wyrobić normę. Inaczej nie zdąży, nie może stracić ani dnia.

Obiecał sobie, że posiedzi i do zamknięcia, jeśli będzie trzeba. Trzecia zjawiała się o czwartej. Usiadła bez pytania. Powiedział, że cholernie mu źle. Odparła, że nie powinien się nad sobą użalać.

Podawała mu dwie białe pastylki, nie mówiąc, co to takiego, i kazała popić podwójnym sokiem pomidorowym. Zadzwoiła po taksówkę. Pojechali. Karol dostał ręcznik, klapki i kąpielówki. W szatni, gdy się przebierał, trzęsły mu się ręce. Przez kłęby pary w saunie obserwował szczupłe ciało Trzeciej i wielki tatuaż wyobrażający stado kruków wzlatujących z przedramienia w kierunku barku. Samotny czarny ptak zagnieździł się między jej łopatkami. Karol zauważył, że musiało boleć w tym miejscu.

– Co z tego? – odpowiedziała Trzecia. – Liczy się tylko to, co jest.

W kabinie prysznic zwiślał gruby sznur, za który kazała mu szarpnąć. Na Karola chlusnął kubeł zimnej wody. Wrzasnął. Trzecia skarciła go spojrzeniem. W szatni omal nie zasłabł. Trzecia czekała w barku z podwójnym espresso i przypomniawszy, że jego dobre samopoczucie leży w interesie pana Fałdy. Potem poszli na wino. Maszerowali daleko od siebie, tak aby nikt Karola nie zobaczył z obcą kobietą.

Kronikarze w rodzaju Christbalda z Buchwaldu, Percivala Jednorękiego i Jorga Mnicha zgodnie utrzymują, że Otto i jego towarzysze wyruszyli do Aleksandrii walczyć z mamelukami. Ich świadectwa różnią się odnośnie do czasu trwania tej wędrówki – Christbald wspomina o siedmiu, Jorg i Percival o

dwunastu latach. Po drodze mordowali pogańskich kapłanów i wbijali wielkie drewniane krzyże w miejscach spalonych gontyn. Utrzymywali się z zabijania potworów. Uwalniali wioski od diablików, mamun i warcholaków, pokonali także smoka żerującego w pobliżu Budy. Książę Otton czynił tak na chwałę Bożą, jego towarzysze szukali źródła zarobku. Szczególnie Ślepiec interesował się pieniędzmi. Christbald wspomina, że ciągnął za sobą osła objuczonego złotem i w ten sposób spowalniał towarzyszy.

Dotarli do Wełtawy, ale nie mogli przeprowić się na drugi brzeg. Zdaniem mieszkańców ogromny wąż zniszczył most, pożerał okręty wraz z ładunkiem, a gdy te przestały płynąć, zadowalał się rybackimi łódkami. Mieszkańcy okolicznych wiosek zaczęli głodować. Organizowano procesje, żeby przebłagać potwora. W niektórych miejscach zdaniem Jorga Mnicha powrócono do pogańskiej praktyki składania ofiar z ludzi. Późniejsi historycy (m.in. Brygida Kubis, Bronisław Turoń) są zgodni co do źródeł legendy, upatrując w niej echa wysokiego myta, jakim król Węgier obłożył transport rzeczny.

Książę Otto i jego towarzysze zgodzili się zabić potwora. Ślepiec, będący skarbnikiem grupy, pobrał od miejscowych opłatę. Nocą Otto obwiązał się sznurem i bardzo ostrożnie przepłynął na drugi brzeg. Tam przywiązał linę i czekał. Ślepiec, Tchórz i Wół przywiązali drugi koniec sznura do łódki. Kronikarze mają różne zdanie odnośnie do jej zawartości. Christbald z Buchwaldu utrzymuje, że dno łódki wypełniały noże, miecze, topory, groty i inne ostre narzędzia. Jorg Mnich widzi tam ołowiane sztaby, z kolei Percival Jednoręki pisze o

krowie napchanej jadem i siarką. Niemniej pozostają zasadniczo zgodni odnośnie do dalszego przebiegu wypadków.

Na umówiony sygnał książę Otto zaczął zwijać linę i łódka powoli popłynęła w stronę drugiego brzegu Wełtawy. Na środku, tam gdzie było najgłębiej („z otchłani sięgającej piekieł”, jak pisze Percival) wynurzył się wąż i połknął łódkę razem z zawartością. Zdaniem Percivala i Jorga Mnicha wody rzeki natychmiast wezbrały i nastał sztorm, „gorszy i straszliwszy niżli burze morskie, wyobrażone i niewyobrażone” (Percival). Z kolei Christbald utrzymuje, że Wełtawa pozostała spokojna. Wszyscy jednak piszą, że o świcie martwy wąż wypłynął białym brzuchem do góry.

W uczcie wydanej na cześć zwycięzców udział wzięła tylko połowa z nich. Książę Otto modlił się cały dzień w kościele. Ślepiec poczekał, aż wino uderzy wszystkim do głowy, wymknął się i w innej łódce podpłynął do martwego potwora. Rozpruł mu brzuch i zaczął przeszukiwać wnętrzności. Pamiętał, że wąż połykał statki razem z zawartością. Znalezione złoto i kosztowności wrzucał na dno łodzi, rzeczy szczególnie cenne chował do kieszeni. Nie potrafił przestać i w końcu rozciął cały żołądek. Christbald pisze, że „krew lśniąca na ciele uczyniła go do diabła podobnym i tako stał się tym, z czym toczył zmagania”.

Gdy Ślepiec skończył, spróbował wrócić do brzegu, ale przeciążona łódka poszła na dno. Mężczyzna popłynął wpław. Zapomniał o kieszeniach pełnych złota lub za późno zaczął je opróżniać i utonął. Otto pragnął go pochować, ciała jednak nie znaleziono.

Nika czytała książkę na podłodze, otoczona przez pudła rozpakowane i nierozpakowane, kieliszki, filiżanki, białe spodki i otwartą butelkę wina. Karol równie dobrze mógłby przytulać mokry kamień.

– Och, daj sobie spokój – poprosiła.

– Czemu tak mówisz?

– Powinniśmy przeprowadzić się wcześniej. Ledwo ciotka wróciła do domu, to zaczął się cyrk z wracaniem do zdrowia.

– To nie była tylko moja decyzja.

– A czyja? Ja bym wyfrunęła ze trzy lata temu. Powiem ci jedno. Powinniśmy mieszkać sami od początku. Byłoby ciężko. Ale.

– A kto pomagałby nam z Jasiem?

– Znowu z tym Jasiem! – załkała. – Przepraszam. Wiesz, jak ja się czuję z tą starą pijaczką? A jak on? Może dlatego jej nie lubi?

Zabrała się do rozpakowywania szklanki, ale papier nie chciał zejść.

Karol przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Na razie możecie się tu przenieść we dwoje z Jaśkiem. Będę wpadał i go przejmował. Jak się tak zastanowić, ciotka rzeczywiście będzie potrzebowała pomocy – rzekł, a Nika upuściła szklankę. Patrzyli na rozbite szkło. – To jest ta chwila, kiedy mówisz: „Patrz, co zrobiłeś” – rzucił lekko. Przez aurę próbował dostrzec jej uśmiech.

– Czemu nie możesz być... A zresztą rób, jak chcesz.

Pozbierał szkło, przetaił parkiet. Nikę zastał w łóżku. Po raz pierwszy od dawna przysięgłby, że błękit przenika go do kości. Położył się, dotknął żony owiniętej w kołdrę. Udawała, że śpi – blask rozpalał jej głowę. Westchnął, naciągnął kołdrę na oczy. Nie lubił zasypiać przy świetle.

– Pomóż mi, córeczko.

Lidia ruszyła w długą wędrówkę na trzecie piętro, zobaczyć ich nowe mieszkanie. Wspierała się o Nikę i poręcz zdobioną w rdzewiejące kwiaty. Karol trzymał się z tyłu. Na półpiętrze Lidia zerknęła na skwerek przy śmietniku i powiedziała, że można by tam zrobić huśtawkę. Nikt się nie odezwał. Poszli dalej. Czerwone jęzory lizały sufit, błękit przyczaił się.

Z mieszkania na górze wyłoniła się młoda dziewczyna z kolczykiem pod wargą. Wyhamowała na widok kobiet blokujących przejście. Westchnęła. Wbiła wzrok w sufit. Pogrzebała w torebce. Dwie smugi, czerwona i błękitna, trzepnęły ją jednocześnie. Zbiegła, gdy tylko zrobiło się miejsce. Za nią na korytarz wypełził sąsiad Faron.

– Państwo się wprowadzają? Jak i ja. Właściwie to raczej bywam tutaj. Jakbyście czegoś potrzebowali...

– Długo już pan tu mieszka? – zapytał Karol.

– Dopiero co się wprowadziłem.

– Niech zgadnę. Marketing?

– Jeszcze gorzej. Doradztwo finansowe. – Sąsiad Faron podał wizytówkę.

– Swoją drogą pan nie wygląda.

– Dzisiaj nie wyglądam na nikogo. – Zamknął drzwi.

Lidia zaczęła trajkotać: skurkowaniec jeden, zrobił sobie dziuplę na panny z Rynku Głównego, Jasiek się naogląda, i co? I dobrze. Ważne, że nie pedalicho.

Mieszkanie składało się z jasnej kuchni, trzech dużych pokoi i jednego małego. Lidia chodziła wzdłuż ścian i zastanawiała się, jakie meble będą tu pasowały.

– Za bardzo chcesz się pokazać – powiedziała Nice. – Myślisz o gościach, a nie o was. Teraz są firmy designerskie. Zapłacę, jak trzeba. Co, mam pieniądze zabrać do grobu?

– Z kolejną pożyczką zostaniemy bez grosza, jeśli tylko któryś z nas znowu zachoruje.

Już na korytarzu zapytała, kiedy się wprowadzają i czy wybrali firmę przewozową. Zastanawiała się, jak zadbać o to, żeby Janek natychmiast poczuł się dobrze w nowym miejscu. Janek jest najważniejszy, bo szczegół znaczy dla niego tak wiele. Wystawiła nogę ponad stopień, jak nad rzeką, jakby sprawdzała, czy woda nie jest za zimna. Zastygła. Z piersi Niki wystrzelił snop światła. Uderzył Lidię w środek pleców. Lidia spojrzała za siebie, zdziwiona.

Faron, wywołany łomotem, pomógł Karolowi znieść ciotkę na dół, gdzie po chwili podjechała karetka.

21

Doktor Morosiński zmrużył dobre oczy. Powiedział, że złamanie nie jest groźne i Lidia się wyliże. Zalecił ruch.

– Nie chcemy zakrzepicy ani odleżyn – rzekł.

22

Karol nie pamiętał, kiedy ostatni raz pracował od rana. Dziś znów przyszedł do kawiarni po pierwszej, wypił kawę i wbił wzrok w ekran, jakby plik z tekstem mógł się zapełnić od samego patrzenia. Myślał o Trzeciej i o pracy. Musi od jutra przyspieszyć, a żeby przyspieszyć, powinien się wyspać. Żadnych kłótni w domu. Pomyślał też, że mógłby znaleźć trzech studentów, zlecić im napisanie doktoratu w częściach i zapłacić połowę tego, co wziął. Ale nie miał już pieniędzy, urządzenie mieszkania wyssało z niego wszystko.

Trzecia zabrała go jak zwykle na Szewską. Stary ochroniarz już ich rozpoznawał, ale było tam piéterko, gdzie mogli się skryć przed wzrokiem innych. Schodzili na zmianę do baru i rozmawiali o czymkolwiek, byle nie o panu Fałdzie. Karol przypominał sobie młodość i bał się, że powie coś o byku i Trombku. W końcu westchnął i rzekł, że już nie daje rady. To po prostu za dużo, mieszkanie, kłopoty z Jasiem, choroba Lidki, zimna Nika. Ja ją kocham, rzekł.

– Skąd wiesz?

Zastanowił się chwilę i odparł, że tak ma, po prostu ludzi, których kocha, widzi nieco inaczej, jakby pełniej, ale nie potrafi wytłumaczyć, na czym to dokładnie polega. Trzecia chyba zorientowała się, że nie mówi całej prawdy, i odpowiedziała po prostu, że to jego wina. Sam sobie ten bałagan ściągnął na głowę.

– Nieprawda – odparł Karol. – Nika była kiedyś inna, i Lidka też. Tylko Jaś jest taki sam.

– Nie przyszło ci do głowy, że ludzie się zmieniają? Poza tym, kto wie, może są ciągle takie same? – Pocałowała go, jakby chciała odgryźć mu wargi. – Tobie się wydaje, że wszystko udźwigniesz. Nie żeby zaraz brać na klatę, ale po prostu ciągnąć za sobą wszystkich. Krok po kroku. Tak, jesteś winny. Odpowiadasz za siebie i tylko za siebie.

– Za syna też. A ciotka mnie wychowała.

– Odbuduj swoje własne życie, a potem zajmij się synem. Potrzaskany mu nie pomożesz. Autystycy czują takie rzeczy. Swoją drogą nie wpadłeś na to, że ciotka choruje specjalnie?

– Łamie sobie nogi? Na własne życzenie?

– Coś w niej tego chce. Zdarzają się takie historie. Oni wszyscy w ogóle mnóstwa rzeczy chcą od ciebie. A czego ty chcesz? –

zapytała. Karol nie udzielił odpowiedzi. – Pewnie nie wiesz. A czego ci brakuje?

Próbował ją zbyć. Poprosił, żeby przyniosła drinki, a gdy wróciła, powiedział, że trawa jest zawsze bardziej zielona po drugiej stronie rzeki. Trzecia się zaśmiała. Rzekł więc, że gdy był młody, pragnął dorosnąć, teraz – jak dorósł – tęskni za tym szczeniakiem, który zniknął. Liczył na nowe mieszkanie, ono miało coś zmienić. W milczeniu wypili jeszcze parę drinków, Karol krwawą mary, ona margaritę. Powtórzyła pytanie i Karol wykrztusił, że kiedyś pieprzył się z żoną jak królik i żona bardzo mu się wciąż podoba. Skończyły się jednak czasy, kiedy brała do ust i zanurzała ręce w spodniach, gdy wieczorem, we dwoje, oglądali telewizję.

– Zawsze chodzi tylko o to. – Trzecia zeszła po schodach i zniknęła w drugiej sali. Nie wracała. Skończył mu się drink. Stanął w przejściu i zobaczył, że Trzecia wypija przy barze kolejne wódki. Zawrócił na miejsce, zastanawiając się, czemu jej o tym powiedział. Wkrótce wróciła na piętro i przeprosiła, że długo jej nie było. Pocałowali się. Trzymał ją za kark.

– Jestem tu dla ciebie. Czego chcesz? – zapytała.

– Chcę iść do domu.

23

Nie napisał ani zdania i cały się trząsł. Przed czwartą złożył komputer i schował papiery. Czekał przed kawiarnią. Torba przyciągała go do ziemi. Niósł też inny ciężar. Trzecia przyszła punktualnie i wyglądała na zaskoczoną. Nie widział jej takiej wcześniej. Powiedział, że nie potrafi jej dalej trzymać na dystans, a doktorat pana Fałdy jest w lesie i będzie źle, jeśli Karol czegoś z tym nie zrobi. Musi się skupić na swoim życiu, rozsupłać problemy

domowe. Nigdy nie spotkał takiej dziewczyny jak ona i nie przypuszczał, że przydarzy mu się coś takiego.

Trzecia miała czarną kurteczkę z miękkiej skóry i ciemne okulary, upodabniające ją do muchy, które zdjęła, gdy mówił. Była bardzo spokojna i Karol poczuł ulgę, że mu się udało.

– Dobrze. Zadzwoń do mnie, gdy skończysz. Jeśli nie, po miesiącu ja zadzwonię. Nie dlatego, że chcę. Chce tego pan Fałda.

Odeszła w stronę plant. Bardzo szybko. Karol odprowadzał ją wzrokiem. Nagle zwolniła, zachwiała się i przygięła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Natychmiast znalazł się przy niej, otoczył ramieniem. Wrywała się tylko chwilę, powtarzając, że chyba ma rację i dla niej też jest to za trudne. Odpowiedział, że nie wie już, co ze sobą zrobić.

Później, na pięterku, usiłował ją wypytać, kim jest, skąd zna Fałdę i czemu robi to, co robi, ale Trzecia w tych sprawach milczała jak zwykle.

24

Kronikarze nie są zgodni, jeśli chodzi o rejon, w którym zmarł Tchórz. Z dużym prawdopodobieństwem możemy wskazać obszar byłej Jugosławii, tereny dzisiejszej Czarnogóry, Albanii lub Kosowa (Jorg Mnich, Fryderyk Skryba), ewentualnie Grecję, o której wspomina Percival Jednoręki. Nieścisłości wynikłe z mało wiarygodnej kroniki Percivala dotyczą chronologii. Percival utrzymuje mianowicie, że Wół zginął przed Tchórzem, inni proponują odwrotną kolejność wypadków, stosunkowo zgodnie opisując okoliczności śmierci tego ostatniego.

Książę Otto i jego kompani zatrzymali się w miasteczku nad Morzem Śródziemnym. Wedle różnych źródeł mogło być to dzisiejsze Herceg Novi, Bar, Wlora, a nawet Artà, co do której skłania się większość współczesnych historyków. Otto zastał tam nędzę. Mieszkańcy wytłumaczyli mu, że to wina czarownic, które psuły żywność, zsyłały nieurodzaj na pola i niepłodność na mężczyzn. Żony bezpłodnych spółkowały z diabłem. Percival wspomina o niemowlętach z różkami i kopytami. Dzieci te zabijano natychmiast i chowano za murami miasta. Materialny ślad tej legendy – czaszkę niemowlaka z naroślą kostną przypominającą rogi – przechowuje muzeum etniczne w Stambule.

Pierwsze starcie z czarownicami kończy się niepowodzeniem – Otto, Tchórz i Wół zaczęli się w wiosce i spróbowali zabić wiedźmy poświęconą bronią. Te okazały się jednak niewrażliwe na ciosy. Miecze i strzały odbijały się od ich skóry „jako od puklerza czarcią dłonią wykutego” (Jorg Mnich) lub przechodziły przez ciała „z mgły ukrecone” (Percival Jednoręki), nie czyniąc im krzywdy. Tchórz wpadł na pomysł śledzenia czarownic i wkrótce wytropiono wzniesienie, na którym spotykały się nocą. Udali się tam przed zmrokiem i czekali w ukryciu. Mieli ze sobą wielki wór poświęconej soli.

Kronikarze podają różną liczbę czarownic (od trzech do dwunastu) i pozostają zgodni odnośnie do ich wyglądu – były stare i brzydkie, z wyjątkiem jednej, która była młoda i piękna. Wiedźmy rozebrały się do naga, natarły ziemią, paliły ognie i czyniły gusła. Powściągliwy Jorg Mnich nie sugeruje żadnych nadnaturalnych zdarzeń, natomiast pozostali wspominają o diable w postaci kozła (Fryderyk Skryba,

Christbald z Buchwaldu) bądź czarnoskórego mężczyzny, Maura (Percival Jednorożki), który zjawił się i spółkował z czarownicami, a czynili rzeczy tak potworne, że Otto nie patrzył na sam sabat, lecz na jego odbicie w ostrzu miecza.

Za radą Tchórza cała trójka rozsypała sól wokół czarownic. Te, zajęte sabatem (i diabłem, jak chcą niektórzy), nie zwróciły na to uwagi. Dopiero gdy chciały odejść, spostrzegły, że są uwięzione. Miotaly przekleństwa i rzucały klątwy, ale Otto, Tchórz i Wół zmówili modlitwę i czary nie miały do nich dostępu. Tak doczekali świtu. Wiedźmy straciły swoją moc. Błagały o życie, ale Otto i pozostali zaczęli zabijać je strzałami z łuku, nie przekraczając kręgu. Tchórz odmówił jednak zabicia pięknej czarownicy.

Otto i Wół usiłowali przekonać Tchórza, tłumacząc mu, że skazuje swoją duszę na wieczne potępienie. Tchórz zdecydował inaczej. Przerwał krąg, okrył czarownicę płaszczem i zabrał ją ze sobą, opuszczając towarzyszy. Skazał się w ten sposób na los tułacza. Żadne miasto nie chciało wpuścić wędrowca w towarzystwie wiedźmy. Nie napotykał zwierząt, na które mógłby zapolować, a „woda gniła, gdy tylko zbliżył do niej wysuszone usta” (Jorg Mnich). Wreszcie Tchórz postanowił opuścić wiedźmę i wtedy został przez nią obłożony klątwą – miał zginąć z ręki pierwszego mężczyzny, którego napotka. Pozostał zatem w lesie, gdzie żył jak zwierzę i zdziczał.

Kronikarze twierdzą, że zabił go przypadkowy myśliwy, który wziął go za demona. Percival pisze jednak, że nie był to myśliwy, ale sam książę Otto wracający do Weisenstadt. Tchórz rozpoznał go i wybiegł prosić o ratunek, lecz Otton pomylił dawnego towarzysza z diabłem leśnym i przeszył go

strzałą. Potem próbował pochować Tchórza, ale ziemia nie chciała go przyjąć. W końcu pojawiła się czarownica i zabrała ciało w leśne ostępy, gdyż – jak chce Percival Jednoręki – nigdy nie przestała kochać swojego wybawiciela.

25

Tego lata, kiedy wszystko popsuło się na dobre, Karol nasłuchiwał duchów. Regularnie, lecz niezbyt długo, najwyżej parę sekund po przebudzeniu. Zawsze wyglądało to podobnie.

Kładł się przy żonie. Nie pozwalała mu wejść pod kołdrę, ale czasem prosiła, aby się przysunął, bo miała chłodne stopy. Czekał, aż Janek zaśnie. Przykrywał Nikę i szedł na kanapę w salonie. Naciągał koc i zapadał w sen, który nigdy nie trwał długo.

Posłyszał szuranie w pokoju. Wyobrażał sobie cienie, ostre i wygięte jak kindzały albo żagle. Nieszczęśliwe istoty z innego świata wędrujące przez jego mieszkanie. Głodne, szepczące duchy o szpiczastych uszach. Ale to tylko ciotka Lidia rehabilitowała się nocą, człapiąc z kąta w kąt. Szukała drogi jak zagubiony statek. Jej twarz zawisła w drzwiach. Karol udał, że śpi.

Przed szóstą gwałtownie gasił budzik, wracał do Niki i kładł się na kołdrze. Wstawali razem. Nika przygotowywała jedzenie, Karol herbatę dla syna i kawę dla dorosłych.

26

Pojechał autobusem za Kraków, pod same Niepołomice, w odwrotną stronę niż dom pana Fałdy. Stał chwilę na przystanku, skulony pod blaszaną wiatą. Czytał napisy naniesione wodoodpornymi flamastrami. Ktoś był chujem, ktoś Żydem, a chuj to Żyd. Tu ciągle nosiło się ortalionowe dresy, bejsbolówki daszkiem do tyłu i okulary po dziesięć złotych z supermarketu.

Trzecia wysiadła z taksówki. Cmoknęła go w policzek. Poszli, trzymając się za ręce. Nikt ich nie znał.

Nad strumieniem miał upatrzone miejsce, kazał jej usiąść na zwalonym pniu i poszedł po drzewo. Kulę papieru obłożył chrustem, dodał kilka większych gałązek i podpalił. Począł, aż ogień się rozrośnie, dokładał pomalutku gałązek i opowiadał Trzeciej, jak to kiedyś palili ogniska, że się na tym zna. Skwierczały soki w gałęziach. Karol zaostrzył końcówki patyków i powiedział, że z ziemniakami będzie trzeba poczekać, aż zrobi się żar. Trzecia wyznała, że nigdy wcześniej nie rozpałała ogniska. Wydało mu się to dziwne, dziwniejsze nawet niż znajomość z Fałdą. Zapadła ciemność. Od ognia biło ciepło, na plecy spadał chłód. Karol zapytał Trzecią, jak dobrze zna Fałdę. Dodał:

– Nie obchodzi mnie, co was łączy.

– Po pierwsze kłamiesz. Nie przyszło ci do głowy, że mogłam się w nim zakochać? Dawno temu. Ale nie, nie ma żadnej tajemnicy. Po prostu nie chcę o tym mówić. Po drugie niedługo Fałda zacznie się niecierpliwić, a ja ci nie pomogę. Chciałabym. Ale jak Fałda wbije sobie coś do głowy, jest nie do powstrzymania.

– Chodzi mi o to, żeby ostatnią ratę zapłacił już teraz.

W świetle ogniska jej twarz wydawała się starsza, naznaczona przez czarne języki cieni i coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać.

– Powiedz lepiej, jak ci idzie z pracą. Daj mu coś, to porozmawiamy. Fałda nie jest zły, jeśli zdołasz go podejść. W pewien sposób jest tylko człowiekiem interesu.

– Potrzebuję forsy. Szkoła Jasia, terapia. Lidka tak naprawdę nie bardzo może pomóc. A ta robota... Nie wiedziałem, na co się piszę. Po co mu w ogóle ta praca, powiedz mi, przecież i tak żaden

z niego doktor, a jeśli już chce, czemu nie zabrał się za jakiś zwyczajny temat?

– Daj spokój. Sama miałam to wziąć. Myślałam, że to nudna, średniowieczna historyjka. Tylko pan Fałda stwierdził, że się nie nadaje. Przy nim, jego zdaniem, nie można łączyć obowiązków.

Zapadła cisza. Trzecia patrzyła w płomienie. Karol rozgarnął spalone kłody, wzniecając snopy iskier. Poukładał ziemniaki, wypuszczając je z ręki tuż nad żarem mrugającym w odsłoniętym zagłębieniu. Zagarnął kijem tłące się drewno, przyłożył nowymi gałęziami i rzekł, bardzo szybko:

– No i trzeba było pisać. Co wam strzeliło do głowy, żeby przyjść z tym do mnie? Czuję się, jakby mnie przytknęło, już nawet mi się śnią ten Otto, Tchórz, Ślepiec i Wół. Kto ich tak w ogóle ponazywał? Ja się przełamie, niech tylko skończy się to całe piekiełko. Potrzebuję oddechu, rozumiesz? I pieniędzy. Pomóż mi się z tego wyplątać.

– Myślę, że ci w tym przeszkadzam.

– Nie, nie, w żadnym razie. – Ogień rozjaśnił mu połowę twarzy, druga pozostała w ciemności. – Gdyby nie ty, to już dawno bym się posypał, byłoby i po małżeństwie, i po robocie, właśnie tak. Wiesz, jak mnie wkurwia ten szcęk samochodzików. Mały nimi wali przez długie godziny! Ty mnie trzymasz w kupie. Jesteś, więc trzymasz. Po prostu potrzebuję jakoś poukładać sobie to wszystko. Myślisz, że Fałda zapłaci?

– Możesz spróbować go przekonać. Możemy. Tak myślę.

Wtedy ją objął. Nic więcej ponad cieszenie się ciepłem drugiego człowieka. Wydała mu się krucha. Karol dokładał drewno i wracał w ramiona Trzeciej. Objęła go od tyłu, splatając dłonie na brzuchu. Potem zjedli ziemniaki z plastikowych talerzy, sypali na nie sól i

skrawali księżycowe rogaliki masła. Karol przyjrzał się Trzeciej i powiedział, że kiedyś już widział taki węglowy uśmiech. Nie pamięta dokładnie kiedy, ale nie zapowiadał niczego dobrego.

Zalał ognisko wodą ze strumienia. Trzecia zadzwoniła po taksówkę i powiedziała, że muszą trochę poczekać, kierowcy o tej porze niechętnie jeżdżą za miasto: boją się nieuczciwych.

27

Nad Krakowem unosił się srebrny balon. Obok dawnego hotelu Forum usypano sztuczną plażę z basenem, w którym nikt nie chciał albo nie mógł pływać. W podziemiach nieczynnego budynku, gdzie jeszcze niedawno organizowano bale i studniówki, odbywały się próby jakiejś kapeli blackmetalowej. Nieco dalej swój kąt wykroili gracze w paintballa.

Karol, z karabinem na farbkę w mokrych rękach, zachowywał się jak żołnierz ze starego, amerykańskiego filmu sensacyjnego: kuczał w przejściu, dawał palcami znaki nieistniejącym kompanom i puszczał długie serie, odsłaniając się zupełnie. Często padał na posadzkę. Trzecia się śmiała. Z Muzeum Armii Krajowej, zorganizowanego na dawnych terenach kolejowych, wyniesiono dziesięć sprawnych karabinów. Zdaniem policji złodzieje unieśli zdobycz za granicę, ale byli i tacy, którzy widzieli chłopaków na Prokocimiu, Biezanowie i głębokiej Hucie, którzy pruli do siebie z pordzewiałych schmeisserów.

W letnie miesiące miasto jakby odetchnęło, podziemia knajp opustoszały, za to w ogródkach zasiadali turyści w białych koszulach, przepoconych na plecach i pod pachami. Anglików było jakby mniej, a ci, którzy się zjawiali, byli spokojniejsi od poprzedników. Krążyły plotki o krewkich chłopakach z Podgórze i Kazimierza, o pobiciach w bramach, na krótko przed świtem, i o

trupach z brytyjskimi paszportami w kieszeniach obijających się o przęsła mostu na Wiśle.

Pito więcej wina i polewano koktajle, balony szły w niebo, wypuszczone z dziecinnych dłoni. Karol grał w kręgle, niezdarnie, lecz z wielkim zapałem. Brał niewielki rozbieg i wykonywał wymach na prostym ramieniu, dokładnie tak, jak pokazała mu Trzecia. Cieszył się z każdego wysokiego wyniku. Podpierał się pod boki i kiwał z uznaniem, spoglądając na tablicę z wynikami.

Na Zakrzówku, mimo płotu i ochrony, ludzie wciąż wdzierali się na teren zalanego kamieniołomu, rozkładali ręczniki na biednych ogryzkach wapiennych skał i zsuwali do wody swoje nagrzane ciała. Chłopcy skakali na główkę z wysoka, tak jak zawsze skaczą i będą skakać, gdziekolwiek zdarzy się lato i będzie zalany kamieniołom. Karol nie chciał tam chodzić. Jeżdżono również na Kryspinów, a matki ostrzegały dzieci przed wirami wodnymi w tej pozornie spokojnej gliniance. Wieczorami brzmiała głośna muzyka z samochodów. Na rynku występowały zespoły teatralne, z Błoń niósł się ryk koncertów plenerowych. Przy Reymonta darli się kibice. Przechodzili potem przez miasto, śpiewając pieśni na cześć zwycięstwa lub klęski, takie, jakie zawsze śpiewają pokonani lub zwyciężeni, dziś lub przed wiekami. Zalegali w knajpach i tam przegrywali już zawsze.

Karol zabierał Trzecią na filmy, które Nika uznałaby za głupie. Nika już nie chodziła do kina. Oglądali superprodukcje z Mattem Damonem i Johnnym Deppem. Po skończonym seansie, jeśli była jeszcze chwila, zachodzili na drinka i Karol opowiadał o tym, co kiedyś było dla niego ważne i przestało być: o starych filmach z Bruce'em Campbellem i Christopherem Lee, o Nowej Przygodzie i

upiorach z wytwórni Hammer. Odpowiadała, że nigdy o tym nie słyszała i nie wiedziała, że ludzie pamiętają takie rzeczy.

Zabrał ją na koncert starego zespołu do klubu w Nowej Hucie, gdzie ojcowie przyprowadzali dorastających synów, gdzie lano chrzczone piwo do kubków z miękkiego plastiku, a wokalista o długich, siwych włosach gwizdał na palcach, zachęcając publiczność do zabawy. Karol po długim wahaniu kupił sobie koszulkę z okładką ich płyty i rzekł, że będzie ją nosił tylko czasem, żeby Nika nie zobaczyła. Zrolował ją i wepchnął w kieszeń spodni.

Tego wieczoru fani starego zespołu metalowego udali się do knajpki u wylotu Grodzkiej. Grała tam ciężka muzyka, było gęsto od dymu, a wychudzone, długowłose sylwetki krążyły od stolika do stolika, prosząc o papierosy. Czasem palono na spółkę, dwie, trzy osoby do szluga. O trzeciej tłum gromadził się na przystankach i wlewał do nocnych autobusów. Pasażerowie przyciskali twarze do szyb i oblewali się piwem, pachniało potem i tanimi perfumami.

Karol, który zawsze wracał taksówką najpóźniej o dziesiątej, tym razem trochę sobie odpuścił. Przespacerowali się przez Rynek Główny, trzymając się za ręce, a światła latarni i sklepowych witryn odbijały się w drobinkach szkła. Całowali się chwilę u wylotu Plant. Karol uniósł bluzkę Trzeciej i położył dłonie na jej nagim brzuchu. Nie wyżej, nie niżej, jak zawsze. Nie pozwoliliby sobie na więcej.

28

Lidia przeczytała fragment *Ewangelii według świętego Łukasza*. Janek jak nie on rwał się ku choince, białe smugi szły z ramion pod samo drzewko. Nie chodziło o prezenty, ale o samo drzewko. Karol przyciągnął żonę do siebie.

– Chciałabym jeszcze kiedyś zobaczyć cię szczęśliwego – usłyszał.

Lidia wzięła go w ramiona. Żeby tylko dobrym ojcem był, powiedziała. Kobiety stanęły naprzeciw siebie uzbrojone w opłatki. Grała kolęda.

– Zaczniemy od nowa – zaproponowała Lidia. – Nowy początek.

Nika powtórzyła te słowa. Lidia zniknęła w łazience. Długo jej nie było i może dlatego otworzyli prezenty przed wieczerzą. Janek dostał przenośne Nintendo, farby i kolejny samochód. Interesował się tylko nim. Lidia niemal nic nie jadła, za to piła koniak i opowiadała, że życie jest dobre. Jej koleżanka mieszkała na dwunastu metrach z dwojgiem dzieci i mężem. Mąż co niedzielę zapraszał kolegów na karty. Rozwiedli się.

Nika wyszła z pokoju.

– Pal tutaj, córeczko – wołała ciotka. – Jest Wigilia! – Drzwi trzasnęły. Lidia zwróciła się do Karola. – Nigdy nie zapominaj o sobie. Codziennie pytaj siebie, czy jesteś szczęśliwy. Ty żyjesz dla ludzi, tak sobie myślisz. Dla Niki. Dla Janka. Nie daj Boże dla mnie. A jak będziesz stary, zorientujesz się, że nigdy nie żyłeś dla siebie. Ciiii, kochanie moje. Bo Harpia usłyszy. Psia kostka, czemu ja znowu muszę do łazienki?

29

Lidia rozkładała przed sobą swoje nowe życie. Biała plastikowa płytką z otworem pośrodku. Półprzezroczysty woreczek. Pasta uszczelniająca w niebieskim pudełku. Nożyczki. Zielone gaziki ConvaCare. Zatrzaskowe zapinki. Broszurki, ulotki, książka w białych oprawkach, dwa numery „Błękitnej Wstążki”.

– Boże, jaki miałam okropny sen – powiedziała do Karola. Uniosła koszulę do pępka, ukazując czerwoną kulę kolostomii,

podobną nieco do podziemnego robaka, który przypadkiem wystawił łeb na światło.

30

– W moim śnie wstałam wcześniej, przed wami. Byłam rześka i chciałam zrobić wam niespodziankę. Czułam, że mogę was uszczęśliwić. Tuż koło domu – jak to we śnie – mieliśmy takie wielkie Tesco. Poszłam. Zabrałam tylko torebkę, a ludzie patrzyli na mnie tak jakoś dziwnie, nie wiedziałam dlaczego. Niektórzy uciekali. Kiedy wrzucałam monetę do wózek na zakupy, miałam wrażenie, że moja ręka jest jakaś taka dziwna, ale nie wiedziałam, co z nią nie tak. Popchałam wózek między półki. Pakowałam czekolady, mięso i makarony. Winka i winka, moje winka, moje bardzo dobre winka. Gdy doszłam do kasy, ludzie porzucili swoje zakupy i rozpierzchli się, odsuwając się jak najdalej ode mnie. Dobrze, pomyślałam, będę szybciej w domu. Nawet kasjerka nie miała ochoty mnie obsłużyć. W końcu wzięła pieniądze z najwyższą niechęcią. Wtedy zerknęłam w takie okrągłe wypukłe lustro. Byłam cała w gównie. Dłonie, nogi, twarz w gównie, na brzuchu najwięcej gówna. Moje zakupy były w gównie. Zostawiałam za sobą ślad gówna, jak ślimak.

31

Tym razem pan Fałda miał na sobie perłową kamizelkę, lniane spodnie i buty z delikatnej skóry. Podwinął rękawy koszuli, odsłaniając blizny, w których gnieździły się ślady po starych tatuażach. Podniósł się zza biurka. Karol stał na skraju złotej szyny i spuszczał oczy.

Trzecia powiedziała, że Karol daje z siebie wszystko, żeby jak najlepiej opracować zadany temat, ale historia księcia Ottona, jego towarzyszy, cały jej historyczny kontekst, jest trudniejsza, niż

przypuszczali. Dlatego potrzeba więcej czasu, dlatego pieniądze z pierwszych dwóch rat już się skończyły, a pan Karol ma pełną świadomość niezręczności całej sytuacji. Ale wiele już zrobił i jest na dobrej drodze. Podała panu Fałdzie plik zadrukowanych kartek.

Fałda wrócił za biurko, nałożył okulary i czytał przez prawie godzinę. Gładził się po skroni, gryzł ołówek i robił notatki na marginesach. Karol przestępował z nogi na nogę, próbował kucnąć i zaraz się prostował. Pan Fałda starannie ułożył wydruki na brzegu biurka.

– Jest dobrze. Ale nie beznadziejnie – rzekł. – Zapłaciłem za pana czas, a pan przynosi mi trzydzieści stron?

Trzecia stanęła na krawędzi złotej szyny, ale daleko od Karola. Powiedziała, że charakter pracy nad doktoratem wymaga bardzo długich przygotowań, po których następuje faza intensywnego pisanie, trwająca zazwyczaj krótko. Zapewniła, że Karol ma przynajmniej dwieście stron notatek i długie gotowe fragmenty tekstu, które wymagają tylko poukładania, na co przyjdzie czas. Dodała, że w każdej chwili mogą je przedstawić. Karol struchlał. Pan Fałda machnął na to ręką.

– Pieniądze nie są dla mnie ważne, tylko czas. Jak panu mówiłem, kupowanie czasu innych to mój luksus, na który mogę sobie pozwolić. Dzięki temu moje życie jest dłuższe. Dobrze, dam panu trzecią ratę. Mogę to zrobić i zrobię. Jest tylko jeden człowiek, któremu ufam, i tak się składa, że ten człowiek ręczy za pana. Muszę powiedzieć, że lubię takich młodych, dokładnych ludzi jak pan i dlatego proszę, niechże pan sobie zapamięta to raz a dobrze: jeśli ukradniesz pan mój czas, upomnę się o to, co mi się należy. Odbiorę to, co pan mi zabrał. Wszystko zależy od tego, czy powiedzieliście mi prawdę, czy też nie.

Trzecia poprowadziła Karola przez kolorowy labirynt pokoi, a chłopak pocił się i trząsł. Dostał pieniądze. Wsiedli do samochodu. Próbował ująć ją za zdrową dłoń, nie pozwoliła mu. Powiedziała, że pierwszy i ostatni raz zrobiła coś takiego. Jechali przez las. Trzecia nie odrywała wzroku od pustej drogi. Oczy jej się szklily.

32

– Wielu myśli, że jestem córką Fałdy lub jego kochanką. To nieprawda, choć w sumie trochę, odrobinę prawdy w tym jest. Mój ojciec był jego współnikiem i przyjacielem. Poznali się jeszcze w Bułgarii, pojechali razem do Niemiec i w końcu trafili do Polski. Słabo pamiętam ojca. Chyba Fałda go ciągnął od biznesu do biznesu, mówił, co robić, i wydawał polecenia. Urodziłam się już w Polsce, kiedy obaj, tato i Fałda, byli bogaci. Tato był bardzo rodzinny, lataliśmy na weekendy do różnych miast w Europie, jak przez mgłę pamiętam Wiedeń i Paryż. Takie dziecinne wspomnienie. Tak jak ci mówię, rodzice zabierali mnie, gdzie tylko mogli, aż raz nie zabrali, ten jeden, i już nie wrócili. Obludzony zakręt, trach. Tak powiedział pan Fałda, który się mną zajął. Miałam sześć lat. Fałda nie ma dzieci. Rozwiódł się dawno temu. Trzyma sobie kilka dziewczyn w Krakowie. Jeżdżę do nich i dbam o różne rzeczy. Chcę, żebyś zrozumiał, że dorastałam tylko z Fałdą. Naprawdę się starał, to nie było tak, że płacił opiekunkom, posyłał do szkoły i się nie interesował. Spędzaliśmy razem czas i znów latałam po różnych miastach. Nie miał tyle cierpliwości co mój własny ojciec, ale bardzo się starał i w końcu mówiłam do niego „tato”. Może był nadopiekuńczy, może mógł mi dać więcej luzu, ale myślę sobie, że nie bardzo chciałam mieć znajomych. Nienawidziłam innych bogatych dzieci, potem bogatych nastolatków, a ci zwyczajni, tacy jak ty, nie bardzo wiedzieli, co ze

mną zrobić. Tymczasem Fałda nikomu nie ufał poza mną i tak zaczęłam doglądać wszystkiego, czym się zajmował. Myślę, że uzupełnialiśmy się nawzajem. Parę razy go zawiodłam i wiem, że lepiej tego nie robić. Gdy pytałam o śmierć rodziców, opowiadał zawsze tę samą historyjkę o wypadku, zresztą gazety też o tym pisały, trafiłam na zdjęcie. W końcu jednak tato był jego współnikiem i zapytałam, co się stało z jego częścią majątku, przecież coś mi się należało. Może chciałam mieć coś własnego, zacząć coś swojego. Zaczęłam przypominać sobie różne rzeczy. Tato był nerwowy w ostatnich tygodniach życia, pytał mnie nawet, co bym powiedziała, gdybyśmy przeprowadzili się na trochę. Zaczęłam drażnić, poszłam na policję i okazało się, że akta sprawy zaginęły, nikt nic nie wie, w ogóle trafiłam na mur i tego by było na tyle. Ale zrobiłam jeszcze jedną rzecz, którą mogłam zrobić. Poszperałam w starych księgach rachunkowych. Tato wyprowadzał pieniądze z firmy. Dużo pieniędzy i chyba nie bardzo umiał to robić. Więc nie wiem, jak było naprawdę, wiem tylko, że tato był złodziejem. Okradał swojego przyjaciela. Zginął przez przypadek czy może przez Fałdę? Są rzeczy, o których lepiej nie myśleć. I jeszcze jedno. Obiecuję, że do tego nigdy nie wrócimy. Fałda lubi sobie wypić. Uchlewa się rzadko, za to do spodu. Wyje wtedy cygańskie pieśni i siłuje się z ochroniarzami. Unikam go w takich momentach. Miałam szesnaście lat, kiedy przyszedł do mojego pokoju pijany jak bela. Objął mnie i zaczął całować. Nie wiedziałam, co robić, i poddałam się temu. Zdjął mi bluzkę. Położyłam się i chyba uniosłam ręce na piersi, żeby je zasłonić. Popatrzył na mnie jakby trzeźwiej, zaczął płakać, powtarzał: „Moja córeczka, moja córeczka”, a ja się okryłam. Nigdy więcej nie zrobił czegoś podobnego i w końcu sprawił, że o tym zapomniałam, choć

czasem sobie przypominam. Spędzam z nim czas. Latam po różnych miastach.

33

Ostatniej niedzieli przed swoją wyprawą Nika przygotowała Lidii gotowaną rybę z odrobiną przypraw, ogórka z papryką, do tego szklaneczkę wody niegazowanej. Powiedziała, że musi dużo pić. Jedli całą rodziną.

– Nie zniosę tej atmosfery – odezwała się w końcu Nika. – Karol, przecież ty wiesz: nie chcę mieszkać długo sama.

– Nie sama, tylko z Jasiem – przypomniała Lidia.

Karol bawił się jedzeniem.

– Najczęściej taka rozłąka okazuje się zbawienna – powiedział. – Ludzie tęsknią za sobą. – Spojrzał na ciotkę. – Powinnaś lepiej gryźć. A potem rozsmarowuj jedzenie na podniebieniu.

– Ile razy mam powtarzać, że poradzę sobie sama? Twoje miejsce jest przy rodzinie. Ja mam ośrodki pomocy, psychoterapeutów. Ucięłabym sobie pogadankę z takim ancymonem. Są kluby dla takich jak ja. Grają tam w tenisa i chodzą na basen.

Do rozmowy włączył się Jasek.

– Niech babcia pije. Podobno, że babcia ma nową pupę.

– Tak. – Lidia pochłaniała rybę. – Kupiłam sobie w sklepie wysyłkowym, stara mi się znudziła. Jak będziesz duży, też taką dostaniesz. Tylko nikomu nie mów, bo wszyscy będą chcieli. – Przycisnęła do siebie Jasia, spróbowała złączyć dłonie Karola i Niki. – Nie róbcie mi tego. Nie róbcie tego jemu.

Płakała i całowała ich suche palce. Potem Karol odprowadził ją do pokoju.

34

Karol odwiedzał ich popołudniami i z niepokojem wyglądał weekendów. Czasem Nika eksplodowała powidokami dawnej namiętności. Częściej oznajmiała, że musi wyjechać i prosiła, aby zajął się synem. Droga na Kochanowskiego była niewiadomą. Nie zwracał uwagi na otoczenie. Docierał z kieszeniami pełnymi ulotek.

Tego dnia dobijał się długo. Obok, zza drzwi doradcy Farona, dochodziły piosenki Varius Manx i Kasi Kowalskiej. Stare historie. Karol wołał Janka, żeby go wpuścił, choć wiedział, że tego nie zrobi.

Sąsiednie drzwi otworzyły się i stanęła w nich roześmiana Nika. Ze środka dochodziła muzyka, w głębi mignęła sylwetka Farona. Natychmiast się cofnął, natomiast Nika stała spokojnie, jakby jej obecność w tamtym mieszkaniu była czymś naturalnym, co nie powinno nikogo dziwić.

– Jaś jest sam – wykrztusił wreszcie Karol. Nika minęła go, weszła do siebie i znów zatrzasnęła drzwi, nim Karol pomyślał, że powinien się ruszyć.

Znów został sam na progu. Od drzwi Farona niosły się stłumione piosenki. Grał Varius Manx, grała Kasia Kowalska. Stare historie.

35

Lidia biła w drzwi, Karol ją odciągał. Wołała, że w życiu się stąd nie ruszy, niech się pieprzą do woli, tylko muszą oddać Janka. Karol prosił, żeby przestała, przecież słyszać ich nawet na Hucie.

– I dobrze! Niech ludzie wiedzą, jaka flądra wyszła z twojej Nikusi! Ludzie! Ludzie! Przyjęłam ją pod dach i jak mi odpłaciła?

Na klatce pojawił się doradca Faron w perłowej kamizelce. Nim się odezwał, Lidia wymierzyła w niego kościsty palec. Znów

szarpnęła za klamkę.

– Słyszysz? Twój gach ma więcej odwagi!

– Miła pani, co nam to da? Żadne z nas nie chciało źle, wyszło, jak wyszło, po co zaogniać?

– Odbierasz dziecku ojca. Jak się z tym czujesz?

– Jego ojciec przecież tutaj stoi, Boże jedyny!

– Chodźmy stąd wreszcie – powiedział Karol. – Janek słucha.

– Niech słucha!

Doradca Faron uniósł dłonie.

– Niepotrzebnie się denerwujemy. Panie Karolu kochany, spotkajmy się razem z Niką, we troje, w jakiejś kawiarni. Porozmawiamy, jak to rozwiązać bez szkody dla Janka, dla pana, dla...

Lidia splunęła w twarz doradcy. Otarł się chustką i zniknął u siebie.

– Widziałeś? – wołała do Karola. – Groził ci! A ty nic. Wszystko zawsze muszę robić sama. Słyszałaś, wydro?! Groził nam. Ja się nie boję. Tyś się względem mnie pomyliła. Nie jestem dobra. Otóż nie jestem! Oddawaj Jasia! Będę tu stała, aż mi nie otworzysz. Będę tu stała, aż mi nie otworzysz... – powtarzała.

Głos Niki był głuchy, emanował szczęściem.

– Nie. Będziesz tu stała, aż ci się woreczki na gówna skończą.

Książę Otton i Wół spóźnili się i nie mogli obronić Aleksandrii. Miasto spłonęło po drugiej stronie morza. Książę zwątpił w cel swojej wyprawy i przez sześćdziesiąt dni modlił się na brzegu. Potem powędrował na południe. W wersji Christbalda z

Buchwaldu nie odzywał się w tym czasie ani słowem, pozostali kronikarze milczą na ten temat.

We wszystkich wersjach legendy wędrówka kończy się na terenie Grecji, ale wskazanie konkretnego regionu bądź miasta rodzi poważne trudności. Gerard Labuda lansuje tezę o Nidri, podczas gdy szkoła skupiona wokół Sławomira Słomczyńskiego jako miejsce, gdzie wyprawa dobiegła końca, wskazuje dzisiejsze Astakos. Niemniej zbieżność relacji kronikarzy pozwala sądzić o istnieniu wspólnego źródła dla wszystkich wersji legendy.

Otto i Wół trafili do Miasta Szczęścia, położonego na szczycie schodzącym wprost do morza. Percival wspomina o wysokich piaskowych murach, które – oświetlone przez słońce – wyglądały na zrobione ze złota. Oplatała je winorośl. Ściany domów zdobił motyw delfina, węża, a przede wszystkim byczej głowy. Żołnierze strzegący miasta również mieli byka wymalowanego na tarczach.

W mieście panował dostatek, a nawet przepych. Nie brakowało jedzenia. Pito wino od rana do wieczora, kobiety nosiły złote ozdoby, nikt jednak nie pracował i nie toczono wojen, z których byłyby łupy. Jorg Mnich wspomina o grubych, leniwych wojownikach wygrzewających się w słońcu. Wygłodniały Wół postanowił skorzystać z tego, co miasto miało do zaoferowania. Jadł, pił i cieszył się towarzystwem tancerek. Księżę Otto odmówił posiłku i postanowił się pomodlić. W miejscu kościoła zastał ruiny obrośnięte krzewem winnym. Pomodlił się więc w zniszczonej świątyni, a według Fryderyka Skryby naprawił obalony krzyż.

Otto zrozumiał, że mieszkańcy Szczęśliwego Miasta porzucili chrześcijaństwo, i postanowił ich nawrócić. Wzorem świętego Pawła wygłosił kazanie na głównym placu. Nie słuchano go (Jorg Mnich), wyśmiano (Percival Jednoręki), obrzucono kamieniami (Fryderyk Skryba, Christbal z Buchwaldu). Odnalazł swojego towarzysza. Wół, który spędził sporo czasu z miejscowymi, powiedział mu, że źródłem bogactwa jest potwór przebywający w podziemiach zniszczonego kościoła. Potwór zapewniał Miastu Szczęścia dostatek i bezpieczeństwo, wymagając jednak ofiar z ludzi. Tu znów relacje kronikarzy się różnią. Jorg i Percival, tym razem zgodni, mówią o niewolnikach pochodzących z rzadkich wypraw łupieżczych, Christbald z Fryderykiem są daleko bardziej złowieszczy: Miasto Szczęścia poświęcało własne dzieci.

Wół chciał zostać w Szczęśliwym Mieście, ale książę Otto „znalazł drogę do jego czarnego serca” (Percival Jednoręki) i namówił na wyprawę w podziemia. Wyruszyli przed świtem, kiedy mieszkańcy posnęli pijani „pospół siebie, jako nie godzi się nawet zwierzętom” (Jorg Mnich). Strażników zmylono lub zabito. Kronikarze oszczędzili nam opisu wędrówki do siedziby potwora, z wyjątkiem Percivala, który pisze o cieniach, diabłach i satyrach usiłujących zawrócić wędrowców z obranej drogi. Wszyscy są za to zgodni w opisie potwora. Był to byk nadnaturalnych rozmiarów, z tym że niezawodny Percival dodaje mu ludzkie dłonie w miejscu przednich kopyt.

Wół wtedy zdradził swojego towarzysza. Potrzebował ofiary, by jego życzenie o pozostaniu w murach miasta mogło się spełnić. Książę Otto przejrzał jego zamiary. Wywiązała się

walka, w której zginął Wół. Wraz z jego śmiercią zdarzyło się jednak coś, czego Otto nie przewidział – przelewając krew Woła, złożył ofiarę i byk był na jego usługi. Otto zastanawiał się, co z tym zrobić, i w końcu zażyczył sobie, żeby byk wyszedł z nim z podziemi i opuścił Szczęśliwe Miasto. Prawdopodobnie – co sugeruje Jorg Mnich – zamierzał zabić zwierzę daleko poza murami, aby jego truchło nie stało się obiektem kultu.

Fryderyk Skryba szczegółowo opisuje zagładę Szczęśliwego Miasta. Ledwo Otto i byk opuścili mury, domy zaczęły kruszeć, a ludzkie ciała gnić, otwierały się „rany robaczywe i trupim jadem cuchnące”. Młode kobiety zmieniały się w staruszki, „tracąc zwodnicze piękno, gdyż sam diabeł im na nazbyt długie życie przyzwolił”, mężczyźni słabli i umierali. Za Ottonem ruszyła błagalna procesja konających, którzy „pragnęli próżnym wołaniem słuszny los odwrócić”. Otton jednak nie zatrzymał się, ani „za siebie nie spojrzał” i mieszkańcy umierali jeden po drugim, tak że „proch ich ciał trakt piaszczysty pobieliał”. Do nocy Szczęśliwe Miasto zniknęło bez śladu, pochłonięte przez roślinność, w czym pobożny kronikarz upatruje Boskiej ingerencji.

Otto nie zabił byka, jak planował. Fryderyk Skryba pisze, że podczas wędrówki diabeł zatrzał mu duszę, zdaniem Percivala książę po prostu zlitował się nad zwierzęciem. Pozostali milczą w tej sprawie, koncentrując się na przemianie, która nastąpiła niedługo potem. Otto zdecydował się zaprowadzić byka do Weisenstadt.

W toku wędrówki do ludzkich dłoni byka dołączyły przedramiona i stopy. Równocześnie książę Otto odkrył rogi wyrastające z własnych skroni, palce mu zrogowaciały i

zmieniły się w kopyta. Człowiek szedł jak zwierzę, a zwierzę jak człowiek. Wkrótce przemiana była kompletna. Mieszkańcy Weisenstadt wzięli Ottona za byka, a byka za Ottona. To, w opinii Jorga Mnicha, nie miało większego znaczenia, gdyż „obaj stali się jedni”.

37

Zadzwoił do Trzeciej i powiedział, że potrzebuje pomocy. Zaczął mówić, a ona mu przerwała. Zapytała, gdzie jest, obiecała przyjechać. Karol nie chciał czekać pod kawiarnią na Wielopolu. Bał się twarzy spoglądających na niego z zaparkowanych samochodów.

Popędził na Szewską, gdzie pił i drżał, spoglądając na salę, gdzie każdy zdawał się znać jego tajemnicę. Przeklinał Trzecią i wolałby jej nigdy nie poznać. Zawsze przychodziła wcześniej i czekała. Teraz nie chciała się zjawić. Pił. Zauważył, że jest bardzo chudy. Błada skóra opinała kości. Gdy dziewczyna wreszcie się zjawiła, krzyczał i szlochał. Długo go uspokajała.

Powiedział, że nie zdąży; zawałił termin. Zajmował się ratowaniem swojego małżeństwa, które i tak wisi na włosku, ciotka umiera na raty, a on za chwilę straci syna. Spisał samą legendę, uzgodnił wersje, to już coś. Teraz trzeba tylko dodać do tego warsztat naukowy. Pan Fałda powinien to zrozumieć, Karol nie jest przecież oszustem, tylko człowiekiem, któremu zawałiło się życie. Prosi jedynie o czas. Jeśli będzie musiał, zwróci pieniądze z procentami.

– Fałdzie nie zależy na pieniądzach. On chce dostać tego, czego chce. Masz pojęcie, w co mnie wpakowałeś?

Karol rzekł, że to jej вина. Tak, spędzali razem każdą wolną chwilę, ale nie robili nic złego. Tylko małe, niewinne rzeczy, jakich

brakuje każdemu człowiekowi. Ale ma żonę. Wciąż ma. Trzecia powiedziała:

– Nie, już nie masz nic.

Wstała i wyszła, żeby wrócić po krótkiej chwili. Usiadła na brzegu krzesła, jak przestraszona dziewczynka. Z knajpy niósł się gwar. Ujęła Karola za rękę.

– Pójdziemy stąd na pociąg. Może jedzie coś do Poznania. Tam kupimy samochód. Mam pieniądze, dużo pieniędzy. Fałda jest silny, ale tutaj. Nie znajdzie nas, jeśli odjedziemy wystarczająco daleko. Gdzieś poza Europę. Rok przeżyjemy spokojnie. Potem się zobaczy. Będzie dobrze. A raczej po prostu będzie.

Karol, bardzo powoli, wymienił imiona: Jaś, Nika, Lidka. Trzecia powtórzyła, że oni już nie istnieją. Należą do świata, który nie z jego winy został zniszczony. Świat jest od nas potężniejszy. Karol słuchał jej. Przestał się trząść.

– A ty?

– W pewien sposób czekałam na to. Teraz chyba nie mam wyjścia. Fałda jest, wiesz... – dławiła się śmiechem – ... jest surowym ojczymem. A ja jestem głupia. Tak strasznie głupia. Mogłam zrobić to dawno temu. Albo nie robić w ogóle.

– Będziemy uciekać bez końca. Ma to swój urok. Bez karty kredytowej. Bez stałego adresu, bez maila, bez internetu.

– Świat jest duży.

– Świat jest, jaki jest. Nigdy ich nie zobaczę?

– To nieprawda. Fałda jest gruby i ma problemy z nadciśnieniem. Myśli, że będzie żył wiecznie. Tacy umierają pierwsi. Prędzej czy później zobaczysz Jaśka. Może nawet zanim dorośnie.

– Tak czekać na czyjaś śmierć...

– Ja czekałam zbyt długo.

Pocałowała go inaczej niż wcześniej, ledwo trącając jego usta czubkiem swoich warg. Zanurzyła mu ręce we włosach, a on ujął jej twarz w dłonie. Przyglądali się sobie, jakby widzieli się po raz pierwszy. Karol zobaczył jasnopomarańczowe płomienie okalające jej głowę na kształt drżącej aureoli. Ogień ślizgał się po palcach i przedramieniu. Patrzył na to, a jego serce ścisnęło się w pięść. Gwałtownie odepchnął Trzecią, tak że poleciała na ścianę razem z krzesłem. Nie chciał tego zrobić, ale nie przeprosił. Trzecia zebrała się z podłogi. Karol, już stojąc, powiedział, że nie pozwoli odebrać sobie życia; dosyć już zniszczyła. Odszedł.

Mężczyźni przy stolikach podnosili się, żeby odpłacić mu za uderzenie kobiety, i natychmiast z powrotem opadali na krzesła i fotele. Karol obrócił się przy wyjściu i zobaczył wysoki jasnopomarańczowy płomień rozprzestrzeniający się w miejscu, gdzie porzucił Trzecią.

38

Karol otworzył oczy. Na brzegu łóżka siedziała Lidia, wyglądała jak mara. Paznokcie miała czerwone.

– Chodź, moje słońce. Nie możemy zostać w domu.

– Jest północ, cholera.

– Kraków nie śpi. Kraków nie zasypia. Mogłabym sama, ale nie chcę iść z laską.

Po jej przedramieniu prześliznął się czarny ogień i zniknął.

39

Taksówka wysadziła ich pod kościołem świętego Idziego. Lidia zostawiła kierowcy stówkę i nie chciała reszty. Wsiadła bez żadnej pomocy. Światła lamp opierały się o kamienice. Boże, jaka piękna noc! Poszli.

– Tego tutaj nie było! – Wskazała na pomnik Skargi. Załkała. – Ja pójdę do piekła, prawda?

– Pójdiesz do domu – skłamał Karol.

– Nie ma nieba ani piekła. Tylko noc i dziwne miejsca w nocy. Czasem robi się zimno bez wyraźnego powodu. Bawmy się, proszę. Cieszymy się życiem!

Pociągnęła go na Grodzką. Minęli ulicznego grajka z głową złożoną na pudle od gitary. W bramie ściskali się kochankowie. Przeleciał gliniarz, przemknęła dorożka. Lidia powiedziała, że napiłaby się kawusi, koniecznie z prądem. Minęli ogródek pod Jaszczurami, gdzie przepoceni tancerze pili piwo na raz, i skierowali się w stronę Sukiennic. Kawiarnię Noworolski zastali zamkniętą. Lidia biła w szybę.

– Czemu ona nie chciała z tobą być? – zapytała nagle. – Chrystusie jedyny, czemu? Karolku kochany, znajdziesz sobie nową kobietę, dobrą kobietę, i jeszcze zawalczysz o syna. Zadbasz o niego. Ta wydra go porzuci. Tak jej każe nowy gach. Ale ty temu sprostasz. Ja tylko jeszcze bym się napiła kawusi z koniackiem w Noworolu!

Złoto na jej szyi i w jej uszach odbijało światła wesołego miasta. Karol zrozumiał. Zaprowadził Lidię na murek, poprosił, żeby usiadła. Zaraz wróci. Z ogródka zabrał dwa krzesła, postawił pod Sukiennicami i pocałował ciotkę. W Jaszczurach wziął kawę, podwójny koniak i małe piwo dla siebie. Nim wrócił na zewnątrz, starannie przeliczył resztę.

40

Jaszczury pociemniały. W oknie na ostatnim piętrze szarej kamienicy usadowił się pijany cień. Lidia położyła dłoń na brzuchu, tam gdzie woreczek stomijny.

– Ona mówi do mnie. Chcesz posłuchać? – Nie chciał. Lidia próbowała go pogłaskać po twarzy. – Kiedyś ktoś ci powie, że życie jest króciutkie. Nie wierz takim kłamczuchom. Jest długie i rozwleczone, tak straszniutko się ciągnie. Jak błoto. Nie ściśniesz, wszystko przecieknie przez palce. Zostanie tylko brudna ręka. Tak mi powiedziała i ma rację. Posłuchasz? Posłuchaj jej.

Karol spojrzał na miasto przez osuszony kufel. Przez denko biegły niewyraźne ciemnopomarańczowe okręgi.

– Powiedziała, że będziesz szczęśliwy. Ona cię uwielbia i Bóg cię uwielbia. Bóg i ona zadbają o moją przyszłość. To wiem i nie chcę już jej słuchać. Ale opowiedz mi. Kogo spotkasz? Jak będziesz żył? – Filizanka zadrżała, a Lidia razem z nią. – Jednak się boję. Przytul mnie.

Tak uczynił. Poszukiwała dotyku. Tarł jej dłoń w nadziei, że aura powróci. Zapytała, dlaczego to robi. Odpowiedział, że próbuje ją rozgrzać.

– To będzie normalna dziewczyna – rzekł w końcu, żeby przerwać milczenie. – Nie musi być specjalnie pracowita. Ważne, żeby kochała Janka i lubiła się śmiać. Mam nadzieję, że nie będę sam.

– Nie będziesz, ona tak mówi. A teraz posłuchaj jej.

– Nie.

– Tak dla mnie, dobrze?

– Naprawdę nie mogę.

Ale mógł. Złożył głowę, lecz stomia mówiła tylko do niej. Oddech Lidii stał się płytki, urywany. Karol, zasłuchany w niego, zasnął. Śnił o wyjących alarmach samochodów, a potem zobaczył ostatnie płomyki aury opuszczające ciało ciotki Lidii. Czerwona ławica strąciła pijaka z najwyższego okna kamienicy. Uderzyła o

bruk. Ugodziła strażników miejskich biedzących się z menelem na plantach. Omiotła kwiaciarkę, żebraka i stróża, pędzącego do pracy w budynku magistratu. Przeleciała przez poranny tramwaj i pomknęła na Grzegórzki, tam, gdzie jej miejsce. Dobrze, powiedział Karol i spał dalej. Tak ich znaleziono.

41

Na plantach i w krakowskich parkach spali pijani mężczyźni. Pod głowy powkładali buty i reklamówki napchane dobytkiem życia. Niektórzy trzymali rękę w spodniach, delikatnie oplecioną wokół skurczonej biedy, a na ich zarośnięte twarze wypełzały smutne, zadowolone uśmiechy. Niedobitki młodych, rozgrzane red bullem z wódką, z nosami krwawiącymi od amfetaminy, błądziły po uliczkach wokół rynku w poszukiwaniu knajpy, która będzie czynna i zechce ich przyjąć. Do hotelowych bram dobijały się świeżo poznane pary w poszukiwaniu wolnych łóżek, wybudzając obsługę z płytkiego snu. Na przystanku autobusowym na Dietla, niedaleko Starowiślniej, krótkowłosa dziewczyna ujeżdżała swojego chłopaka, wykonując długie, posuwiste ruchy. W krzakach naprzeciwko teatru Bagatela gotka ze srebrnym kolczykiem w nosie klęczała przed żyłastym facetem w okularach. Wbijał się w jej usta najgłębiej, jak mógł, a ona na migi dawała znaki, żeby tak nie robił. Trzydzieści kilometrów dalej Trzecia opowiadała panu Fałdzie, że Karol oszukał ich wszystkich, i zalana łzami przeproszała za własną głupotę, która kazała jej mu zaufać.

Bloki na Prądniku Białym i Czerwonym, na Kurdwanowie, Prokocimiu i Bieżanowie, na Azorach, Ruczaju i Czyżynach trzeszczały, wybudzając swoich mieszkańców. Na ścianach pojawiały się rysy i pęknięcia, sufity drżały niczym bramy, które zaraz ustąpią pod naporem barbarzyńców, a ptaki tłukły się,

uwięzione w otworach wentylacyjnych. Kierowcy przepychali zepsute samochody przez progi na osiedlowych uliczkach. Półprzytomne dzieci kreśliły sprayem pospieszne znaki na kioskach i budkach z jedzeniem, dziki zanurzały w śmieciach mokre nosy, kuny przeskakiwały z gałęzi na gałąź, ciche, niewidzialne, niemożliwe do oddzielenia od nocy.

W piekarniach rosłe, wytatuowane chłopcy skręcały precle i opowiadały sprośne żarty. Ci, którzy nie chcieli uczestniczyć w ich rozmowach, zakładali słuchawki, a na zaczepki odpowiadali wzruszeniem ramion. Na wysokości Dworca Towarowego, przy ceglanym murze fortu, za którym mieściła się składnica wina, stanął pociąg. Pasażerowie zdążyli się ubrać i wyjść z kuszetek, taszcząc ze sobą bagaże. Usiłowali znaleźć kogoś z obsługi, jednak na próżno. Pociąg po prostu stał i nie zamierzał ruszyć. W otwartych oknach rozbłysnęły zapalniczki, jarzyły się ogniki papierosów. Pan Fałda trzydzieści kilometrów dalej nerwowo rozmawiał przez telefon komórkowy, a Trzecia zmieniała zakrwawiony bandaż na dłoni.

W zajezdniach tramwaje budziły się do życia. Grupki motorniczych piły kawę. Drżący płomyk krążył z rąk do rąk, samochody rozpędzone na Alejach Trzech Wieszców hamowały gwałtownie przed skrzyżowaniami, na których nagle włączyła się sygnalizacja, młodzi pracownicy sklepów spożywczych opuszczali swoje domy, pierwsze busiki dojeżdżały do centrum, a cisza była głęboka i niespokojna, jakby czekała na krzyk.

Lidię pochowano. Jej dusza pomknęła do Krainy Wiecznych Koniakówek, tam została zatańczona i wchłonięta. Ktoś inny jest teraz jej właścicielem. Po pogrzebie Karol zaczął nocami spacerować po Kazimierzu, Podgórzu i Grzegórkach, wcale nie

dlatego, że bał się powrotu do pustego domu. Nie wiedział, gdzie ma dom. Policjanci, którzy go spisywali, dziwili się, że jest trzeźwy.

Na stole w mieszkaniu ciotki czekał pozew rozwodowy i propozycja podziału majątku, dokument sporządzony z inicjatywy doradcy Farona. Karol czytał go wielokrotnie, potem owijał się w koc, pił sok i oglądał telewizję. Zapadał w płytki sen i budził się gwałtownie, przerażony, że jakaś zła siła przybywa po niego.

Obudził go stukot. Ktoś chodził po mieszkaniu. Karol ubrał się w ciemności. Zaskoczy włamywacza. Poskacze mu po gardle.

W największym pokoju zastał Lidie, Nikę i Janka ukształtowanych z czerwonej aury. Nika kucała pod oknem, Lidia stała przy drzwiach. Janek zanurzał palce w farbach, których nie było, i malował pustkę. Śmiali się bezgłośnie. Karol chciał do nich podejść, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Przez Lidie prześwitywała framuga drzwi, Nika nie miała nóg. Przyniósł krzesło. Usiadł i patrzył. Zniknęli wraz ze świtem. Czekał, choć wiedział, że nie wrócą. Popłakał się i nagle zrozumiał, że jeszcze nie wszystko stracone.

Tak jak stał, poszedł na pociąg.

Rozdział dziesiąty

1

Zastanawiałem się, czy powiedzieć o tym Wilczurowi. Był bądź co bądź najbliższym mi człowiekiem, ale wszystko zaczęło nazbyt się łączyć. Gdybym streścił odkrycia Gablociarza, pewno powiedziałbym także o skrzeku, o mamie i o tym, co naprawdę spotkało Trombka. Wracalem do domu, przyciskając teczkę to piersi.

Nie odwiedzaliśmy się nawzajem. Wstydzilem się tego, jak mieszkam, a Wilczur nie chciał powiedzieć, gdzie uwił sobie gniazdko. „Obiecałem sobie, że nikomu nie powiem. A jak nikomu, to nikomu” – tak mi kiedyś oznajmił, więc teraz zdziwiłem się, gdy nagle wyskoczył z ciemności, tuż przy moich drzwiach. Zawisł mi na ręce. Błagał, abym go ukrył. Nie zadawałem pytań.

Usadziłem go pod meblami. Z podbitymi oczyma, sinym policzkiem i napuchniętą wargą wyglądał gorzej od mojego mieszkania. Dałem mu wody. Poprosił o słomkę, której nie miałem. Przechylił głowę i wlewał w siebie płyn przez kącik ust. Zapytał, jak wygląda, więc dałem mu lusterko Tekli. Spróbował się uśmiechnąć, rzekł:

– Krończak.

Krończak dopadł Wilczura przed zamkiem, kiedy robotnicy skończyli już pracę. Zaciągnął go za rusztowanie i tam stłukł. Tak powiedział Wilczur. Utrzymywał, że został zaskoczony. Krończak obalił go ciosem w podbródek, czego nikt by się nie spodziewał, skopał po głowie i brzuchu, na koniec kazał wynosić się z Rykusmyku i ostrzegł, że jeśli Wilczur pójdzie z tym gdziekolwiek, może pożegnać się z życiem.

– Ten facet zabijał własne dzieci – mamrotał Wilczur. – Myślisz, że miałby kłopot ze mną? Mógłbym go zmiażdżyć, Szymek. Rozumiesz? Załatwiłbym go raz-dwa, sukinsyn wiedział o tym i mnie podszedł. – Zerwał się z podłogi. – Ja go jednak zabiję. Pewno siedzi teraz u Dyzia. Mam klamkę w domu, jak Boga mego, pójdę tam i odpierdolę mu łeb przy wszystkich.

Zacząłem tłumaczyć rzeczy oczywiste, wreszcie usiadł z powrotem. Powiedziałem, że powinien iść do szpitala. Brew wymagała założenia szwów. Wilczur odparł, że Krończak tylko na to czeka. Znajdzie go w szpitalu i zabije. Krążył wśród uśmiechniętych ścian, powtarzając:

– Co robić? Co robić?

Odpowiedziałem, że zrobię wszystko, o co mnie poprosi. Machnął ręką. Dałem mu mokrą koszulkę jako okład. Podekscytowany zaczął mną potrząsać, choć prosiłem, żeby tego nie robił. Rzekł, że Krończak sam się podłożył. Zeznamy, co trzeba, w Legnicy. W Rykusmyku nikomu nie można ufać, ale Legnica to za wysokie progi dla starego policjanta. W ten sposób Krończak wypadnie z gry i obaj będziemy mieli z nim spokój. Może nawet powie coś o Tekli? Tylko muszę zeznać, że widziałem, jak Krończak leje Wilczura.

Mój przyjaciel zgasł i mruknął, że nie ma prawa mnie o to prosić.

Zgodziłem się.

2

Nigdy nie myślałem, że będę spisywał dzieje naszego miasteczka. Byłem biznesmenem, ale zabrali mi moje

lombardy. Temu miastu też wszystko zabrano, choć niby wszystko miało dostać. Dlatego do siebie pasujemy.

Próbuję jakoś to rozpracować, tę naszą historię, tylko że trudno mi stwierdzić, co jest prawdą, a co nie. Tak sobie jednak myślę, że może nie mam racji i nieprawda też jest historią. Bo ludzie wierzą w nieprawdę i ja też muszę wierzyć, jeśli chcę być rzetelny, a chcę. Inni chyba byli nierzetelni, bo pisali tylko prawdę lub tylko nieprawdę, komunistyczną i katolicką, co nijak ma się do tego, co było i jest w Rykusmyku.

W czasie wojen z Sierotkami nie było żadnego Rykusmyku, bo Rykusmyku nazywało się Weisenstadt i rządził w nim książę Henryk. Niełatwo mu było, jak to księciu. Powinien być kimś innym, no ale nie został. Książę Henryk. Pod miasto podeszli heretycy, czeskie Sierotki. Wściekli byli, bo nie udawało im się to, co chcieli, żeby się udało, i musieli się znowu wściec, albowiem Henryk zamknął mury wysokiego miasta i nie chciał ich wpuścić. Sierotki się rozsierdziły, rozpały ogień i nawlokły maszyn do zdobywania murów. Mieli też wozy, w których żyli, i mieli kobiety i dzieci, a także – co chyba może być nieprawdą – zawezwali z lasów różne licha i diabliki. To, co żyło za murami, w podziemiach, było jeszcze gorsze.

Sierotki miały hakownice i maszyny do rzucania kamieni, ale nie powaliły murów. W związku z tym postanowili wziąć miasto na sposób. Sposobem był głód. To najlepszy z możliwych sposobów. Jak pusty brzuch, to i głowa pusta. Otoczyli mury i obdzierali ze skóry każdego, kto szedł, czy też może próbował iść z jedzeniem. Próbował, bo mu się nie udawało. Licha, diabliki, mamuny i inne welesy też znalazły

zadanie dla siebie. Mianowicie wypróżniały się do Brzanki i Brzanka stała się zatruta, nie dało się z niej pić, a kto pił, tego potem wzdęło na śmierć. Do dzisiaj martwi i wzdęci chodzą.

Książę Henryk zawierzył Bogu, ale Bóg nie zawierzył Henrykowi. Książę Henryk, jak wielu głupców, postanowił, że znajdzie pomoc gdzie indziej. Zabrał najdzielniejszego rycerza i razem poszli w podziemia, gdzie jest to przywleczone ze złej ziemi, nie naszej, na pewno starsze od każdego licha i każdej mamuny. Zawsze schodzi się przynajmniej we dwóch, zawsze jeden nie wraca, w konsekwencji czego Henryk na trzeci dzień wyszedł z dołu sam. A czwartego dnia inne Sierotki przegrały bitwę pod Lipanami, te Sierotki spod zamku dowiedziały się o tym i zaraz uciekły, bo już nie miały oparcia w niczym i były naprawdę sierotkami bez ziemi.

Książę Henryk otworzył bramy i cieszył się razem ze wszystkimi. Żeby się najeść, wydał wielką ucztę, ponieważ zwyciężyli, nie przelewając krwi, jeśli tylko zapomnimy o ludziach bez skóry i najdzielniejszym rycerzu. Pito aż do świtu. Niektórzy piją do teraz. Jeśli ktoś zasnął przed świtem, to już się nie obudził. Nie wiadomo, jaka była tego przyczyna (a może wiadomo), dość powiedzieć, że ci, co spali, już się nie zbudzili, ponieważ umarli. Henrykowi też zdarzyła się taka nieprzyjemność. Podobno wiedział, co się święci, i pił specjalnie na umór, żeby zasnąć i połączyć się z najdzielniejszym rycerzem. Ci, co teraz piją, nie łączą się z nikim. Na dowód mam tu rycinę z rycerzami śpiącymi i kawałkiem kopyta, które ich uśpiło. Od tego czasu nikt nigdy nie zdobył Rykusmyku.

Jednak wojna krzywdzi miasta, zdobyte i niezdo­byte. Wojny na Śląsku przyniosły biedę. Bieda jest straszna, bo nie wiemy, co z nią zrobić. Jeden człowiek sobie poradzi, ale są i tacy, co radzić sobie nie chcą. Architekt Hanke chciał pomóc wszystkim, tak bardzo, że musiał kogoś skrzywdzić i zabrać własnego syna do podziemi. Wyniósł trupa i to jest ciekawe, bo najczęściej trupy są porzucane, żeby się nikt nie zorientował. Ksiądz nie zgodził się, żeby grób był w mieście, i chłopca pochowali dalej, tam gdzie prostytutki. Bieda była, jak była. Hanke chodził na grób syna, ponieważ wiedział, że zawiódł i że go zawiedziono, i nie miał chyba co ze sobą zrobić. Jak rocznica śmierci chłopca nastąpiła, ziemia na grobie pękła. Był tam granit. Kamień zmienił się w pieniądz, architekt Hanke zmienił się w wariata. Wystrugał sobie kijek, wziął byczą głowę od rzeźnika i nabił ją na ten kijek. Chodził tak po Rykusmyku, aż go przepędzono, bo przeszkadzał w bogaceniu się i radości życia. Dziś by został, bo ludzie się nie bogacą, a jak się bogacą, to nie patrzą na durnia z kijkiem i głową na kijku.

Kamień sprzedawał się z zyskiem do całych zjednoczonych Niemiec, teraz i na zawsze zjednoczonych amen. Niemiecki pieniądz przywłókł, przyprowadził masonów, a komu się nudziło, ten zapraszał duchy do siebie i kazał babom wróżyć, co będzie, a co nie będzie. Każdy pieniądz tak robi. Moc pieniądza jest jednak mniejsza, niż myślą.

Kamieniołom dawał zarobić, w efekcie czego obcy zaczęli ściągać do miasta, co niektórym się nie podobało, w tym pastorowi z Kościoła Pokoju. Kręcił nosem na brak Boga i na smród burdeli, i zapach lawendy na ulicach też. Napominał

posłusznie i pokornie, żeby pamiętano o Bogu i żeby pieniądź niemiecki nie był trucizną dla Polaka, Ślązaka, Czecha i Niemca. Głuchli ludzie na te słowa. Pastor wiedział, co może jeszcze zrobić, tylko syna mu było szkoda i nie chciał go skazywać na zagubienie i wieczność pod ziemią. Przekupił sierżanta i sam zszedł w podziemia. Nie płakano po nim. Aż za rok ściany się w kamieniołomach poobsuwały, bogacze zostali żebrakami, młode kurwy zmieniły się w staruchy, stare kurwy pomarły, choć są takie, co żyją do dziś. Masoni uciekli, przegoniono wróżki, roztrzaskano szklane kule, na ulicach walały się duchy z gałganów. Kościół pękał w szwach, ale bieda, co zjechała, ani myślała się wynieść. Raz taką babę zaprosisz, to już nie wygonisz. Też trzeba zwrócić uwagę, że to, co żyje pod zamkiem, rzadko się spieszy, lecz dotrzymuje słowa.

Wiedzieli to Niemcy, więc Rosjanie też musieli. Na koniec ostatniej wojny światowej u nas, czyli jeszcze u nich, stacjonował pułk SS, który nie miał co robić, gdyż przecież nie było już nic do zrobienia i są sprawy, na które nawet ten z podziemi nic nie poradzi, także z tego względu, że są po jego myśli. Należy przypuścić, że chciał być w Polsce, bo tu zawsze bieda i brak nadziei wszelakiej. Esesmani ściągali do siebie więźniów z Gross-Rosen, ale ci więźniowie umarli w większości, idąc piechotą. Dobierano ludzi z dezertków i ściągano w podziemia. Wówczas ruszyły bolszewiki. Major bolszewicki, który zajął zamek, szybko awansował, został generałem i widywać go można było w telewizji. Miał trzy żony i wszystkie trzy mu się zabiły w rocznicę zdobycia miasta. Ostatnią trzymał pod kluczem, ale i tak się zabiła, klamka do

oka i trup. Dlatego zamek jest zamknięty, żeby ludzie już nie umierali, tylko żyli tak, jak powinni, lub tak, jak mogą o własnych siłach.

Od siebie mogę dodać na koniec, że trzeba było przeganiać poszukiwaczy skarbów. Ojciec mówił mi, że aptekarz, któremu odebrano aptekę i brata zabito, poszedł tego brata szukać w podziemia, choć mówił, że chodziło mu o Polskę. Był rok 1953. A w zimie '82 bogate małżeństwo trzeba było zawrócić spod samego muru, co już sam pamiętam. Jeszcze schodzą młodzi i starcy, co myślą, że nic nie mają albo też próbują odzyskać to, co mieli kiedyś, a ta rzecz czeka i nie daje nikomu spokoju.

3

Od czasu pamiętnego lata nie wyjeżdżałem z Rykusmyku. Chciałem, żeby tak zostało. Wilczur nalegał, żebym prowadził w drodze do Legnicy. Nie umiałem. W końcu, trzęsąc się, usiadł za kółkiem. Mijaliśmy niskie domy, krzyże oparte o ogrodzenia i figurki świętych na białych postumentach. Wilczurem targały dreszcze i bałem się, że nas zabije.

Legnica była większa niż w moich wspomnieniach, pełna wysokich, rudych kamienic i ludzi zamawiających w lokalach kawę zamiast lodów w waflach. Na komendzie spędziliśmy długie godziny. Wilczur zniknął w jednym pokoju, ja musiałem poczekać. Zawołano mnie do innego. Łysy policjant długo wypytywał, co widziałem, i musiałem powtarzać to samo kilka razy. Udawałem głupszego, niż jestem.

Komisariat był większy i ładniej urządzony niż nasz w Rykusmyku, policjanci sprawiali wrażenie wyższych i lepiej przeszkolonych. Ten, który ze mną rozmawiał, ostrożnie dobierał słowa, jakby nie chciał mnie urazić. Przeczytanie własnego

zeznania trochę mi zajęło. Podpisałem i musiałem poczekać na zewnątrz, bo Wilczura zawieziono do szpitala. Błąkałem się po mieście i w końcu poszedłem na busik.

Legnica przypomina Rykusmyku, któremu się udało – domy o szczerzających się łukach są takie same, a wieże kościołów łączą się pod niebem jak dłonie w modlitwie.

Zawędrowałem na dworzec, gdzie zobaczyłem ducha Sikorki. Był starszy niż w dniu, w którym się zegnaliśmy, i bardzo wychudzony. Miał białe oczy i po omacku szukał drogi między ścianą i człowiekiem. Zrozumiałem, że wrócił do podziemi i szuka drogi ku słońcu. Przerażony zacząłem uciekać. Wywracałem kosze i stoły z taną książką, w końcu wywróciłem Wilczura, który przyszedł mnie szukać.

Potrząsając mną, zapytał, co się stało. Wyglądał na szczerze zmartwionego. Odpowiedziałem, że to trochę za dużo jak na mnie i poczułem się źle. Wilczur zasepił się, ale w drodze powrotnej odzyskał humor. Cały czas powtarzał, że załatwiliśmy Krończaka na cacy i już się nie pozbiera. Nie słyszał moich zeznań, ale był pewien, że doskonale sobie poradziłem. Być może miał rację. Klepał mnie po ramieniu, choć wiedział, że tego nie lubię.

Rzucił, że teraz chce mi się odwdzińczyć i pokaże coś specjalnego. Miejsce, do którego jeszcze nikogo nie zabrał. Byłem pewien, że ma na myśli swoje mieszkanie, ale chodziło o coś innego.

4

Klub dla biznesmenów Pandora działał od połowy lat dziewięćdziesiątych. Kiedyś była tu wiejska stacja kolejowa. Ocalał budynek, teraz pomalowany na ciemny róż, i kawałek torów biegnących donikąd. Kiedyś miasto było daleko. Nowe osiedla

podeszły prawie pod sam sztyl z półnagimi, szczęśliwymi dziewczynami. Kiedyś nastolatki z Krucjaty Młodych trzymały strażę w pobliskich krzakach, robiąc zdjęcia każdemu, kto wchodził do Pandory. Krzaki wycięto, nieletnich krzyżowców pobito, aparaty zostały zniszczone, i tak to się skończyło. Mężczyźni z Rykusmyku dalej jeździli do Legnicy, Legnica zlatywała się do Pandory, a młodzi z Krucjaty oblepiali mury obu miast zdjęciami rozerwanych płodów.

Usiedliśmy w łóżu na podwyższeniu, Wilczur zamówił drinki. Światła ślizgały się po lśniącej podłodze, dziewczyny przy barze wypinały nagie, smutne pośladki. Brunetka o orzechowych sutkach zawisała na rurze głową w dół i rozłożyła nogi w procę. Przy innych stolikach siedzieli kierowcy. Pijany Niemiec bębnił o uda otwartymi dłońmi, a Wilczur powiedział, że dzisiaj jest czas na świętowanie. Pora zapomnieć o smutkach, wołał i pił jacka danielsa na lodzie. Ledwo moczyłem usta. Dziewczyny uśmiechały się do niego, jakby doskonale się znali.

Z tego, co mogłem stwierdzić, muzyka była zbyt głośna, aby porozmawiać. Wilczur pił i śmiał się coraz głośniejszymi głosami, w końcu otoczył mnie ramieniem.

– Wiesz, za co cię lubię, Szymciu? Bo ty jeden się nie zmieniasz i niczego nie chcesz. To już jest wkurwiające. Czekam, aż wreszcie czegoś zaczniesz się domagać. A ty nic i nic. Człowieku, tak nie można! Musisz czegoś chcieć. Powiedziałbyś w końcu. – Wskazał na salę i smutne pośladki. – Co chcesz, będzie twoje.

Pomyślałem chwilę i powiedziałem, że chciałbym wiedzieć, skąd ma tyle pieniędzy. Spoważniał i jeszcze się napił.

– To nie jest prośba.

– W takim razie co to jest?

Wyobrażałem sobie Wilczura tańczącego przed bykiem w podziemiach. Kogo poświęciłeś? Wilczur machnął ręką i się odsunął. Odwrócił wzrok od pośladków i opowiedział, co mu się przydarzyło. Gdy skończył, wyraźnie czekał, aż coś powiem. Jakbyśmy się w ogóle nie znali. Zaczął się śmiać i powiedział, że wymyślam nudne życzenia, więc musi mnie wyręczyć.

Dziewczyna opalona na brąz poprowadziła mnie za kotarę, do czerwonego pomieszczenia. Zabrzmiała muzyka, czyli szum. Dziewczyna ocierała się o mnie, lizała sobie palce i pieściła uśmiechnięte piersi. Uklęknęła na stoliku i odgięła się, otwierając przede mną ciemnoróżowe płatki i szparę suchą jak muszla wygrzana na piasku. Przyglądał się temu zwalisty ochroniarz. Wilczur przyszedł do niego, pogadał i odciągnął. Skrzek narastał.

Przestraszyłem się, że skrzywdzę tę dziewczynę. Słodkim głosem pytała, czemu jestem taki spięty. Ściągnęła mi koszulę. Nie potrafiła ukryć rozczarowania na widok mojego chudego ciała. Zaraz zabrała się do rozpinania spodni. Coś kurczyło mi się tam między nogami, więc wybiegłem. Pólnagi przeprułem przez klub, odprowadzany przez zdziwione spojrzenia i rechot Niemca, który chciałby dostać to co ja, ale nie mógł.

Wilczur wynurzył się po chwili, niosąc moją koszulkę. Powiedziałem, że to przez Teklę. Za mało czasu minęło.

– Jeszcze jedno. Chciałeś mojego życzenia, to je dostaniesz.

– Dostałem. Opowiedziałem ci moją historię.

– W takim razie chcę jeszcze jedno. Mam prawo. Obiecay mi, że zabetonujesz podziemia zamku. Jeśli twoja historia jest prawdziwa, właśnie tak zrobisz.

Pijany Wilczur usiadł za kółkiem.

– Dobrze – rzekł.

To była nasza ostatnia rozmowa.

5

– Niech ci będzie. Tak w skrócie, co? Teraz pomyślisz sobie, że jestem dobrym człowiekiem, ale to gówno prawda, Szymek. Gówno prawda. W Berlinie robiłem to, co tutaj, tylko ostrzej. Zaczęło się od drobnych życzliwości, ledwo się ogarnąłem i już łamałem nogi. Aż wyszło, że na łamaniu się nie skończy. Koledzy zapytali, czy wiem, jak się strzela. Pewnie, że wiem. Co miałem odpowiedzieć? Powiedzieli, o kogo chodzi. Gość bogaty jak biskup. Przemknąłem się. Był sam, u siebie. Ale nie mogłem, rozumiesz? Siedział przede mną na pieprzonym wózku inwalidzkim, a ja nie potrafiłem pociągnąć za spust. Powinienem. Prosił, żebym tego nie robił, bo i tak niewiele życia mu zostało. „Nie zabieraj mi ostatnich tygodni”, prosił. Okazało się, że wiele rzeczy umiem zrobić, tylko człowieka zabić nie umiem. Kiedy o tym myślałem wcześniej, to, przysięgam ci, byłem pewien, że bach-bach i wracam z lekkim sercem. O nie, Szymek. Tak więc zostawiam dziada żywego. I do siebie, na kwadrat, porywam, co mogę, i spierdalam z tego Berlina przed niedawnymi kolegami. Nawet na dworzec nie dotarłem. Przyszło trzech, władowali do bagażnika, myślę sobie, no to, chłopie, pięknieś się urządził. Odpierdolą mnie w lesie i tyle będzie dobrego. A tu niespodzianka. Władowali mnie do piwnicy. Narobiłem w gacie, przysięgam. Nie wiem, ile tam siedziałem. Wreszcie, słuchaj ty, Szymciu kochany, wyciągają mnie, pakują pod prysznic, dają ciuchy jak ta lala, ja, proszę ciebie, poznaję ten dom, a dziada na wózku już na pewno. Skurwiel w parę godzin sprzątnął, kogo trzeba. Pochowałem kolegów, rozumiesz mnie? Wszystkich. Poszli równo w piach. Dziad gapi się i gapi, a ja boję się, że znów zapaskudzę spodnie. Zabij mnie wreszcie, chciałem

powiedzieć, miałem swoją szansę, teraz masz swoją, do widzenia ślepa Gienia. Tymczasem dziad, tak, znam jego imię, ale ci nie powiem, oświadczył, że jestem dobrym człowiekiem i teraz będę żył jak dobry człowiek. On mi to życie umożliwi. Zapytał, ile warte było jego życie. Dwa tysiące euro, tyle miałem dostać. To zaczął się śmiać. Zmarł niecały rok później. Zgaduj, Szymuś, komu zostawił cały szmal. Dobrze, nie? A wiesz, co jest jeszcze lepsze, bracie mój? On się powiesił. Kabel do klamki i hop z wózka. Rozumiesz to? Bo ja nie rozumiem. Ale pochowałem kumpli, jego pochowałem i mam furę forsy.

6

Następnego dnia w Rykusmyku pojawili się policjanci z Legnicy, lecz Krończak zniknął. Nie pojawił się na komendzie, jego mieszkanie stało zamknięte i puste. Samochód parkował pod blokiem. Policjanci wrócili do siebie, a miasteczko zaczęło huczeć od plotek.

Znaleźli się tacy, którzy widzieli, jak Krończak ładuje się do porannego busika z walizką pełną kosztowności. Inni twierdzili, że przycupnął u kochanki i czeka, aż sprawa przyschnie. A jeszcze inni widzieli go w bramach, zaułkach i w najciemniejszym kącie u Dyzia. Stary gliniarz czegoś tam ponoć szukał. Albo na coś czekał.

7

Władysława zadzwoniła do biura, że chce powiedzieć mi coś ważnego. Głos miała słaby. Zaproponowałem obiad w Ratuszowej, ale nie chciała o tym słyszeć. Mówiła, że pewne sprawy powinny wybrzmieć w domu, jakkolwiek by to nie był dom.

Postarzała się gwałtownie. Położyła róż na policzki i obwiodła oczy czarną kredką. Mieszkanie lśniło, zniknął smród. Usiadłem. Władysława przyniosła kaczkę w pomarańczach i szklanę

kompotu ze śliwek. Usłyszałem, że powinienem raz na jakiś czas zjeść coś porządnego. Zamilkła. Siedziała, wbijając we mnie wzrok. Zabrała pusty talerz, wróciła z butelką koniaku i jednym kieliszkiem. Powiedziała:

– Niedługo będzie czterdzieści lat, jak tańczyłam dla byka.

Minęła chwila, nim zrozumiałem, o czym naprawdę rozmawiamy. Władysława zapytała, czy zszedłem tam, na dół. Nie musiałem odpowiadać.

– Zawsze byłam niezależna i uważałam, że jeśli nie zadbam o siebie, to nikt o mnie nie zadba. Lata leciały. Mój długoletni związek zakończył się w jednej chwili i pomyślałam sobie, że nikomu nigdy już nie zaufam. Tak rzeczywiście było. Pracowałam i jeździłam po świecie. Leciał czas. Gdy masz trzydzieści lat, myślisz, że jeszcze wszystko przed tobą. Koło czterdziestki powiedziałam sobie, że mam jeszcze drugie tyle. W pięćdziesiąte urodziny byłam przerażona. Jak to, jeszcze dwadzieścia, może trzydzieści lat i koniec? Jak widzisz, w tym jednym się pomyliłam.

Próbowałem coś powiedzieć. Władysława przyłożyła palec do ust.

– To wyznanie nie sprawia mi przyjemności. Nie zmieniałam też zdania o tobie. Uważam jednak, że musisz wiedzieć. W pięćdziesiąte urodziny zrozumiałam, czego brakowało mi przez całe życie. Dziecka, Szymku. A potem zrozumiałam, że nie wszystko stracone, że wystarczy pójść w pewne miejsce i zatańczyć. Takie proste!

– Tam nie chodzi się samotnie.

– Myślisz, że byłam jedyna? Poszłam z drugą kobietą, bo tak właśnie się robi. Młodsza ode mnie, bezpłodna. Można powiedzieć, że ona miała mniej sił, a ja więcej szczęścia. Tego samego dnia

byłam już w ciąży z Teklą. Właściwie to wszystko, co musisz wiedzieć. Wydawało mi się, że wszystko będzie dobrze. Nie wiedziałam, co zostawiam swojej córce. Ty doskonale wiesz, prawda? Jesteście tacy sami. Byliście. Może dlatego właśnie ciebie nie lubię. Bo cierpisz tak jak ona. Przez ciebie nie mogę zapomnieć o tym, co żyje tam na dole.

Napiła się koniaku. Zapytałem, dlaczego mówi mi to wszystko. Roześmiała się i znów napełniła kieliszek.

– Lekarz twierdzi, że mogę już pić. Wszystko mogę. A mówię, żebyś się zastanowił, komu pomagasz. Co człowiek w typie Wilczura może zrobić, jak położy łapki na tym miejscu?

– Wilczur nie ma o niczym pojęcia.

– Akurat. Ja wiem, ty wiesz, Herman wie lepiej, niż myślisz. Wszyscy wiedzą. Tylko milczą. O tych sprawach się nie mówi.

Zostawiłem ją, nieporuszoną nad bursztynowym kieliszkiem, i poszedłem, unosząc gorącą głowę. Wszystko powoli zaczynało się układać. Potrzebowałem jeszcze jednej rozmowy.

Idąc do ojca, minąłem Hermana zgarbionego nad wózkiem. Tekla miała oczy po nim.

8

Mój ojciec dawno wyprowadził się ze Stalowej, zamienił trzy škody na jeepa cherokee, zaparkowanego przed garażem na dróźce otoczonej przez ogród. W stawie mrugała rybia łuska, wiatr kołysał huśtawki. Dom pod Rykusmyku, w drewnie, piętrowy i nowoczesny, na dużej parceli.

Ojciec w pierwszej chwili mnie nie poznał. Przytył. Miał zdrową cerę. Pytał, co tu robię, co się ze mną działo, czy czegoś mi trzeba; szeleścił dressem, chował usta za rogiem polarowej bluzy. Rzucił mi góralskie kapcie, pokazał łazienkę.

Parter wypełniały wielkie telewizory, dzieła sztuki i książki. Ściany były jasne, a meble robione na zamówienie. W gabinecie stało czarne biurko, nad nim rzędy skoroszytów. Widziałem mnóstwo drobiazgów bez znaczenia. Tablet Apple'a. Małe latareczki dopasowane do dłoni, kosze telefonów komórkowych, elektroniczne notatniki. Trzy pokoje dziecięce: w pluszu, w słońcu, w potworach. Wyspa pośrodku kuchni, gdzie jeżyły się ostrza drogich noży. „Jak mogę ci pomóc?”, pytał ojciec, drapał się w nos i strzelał oczami.

– Nie chcę cię obrazić, ale nie możesz zostać długo. Spotkajmy się później, na mieście, czy jakoś tak. Kiedy tylko będziesz chciał. W czymkolwiek się znalazłeś, ja cię wyciągnę. Teraz mogę. Wtedy nie bardzo. Powinienem przeprosić za tamto, więc przepraszam. Zaraz będziesz musiał... no tak, no właśnie, na pewno rozumiesz. Potrzebujesz ubrań?

Usiedliśmy w salonie na skórzanych fotelach, obok widziałem troje dzieci i blondynkę po trzydziestce, oprawionych w ramkę elektroniczną. Na wielbłądach. Na stateczku przez wody lazuru. Przyjęcie z kucykami. Płomyki odlatujące z tortu. Szkolny mecz piłki nożnej. Komunia Święta. Wyprawa w góry. Ładne dziewczynki, zadziorny chłopaczek.

– Naprawdę nie możesz długo zostać. Ta sytuacja naprawdę nie jest zręczna. Nigdy nie była. Myślisz, że ja tak po prostu przeszedłem nad tym wszystkim do porządku dziennego? Córeczki zaraz będą no i...

– Dobrze. Pójdę sobie. Ale ty najpierw mi opowiesz, jak poznałeś moją matkę – powiedziałem. Ojciec zrobił się blady. – Jeśli nie powiesz, zostanę tutaj, aż przyjdzie twoja piękna żona.

Twoje dzieci poznają brata. Będę siedział, tak po prostu. Powiedz mi.

– Nie zrobiłbyś mi tego. Czemu jesteś taki, no?

– Nie wiem. Tato.

9

– Naprawdę muszę do tego wracać? Czemu mi to robisz? Płaciłem uczciwie na ciebie i to nie moja wina, że twoja mama wszystko przepijała. Nie ma żadnej tajemnicy. Mieszkalem przy Różanej, tam były zakamarki, dużo zieleni, pracowałem w Zakładach Kuzienniczych, nie w samych, ale w zaopatrzeniu. Dobrze się zarabiał. Tam wszystkiego się nauczyłem. Byłem żonaty. Ożeniłem się wcześniej. Szkolna miłość i przeszedłem przez piekło. Rety, ale ta moja stara była! Nawet nie wiesz, jak kobieta potrafi dać w dupę. Wychodziłem z domu, wściekły, i włóczyłem się nocami. Nawet nie piłem. Inni pili w takich sytuacjach, ja nie piłem. Siedziałem i myślałem. Tak właśnie, siedziałem, a tu patrzę, idzie całkiem przystojna kobitka. Sama, spogląda za siebie, wyraźnie się czegoś obawia. Dосkoczyłem i zapytałem, czy nie mogę pomóc. Ona nic. Pijana czy co, trochę pijana, ja serce mam po właściwej stronie, myśl sobie, co chcesz. Pomyślałem, odprowadzę. Pytam dokąd, pytam skąd, nic. Tylko idzie. Ja koło niej. A ona zerka na mnie, mruga. Ja nic. Ma na sobie taką kwiecistą sukienkę. Widzę, że dłubie przy guziku, odsłania kawałek piersi. Nogi stawia tak śmiesznie, szeroko, żebym widział wewnątrz ud. Mam mówić, mam mówić? Mi żona tylko po ciemku. Tu taki ktoś. Jak składała usta! Jak torebkę trzymała. Mokre plecy miała, taka spocona. Najpierw za rękę. Sztywna. Ale zatrzęsa tyłeczkiem. Mówię w ten sposób, żebyś zrozumiał. Sam jesteś facetem, tak? Boże, bałem się, że wyrośniesz mi na tego, no,

można jeszcze mówić „pedał”? Pewno nie można. Żadna kobieta nigdy na mnie tak nie zadziałała. Nie wiem co, nie wiem jak, musiałem. Chciałem załatwić to łagodnie, w zgodzie z nią i ze sobą. Przytuliłem, pocałowałem, niby oddała pocałunek, zaraz zeszywniała, widzisz, było już trochę za późno. Jestem facetem. Jesteś facetem. Ja się nie usprawiedliwiam, mówię po prostu, jak jest. Kobiety kuszą, jak skuszą, to im się odechciewa, ale wtedy jest trochę za późno. W bramie to było. Ugryzła mnie, podrapała. Oddałem pięknym za nadobne, cóż, wstydzę się tego, sam wiesz, w pewnych sytuacjach człowiek nie jest sobą. Potem może żałować, pilnować, żeby to się nie powtórzyło. Sama była sobie winna. Nawet chciałem jej pomóc, odprowadzić, przegnała. Cisnęła kamieniem, uwierzysz? Mogła mnie zabić. Myślałem, że o tym zapomnę. Nie zapomniałem. Zachodziłem w głowę, czemu tak szła sama i co jej było. Co mi się stało? Ja się zazwyczaj do kobiet nie przystawiam, rzekłbym, brakuje mi śmiałości. Zaraz mnie zamknęli, to dobre dopiero, pac i mnie miał, okrutny człowiek i zły. Tylko w twojej mamie obudziło się serce. Nie zeznawała. Wydała mnie, ale potem nie zeznawała. I mnie puścili. To było piękne, uczciwe z jej strony. Bośmy oboje wtedy zawalili. Czemu szła w ten sposób? Jeszcze ten guziczek. Myślałem po wszystkim, że dostałem nauczkę. A gdzie. Zaraz była sprawa o uznanie ojcostwa. Najpierw się wściekłem. Przecież każda normalna skrobie się w takiej sytuacji. Przerznąłem sromotnie i teraz jestem wdzięczny tej twojej mamie. Moja żona zażądała rozwodu i uwolniłem się od niej. Za wielką cenę, ale jednak. Wszystko dzięki twojej mamie. Tak właśnie było. Nie złościsz się, że mówię o tym w ten sposób? Jesteśmy dorośli. Chciałeś znać prawdę przecież. To teraz ją znasz.

Nic mu nie będzie, zwłaszcza jeśli córki wrócą o czasie. Wróciłem do domu i śniłem o bezpłodnych.

Chłopki i księżniczki. Pogańskie panny o urobionych dłoniach. Damy na dworach królów polskich i carskie kurwiszony. Żony postawnych żołnierzy i żyłastych kupców. Żydóweczki proszące Jehowę o dar. Kabareciary i pionierki, traktorzystki, szwaczki, inteligentki, menedżerki i kurwy z bram. Wszystkie utworzyły wir na szczęśliwej ziemi, przygnane z różnych stron. Wpełzały na rozwinięty rulon byczego jęzora, a cienie rogów wydłużały się od płomieni. Wszystkie niknęły w rozwartej paszczy i tam, skryte przed moim spojrzeniem, rozpoczynały taniec, który tak dobrze znam. Pragnęły wytańczyć sobie dziecko. Mama wytańczyła sobie mnie.

Widziałem ją także: dziewczyna dźwigająca smutki i nadzieję, że zdołam zapełnić pustkę w jej życiu. Ja jestem pustką, mamusiu. Zniknęła na żywym, czerwonym dywanie. Tańczyła razem z innymi. Kogo poświęcili?

W moim śnie, o świcie, wszystkie kobiety wysypały się jednocześnie z tancbudy, klubu, dancingu, karczmy i gontyny. Powędrowały do wsi, w stronę Czernicy lub Myśliborza, do miasta i w las, gdzie czekali na nich zbóje, robotnicy i inteligenci. Tak właśnie to wyglądało.

Śniłem o mamie, dowiadującej się, że nic nie jest za darmo, o Władysławie zgwałconej przez Hermana i tej tajemnej sile, która każe ludziom robić takie rzeczy.

Ufałem Wilczurowi bardziej niż Władysławie, ale postanowiłem się z nim rozmówić. Nie zastałem go w biurze ani pod zamkiem,

nie odpowiadał na telefon ani nie przyszedł do Ratuszowej. Próżno go tam wyglądano. Kamień w wodę, jak Krończak dzień wcześniej.

Zatrzymałem się pod stróżówką. Elewacja zamku była już w części odnowiona, wmontowano nowe okna, robotnicy układali czerwone dachówki, powietrze pachniało farbą i pyłem. Drzwi stały otworem. Zastanawiałem się, czy któryś z tych nieszczęśników zabłądził w podziemiach. Jakie będzie twoje życzenie, przyjacielu?

Snułem się po mieście jak brudny duch z ogniem w skroniach. Ludzie spoglądali na mnie z pobłażaniem. Chciałem potrząsnąć sprzedawczynią w mięsnym i spoliczkować kelnera. Wiecie, czy nie wiecie? Ilu z was zna tę tajemnicę? A ilu było na dole, oddało cudze życie i poniosło swój maleńki, straszny skarb? Szukałem podobieństw w twarzach i ruchach. Cień byka położył się nad miastem.

Myślałem dużo i niemądrze. Wiedziałem, czemu słyszę, dlaczego słyszała Tekla, co połamało Hermana. Miałem wszystko na dłoni, lecz zaczynałem rozumieć, że nic z tego nie wynika, a prawda nie przyniesie wyzwolenia. Kobiety będą schodzić do podziemi, będą rodzić słyszających, skrzek też zrobi się głośniejszy, aż w końcu moja noga zacznie tańczyć. Tak właśnie będzie i nie ma od tego ucieczki.

Usiadłem na ziemi i patrzyłem w niebo, które jest przecież takie samo w Rykusmyku i w innych miastach. Mógłbym wyjechać. Zostawiłbym to przekłete miejsce za sobą. Albo poniósł innym swoje przekleństwo. Zniknął Krończak, przepadł Wilczur. Przyszła pora na mnie?

Postanowiłem nie wracać do domu. Pojadę tak, jak stoję. Na zawsze opuszczę Rykusmyku. Przedreptałem na przystanek autobusowy. Przysiadłem pod wiatą, wyobrażając sobie, jak może

wyglądać naprawdę wielkie miasto. Zajechał bus. Myślałem, że to trzy widma, ale nie.

Karol i Bartek prowadzili ociemniałego Staszka.

Wstałem, bardzo powoli. Nie podaliśmy sobie rąk, nie padliśmy sobie w ramiona, tylko długo staliśmy naprzeciw siebie, aż ludzie powiedzieli, że powinniśmy gdzieś pójść, bo blokujemy dostęp do busa.

Rozdział jedenasty

1

Nie zaprosiłem ich do siebie. Poszliśmy do Ratuszowej. Bartek powiedział, że stawia obiad, a Staszek nie mówił nic, tylko badał swoje oczy koniuszkami palców. Karol się trząsł. Usiedliśmy.

Stolik Wilczura był pusty. Staszek zaczął domagać się dietetycznego jedzenia i musieliśmy mu czytać kartę na głos. Wybrał i zwiesił głowę. Usłyszałem ich historie i opowiedziałem swoją. Próbowałem zapytać, po co przyjechali. Wiedziałem aż za dobrze. Szukałem słów, żeby wybić im to z głowy. Próbowałem dopasować stare ksywki do nowych twarzy i stwierdziłem z niechęcią, że już do nich nie pasują. Byliśmy dorośli, dorośli mają imiona i nie robią już tych niepoważnych rzeczy, które robili jako dzieci.

Bartek pił zbyt dużo wina i bez przerwy wycierał usta chusteczką złożoną w trójkąt. Powiedział, że Wilczur zawsze był dziwny i miał na pieńku z Krończakiem, odkąd pamięta. Może już się pozabijali? Drobiłem swojego tatara. Staszek umorusał sobie twarz kremem pomidorowym i wydawało się, że zaraz ciśnie łyżką o ścianę albo zrobi jeszcze coś głupszego. Karol zerkał po Ratuszowej, jakby wypatrywał Niki, piętnaście lat młodszej i zakochanej w nim na zabój.

Poszliśmy.

Wysypisko zostało ogrodzone. Nikt tam nie palił ognisk i nie ciskano już dezodorantów w płomienie. Centralne miejsce zajmowała sortownia śmieci, niebieska i posępna. Staszek awanturował się, że stracił wzrok, nie węch, i po co tutaj przyszliśmy, skoro w całym Rykusmyku jest tylko jedno miejsce

warte odwiedzenia. Karol powiedział, że trzeba poczekać do nocy, tak jak wtedy. Bartek zapytał:

– Kogo tym razem poświęcimy?

Nie jestem dobry w mówieniu i wciąż składałem myśli. Bałem się, że ich nie przekonam i wówczas będę musiał zrobić coś, na co nie miałem ochoty. Udaliśmy się między groby. Bartek wspomniał o nocy, podczas której zawędrowali z Mayą na kopenhaski cmentarz. Nikt mu nie odpowiedział. Pokazałem im zaułek aniołków i nagrobki nieszczęsnych czterdziestoletnich, zmiażdżonych przez skrzek. Cień wędrował za nami.

Najpierw myślałem, że to Krończak przyszedł odwiedzić dzieci, które zamordował. Jednak nie. Stary Herman przytulał twarz do krzyża, zezując to na nas, to na grób swojej córki. Stwierdziłem, że jeśli pójdziemy w podziemia, najprawdopodobniej trafimy do piachu. Nici z poszukiwań szczęścia. Każdy tylko patrzył, żeby prysnąć.

Dopiero pod Kościołem Pokoju powiedziałem, co myślę. Każde życzenie ma swoją cenę, a ta jest nazbyt wysoka. Dostaliście, panowie, to, co chcieliście. Bartek miłość, której nie potrafił utrzymać, Staszek furę forsy, a Karol utracił Nikę i dziecko dokładnie tak, jak chciał, choć w inny sposób. A teraz – mówiłem spokojnie – chcecie wrócić po więcej tego samego. Słyszeliście o kimś, kto tańczył dwa razy? Przecież jesteśmy młodzi. Możecie zbudować życia na nowo. Zejdźcie, a tylko pogorszycie sprawę.

– Dobrze sobie – rzekł Staszek. – Powiedz mi, jak mogę pogorszyć swoją sprawę? Od kiedy zrobiłeś się taki mądry?

Karol powiedział, że każdy odpowiada za siebie i nie muszę z nimi iść, jeśli nie mam ochoty, a Bartek wyznał, że się boi.

– Właściwie nie wiem, czego mógłbym sobie życzyć. Czuję, że moje życie się skończyło i tak czy siak nigdy nie będę szczęśliwy.

– Wielkie mi rzeczy – bagatelizował Staszek, oparty o mur kościoła.

Powoli zapadał zmierzch. Grupa chłopców siedziała nieopodal i klikała w ekrany telefonów komórkowych. Przy huśtawce przycupnął stary Herman i nawet nie udawał, że nas nie obserwuje. Zaczęliśmy mówić jeden przez drugiego. Powtarzałem, że potańcówka z bykiem jest najgorszym możliwym rozwiązaniem, klamka zapadła i niczego nie da się już odkręcić. Pytałem Staszka, czy próbował się leczyć. Karol, czy ty naprawdę chcesz, żeby Nika do ciebie wróciła? Po tym wszystkim?

– Mógłbym uleczyć Mayę – powtarzał Bartek.

– Byk nie leczy. Byk jest chorobą.

Opowiedziałem o pielgrzymkach bezpłodnych kobiet, o Tekli, Hermanie i Władysławie.

– Chcecie wiedzieć, gdzie są Wilczur i Krończak? Jak dla mnie to obaj leżą martwi w piwnicy!

2

To Bartek chciał zajrzeć do biura fundacji i sprawdzić projekt przebudowy. Dziwił się, że sam tego nie zrobiłem. Odpowiedziałem, że jestem cieciem, a nie architektem. Poszliśmy przez Rykusmyku, ciągnąc za sobą Staszka.

Próbował iść samodzielnie i cały czas powtarzał, że wszystko, co robimy, nie ma sensu. Teraz, zaraz – powinniśmy iść do podziemi. Uważał, że mścimy się na nim, choć wycierpiał najwięcej z nas wszystkich.

– Chcecie, żebym skończył jak Trombek? – pytał.

– Trombek wybrał, jak wybrał, jego rzecz.

A Staszek prychnął:

– Słuchajcie, on naprawdę w to wierzy!

Biuro zastaliśmy ciemne i puste. Zdążyłem zapomnieć, że mam pracę, i nie umiałem wyjaśnić, na czym polegała. Usadziłem Staszka w fotelu i dałem mu wody z dystrybutora. Bartek pytał o alkohol i usłyszał, że jeśli chce, Żabka jest niedaleko. Karol przetrząsał skoroszyty i grzebał w komputerze. Przypomniałem sobie, że Wilczur ma swój gabinet na końcu korytarza, pewno zamknięty. Otóż nie, był otwarty.

W gabinecie stało to, co stać powinno – ciężkie biurko, wygodny fotel i niszczarka, nad którą wisiał kalendarz zamarzły na styczniu. Wyglądało na to, że nikt tu od dawna nie wchodził.

Ledwo stanąłem w progu, a spod biurka wypruł Krończak. Próbował wyskoczyć przez okno. Oderwaliśmy go od klamki. Wleczony szarpał się i krzyczał, ale na korytarzu sflaczał i klapnął pod dystrybutorem, bezradny i nieszczęśliwy.

3

Staszek chciał go od razu zabić, a ja nie potrafiłem zadać właściwego pytania. Od dawna zastanawiałem się, co mu powiem, gdy będę miał okazję, i co usłyszę w odpowiedzi. Teraz słowa wyleciały z głowy. Może dlatego, że inaczej wyobrażałem sobie to spotkanie. Nawet chciałem, żeby Krończak się pozbierał. Bartek nalał mu wody.

– I po co ci to było?

– Przynajmniej próbowałem coś zrobić. Taka moja rola, trzymać wszystko w kupie.

– Powiedz to Gablociarzowi. – Nachyliłem się nad nim i zobaczyłem, że bardzo schudł. Spróbował się podnieść. Zostawił mokry ślad na ścianie.

– Gablociarz to nie jest moja sprawa. I tak było po nim.

Karol się zamachnął, a Krończak uniósł dłonie i pisnął, że to naprawdę nie on, że nigdy by nie zrobił krzywdy staremu człowiekowi, a wszystko, czego chciał, to utrzymać spokój w miasteczku. Podniósł się, pochlipując.

– Myślicie, że to tak łatwo, z tym na dole? – Bardzo powoli sięgnął po kubek i nalał sobie wody. Zapytał, czy nie mamy może odrobiny wódki i zaraz zaczął gadać, jakby chciał zagłuszyć to pytanie. Mówił, że zawsze był tylko policjantem, policjant w Rykusmyku ma odmienne zadania niż policjanci w innych miastach. Karol nim potrząsnął.

– Byłeś tam!

Skinął głową.

– Czego chciałeś?

– Nie tutaj. Panowie, błagam, nie tutaj.

Nie wiedzieliśmy, czy prosi, żeby nie bić go po twarzy, tylko w inne miejsca, czy może chce wyjść na zewnątrz. Cały się trząsł. Powiedział, że siedzi tu trzeci dzień, bez snu, bez jedzenia, i odchodzi od zmysłów. Gdybyśmy go nie znaleźli, sam by do nas przyszedł.

– Powinienem był wyjechać dawno temu – wyznał.

– Ja bym stąd szedł – rzekł Staszek. Trzęsły mu się ręce. Bartek zaraz zapytał, po jaką cholere, skoro jesteście w ciemnym biurze i możemy zrobić to, co chcemy. Wyjdziemy, to zaraz Krończak robi jakiś numer. Staszek odparł, że wizyta u Dyzia jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a Krończaka można związać, zamknąć i zadzwonić na komendę.

– Ja wam wszystko powiem – piszczał Krończak. – Panowie, proszę, jest was czterech, a ja jeden.

Stał i rozkładał dłonie. Zażartowałem, że Staszek powinien go przeszukać, bo się najlepiej do tego nadaje, ale zrobiłem to sam. Obmaciałem mu tors i nogi. Sprawdziłem, czy nie chowa pistoletu z tyłu, za paskiem, jak prawdziwy gliniarz, którym chciał być. W końcu poprowadziliśmy go między sobą, po schodach i na ulicę.

Nieliczni ludzie patrzyli na nas, jakby nie wierzyli, kto to idzie ze spuszczoną głową, a Krończak kulił się pod ich wzrokiem i powłóczył nogą.

4

U Dyzia były pustki. Młody barman na widok Krończaka poderwał brew i zaraz zapytał, czego potrzebujemy. Prócz niego był tylko stary Herman, który złożył głowę obok pustego kieliszka i niedopitego piwa. Zajęliśmy stolik, trzymając Krończaka jak najdalej od drzwi. Nawet nie zerknął w ich stronę, tylko zaplatał palce na czole i gapił się w blat.

– Co stało się z Teklą? – zapytałem.

– Tekla – odparł Krończak – tańczyła. Każdy tańczy wcześniej lub później. Każdy, kto stamtąd się wziął. Ale ty to wiesz. Jak twoja noga?

Staszek domagał się wódki i Krończak powiedział, że chętnie przyniesie ją z baru. Poszedłem za nim, ale to stało się tak szybko. Nawet gdybym wiedział, nie zdołałbym niczemu zapobiec.

Przed samym barem Krończak się potknął i podparł ramieniem o podłogę. Pogmerał przy kulawej nodze. Wstał błyskawicznie. Teleskopowa pałka rozsunęła się z lekkim zgrzytem. Młody barman oberwał w skroń i zniknął za blatem, a Krończak odwrócił się i wymierzył kolejny cios, dokładnie w chwili, gdy szykowałem się do niezdarnego ataku. Uderzył nisko, w udo, i tak dowiedziałem się, że istnieją rzeczy gorsze od skrzeku. Krończak

sięgnął za bar, coś wcisnął. Na drzwi i okna opadły żaluzje antywłamaniowe.

Z podłogi słyszałem, jak Staszek pyta, co się dzieje. Karol i Bartek poderwali się, ale żaden nawet nie zrobił kroku.

– Teraz sobie porozmawiamy o tym, czego ja potrzebuję – rzekł Krończak.

5

Chłopcy pomogli mi się podnieść i usadzili na brzegu krzesła. Panował półmrok. Krończak kazał wszystkim usiąść. Delikatnie uderzał pałką o udo i patrzył na mnie.

– W gruncie rzeczy liczyłem, że przyprowadzisz innego kolegę. Powiedz mi, co u drogiego Wilczura, a ja powiem, jak się ma kochana Władysława. Mówiłem ci, że wpadłem do niej i pogwarzyliśmy sobie?

– Masz pecha. Nic mnie ona nie obchodzi.

Krończak zasępił się na moment. Spacerował od ściany do ściany, gadał i wymachiwał pałką. Opowiadał o tym, jacy wszyscy są durni, a ci, którzy wracają do Rykusmyku, przebijają w głupocie resztę. Przysięgał, że zrobił dla tego miasta, co tylko mógł. Dla siebie chciał niewiele i nie dostał nawet tego. Za każdym razem, gdy któryś z nas się poruszył, policjant robił się sztywny i machał pałką, mrużąc oko.

Poprosiłem, żeby przeszedł do rzeczy.

– Czego chcę? To dobre pytanie. – Usiadł na barze. – Więc chciałbym mieć znowu dwadzieścia lat i chciałbym urodzić się gdzie indziej. Myślałbym wtedy, że Rykusmyku to kolejna miejscowość z idiotyczną nazwą. Moja noga nie stanęłaby nigdy w tym kurwidolku. Nigdy nie poznałbym twojej gęby. Tego też

mógłbym chcieć. Dużo tego, prawda? Nie wszystko naraz. Zaczniemy od czegoś małego.

– Jestem chory – rzekł Staszek.

– Niezmiernie mi przykro z tego powodu, daj pogłówkować, może coś uradzimy. No bo co można by z tym fantem zrobić...? Może wy zdejmiecie coś ze mnie, a i ja się odwdzięczę. Nie jestem już najmłodszy. To chyba nie wstyd, prosić o pomoc w tak ważnej sprawie. – Powieka mu drżała. Zwrócił się do mnie. – Masz moje słowo, że kochanej Władysławie nie spadnie siwy włos z jej pięknej głowy i w ogóle wszyscy radośnie się rozstaniemy. Ale nie musisz to być ty. Którykolwiek z was się nada. Bardzo proste. Zrobicie coś dla mnie, a ja zostawię was w spokoju. To jak?

Karol wyznał, że nic z tego nie rozumie. Krończak nie śmiał spojrzeć mu w oczy, tylko dalej chodził po knajpie. Powiedziałem:

– Może zrzucisz tę troskę z wątroby. Kawa na ławę, dajesz, człowieku.

– Nie mów mi, co mam robić.

– Ale sam nie wiem, co miałbym niby zrobić.

Krończak zaczął się jękać i drżał. Krzyknął wreszcie, że owszem, chodzi o nic innego, jak o krótką wizytę w podziemiach i taniec dla niego. Chciałem zapytać, ale Staszek poderwał się i rzekł:

– Dobrze. Ja pójdę.

Za nim podniósł się Karol, Bartek na końcu, nie bez wahania. Ja pójdę, ja pójdę, powtarzali, przekrzykując się nawzajem. Wyglądali na gotowych wybiec w tej chwili. Na popielatej twarzy Krończaka rosło zdumienie, aż przyłożył czarną kulę wieńczącą pałkę do policzka.

Ja pójdę, ja pójdę. Do trzech głosów dołączył czwarty.

– Ja pójdę. – Herman właśnie podnosił się znad blatu. Nie zwracał uwagi na pałkę, Krończaka też zresztą jakby ledwo co widział. – Tylko powiedz mi, czego potrzebujesz. Powiedz, a to dla ciebie wytańczę.

Krończak usiadł. Ciężką ciszę przerwał dopiero Staszek.

– Powiedz mu, baranie – warknął. Krończak uderzył go łokciem w twarz, obalił na ziemię i wbił kolano w gardło.

Rzekł, że nie ma z nim żartów i jest bardzo zdenerwowany. Wymierzył pałkę po kolei w każdego z nas, rycząc, że czas, aby potraktować go poważnie, że kiedyś był kimś i lepiej o tym pamiętać. Karol uniósł dłonie. Spokojnie, człowieku.

Wycofaliśmy się z powrotem pod ścianę, Krończak znów spacerował i tylko Staszek siedział po turecku, macając ruszające się zęby.

Herman zanurkował za barem i pociągnął z butelki.

– Wódka – rzekł – to naprawdę wielkie pocieszenie.

– Chcę moich dzieci – odparł Krończak. – Wszystkich, co do jednego. Chcę odwrócić poprzednie życzenie.

– Warto tańczyć za coś takiego – zgodził się Herman i dodał, że mało kto chce czegoś dla innych.

Zapytałem Krończaka, czy to nie jest droga na skróty. Mógł zastanowić się trochę, nim podusił swoje niemowlęta. Chciałem wyprowadzić go z równowagi i przez moment byłem pewien, że się na mnie rzuci. Ale on opadł na krzesło.

– Wilczur ci tak powiedział? No jasne, że Wilczur. Poopowiadam ci trochę o tym przyjemniaczku. Nie macie dzieci, prawda?

– Mam syna – rzekł Karol.

– To czemu przy nim nie siedzisz, gówniarzu jeden?

Herman odłożył butelkę.

– Więc pójdę. Zostawisz Szymka w spokoju. A ja pójdę. Wódka naprawdę pomaga. Muszę iść. Tak.

Nałożył czapkę. Krończak chwycił go za rękaw.

– Chciałem mieć dużo kobiet. Byłem młody i myślałem, że to najważniejsze na świecie. I miałem. Ale dzieci, wszystkie moje dzieci rodziły się martwe.

7

Żaluzje pojechały ku górze, robiąc szparę, przez którą przepelźł stary Herman, po czym natychmiast opadły. Krończak obserwował nas ze zwieszoną głową niczym posmutniały, stary szczur. Pałkę zwiesił między kolanami. Staszek powiedział, że mógłby wypuścić choć część z nas.

– I po co ci to? – odparł Krończak. – Zlecisz ze schodów na durny łeb i tyle będzie. Jak myślisz, co będziesz widział tymi oczyma, które dostaniesz na dole? Co ci on pokaże?

– Więc właśnie – mruknął Bartek.

– Ludzie nie umieją poprzestać na małym, a i ja nie chciałem żyć tak jak wszyscy – mówił Krończak. – Zamek jest jak narkotyk. Raz wejdiesz, chcesz znowu. Czego mogłem sobie zażyczyć? Jeszcze więcej kobiet? Ledwo wyciągam, panowie, naprawdę, w pewnym wieku człowiek dowiadyuje się, co może, a czego nie. Powiedzieć wam zabawną historyjkę?

Staszek stwierdził, że to wspaniały pomysł i wszyscy na pewno się pośmiejemy, a Bartek zarechotał głucho, trzymając się teatralnie za brzuch.

– Jak byłem młody, znałem takiego Kazia, który tu przyjechał z Zielonej Góry. Powiedzmy, że tak. Otóż Kazio miał kielbie we łbie,

dwie lewe ręce i ledwo metr sześćdziesiąt, słowem, nie nadawał się do niczego, a jednak baby za nim szalały. Ja to przy nim byłem jak ubogi krewny. Pytałem siebie: „Co z tobą nie tak, chłopie?”, pytałem, aż w końcu poszukałem odpowiedzi w piwnicach. I zaczęło mi iść, Kaziowi nie przestało, ale coś tam nawywijał i w końcu zwał z Rykusmyku – głos Krończaka był głuchy i monotonny. – Idę ja rok temu przez Wrocław, bo niedziela, a tu Kazio wypada zza rogu, wymizerowany, siwy i z papierosem w pysku. Chodź na wódkę, mówi, no to idziemy. Ciągnę go za język, żeby wybadać, jak się tak chłop zmarnował. Ale niby wszystko jest w porządku. Robi w poligrafii, mówi, czasem jakiś handelek, mieszkanie dwa pokoje, komunalne, wykupione. No to co z tobą, Kaziu? Więc powiedział po paru głębszych, że narobił piątkę dzieci czterem różnym wydrom i cokolwiek zarobi, zaraz przepada, i jeszcze komornik za nim się włóczy. „Trawę będę żarł”, mówił i płakał. Co miałem odpowiedzieć? Postawiłem mu wódkę, włożyłem pół litra w rękę, stówkę w kieszeń i żeśmy się pożegnali. I co? Kupa śmiechu, nie? Chcemy rzeczy, które są dla innych zwyczajne i dla nas też mogłyby być. Ale nie są.

Teraz jeszcze bardziej przypominał szczura na krawędzi snu. Bartek ułożył ramiona wzdłuż ciała i rzekł swobodnie, patrząc mu w oczy:

– Ale nikt nie chciał źle. Każdy chciałby mieć dużo kobiet. Albo tę jedną, właściwą. Rzeczy czasem się pieprzą. Skąd mogliśmy wiedzieć?

– Teraz już wiecie.

– Mnie się po prostu spieprzyło. Nie ma w tym żadnego cudu, klątwy, nic, po prostu gówno i tyle.

– A co ci się spieprzyło, synuś? Kobiетка zostawiła? Mieszkanko opędzlowali? Nóżka zrobiła się krótsza, mój ty gdyby kózka? Powiedz, twardzielu, jakie nieszczęście cię dopadło, i nie bierz mnie pod włos. Wszystko zrozumieć, no nie, czemu chcesz znowu się tam pchać?

– Nie każdy znajdzie frajera, co za niego poleci – rzekł Staszek.

Krończak wstał i znów machał pałką, tak że już zdołałem się znudzić tym ruchem. Zaatakowałbym, lecz nie wiedziałem jak i bałem się bólu. Inni mieli podobnie.

– Nie chcę niczego dla siebie – powtórzył Krończak.

8

Po chwili milczenia Bartek powiedział, że przecież prawie zawsze, chcąc czegoś dla siebie, obdarowujemy też innych, na tym polega mądrość i on tak próbuje robić. A Krończak przechylił głowę i zapytał, czegoż takiego sobie zażyczył.

– Doskonale cię rozumiem – Bartek śledził wzrokiem ruchy pałki – wiele kobiet to jest coś. A ja chciałem tej jedynej. Młody byłem i pewno bardziej naiwny niż ty. Pewno dalej jestem. I próbowałem, próbowałem, nie wychodziło, aż prawie zapomniałem o moim życzeniu. Nagle spadła mi z nieba. Prawdziwy cud, myślałem. To były najlepsze tygodnie mojego życia i wiele bym dał, żeby się powtórzyły.

Zamilkł, jakby szukał słów albo czekał na pytanie. Zadał je Karol i Bartek znów zaczął mówić.

– I nagle się okazało, że to wszystko była nieprawda. Byłem cierpliwy, ale ona wymagała jeszcze większej cierpliwości. Pomagałem jej radzić sobie z problemami, a ona w zamian przynosiła nowe i coraz większe, aż zorientowałem się, że tylko daję i nic nie mam w zamian. Wypruwam siebie, a druga strona

tego w ogóle nie dostrzega. Sprawa oparła się o lekarzy, o policję nawet. Jezu, mało nie oszalałem, ale to nie było najgorsze. Straciłem radość dawania, dzielenia się moim światem. Czułem się, jakbym umierał w środku. Pamiętałem dobre dni. Zrozumiałem, że nie wrócą, i to była najgorsza godzina mojego życia. W jakiś sposób jestem dumny, że zdobyłem się na przyjazd tutaj. Jestem dumny z nas wszystkich, także z ciebie. – Wskazał na Krończaka. – Każdy bierze odpowiedzialność i...

Przerwał, bo Krończak stanął na ugiętych, rozkraczonych nogach i zrobił sobie rogi z palca i pałki teleskopowej. Zaczął chodzić bokiem i kołysać biodrami. Powtarzał:

– Czego chcesz? Czego chcesz?

– Gdybym mógł zejść, poprosiłbym jeszcze raz o to samo – odparł Bartek.

Lampy pod sufitem i za barem zgasły. Na zewnątrz ktoś krzyczał, że Jezus i święci, diabeł i Maryja.

9

Wróciło światło. Bartek siedział na podłodze, Staszek dygotał, a Krończak szykował się, żeby uderzyć Karola, który zdążył się podnieść i byłby do niego doszedł. Karol wydał z siebie przeciągłe westchnienie i uniósł dłonie na wysokość twarzy.

– Wygląda na to, że ja jeden dostałem dokładnie to, o co prosiłem. Za późno, inaczej, niż powinno być. Mogłbym powiedzieć, że sobie zasłużyłem. Ale nie mogłem wiedzieć. Ani w głowie mi się skarżyć – powiedział i usiadł na podłodze. – Nie żałuję niczego poza jednym. Tam zawsze ktoś zostaje. Trzeba kogoś zostawić. Tak jak my zostawialiśmy Trombka. Trzeba to wreszcie powiedzieć. Tak jak my.

Przypomniałem, że Trombek został na własne życzenie. Zgasił mnie słuszny rechot Staszka.

– Ale jednego jednak żałuję – ciągnął Karol. – Powinienem zaciągnąć na dół tego skurwiela, który zniszczył mi rodzinę. Takim zawsze się upieczę. Nie mogę tego znieść. Zawłóklbym drania, żeby odpokutował i oddał to, co zniszczył. Chyba nie chcę dużo, nie? Ten stary facet, który poszedł... Dlaczego on to zrobił? Powiedzcie mi, czemu ludzie robią takie rzeczy? Czemu nawet nie porządny człowiek, ale taki, co po prostu się stara, zawsze ma pod górkę?

– Jego pytasz? On to nie jest porządnym człowiekiem. Porządni ludzie sami załatwiają swoje sprawy – burknął Staszek. – Właśnie, może wrócimy do Trombka? To dopiero ciekawy temat. Może któryś z was, mądrale, pofatyguje się i poprosi o niego? Ten tutaj przynajmniej ma jaja, choć nie takie, żeby zabić.

– Trombek miał rację co do ciebie – powiedział Karol.

– A co do was to strasznie się pomylił. Męczy mnie ta gadanina. Powinniśmy pójść tam od razu, z busika, tylko ten dureń nas odciągnął. – Wskazał mnie. Pozwoliłem mu mówić. – Wam się wydaje, że dostaliście w dupę. Gównu. Ja dostałem, więc zamknij się z tym Trombkiem. Zostawiliście mnie tutaj. Światła znów zamigotały, Krończak rozglądał się po pomieszczeniu. Staszek wstał, opierając się o ścianę. Jego koszulka zrobiła się jakby większa. Albo on zmałał. Gdzieś daleko brzmiały krzyki.

– Było dobrze i my mieliśmy się dobrze – rzekł. – Teraz jest źle i my mamy się źle. Po co dorabiać do tego historię?

10

Milczeliśmy. Staszek ciągle stał w rogu baru i wyłamywał szare palce, pozostali siedzieli pod ścianą, ja najbliżej Krończaka. Patrzyłem na pałkę teleskopową. Gdyby tak ją wyrwać? Nie

pokonałby nas czterech, no ale Staszek był ślepy. Nie miałem nic do powiedzenia, a czas się włókł.

Krończak zerknął na zewnątrz przez szparę w pancernych żaluzjach. Ręką szorował o kolano. Karol zagadnął:

– Może on cię wystawił, ten stary? Poszedł do domu, po prostu. Pozwól mi wstać. Wezmę kurtkę i usiądę z powrotem.

Krończak machnął pałką, odsyłając Karola z powrotem na miejsce. Odparłem, że Herman nie ma domu.

– Skoro już przy domu jesteśmy, odwiedziłeś może kolegę Wilczura? Wiesz, gdzie się podziewa?

– Taki on mój kolega, jak i twój.

– Nie udawaj. Pytam, czy byłeś u niego. Nie? No właśnie. A wiesz, gdzie mieszka? Warto sprawdzić to miejsce. Nie zastanawiałeś się, co on robił w Niemczech czy tam, gdzie niby siedział? Myślałeś w ogóle, czemu wrócił do tej dziury?

– Powiedział mi.

Krończak zadygotał. Obłok pary poszedł mu z ust.

– Aha. Powiedział. Miał rację tylko w jednym. Naprawdę zmieni Rykusmyku. Tylko inaczej, niż nam się wszystkim zdawało. – Chuchnął w dłoń. Poradziłem mu, żeby przestał mówić zagadkami. Rzekł: – Przecież nic nie wiem! Za to ty jesteś naprawdę mądry. Szymcio i jego wielki umysł. Sam wiesz najlepiej, więc na co ci inni? Nie miałeś wielu przyjaciół. Może dlatego, że jesteś taki mądry? Mądry facet, stara żona. Sprawdziłbym u przyjaciela. A gdzie przyjaciel mieszka? No jak to gdzie? U martwego przyjaciela.

– Długo będziesz nas tak trzymał?

– Pomyśl, że jesteś w pracy.

– Pytam, jak długo!

– Dobrze gada, dobrze gada – wołał Staszek.

– Najchętniej puściłbym was w tej chwili. Byliście dobrymi ludźmi, chłopcy. Tylko jak was puszczę, narobicie głupot. Mówicie tylko o tym. Gdybym wiedział, że wyjedziecie i nie wrócicie, pozwoliłbym wam odejść. Ja też, po wszystkim, wyjadę z Rykusmyku. Będę miał ręce pełne roboty. Inne życie, lepsze życie.

– Podobno dziewczyny uwielbiają samotnych ojców – rzekł Staszek.

Krończak skoczył. Karol podbił mu dłoń i pałka brzęknęła o podłogę. Mocowali się krótko i nikt się nie wmieszał. W końcu Karol odepchnął Krończaka i kopnął upuszczoną broń jak najdalej od niego.

– Chcę tylko wziąć moją kurtkę – powiedział i rzeczywiście ją zabrał.

Żarówki pod sufitem strzeliły jednocześnie, zasypując nas snopem iskier. Trząśłem się ze strachu i zimna. W półmroku zabrzmiał głos Staszka.

Pytał, czy coś się stało.

11

Krończak klęczał pod ladą. Wpełził za bar i natychmiast się cofnął, wzdychając. Cienie stężały wokół niego i rosły niby ogniki nad płonąca podłogą, a on machnął podniesioną pałką, jakby próbował się od czegoś odpędzić.

Mróz wysuszył wargi i szczypał w policzki. Staszek zacisnął ręce na moim przedramieniu. Cienie kłębiły się na podłodze wokół drżącego policjanta, układały się w dłonie i małeńkie główki. Postacie. Niektóre wyprostowane. Inne na czworakach, o smoliście czarnych włosach, między którymi wiły się pasemka mgły. Zgromadziliśmy się przy przeciwległej ścianie. Karol nie patrzył.

Drobne postacie otoczyły Krończaka. Nieśmiało sięgnęły jego nóg. Pierwszy kształt, bardzo drobny, o czuprynie, która mogła być jasna w innym, lepszym świecie, zaczął się wspinać. Krończak schylił się. Runął na kolana, między swoje dzieci, i upuścił pałkę.

Szarpały go za ręce i wchodziły na barana, bardzo płynnie, jakby ten ruch nie wymagał żadnego wysiłku. Próbował je chwytać, ale przenikały między palcami. One nie miały podobnego problemu. Rączka pociągnęła go za ucho, czarna kulka przywarła mu do brzucha, a na plecach siedziały już dwie kolejne. Krończak przywarł do podłogi. Był moment, kiedy cienie przykryły go zupełnie.

Wydał z siebie urwany krzyk, jakby położono mu rękę na ustach, a nad nim wiła się ciemność. Wyłonił się spod niej jak spod wody. Pełził w naszą stronę. Nie wiem, kto podał mu rękę. Potem po prostu stał i patrzył w nieruchome, czarne sylwetki. Staszek cały czas prosił, żebyśmy powiedzieli, co się dzieje i czy to coś niedobrego.

Krończak przejechał dłonią po twarzy. Kiwnął głową w naszym kierunku i poszedł. Dzieci otoczyły go jak ciemna mgła. Zniknął za barem. Zabrzmiał krótki szloch. Wszystkie dźwięki, które z siebie wydawał, były takie ciche. Potem zajrzałem na zaplecze w poszukiwaniu ciała, ale niczego tam nie było.

12

Na zewnątrz Bartek powiedział, że trzeba uratować Hermana, jeśli jest to jeszcze możliwe. Wszyscy się zgodzili, Staszek już chciał pędzić. Zapytałem ich, czy są ślepi, i Staszek odparł, że owszem, dokładnie tak.

– On nie żyje – powiedziałem. – Jak każdy, kto pójdzie samemu. Wytańczył dzieci dla Krończaka.

– Dlatego idziemy we czterech.

– Kiedyś było nas pięciu – odpowiedziałem. A oni po prostu poszli, ze Staszkiem pod boki. – Pięciu, słyszysz? Jak myślisz, dlaczego cię biorą?

Odprowadzałem ich wzrokiem. Zagłębili się pod arkadkami, minęli młodych, którzy liczyli pieniądze przed całodobowym, skręcili w jasną ulicę Chrobrego. Reflektor bił w zamkową wieżę. Młodzi uzgodnili już podział wydatków. Nieliczni przechodnie wracali do domów i wszystko było zwyczajne, jakby nigdy nic się tutaj nie wydarzyło, ani kiedyś, ani teraz, tej nocy w ostatni dzień lata.

13

Poszedłem sprawdzić, co z Władysławą. Krończak nie zrobił jej żadnej krzywdy, tylko zamknął w łazience, podpierając klamkę krzesłem. Czekala, zupełnie spokojna, jakby się mnie spodziewała.

Mieszkanie na powrót stało się śmietniskiem staruchy. Przez podłogę ciągnęły się ścieżki ubrań, na meblach zaschły lepkie strugi. Wyżej zalegały kartony i butelki, między którymi błyszczały złote samorodki pierścionków. Telewizor szedł bez głosu, i my także poszliśmy w milczeniu. Uścisk Władysławy był mocny, ona sama słaba.

Zostawiłem ją, żeby zrobić herbatę, i gdy wróciłem, siedziała dokładnie w tej samej pozycji – pomarszczona kukielka na brzegu kanapy. Powiedziałem, co się stało z Krończakiem. Dostał swoje życzenie. Dodałem, że to już koniec, rano wyjeżdżam pierwszym busem i nigdy nie wrócę. Powinienem tak zrobić już wcześniej.

Władysława odparła, że sobie nie poradzę. Przyznałem jej rację – tak czy inaczej wolę przegrać gdzie indziej, a nie w Rykusmyku. Może jeszcze trochę pożyję. Jeśli nie, chcę być trupem bez imienia,

takim, jakiego sąsiedzi znajdują po dwóch tygodniach, w zapuszczonym mieszkaniu, takim jak to tutaj. Władysława powiedziała:

– Przecież ciebie nie będzie stać na mieszkanie!

Śmialiśmy się we dwoje na wspomnienie niedawnej wściekłości między nami. Władysława ruszyła w moim kierunku, zgarbiona, wyciągając palec. Zdawało się, że uklęknie. Podtrzymałem.

– Idź tam, Szymek.

Odpowiedziałem, że ani mi to w głowie i nie jestem nikim wyjątkowym. Skrzywdzono mnie, nim zjawiłem się na świecie. Czegokolwiek pragnąłem przed laty, nie doczekało się spełnienia. Wciąż słyszę.

– Byk nie może wystąpić przeciw sobie.

– Nie wiem, co byk może, a czego nie. Nic mi do tego. Mogłem iść wcześniej, z nimi.

– Pomyśl o Wilczurze i tym, co robi. Już trzyma łapę na budynku.

– W najgorszym razie to, co każdy dureń. Zatańczy.

– Och, on nie z tych. Wilczur jest biznesmenem. Zastanów się nad tym.

– A niechże robi, co chce!

– Nie ja jedna jestem w tym mieście. Tu żyją dobrzy ludzie.

– Akurat.

Zwiesiła głowę i powiedziała, że mam rację. Chciałem zapytać, czemu sama nie pójdzie i nie zatańczy. Władysława ujęła mnie za rękę i poprosiła, żebym pomógł jej przejść do kuchni. Tam się odsunęła. Roztrącała śmieci kościstym palcem. Tyle z rozmowy.

– Wyobraź sobie, że ktoś ci kiedyś też pomógł. Pamiętaj o tym, co zrobiła Tekla. Pamiętaj o naszych obiadach w niedziele!

Krończak powiedział, żebyś sprawdził u przyjaciela. Szedłem za słowami moich wrogów.

Piętnaście lat temu, kiedy zmarł Trombek, jego rodzice podążyli za nim. Matka zgasła w ciągu dwóch lat. Ojciec, który tak go bił, doszedł do wniosku, że jest winny tego nieszczęścia. Zaniebane mieszkanie przy Wrocławskiej, w którym żyli i w którym się powiesił, stało się puste. Mieszkały w nim gołębie i pijaczyny. W Rykusmyku wiele rodzin czekało na własny kąt od miasta, ale nikt nie chciał żyć pod dachem wisielca. Poza biznesmenem Wilczurem.

W oknach ciemno, drzwi zamknięte. Zaszedłem na tyły Powiatowego Centrum Kształcenia Zawodowego, przeszukałem śmietnik i znalazłem stalową rurkę o spłaszczonym końcu. Długie nici chmur plątały się pod księżycem, uzyskując barwę stali, a jeśli nawet ktoś mnie dostrzegł, uznał, że moje sprawy lepiej zostawić mnie samemu.

Wspiąłem się po piorunochronie i wszedłem na balkon. Skrzek znów się rozszalał. Drzwi otworzyłem, jak pokazał Wilczur, który teraz spał na szerokim łóżku, z dłońmi zaciśniętymi na brzegach kołdry. Wydawał się starszy i niewinny. Stałem nad nim chwilę. Znalazłem zapalniczkę.

Płomyk oświecał ściany pełne wycinków z gazet i wydruków. Opowieści o szczęśliwej ziemi, o gwałtach i zniknięciach układały się w historię, którą już znałem. Centralne miejsce zajmowało ogromne zdjęcie zamku i szczegółowy plan kondygnacji. Widziałem zejście do studni i labirynt korytarzy poniżej. Obok znajdowały się liczby, których nie mogłem zrozumieć. Zbliżyłem dłoń zbyt blisko,

na papierze została ciemna smuga po płomieniu. Wilczur mruknął przez sen. Podobało mi się, że w każdej chwili może się zbudzić.

W drugim pokoju znajdowało się jego biuro. Przeszedłem pod byczym łbem o szklanych kulkach zamiast oczu. Zwierzę otwierało pysk. Zdjęcia podobnych bestii tłoczyły się na ścianach i biurku. Nabrałem ochoty, żeby usiąść na skórzanym fotelu z drinkiem i cygarem. Hasło chroniło dostępu do komputera. Poklikałem w telefon komórkowy. Przejrzałem wydruki. Zajrzałem do szuflad. W wewnętrznej kieszeni marynarki, porzuconej na oparciu, znajdował się zeszyt z numerami telefonicznymi. Zapaliłem światło i zacząłem czytać. Mógłbym tak doczekać świtu. Gdy wracałem do śpiącego Wilczura, zauważyłem jeszcze jedną byczą sylwetkę, wydrapaną na drzwiach starej szafy niby pradawny rysunek naskalny.

Naprawdę chciałem go udusić, jeśli nie za siebie, to za Gablociarza. Patrzyłem, jak śpi. Oczy ruszały się pod ciemnymi powiekami. Usta miał pulchne, jak młoda dziewczyna. Nie zauważyłem tego wcześniej. Rozprostowywałem palce i byłem pewien, że mam dość siły. Docisnę poduszkę i co poradzisz, kochany przyjacielu?

Pochyliłem się, wykonując próbny ruch. Potem wyszedłem przez balkon i zsunąłem się po piorunochronie. Czasem jest tak, że rację mają ludzie ciemni i źli, jak Władysława, Gablociarz albo Krończak.

15

Idąc w stronę zamku, wyobrażałem sobie, co by było, gdybym wsiadł rano do busa. Wilczur to tchórz. Doskonale wiedział o szczęśliwej ziemi, lochach i byku, ale nigdy tam sam nie poszedł. Nie miał zamiaru, gdyż naprawdę był tylko biznesmenem.

Wyjeżdżam, żeby nigdy nie wrócić, żyję albo nie, tymczasem remont zamku dobiega końca. Powstaje hotel i restauracja, odwiedzane przez dwa rodzaje gości. Pierwsi to zwykli ludzie, którzy postanowili zwiedzić Rykusmyku z bliżej nieznanych mi przyczyn. Będą pić wódkę, jeść i się pieprzyć, a potem pojedą w swoich błyszczących samochodach tam, gdzie ich miejsce, czyli donikąd.

Ale zjawiają się i inni goście, ci, których numery telefonów, nazwiska i oczekiwania Wilczur zapisał w notesie. Bogacze z czterech kontynentów przyjeżdżają do naszego grajdołka, płacąc ciężkie pieniądze za możliwość zstąpienia do podziemi. Co tam sobie wytańczą, ich sprawa. Kogo wezmą ze sobą? Ten będzie się martwił. Ludzie po prostu znikają. Gdybym ja przepadł, nikt nie zwróciłby na to uwagi, może poza Władysławą.

Wilczur nie musi tańczyć – będzie księgowym i inkasentem w eleganckim biurze pod czarną bramą. Starczą mu odsetki od marzeń, procenty snów, lichwa na zakrwawiony piach i promocja jeden plus jeden. Oraz jego goście, wracający do siebie ze szczęśliwą ziemią na butach.

Rozdział dwunasty

1

Dziewczyna w Żabce zapytała, czy dobrze się czuję. Kolczyk w jej tłustej twarzy wyglądał jak metalowy pryszcz. Potrzebowałem latarki. Dostałem tanią zapalniczkę, taką, która parzy w kciuk po paru sekundach. Dziewczyna powtórzyła pytanie. Odpowiedziałem, że czuję się źle, i usłyszałem, że już jedenasta, powinienem iść spać, bo ona zamyka.

Wystawa sklepu z zabawkami była jakby wypłowiała, sklep, w którym sprzedawano e-papierosy, powoli godził się z nieuchronnym – półką na gazety i koszami tanich kosmetyków. Ciemność zaległa nad drzwiami ciucholandu. Oglądałem to wszystko jak obce miejsce. Tylko bramy wołały znajomo: Szymuś, dokąd się tak spieszysz? Szymuś, gdzie ty będziesz szedł. Zostań. Nie wychylaj się, Szymciu kochany, tak jakżeś siedział cicho przez całe swoje zaszranutkie życie, siedział cicho, bo było ci głośno, co nie?

Tej kobiety nie widziałem wcześniej w Rykusmyku. Miała krótkie włosy. Łzy dodały jej lat. Szła, opierając się o mur. Dłonie trzymała na podbrzuszu, sukienka była rozdarta na udzie, kolana poobijane, a jedna noga bosa. Na ramieniu niosła skórzaną torebkę. Nasze spojrzenia odbiły się od siebie. Kobieta uniosła głowę i dłoń na znak, że nie potrzebuje pomocy. Straciłem ją z oczu.

Minąłem bar U Dyzia, gdzie mecz szedł na cały regulator, choć stoły najeżyły się już nogami krzeseł. Skręciłem w prawo. Tam pijak opierał się o zamkowy mur i ze zdziwieniem obserwował, jak mocz tryska mu na nogawkę. Okna powyżej były ciemne, światło reflektora punktowego podpierało piaskową, świeżo odnowioną ścianę. Musiałem skręcić raz jeszcze i byłem na miejscu. Pod starą

stróżówką, nowym płotem i bramą prowadzącą na teren budowy, którą wyłamali moi przyjaciele.

2

Skrzek schował się głęboko we mnie jak skatowane zwierzę. Chwytając się guzów na pniu, dotarłem do gałęzi i powoli popęzłem nią aż do ciemnego okna. Rykusmyku wciąż przypominało skupisko głazów rozdzielonych światłem. Przepchałem się przez okno i stanąłem po drugiej stronie muru.

Zapałem zapalniczkę. Rozgrzewała się szybko, chwyciłem ją przez mankiet. Ruszyłem przed siebie, licząc kroki. Przy ilu uciekł Trombek? A przy ilu ja? Zerkąłem to na malejące okno, to na nieśmiało tańczący przede mną płomyk. Przypomniałem sobie, że właśnie tutaj spotkałem Teklę. Prosiła mnie, abym nie szedł tam, gdzie idę, i miała rację. Było zimno i cicho.

Przy ścianie złapałem oddech. W starych otworach tkwiły nowe świece, poniżej walał się potrzaskany tablet, latarka samochodowa, multitool ze złamanym ostrzem i portfel, który ktoś opróżnił z kart i pieniędzy. Wyobraziłem sobie tego człowieka, jak porywa łup i zawraca do domu. Wydłubałem świecę, zgasiłem zapalniczkę i zacząłem się wspinać. Dalej było tego więcej: buty, zegarki, sygnety, paski, złote łańcuchy, jakby wszyscy, którzy podążali tą drogą, porzucali to, co jeszcze niedawno było im najdroższe. Zsunąłem się po drugiej stronie muru, przy wgłębieniu w ścianie.

Złapałem oddech i kość – długą, musiała należeć do dorosłego. Czaszka obok, oczodół jak pięść. Odsunąłem się, wstałem, zrobiłem chwiejny krok. Zapalniczka nie chciała zadziałać od razu. Podregulowałem ją. Buchnęło. Płomień oświetlił pobielane ściany i bladą twarz naprzeciwko mojej. Upuściłem zapalniczkę.

– Cześć – powiedział Trombek.

Odsunąłem się od niego. Szliśmy razem w kompletnej ciemności. Rozmawiałem z Trombkiem i potykałem się o umarłych. Opowiedziałem mu o Wilczurze i jego planach, o tym, jak zmieniło się Rykusmyku, i że Tekla umarła.

– Ty z Teklą? Brachu, toś sobie lalunię wybrał. Aż taka posucha? Sedes z Teklą, ja pierdziu.

– Mam na imię Szymek.

– O widzisz, a ja nie mam imienia. Trombek, Trombek i jeszcze raz Trombek. – Głos odbijał się echem od sklepienia. – Tylko czas się pokręcił do reszty, wszystko jest wczoraj, ja jestem wczorajszy. Dobrze, nie? Przez lata myślałem, że cię zabiję. Was wszystkich. A teraz idziemy i rozmawiamy.

– Niby czemu?

– Och, nie zgrywaj durnia. Siedziałem tutaj, wśród ciemności, mówiłem sobie, zajebię ich jak kurwę na torfowisku, co, gul ci śmignął? Weź nie dygaj, mistrzu kolorowy, wystarczy spojrzeć na was, flinstony pogubione, i wiadomo, wyciągnąłem najlepszą kartę z całej naszej smutnej bandy. Mam dziewiętnaście lat. Ciągle. Myślisz, że kiedyś stąd wyjdiesz, Sedes? Ile będziesz miał, jak tu razem zostaniemy? Są inni, wiesz?

– Nie mów do mnie Sedes. Nic nie jestem ci winien.

– O, jasne, że nie. Sikorka ci to wmówił? Weź idź zobacz, gdzie on leży i jak mu jest.

– Sam zdecydowałeś.

– Sam? Ja? No to żeś mnie jednak podkurwił. Wyście mnie tu, barany, zostawili. A teraz te chuje depczą jeden po drugim. Weź sobie przypomnij.

Szedłem przy ścianie i słuchałem.

– O czym ty gadasz?

– Nie było tak, żeście się dogadali, na migi? Ty z Krzywdą, tamte buce nawet wcześniej, kiwnąłeś łbem jak mnich, co się szmałem nażarł, i hyc z areny. Doskonale to pamiętam. Jesteście i zaraz was nie ma. Odwracam się i jestem sam. Jeszcze przez moment się łudziłem, że to tylko jakiś kawał. No cóż, jednak nie. Jak ci z tym, co, Szymuś?

Zamachnąłem się. Ręka trafiła w pustkę. Jego głos krążył.

– Mówię ci to, bo nic dobrego cię nie czeka. Mistrzu kolorowy, naprawdę chcesz tam pójść? Zwariowałeś, Szymuś? No pewnie, że tak. Nie wiesz nawet, czy widzisz duchy, czy gadasz do siebie. Przyznasz się, jak było naprawdę, co? Co? No, jak ja mam na imię? Powiedz mi. Mówiliście na mnie Trombek, a ja nie wiem, jak mam na imię.

Szedłem sam, w milczeniu.

4

Księżyc przestrzelił świetlik w suficie i opadł na twarz ślepcy. Staszek leżał na piasku niedaleko Hermana. Uniósł głowę, wyciągnął rękę, której nie zdążyłem już chwycić. Znieruchomiał, podobny do płaskorzeźb zdobiących ściany. Wysoko wisiał nóż.

Lokator jeszcze nie nadszedł; Karol i Bartek obrócili głowy w stronę nowego przeciwnika. Tym razem tańczyliśmy między sobą. W korytarzu, z którego przyszedłem, mignęła radosna twarz Trombka. Jeśli kiedyś uśmiechałem się szczerze, to właśnie w tej chwili, gdy wchodziłem na arenę.

Zaczęliśmy, a nasze głowy puchły. Karol zatańczył nam swojego syna, Nikę i Lidię. Przechylał się do przodu i machał ramionami, jakby rozgarniał wodę. Twarz miał spokojną, rysy ostre. Bartek ruszał się zwiewnie i tańczył Mayę w rytm bębnow pulsujących

tam, w dole, do słów piosenek, które razem śpiewali. Zachwiał się. Tańczyłem moją mamę i jej butelkę, Gablociarza i Krończaka, dwa spotkania z moim ojcem i wszystkie dni bez niego.

Od nowa poznawaliśmy siebie nawzajem, zaś nasze ruchy stawały się niezdarne od tej wiedzy. Przysięgłbym, że tamci przybliżają się i oddalają jak na karuzeli, a ich ręce zamykają się tuż obok mojej twarzy.

Bartek, mokry, z żyłami na szyi, spróbował zatańczyć wieczór w szpitalu, i to go zgubiło. Nagle zwolnił, splątały mu się nogi i z trudem utrzymał równowagę. Strząsał coś z siebie. Spróbował odejść, ale kiedy tylko postawił nogę poza areną, runął tak jak Staszek wcześniej. Piach zdławił mu oddech. Stało się to bardzo szybko, bo wszystko było szybkie tej nocy.

Z Karolem zaczęliśmy krążyć naprzeciw siebie, zbierając siły i wspomnienia. Nie spodziewałem się, że znajdziemy w sobie tyle zaciekłości. Zatańczył mi swoje pożegnanie z Niką. Janka za drzwiami. Odpowiedziałem Teklą, żywą pieczętą pozostawiającą na ścianach czerwone uśmiechy i nocami w pustym mieszkaniu. Karol zachwiał się na brzegu areny. Opadł mocno na wysuniętą nogę.

Zatańczył mi rynek krakowski i ostatni koniaczek Lidii. Był człowiek w oknie i pijani w Jaszczurach, a stara kobieta konała w jego ruchach, nie pozostawiając na świecie niczego poza smutkiem. Skowyt jej ducha wybrzmiał w ścianach piwnicy, niemal złamał mi kark, docisnął tak, że poczułem zapach krwi na piasku. Dobiegło mnie klaskanie. Jeszcze nie, przyjacielu. Jeszcze mam ci coś do zatańczenia.

Nieszczęścia innych są naszym pocieszeniem. Współczujemy innym, ale rozczulamy się nad sobą. O tym zapomniał.

Wyprostowałem się. Karol gwałcił się pod księżycem, z pijanym uśmiechem nawoływał, abym pokazał, co potrafię.

Zatańczyłem mu skrzek.

5

Pod srebrnym światłem, nożem i kamiennym okiem gryfów leżeli moi martwi przyjaciele. Ich języki jak karty, które wyciągnęli od losu, dwójki i trójki, bez żadnego porządku. Przez moment uwierzyłem, że wszystko, co się zdarzyło, było nieprawdą i nigdy tak naprawdę nie wyszliśmy z piwnicy.

Najpierw wyłonił się złamany róg, za nim łyse, splątane bliznami czoło i reszta. Pięść spadła w piach, a czarne oko patrzyło na mnie jak w lustro.

6

Byk kołysał się na mocnych nogach. Siatka głębokich blizn biegła przez czarny korpus, aż do siwiejącego łba owianego obłokami dymu. Trwaliśmy chwilę naprzeciwko siebie, oddzieleni przez cztery ciała. Byk zajrzał we mnie głęboko i rozpoznał. Znów to uczucie, że ostatnie trzynaście lat było tylko snem, śniłem go, leżąc tutaj, w piwnicy.

Byk pochylił łeb i zrobił łagodny krok do przodu. Zacząłem przestępować z nogi na nogę. Krążyliśmy wokół siebie w rytm jednostajnego łomotu bębnow. Grał nam Trombek razem z innymi. Zmusiłem ciało do większego wysiłku, rozkołysałem się, unosząc dłonie wysoko, na znak, że chętnie bym się poddał. Byk natarł z boku. Przetoczyłem się po podłodze. Pięść jak kopyto spadła tuż obok mojej głowy. Zerwałem się i spróbowałem skoczyć. Niezłamany róg mierzył w moją pierś.

Wycofałem się trochę. Oszczędzałem siły i starałem się cały czas widzieć przeciwnika. Okrążałem go, a on kręcił się w miejscu,

jakby rozbawiony. Łypał czarnym okiem. Bębny grzmiały w mojej głowie, strop dygotał i przestraszyłem się, że runie i nas pogrzebie. Cóż, nie byłoby to najgorsze rozwiązanie. Zmusiłem się do truchtu. Otarł się o mnie i odesłał pod ścianę.

Potykałem się o ciała, słuchałem bębnow i próbowałem zapomnieć o sobie. Nogi roztańczyły się same. Byk również przyspieszył, a każdy jego ruch emanował smutkiem. Zacząłem klaskać, żeby go rozweselić, bo przecież nadchodzi koniec, właśnie tak, rogaty przyjacielu. Och, te bębny i oddechy. Byk kołysał się miarowo. Nie czułem stóp i brzucha, dłonie biły o siebie i chyba nie należały już do mnie. Robiło się coraz ciemniej. Zwierzę rosło przede mną. A stara Władysława powtarzała: pamiętaj o naszych obiadach. Pamiętaj.

Pamiętaj o tym, co robiła Tekla.

7

Opadłem na czworaki, podłoga była mokra. Kamienie wbijały mi się w dłonie. Byk przełożył ciężar ciała na lewą stronę i ja też tak zrobiłem. Uniósł przednią nogę. Uniosłem prawą rękę. Machnął łbem i ja też machnąłem. Zaszarżował w miejscu i ja też zaszarżowałem. Byłem mu zwierciadłem. Tak to trwało.

Obaj wyrastaliśmy z tej samej, szczęśliwej ziemi. Mięśnie, tężejące pod czarną skórą, pozwalały przewidzieć jego ruchy, które z minuty na minutę robiły się coraz bardziej nerwowe. Rzucił się w bok, równo ze mną. Zakręcił zadem. Znieruchomieliśmy w tej samej chwili. Ryknął. Odpowiedziało mu moje wołanie.

Wbiłem pięść w zakrwawiony piach, pył opadł na jego pięść. Mruknął, mrukneliśmy, zgarbieni patrzyliśmy na siebie, jakbym nie tylko ja zmieniał się w byka, ale też byk w Szymona. Jednocześnie ruszyliśmy na siebie.

Gdybym stanął obok, zobaczyłbym chudego mężczyznę, który na czworakach drałuje w stronę rozpędzonego potwora rozmiarów furgonetki, a jego wołanie ginie wśród bębnow i ryku. Błyskawicznie zbliżają się do siebie i zaraz rogaty łeb rozetrze człowieka na miazgę. Ale nie. Będzie zupełnie inaczej.

Bo człowiek się wywrócił.

Upadłem miękko na bok. Byk runął naprzeciw mnie. Nim zdążył się podnieść, już biegłem w jego kierunku. Wybiłem się, chwytając jedyny róg jako punkt oparcia. Wielkie ciało przemknęło pode mną.

Wylądowałem po drugiej stronie.

8

Mogłem życzyć sobie czegokolwiek.

Mogłem zawołać Teklę, żeby wzięła mnie tam, gdzie przebywa teraz Krończak.

Byk nie mógł się podnieść, tylko uderzał o posadzkę złamanym rogiem. Uklęknąłem przy nim i pogłaskałem po szyi. Serce biło powoli, lecz nie zamierzało przestać. Oczy miał bardzo ciemne. Tak musiało wyglądać nocne niebo, gdy po raz pierwszy spojrzał w nie człowiek.

Czego byś chciał, Szymuś? W życiu liczy się zdrowie, pieniądze i miłość. Popatrzyłem po ciałach przyjaciół. Przypomniałem sobie Władysławę, Krończaka i Hermana. Tekli nie musiałem sobie przypominać. Złożyłem głowę na karku zwierzęcia. Powiedziałem:

– Chcę, żebyś zostawił nas w spokoju.

9

Ostatniego dnia lata do Rykusmyku przyjechały trzy dziewczyny z prezentacją cudownych garnków. Wynajęły kuchnię w budynku liceum dla dorosłych przy Kościuszki i tam zrobiły pokaz.

Wrzucały płaty czerwonego mięska i ciężkie ziemniaki, a garnek wypływał gotowe dania. Kobiety z Rykusmyku na próżno próbowały zdemaskować oszustwo. Ich mężowie bezwiednie wyjmowali portfele, zapatrzeni w długie nogi i głębokie dekolty trzech dziewczyn rozprawiających o smakach i zapachach.

Młodzi policjanci usunęli mężczyznę awanturującego się pod zamkniętym powiatowym urzędem pracy. Rzucał się i ciskał, ale wyprowadzony poza ogrodzenie spotulniał i dał się powieść do suki. Policjanci tego dnia pojechali też sprawdzić zgłoszenie o przemocy domowej przy świętego Marcina i wdali się w niegroźną przepychankę z trzema chłopakami z Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego. Pastor, wracający z niedzielnego obiadu w restauracji, odkrył, że jakiś tajemniczy sprawca wbił trzy wielkie gwoździe w białą fasadę Kościoła Pokoju. W barze mlecznym pod arkadkami dzieci wsadzały sobie do nosów naleśniki truskawkowe. Wilczur usiadł w ogródku przed Ratuszową, zamówił penne, a następnie podwójne espresso i kieliszek koniaku. Drobną dziewczyną z liściem wytatuowanym na przedramieniu błagała w aptece o pigułki antykoncepcyjne, przysięgając, że receptę doniesie w ciągu paru dni. Drzwi prowadzące do Baszty Piastowskiej runęły, wzbijając chmurę pyłu. Byk wystawił na słońce poraniony łeb.

Powędrował Staromiejską. Ludzie robili zdjęcia i kręcili filmy telefonami komórkowymi. Chowali się w bramach, dopiero gdy zwierzę zwróciło na nich uwagę. Byk wsadził głowę do dawnego sklepu muzycznego Idol, jakby chciał przypomnieć sobie mrok, w którym tak długo przebywał. Trącał rogiem stojaki z przecenionymi kompaktami, wetknął nos w kolorowe gazety, a

sprzedawca schowany za czarną ladą przypominał sobie kolejne modlitwy.

Zaglądnął do pizzerii, wybijając przy tym szybę z rozradowanym Włochem w białym fartuchu. Deszcz szkła spadł na stół i chłopaka unoszącego capriciosę do umorusanych ust. Ich spojrzenia spotkały się. Z zaplecza dobiegł dźwięk ciała uderzającego o podłogę. Chłopak ułożył usta, jakby chciał powiedzieć: „Aha”. Cofnął się w róg pomieszczenia i wskazywał na pizzę, dając do zrozumienia, że stracił na nią ochotę. Byk, nim opuścił Staromiejską, zawiesił wzrok na salonie meblowym Bodzio i pozostawił ryse przez całą długość szyby salonu optycznego. Zatrzymał się na rogu ulic. Długo patrzył w słońce, mrużąc czarne ślepia.

Zrezygnowanym krokiem przewędrował wzdłuż starych kamienic na Czarneckiego i zadarł głowę pod jaskrawym szyldem hotelu, jakby się czemuś dziwił. W parku rozszczękały się psy. Zza zakrętu wypadło fioletowe audi, kierowca gwałtownie skręcił i uderzył w słup. Dym poszedł spod zgniecionej maski, mężczyzna próbował się wyswobodzić z pasów, a byk, kołysząc czarnym ciałem, poczłapał dalej, na prawo, w Staszica, między zniszczone dwupiętrowe domy.

Stara Władysława tego dnia była naprawdę stara – niezdarnie spięła włosy i parę czarnych kosmyków z siwymi odrostami spadło na pomarszczoną twarz. Widząc byka, puściła laskę i oparła się o mur, zaciskając dłonie na brzuchu. Głowę trzymała prosto. Byk spojrzał w jej kierunku i rozkołysał łeb. Tarł kopytem o asfalt. Z nozdrzy poszedł ciemny obłoczek. I to wszystko. Poczłapał dalej, a kołysanie udzieliło się jego całemu ciału. Bił strzępką ogona o boki. Władysława przyłożyła rękę do ust. Nie wiem, czy dlatego,

żeby zasłonić uśmiech, wiem, że potem podniosła laskę i pokuśtykała do domu.

Ludzie zamykali za sobą drzwi i patrzyli trwożnie znad parapetów. Doniczka trzasnęła o bruk. Z bramy tuż przed samym rynkiem wypruła mała dziewczynka o jasnym, ciekawskim spojrzeniu. Chciała wspiąć się bykowi na grzbiet, traktując blizny na nogach jak szczeble w drabinie, a gdy to się nie udało, spróbowała przynajmniej uczepić się złamanego rogu. Byk ospale schylił łeb, ale z tej samej bramy wyskoczył półnagi facet z pajęczyną wytatuowaną na łokciu i chwycił wrzeszczącą córeczkę. Przy ścianie osunął się na kolana. Dziewczynka biła go po plecach i szarpała za włosy. Nie chciał jej puścić.

Byk wkroczył na słoneczny rynek, witany przez tupot uciekających, brzęk szkła i dźwięk upadających telefonów komórkowych. Matki biegły, pchając przed sobą wózki. Muskularny facet o bezwłosych przedramionach ryglował od środka sklep, młodzi spadali z deskorolek i rowerów, wznosiły się baloniki uwolnione z dziecięcych rączek. Byk skręcił pod arkady, zdeptał resztkę stoiska starego Hermana i wsadził głowę do sklepu obuwniczego. W jego stronę poleciały trampki i kozaczki. Odszedł w chwili, gdy krewka sprzedawczyni uniosła kasę fiskalną ponad głowę. Po raz pierwszy spojrzał za siebie. Prychnął i powędrował spokojnie ku Ratuszowej, gdzie Wilczur wydziobywał kawałki kurczaka z makaronu i rozmawiał przez zestaw głośnomówiący.

Na widok byka biznesmen zamilkł i zeszytywniał, jakby nagle znalazł się na krześle elektrycznym. Strącił talerz, sztucę, filizankę, zacisnął dłonie złożone na blacie i dyszał. Obaj dyszeli. Byk ugiął nogi tak, aby lepiej przyjrzeć się Wilczurowi, a falujące chrapy znalazły się tuż przy poblądłej twarzy. Z nozdrzy poszedł

kłąb ciemnego dymu. Za nim następny. Byk zakołysał się na ugiętych nogach i wydobył z siebie skrzek, na jednym tonie, jakby nie musiał nabierać powietrza. Znałem ten dźwięk, ale Wilczur nie. Podniósł ręce do uszu, zatrząsł się i uderzył o stół głową.

Wiedziałem, co się dzieje. Byk opowiadał mu o stuleciach spędzonych w ciemności i ludziach, którzy odwiedzali go z kieszeniami pełnymi życzeń, godziwych i niegodziwych, o tym, jak tańczyli przed nim, depcząc siebie nawzajem, a on nagradzał zwycięzcę gnijącym skarbem. Mówił o zamknięciu w lochu, nad którym, wysoko, los mełł kolejne istnienia, mówił, jak to jest uczyć się na pamięć każdego wgłębienia w więziennym murze i bezpowrotnie tracić własne myśli. Mówił o wołaniu do siebie samego i wiecznej ciemności. O królach i książętach, dziwkach i parobkach, żołnierzach, mordercach i świętych, którzy schodzili tam, na ostatnie piętro świata, żeby ich wysłuchał, powtarzał te prośby i opowiadał, do czego doprowadziły. Mówił o Karolu, Staszku i Bartku. O Krończaku i Władysławie. O Trombku i o mnie też. Gdy skończył, cofnął się o krok, dobywając z pyska krótki dźwięk pełen skargi. Usłyszeli go już wszyscy w Rykusmyku.

Wilczur wstał. Jego głowa nabrzmiała, jakby miała zrodzić aureolę. Skłonił się, przeszedł kilka kroków, bezgłośnie upadł na twarz i tak już został, pomiędzy Ratuszową a teatrem z fundacją Nowoczesna Prowincja na piętrze. Długo nikt nie śmiał się zbliżyć do ciała. Policjanci zabrali je nocą. Używali rękawiczek i odwracali wzrok.

Tymczasem byka dawno już nie było. Przyjrzał się Wilczurowi i odszedł, minął jeszcze Rossmana i przeciął park z Kościołem Pokoju, pozostawiając w oniemiałym pastorze poczucie, że koniec czasów jest bliski. Potem powędrował torami, odprowadzany przez

jęk stali i krzyki przerażonych pasażerów, którzy zaryzykowali podróż składem osobowym. Stare kobiety, bezpieczne za ogrodzeniami, przyglądały mu się, jakby wiedziały, skąd przyszedł i dokąd zmierza. Ostatnim, który go spotkał, był chłopiec wracający z grzybobrania. Opowiadał później, że widział wędrującą przez pole krowę, dwukrotnie większą od normalnej. Nad zwierzęciem sprzągał się wir skrzeczących ptaków. Chłopiec popędził do swoich, a byk zanurzył się między rdzewiejące liście lasu i zniknął.

Chciałbym powiedzieć, że na zawsze. Odszedł z Rykusmyku, tak jak sobie życzyłem, nie więcej, ale też nie mniej. Jednak wiem, że ciągle gdzieś tam jest.

10

Moje dwa życzenia – to pierwsze, sprzed lat, i drugie, niedawne – zostały spełnione.

Moja matka nazywała się Wściekłość, a ja po wielu latach wreszcie przestałem słyszeć. Skrzek umilkł. Usiadłem pod arkadkami i myślałem o wszystkim, co się wydarzyło, zastanawiając się, czy mogłem odwrócić bieg wypadków. Doszedłem do wniosku, że nie. Wraz z nastaniem zmroku porzuciłem te myśli, pochłonięty nieznanym wcześniej światem dźwięków.

Ktoś, chyba w domu tuż obok, pogwizdywał wesołą piosenkę. Nie chciała mu się znudzić. Dobiegały mnie echa rozmów u Dyzia, warkot silników i mruk wieczornego autobusu z Legnicy, wtaczającego się na przystanek. Ludzie wysiadali, żegnali się ze sobą. Ich kroki były głośne. Ktoś oglądał film sensacyjny pełen wystrzałów. Policjanci, zabierający ciało Wilczura, sapali ze

złością, sapał też spocony mąż z ręką żony na ustach. Na Grunwaldzkiej włączył się alarm samochodowy.

Miasteczko milkło przed północą. Nie dla mnie. Nieznajomy wciąż pogwizdywał wesołą piosenkę, która jakby rozbrzmiewała gdzieś bliżej. Ryba chlapnęła w Brzance, przemknęła kuna, trzasnęły drzwi, butelka wysunęła się z dłoni pijaka, wzbudzając szczery szloch. Robiło się coraz ciemniej, aż wreszcie to usłyszałem, siedząc na krześle, pod mrugającą latarnią. Rozpłakałem się, nieznajomy zagwizdał wyraźniej i głośniejsze. Pierwsza kropla świtu rozbełtała noc, chmury mruczały na deszcz. Zagrało radio. Samochód przedzierał się przez mgłę. Trzaskały zapalniczki. Siedziałem dalej, wolny od wszelkiej ciemności. Zrobiło się szaro, a potem jasno. Rozśpiewały się ptaki. Krążyły śmieciarki i furgonetka pocztowa. Dorośli spieszyli się do pracy, dzieci do szkoły. Bzyczał trzmiel. Telefony komórkowe wygrywały najróżniejsze melodie. Ktoś pierdnął. Ktoś się zaśmiał. Słyszałem kapanie własnych łez, szum rzeki i wody z kranu. Otwierano sklepy. Wszystko było zwyczajne.

Nieznajomy zagwizdał mi prosto w ucho, a moja noga zaczęła tańczyć.

* Jerzy Porębski, *Tańcz miła tańcz.*

**Autor jest Laureatem Stypendium
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
„Młoda Polska” 2012.**

Szczęśliwa ziemia

Copyright © by Łukasz Orbitowski 2013

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2013

Redakcja – Michał Cetnarowski, Joanna Mika-Orządała

Korekta – Kamil Misiek / Editor.net.pl

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okladka – Rafał Tyński, Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcie na czwartej stronie okładki – Jarosław Urbaniuk

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN EPUB: 978-83-7924-087-6

ISBN MOBI: 978-83-7924-088-3

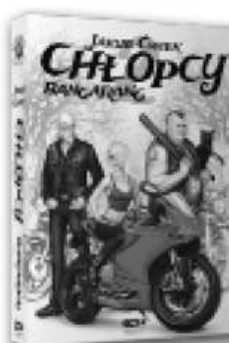
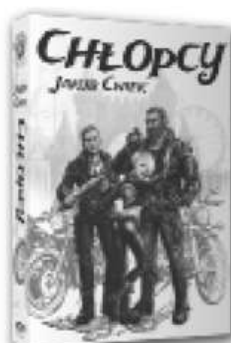
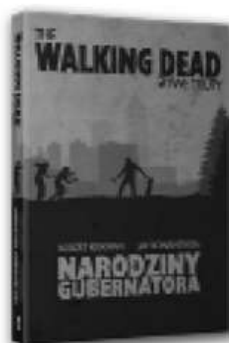
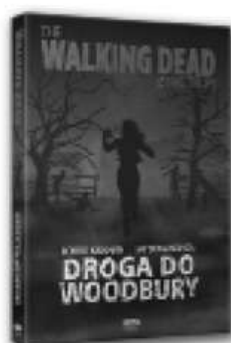
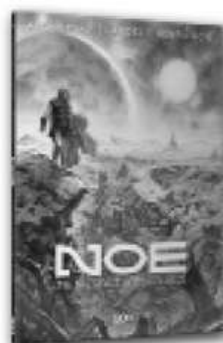
www.orbitowski.pl

www.wydawnictwosqn.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSQN



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON



Szukaj w dobrych księgarniach i na
www.labetiga.pl



www.wsqn.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
facebook.com/WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labetiga.pl



Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[Rozdział drugi](#)

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29

30

31

32

Rozdział trzeci

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

Rozdział czwarty

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Rozdział piąty.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Rozdział szósty.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

Rozdział siódmy

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

Rozdział ósmy.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

Rozdział dziewiąty.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[Rozdział dziesiąty.](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[Rozdział jedenasty.](#)

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15

Rozdział dwunasty

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10

Strona redakcyjna

SZCZĘŚLIWA ZIEMIA



ŁUKASZ ORBITOWSKI

SON
WYDAWNICTWO
SND QUA AGO